

Lincoln  
**CHILD**  
Eden



INTELLIGENTNY THRILLER À LA MICHAEL CRICHTON



LINCOLN CHILD

Eden to niezwykle wciągający i inteligentny thriller, łączący opisy nowoczesnych technologii z fabułą pełną zaskakujących zwrotów akcji – w stylu mistrza gatunku, Michaela Crichtona. To druga, po *Utopii*, samodzielna powieść Childa, znanego z serii bestsellerów napisanych wspólnie z Douglasem Prestonem. O twórczości Childa z najwyższym uznaniem wyrażał się Dan Brown, autor *Kodu Leonarda da Vinci*, nazywając jego książki „fantastyczną lekturą”.

Podwójne samobójstwo – tylko tak można wytłumaczyć śmierć dwojga ludzi, znalezionych we własnym apartamencie. Byli idealną parą skojarzoną przez Eden Incorporated, matrymonialne biuro przyszłości, posługujące się supernowoczesnymi technikami wykorzystującymi „sztuczną inteligencję” i zapewniającymi prawie stuprocentową zgodność wszystkich cech potencjalnych partnerów. Co popchnęło ich do tego czynu? Chcąc uniknąć ewentualnej kompromitacji, która mogłaby się odbić na reputacji i dochodach biura, jego szef, tajemniczy geniusz komputerowy, zatrudnia Christophera Lasha – byłego agenta FBI, specjalistę od portretów psychologicznych. Śledztwo nie ujawnia niczego podejrzanego, ale sytuacja zmienia się, gdy ginie następna „idealna” para skojarzona przez Eden. Jeszcze jedno samobójstwo, czy jednak morderstwo? Dalsze zgłębianie tajemnic Edenu, które (jak się okazuje) nie powinny ujrzeć światła dziennego, może okazać się dla Lasha zabójcze...

ISBN-13: 978-83-7359-343-5

ISBN-10: 83-7359-343-8



9 788373 593435

Lincoln  
**CHILD**  
Eden

Z angielskiego przełożył  
ZBIGNIEW A. KRÓLICKI



WARSZAWA 2006

tytuł oryginału:  
DEATH MATCH

Copyright © Lincoln Child 2004 All  
rights reserved

Published by arrangement with Doubleday, a  
division of Random House Inc.

Copyright © for the Polish edition by  
Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Copyright © for the Polish translation by Zbigniew A. Królicki 2006

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN-13: 978-83-7359-343-5

ISBN-10: 83-7359-343-8

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa  
tel./fax (22)-631-4832, (22)-535-0557/0560

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

*Veronice*

## PODZIĘKOWANIA

Wiele osób przyczyniło się do powstania tej książki. Dziękuję mojemu przyjacielowi i redaktorowi z Doubleday, Jasonowi Kaufmanowi, za pomoc w niezliczonych sprawach, dużych i małych. Dziękuję również jego koleżankom, Jenny Choi i Rachel Pace.

Doktor Kenneth Freundlich dostarczył mi bezcennych informacji o testach psychologicznych i innych metodach badań. Dziękuję także lekarzom medycyny: Lee Suckno, Antony'emu Cifellemu, Traianowi Parvulescu oraz doktorowi Danielowi DaSilvie za ich ekspertyzy medyczne i psychologiczne. Cezar Baula i Chris Buck pomogli dopracować szczegóły chemiczne i farmaceutyczne. Mój kuzyn Greg Tear ponownie był wiernym słuchaczem i fontanną pomysłów. Serdecznie dziękuję agentowi specjalnemu Douglasowi Marginiemu za pomoc w opracowaniu prawnych aspektów książki.

Szczególne podziękowania składam Douglasowi Prestonowi za wsparcie i zachętę przy pisaniu tej książki oraz opracowanie kluczowego rozdziału.

Dziękuję również Bruce'owi Swansonowi, Markowi Mendelowi i Jimowi Jenkinsowi, za wskazówki i przyjaźń.

I w końcu dziękuję tym, bez których moje książki nie mogłyby powstać: mojej żonie Luchie, mojej córce Veronice, moim rodzicom, Billowi i Nancy, oraz mojemu rodzeństwu, Dougowi i Cynthii.

Nie muszę mówić, że wszystkie postacie, korporacje, wydarzenia, lokale, osoby, produkty farmaceutyczne, badania psychologiczne, organizacje rządowe, urządzenia komputerowe i reszta gliny, z której została ulepiona ta książka, są czysto fikcyjne lub zostały wykorzystane na potrzeby fikcji. Opisywana tu firma Eden Incorporated — choć pewnego dnia może powstać — w chwili obecnej jest jedynie wytworem mojej wyobraźni.

# 1

Wtedy Maureen Bowman po raz pierwszy usłyszała płacz tego dziecka.

Nie od razu zwrócił jej uwagę. Prawdę mówiąc, zarejestrowała go dopiero po pięciu, a może nawet dziesięciu minutach. Prawie skończyła zmywać po śniadaniu, gdy nagle znieruchomiała, nasłuchując, z pianą ściekającą z okrytych żółtymi rękawicami dłoni. Nie przesłyszała się: płacz dolatywał z domu Thorpe'ów.

Maureen optukowała ostatni talerz, owinęła go wilgotną ścierką i w zadumie obróciła w dłoniach. Zwykle płacz dziecka nie zwróciłby tu niczyjej uwagi. Był jednym z typowych odgłosów przedmieścia, jak pobrzękiwanie furgonetki z lodami albo szczekanie psa; dźwięk niewychwytywany przez radar świadomej percepcji.

Dlaczego więc zwrócił jej uwagę? Odstawiła talerz na suzarkę.

Ponieważ dziecko Thorpe'ów nigdy nie płakało. W pogodne letnie dni, przy otwartych na oścież oknach, często słyszała, jak kwili, gaworzy lub śmieje się. Czasem słyszała, jak mała robi to przy dźwiękach muzyki klasycznej, a wietrzyk miesza jej głos z zapachem pinii.

Maureen wytarła dłonie w ręcznik, starannie go złożyła, a potem oderwała wzrok od zlewu. Był już wrzesień — pierwszy



dzień naprawdę jesiennej pogody. W oddali purpurowe zbocza szczytów San Francisco okrywał śnieg. Widziała je przez zamknięte przed chłodem okno.

Wzruszyła ramionami, odwróciła się i odeszła od zlewu. Wszystkie dzieci płaczą, prędzej czy później. Niepokojące jest, jeśli tego nie robią. Ponadto to nie jej sprawa; ona i tak ma roboty po uszy bez wtrącania się w życie sąsiadów. Był piątek, zawsze najbardziej zabiegany dzień tygodnia. Jej próba chóru, balet Courtney, trening karate Jasona. W dodatku dzisiaj urodziny Jasona, który zażądał wołowiny fondue i tortu czekoladowego. To oznaczało jeszcze jedną wyprawę do nowego supermarketu przy Route 66. Maureen z westchnieniem wyciągnęła listę sprawunków spod magnesu na drzwiach lodówki, wzięła ołówek ze stojaka telefonu i zaczęła dopisywać kolejne pozycje.

Nagle przestała. Przy zamkniętych oknach to dziecko Thorpe'ów musiało naprawdę wrzeszczeć, skoro je usłyszała...

Maureen próbowała o tym zapomnieć. Pewnie miała uraziła się w nóżkę albo co. Może dostała kolki, jeszcze nie była na to za duża. Poza tym Thorpe'owie są dorośli; poradzą sobie z tym. Thorpe'owie poradzą sobie ze wszystkim.

Ta ostatnia myśl miała lekko ironiczny podtekst i Maureen natychmiast skarciła się za to. Thorpe'owie mają inne zainteresowania, obracają się w innych kręgach — to wszystko.

Lewis i Lindsay Thorpe'owie sprowadzili się do Flagstaff zaledwie przed rokiem. W okolicy pełnej pustych domów, zamieszkaney głównie przez emerytów, wyróżniali się jako młoda, atrakcyjna para i Maureen niebawem zaprosiła ich na kolację. Byli czarującymi gośćmi, przyjaznymi, dowcipnymi i bardzo uprzejmymi. Rozmowa z nimi była łatwa, niewymuszona. Jednak nigdy nie odwzajemnili zaproszenia. W tym czasie Lindsay była w trzecim trymestrze ciąży i Maureen chciała wierzyć, że to było powodem. A teraz, gdy miała małe dziecko i wróciła do pracy... można było to zrozumieć.

Maureen powoli podeszła do przesuwanych szklanych drzwi. Stąd miała lepszy widok na dom Thorpe'ów. Wiedziała, że wczoraj wieczorem byli w domu. Wczesnym popołudniem

widziała przejeżdżający samochód Lewisa. Teraz, gdy patrzyła na dom sąsiadów, panował tam idealny spokój.

Tylko to dziecko. Mój Boże, ta mała ma chyba stalowe płuca...

Maureen podeszła bliżej drzwi i wyciągnęła szyję. Zobaczyła samochody Thorpe'ów. Oba, bliźniacze audi A8, czarny Lewisa i srebrny Lindsay, stały na łączniku między budynkami.

Oboje w domu, w piątek? To naprawdę niezwykle. Maureen przycisnęła nos do szyby.

I natychmiast się cofnęła. Jesteś dokładnie taką wścibską sąsiadką, jaką obiecałaś sobie nigdy nie być. Przecież mogło być wiele powodów. Mała jest chora i rodzice zostali w domu, żeby się nią zaopiekować. Może przyjeżdżają dziadkowie. Albo szykują się do wyjazdu na wakacje. Lub...

Krzyk dziecka stał się ochrypły, urywany. Teraz Maureen bez namysłu chwyciła szklane drzwi i odsunęła je.

Chwileczkę, przecież nie mogę tak po prostu tam pójść. Jeśli to nic takiego, będą zmieszani, a ja zrobię z siebie idiotkę.

Spojrzała na szafkę kuchenną. Wieczorem upiekła mnóstwo czekoladowych ciasteczek na urodziny Jasona. Zaniesie im trochę: to będzie rozsądny, dobrosąsiedzki uczynek.

Szybko chwyciła papierowy talerz i zaraz zastąpiła go porządnym porcelanowym, na którym ułożyła tuzin ciasteczek, wszystko zawinęła w folię. Podniosła talerz i podeszła do drzwi.

I znów się zawahała. Przypomniała sobie, że Lindsay jest mistrzynią kuchni. Kilka tygodni temu, kiedy spotkały się przy skrzynkach pocztowych, tamta przeprosiła, że nie może rozmawiać, ponieważ właśnie robi krem czekoladowy z prażonymi migdałami. Co sobie pomyślą o talerzu domowych czekoladowych ciasteczek?

Naprawdę za dużo o tym myślisz. Po prostu tam idź.

Co właściwie tak ją onieśmiało w Thorpe'ach? Fakt, że zdawali się nie potrzebować jej przyjaźni? Byli dobrze wykształceni, ale Maureen ukończyła anglistykę *magna cum laude*. Mieli mnóstwo pieniędzy, ale połowa tutejszych mieszkańców też. Może to, że wydawali się taką doskonałą, idealnie dobraną

parą. Niemal niesamowicie. Podczas tamtej jedynej wizyty Maureen zauważyła, jak bezwiednie trzymali się za ręce, jak często jedno kończyło zdanie rozpoczęte przez drugie, jak wymieniali niezliczone spojrzenia, które — choć krótkie — sprawiały wrażenie pełnych treści. „Obrzydliwie szczęśliwi” — jak określił to mąż Maureen, lecz ona wcale nie uważała tego za obrzydliwe. Prawdę mówiąc, odkryła, że trochę im zazdrości.

Mocno chwyciwszy talerz z ciastkami, podeszła do drzwi, odsunęła zasłonę i wyszła na zewnątrz.

Był piękny, chłodny ranek i w powietrzu unosił się mocny zapach cedrów. Ptaki śpiewały w koronach drzew, a z doliny, od strony miasta, słychać było żalosny gwizd pociągu wjeżdżającego na stację.

Na zewnątrz płacz dziecka był znacznie głośniejszy.

Maureen zdecydowanym krokiem przeszła przez trawnik między lampami ogrodowymi i przekroczyła płotek z podkładów kolejowych. Po raz pierwszy weszła na teren posiadłości Thorpe'ów. Z jakiegoś powodu czuła się nieswojo. Teren za domem był ogrodzony, lecz przez szpary w sztachetach dostrzegła japoński ogródek, o którym mówił im Lewis. Fascynowała go japońska kultura i przełożył kilku wielkich poetów tworzących haiku. Wymienił parę nazwisk, których nigdy przedtem nie słyszała. Ogródek był zaciszny. Piękny. Podczas tamtej kolacji Lewis opowiedział historię o mistrzu zen, który kazał uczniowi wysprzątać swój ogród. Uczeń robił to cały dzień, zbierając wszystkie zeschnięte liście, zamiatając, czyszcząc kamienne alejki, grabiąc piasek w regularne linie. W końcu mistrz przyszedł obejrzeć jego dzieło. „Doskonały?” — spytał uczeń, pokazując nienagannie uprzątnięty ogród. Jednak mistrz przecząco potrząsnął głową. Potem podniósł garść kamyków i rozrzucił je po równo zagrabionym piasku. „Teraz jest doskonały” — powiedział. Maureen przypomniała sobie, jak oczy Lewisa skrzyły się rozbawieniem, kiedy opowiadał tę historię.

Pospiesznie ruszyła naprzód, słysząc coraz głośniejszy płacz dziecka.

Tuż przed nią były kuchenne drzwi Thorpe'ów. Maureen podeszła do nich, przezornie przywołała na twarz promienny uśmiech i otworzyła zewnętrzne siatkowe drzwi. Zaczęła pukać, lecz po pierwszym uderzeniu drzwi same się otworzyły.

Zrobiła krok naprzód.

— Halo? — zawołała. — Lindsay? Lewis?

Tu, w domu, płacz dziecka dosłownie rozdzierał uszy. Nie miała pojęcia, że niemowlę może tak głośno krzyczeć. Gdziekolwiek byli rodzice, z pewnością nie słyszeli Maureen. Jak mogli nie zwracać uwagi na ten płacz? Czy to możliwe, że brali prysznic? Albo uprawiali namiętny seks? Nagle poczuła się niepewnie i rozejrzała się wokół. Kuchnia była piękna: profesjonalne urządzenia, lśniące czarne szafki. I pusta.

Z kuchni przechodziło się prosto do wnęki jadalnej, wyłożonej porannym słońcem. Dziecko było tam: przed nią, w łukowatym przejściu pomiędzy wnęką jadalną a jakimś innym pomieszczeniem, które — z tego, co widziała — mogło być bawialnią. Twarzyczka małej posiniała od płaczu, a policzki zalane były śliną i łzami.

Maureen rzuciła się do niej.

— Och, biedactwo. — Niezręcznie balansując talerzem z ciasteczkami, poszukała chusteczki i zaczęła ocierać twarz małej. — No już, już.

Jednak dziecko nie przestawało płakać. Machało piąstkami, wpatrując się w przestrzeń niepocieszona.

Chwilę trwało, zanim Maureen wytarła twarzyczkę do czysta. Od krzyku dzwoniło jej w uszach. Dopiero gdy wpychała chusteczkę do kieszeni dżinsów, przyszło jej do głowy, żeby spojrzeć tam, gdzie patrzyło dziecko: do bawialni.

A kiedy to zrobiła, płacz dziecka i brzęk upuszczonego talerza z ciastkami natychmiast utonął w jej przeraźliwym krzyku.

## 2

Christopher Lash wysiadł z taksówki na zatłoczonej Madison Avenue. Minęło pół roku, od kiedy ostatnio był w Nowym Jorku, i te miesiące chyba trochę go zmiękczyły. Wcale nie brakowało mu spalin emitowanych przez stojące w korkach autobusy; zapomniał, jak nieprzyjemny jest odór spalenizny unoszący się wokół budek z preclami. Tłumy przechodniów, powarkujących do telefonów komórkowych; buczenie klaksonów; wściekły jazgot samochodów i ciężarówek — to wszystko przypominało mu gorączkową, bezładną krzątaninę kolonii mrówek pod podniesionym kamieniem.

Mocniej chwyciwszy skórzaną torbę, wyszedł na chodnik i zreźnie wtopił się w tłum. Dawno nie trzymał tej torby w ręku i teraz wydawała mu się ciężka i niewygodna.

Przeszedł przez Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę, pozwalając się nieść ludzkiej rzece, a potem skierował się na południe. Kolejny kwartał i tłumy nieco zrzędniały. Przeciął Pięćdziesiątą Szóstą, po czym zatrzymał się w pustej bramie, w której mógł przystanąć na chwilę, niepotracany. Przejornie postawiwszy torbę między stopami, spojrzął w górę.

Po drugiej stronie ulicy wznosił się prostokątny wieżowiec. Nie miał tabliczki z numerem ani nazwy, która zdradzałaby, co się w nim mieści. Było to zbyt ciche ze względu na obecność logo firmy, które — dzięki niezliczonym pochwalnym repor-

tażom — stało się niemal równie znanym symbolem Ameryki jak złote łuki MacDonalda: zgrabny, wydłużony znak nieskończoności, unoszący się tuż nad wejściem do budynku. Wieżowiec miał w połowie wysokości uskok, a nieco wyżej ozdobna ażurowa konstrukcja otaczała budowlę niczym wstęga, oddzielając kilka ostatnich pięter. Jednak ta prostota była zwodnicza. Elewacja wieżowca miała barwę nadającą mu wrażenie głębi, niemal jak lakier najbardziej luksusowych samochodów. W najnowszych podręcznikach architektury nazywano ją „obsydianową”, lecz nie było to poprawne określenie; zdawała się emanować ciepłą poświatą, przy której inne budynki wyglądały zimno i bezbarwnie. Oderwawszy wzrok od fasady, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął kartkę papieru firmowego. W nagłówku, obok symbolu nieskończoności, wytłoczony eleganckimi literami napis głosił „Eden Incorporated”; na dole przybito pieczętkę „przesyłka kurierska”. Ponownie przeczytał krótką wiadomość.

Szanowny Panie Lash

Cieszę się z naszej dzisiejszej rozmowy i jestem rad, że będzie pan mógł przybyć na spotkanie. Oczekujemy pana w poniedziałek o 10.30 rano. Proszę okazać załączoną wizytówkę strażnikom w holu. Z poważaniem

Edwin Mauchly  
Dyrektor Służb Pomocniczych

Ponowna lektura tego listu nie dostarczyła mu żadnych nowych informacji, więc Lash schował go do kieszeni.

Zaczekał na zmianę świateł, po czym podniósł torbę i przeszedł przez ulicę. Wieżowiec wznosił się w sporej odległości od chodnika, co tworzyło pewną oazę spokoju. Była tam fontanna: marmurowe satyry i nimfy płały wokół jakiejś zgarbionej postaci. Lash z zaciekawieniem spojrział przez

wodną mgiełkę na posąg. Ten wydawał się dziwnym centralnym punktem fontanny: choćby nie wiadomo jak długo mu się przyglądać, nie dało się ustalić, czy to postać męska czy kobieca.

Widoczne za fontanną obrotowe drzwi nieustannie były w ruchu. Lash ponownie przystanął, uważnie obserwując ludzi. Prawie sami wchodzący. Jednak była prawie dziesiąta trzydziści, więc nie mogli to być pracownicy. Nie, to z pewnością klienci, a raczej ewentualni klienci.

Hol był duży i wysoki i wszedłszy do środka, Lash znowu przystanął. Chociaż wewnątrz było z różowego marmuru, rozproszone światło nadawało mu wrażenie niezwykłego ciepła. Na środku znajdował się kontuar recepcji, tej samej obsydianowej barwy co elewacja budynku. Pod ścianą po prawej, za punktem kontrolnym, znajdowały się windy. Obok Lasha przepływał niekończący się potok nowo przybyłych. Był to tłum ludzi w różnym wieku, różnych ras, wzrostu, budowy ciała. Wszyscy sprawiali wrażenie pełnych nadziei, podekscytowanych, może trochę niespokojnych. Napięcie niemal się wyczuwało. Jedni kierowali się do odległego końca holu, gdzie podwójne ruchome schody prowadziły do szerokiego łukowatego przejścia. Wygrawerowane nad przejściem dyskretne złote litery głosiły OBSŁUGA KANDYDATÓW. Inni podążali do szeregu znajdujących się pod schodami drzwiami z napisem PODANIA. Jeszcze inni szli na lewo, gdzie Lash dostrzegł ruch i feerię barw. Zaciekawiony, podszedł bliżej.

Na całej wysokości ściany, od podłogi po sufit, umieszczono jeden obok drugiego niezliczone ekrany plazmowe. Każdy z nich ukazywał głowę innej postaci, która mówiła do kamery: mężczyzn i kobiet, starych i młodych. Te twarze tak różniły się od siebie, że Lash przez moment nie potrafił znaleźć żadnej łączącej ich cechy. Potem zrozumiał: wszystkie były uśmiechnięte, nieziemsko radosne.

Dołączył do tłumu, stojącego z niemym podziwem przed tą ścianą twarzy. Robiąc to, usłyszał gwar niezliczonych głosów, najwyraźniej dochodzących z głośników ukrytych między ekranami. Mimo to dzięki jakiejś sztuczce z nagłośnieniem z łat-

wością mógł wyłowić poszczególne głosy i dopasować je do twarzy na monitorach. „To całkowicie odmieniło moje życie” — mówiła śliczna młoda kobieta na jednym ekranie, zdając się kierować to wprost do Lasha. „Gdyby nie Eden, nie wiem, co bym zrobił — powiedział mu mężczyzna na innym, uśmiechając się konfidencjonalnie, jakby zdradzał jakiś sekret. — Wszystko się zmieniło”. Na jeszcze innym ekranie blondyn o jasnoniebieskich oczach i promiennym uśmiechu powiedział: „To najlepsze, co kiedykolwiek zrobiłem. Kropka. Koniec opowieści”.

Słuchając, Lash zarejestrował jeszcze jeden głos; cichy, na granicy słyszalności, niewiele głośniejszy od szeptu. Ten nie płynął z żadnego ekranu, lecz był jakby wszędzie wokół. Lash wsłuchał się weń.

„Technologia — mówił głos. — Dziś jest wykorzystywana, by uczynić nasze życie łatwiejszym, dłuższym, wygodniejszym. A gdyby technologia mogła dokonać czegoś jeszcze donioślejszego? Gdyby potrafiła przynieść spełnienie?”

Wyobraź sobie technologię tak zaawansowaną, że mogłaby zrekonstruować — wirtualnie — twoją osobowość, esencję tego, co czyni cię niepowtarzalnym: twoje nadzieje, pragnienia, marzenia. Najskrytsze potrzeby, z których może nawet nie zdajesz sobie sprawy. Wyobraź sobie cyfrową infrastrukturę tak rozbudowaną, że mogłaby pomieścić tę rekonstrukcję twojej osobowości — z jej niezliczonymi wyjątkowymi aspektami i cechami — a także wielu, wielu innych ludzi. Wyobraź sobie sztuczną inteligencję tak sprawną, że mogłaby porównać tę rekonstrukcję z mnóstwem innych i — w ciągu godziny, dnia, tygodnia — znaleźć tę jedną jedyną osobę, która idealnie do ciebie pasuje. Doskonałego partnera lub partnerkę, ze względu na swoją osobowość, wychowanie, zainteresowania będącą twoją idealną drugą połową. Spełnieniem twoich marzeń. Nie tylko osobą przypadkiem mającą podobne zainteresowania. Idealnie dobraną do ciebie pod wszelkimi względami, tak dokładnie i całkowicie, że nie da się tego wyobrazić ani opisać”.

Słuchając tego bezcielesnego, usypiającego głosu, Lash nadal obserwował niekończące się morze ludzkich twarzy na ekranach.



„Żadnych randek w ciemno — ciągnął głos. — Żadnych balów samotnych, na których twój wybór jest ograniczony do garści przypadkowych kandydatów. Wieczorów zmarnowanych na nieodpowiednie osoby. Zamiast tego niezawodny i wyrafinowany system doboru. Ten system już istnieje. Dysponuje nim firma Eden.

Nasze usługi nie są tanie. Jednak w razie jakichkolwiek reklamacji Eden Incorporated zapewnia dożywotnią gwarancję i całkowity zwrot kosztów. Pomimo to z tych wielu, wielu tysięcy par skojarzonych przez Eden ani jedna nie skorzystała z tej gwarancji. Ponieważ ci ludzie — jak ci na ekranach przed wami — zrozumieli, że szczęście nie ma ceny”.

Lash nagle oderwał wzrok od ekranów i spojrzął na zegarek. Spóźnił się już pięć minut na spotkanie.

Idąc przez hol, wyjął wizytówkę i wręczył ją jednemu z umundurowanych strażników. Otrzymał imienną przepustkę i zadowolony ruszył w kierunku wind.

Trzydzieści dwa piętra wyżej wysiadł i znalazł się w małej, lecz eleganckiej recepcji. Królowały w niej neutralne kolory i cisza niezakłócana odgłosami pracy urzędzeń biurowych. Nie było tu znaków, tablic ani formalności, tylko biurko z jasnego polituowanego drewna, a za nim atrakcyjna kobieta w garsonce.

— Doktor Lash? — zapytała z ujmującym uśmiechem.

— Tak.

— Dzień dobry. Czy mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy?

To żądanie było tak dziwne, że Lashowi nawet nie przyszło do głowy, by je kwestionować. Zamiast tego wyjął portfel i odszukał prawo jazdy.

— Dziękuję.

Kobieta przycisnęła je do skanera. Potem oddała mu je, znów promiennie się uśmiechając, wstała z krzesła i poprowadziła go w kierunku drzwi znajdujących się na drugim końcu recepcji.

Przeszli długim korytarzem, podobnie urządzonym jak pomieszczenie, które dopiero co opuścili. Lash zauważył wiele drzwi, zamkniętych i nieoznaczonych żadnymi tabliczkami. Kobieta przystanęła przed jednymi z nich.

— Proszę wejść — powiedziała.

Kiedy zamknęła za nim drzwi, Lash rozejrzył się po ładnie urządzonej pomieszczeniu. Na grubym dywanie stało biurko z ciemnego drewna. Na ścianach wisały obrazy w pięknych ramach. Zza biurka na jego powitanie podniósł się mężczyzna, wygładzając brązowy garnitur. Lash uściśnął podaną dłoń, z przyzwyczajenia taksując gospodarza. Około czterdziestki, niski, śniadoskóry, ciemnowłosa, ciemnooki, muskularny, ale nie przysadzisty. Zapewne pływak albo tenisista. Jego zachowanie świadczyło o pewności siebie i rozwadze. Człowiek, który działa niespiesznie, ale jeśli już zacznie działać, robi to zdecydowanie.

— Doktorze Lash — powiedział mężczyzna, odwzajemniając mu się podobnym spojrzeniem. — Jestem Edwin Mauchly. Dziękuję, że pan przyszedł.

— Przepraszam za spóźnienie.

— Nie ma za co. Proszę usiąść.

Lash usiadł w skórzanym fotelu stojącym naprzeciw biurka, a Mauchly odwrócił się do komputera. Przez chwilę stukał w klawisze, po czym przerwał.

— Proszę dać mi minutę. Od czterech lat nie przeprowadzałem rozmowy kwalifikacyjnej.

— To rozmowa kwalifikacyjna?

— Oczywiście, że nie. Jednak początkowe procedury są podobne. — Znowu postukał w klawiaturę. — Gotowe. Adres pańskiego biura w Stamford to Front Street trzysta piętnaście, apartament numer dwa?

— Tak.

— Dobrze. Może zechce pan wypełnić ten formularz.

Lash rzucił okiem na kartkę papieru, którą mu podsunęto: data urodzenia, numer ubezpieczenia, pół tuzina innych podobnych danych. Wyjął z kieszeni długopis i zaczął wypełniać formularz.

— Kiedyś przeprowadzał pan rozmowy kwalifikacyjne? — zapytał, pisząc.

— Pomagałem tworzyć ten proces jako pracownik Pharm-Genu. To było dawno temu, zanim Eden stał się niezależną firmą.

— Jak to jest?  
— Z czym, doktorze Lash?  
— Z pracą tutaj. — Oddał tamtemu formularz. — Można by pomyśleć, że to czary. Przynajmniej słuchając tych wszystkich pochwał w holu.

Mauchly zerknął na formularz.

— Nie mam panu za złe tego sceptycyzmu. — Jego twarz jednocześnie wyrażała szczerą i lekką rezerwę. — Jaki wpływ na uczucia dwojga ludzi może mieć technologia? Proszę zapytać kóregokolwiek z naszych pracowników. Oni widzą, jak ten system działa, raz po raz, za każdym razem. Tak, sędzę, że czary to równie dobre słowo jak każde inne.

Zadzwoił telefon stojący na końcu biurka.

— Mauchly — powiedział mężczyzna, przytrzymując brodą słuchawkę. — Bardzo dobrze. Do widzenia. — Odłożył słuchawkę i wstał. — On już na pana czeka, doktorze Lash.

On? — pomyślał Lash, podnosząc torbę. Wyszedł za Mauchlym z pokoju, dotarł do przecięcia dwóch korytarzy, a potem do obszerniejszego, z przepychem urządzonego przedsionka, na którego końcu znajdowały się idealnie wypolerowane drzwi. Doszedłszy do nich, Mauchly przystanął i zapukał.

— Proszę — odezwał się głos za drzwiami.

Mauchly otworzył je.

— Wkrótce znów z panem porozmawiam, doktorze Lash — powiedział, przepuszczając go.

Lash wszedł do środka i znów przystanął, gdy drzwi zamknęły się za jego plecami. Ujrzał przed sobą długi, owalny stół. Na jego końcu siedział wysoki i mocno opalony mężczyzna. Uśmiechnął się i skinął głową. Lash odwzajemnił ukłon. I nagle ze zdumieniem zdał sobie sprawę z tego, że ma przed sobą samego Johna Lelyvelda, prezesa Eden Incorporated, który na niego czekał.

# 3

Prezes Eden Incorporated wstał z fotela. Uśmiechnął się, przy czym jego twarz przybrała uprzejmy, niemal dobroduszny wyraz.

— Doktorze Lash, bardzo dziękuję za przybycie. Proszę usiąść.

Wskazał miejsce przy długim stole.

Lash usiadł naprzeciw Lelyvelda.

— Przyjechał pan samochodem z Connecticut?

— Tak.

— Jak ruch na drodze?

— Na Cross Bronx utknąłem na pół godziny. Poza tym w porządku.

Prezes pokręcił głową.

— Ta droga to katastrofa. Mam domek weekendowy niedaleko od pana, w Rowayton. Teraz zwykle lecę tam helikopterem. Jedna z zalet tej pracy. — Zachichotał, po czym otworzył skórzaną teczkę, która leżała przed nim. — Jeszcze kilka formalności, zanim zaczniemy.—Wyjął plik zszytych kartek i podsunął je Lashowi. Zaraz podał mu też złote pióro. — Zechce pan to podpisać?

Lash spojrział na pierwszą stronę. Zobowiązanie zachowania tajemnicy służbowej. Szybko przerzucił kartki, znalazł miejsce na podpis, podpisał.

— I to.

Lash wziął drugi dokument. Ten również zawierał głównie gwarancje poufności. Otworzył go na ostatniej stronie, podpisał.

— I ten, jeśli łaska.

Tym razem Lash podpisał bez czytania.

— Dziękuję i bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że pan to rozumie. — Lelyveld schował papiery z powrotem do skórzanej teczki. Potem położył łokcie na biurku i oparł brodę na splecionych dłoniach. — Panie Lash, sądzę, że pan rozumie naturę świadczonych przez nas usług?

Lash skinął głową. Niewielu nie rozumiało: opowieść o tym, jak Eden w ciągu zaledwie kilku lat z projektu badawczego błyskotliwego informatyka Richarda Silvera stał się jedną z największych korporacji w Ameryce, była ulubionym tematem biuletynów finansowych.

— Zatem zapewne nie zdziwi się pan, kiedy powiem, że Eden Incorporated w zasadniczy sposób zmienił życie — według ostatnich wyliczeń — dziewięciuset dwudziestu czterech tysięcy ludzi.

— Nie.

— Prawie pół miliona par, a z każdym dniem przybywa tysiące nowych. Po otwarciu naszych filii w Beverly Hills, Chicago i Miami znacznie zwiększyliśmy zasięg naszych usług oraz bank potencjalnych kandydatów.

Lash ponownie skinął głową.

— Cena naszych usług jest wysoka — dwadzieścia pięć tysięcy dolarów od kandydata — ale jeszcze nikt nie zażądał jej zwrotu.

— Rozumiem.

— Dobrze. Jednak równie ważne jest to, aby pan zrozumiał, że nasze usługi nie kończą się w momencie skojarzenia pary. Trzy miesiące później przeprowadzamy obowiązkową sesję z jednym z naszych doradców. A po kolejnych sześciu miesiącach para musi wziąć udział w zajęciach grupowych z innymi parami skojarzonymi przez Eden. Starannie monitorujemy bazę naszych klientów — nie tylko dla ich dobra, ale także dla usprawnienia naszych usług.

Lelyveld lekko nachylił się do Lasha nad masywnym stołem, jakby chciał mu przekazać jakiś sekret.

— To, co chcę panu powiedzieć, jest poufne i objęte tajemnicą służbową. W naszym materiale promocyjnym mówimy o perfekcyjnym doborze. O idealnym związku dwojga ludzi. Nasz inteligentny program komputerowy porównuje w przybliżeniu milion zmiennych każdego naszego klienta z cechami innych klientów, szukając odpowiedniej kandydatury. Nadąża pan?

— Tak.

— W tym miejscu dokonują ogromnego uproszczenia. Algorytmy sztucznej inteligencji są rezultatem nieustannej pracy Richarda Silvera, jak również niezliczonych godzin badań czynników behawioralnych i psychologicznych. Krótko mówiąc, nasi naukowcy ustalili graniczną liczbę pasujących zmiennych, niezbędnych do orzeczenia zgodności dwojga kandydatów. — Poprawił się w fotelu. — Doktorze Lash, gdyby porównał pan milion tych czynników w przypadku przeciętnej szczęśliwej pary małżeńskiej, jak pan sady, jakie byłoby wzajemne dopasowanie małżonków"

Lash zastanowił się.

— Osiemdziesiąt, może osiemdziesiąt pięć procent?

— Śmiała próba, ale obawiam się, że nieudana. Nasze badania wykazały, że u przeciętnej szczęśliwej pary małżeńskiej w Ameryce ta zgodność wynosi zaledwie trzydzieści pięć procent.

Lash pokręcił głową.

— Widzi pan, ludzie dają się uwieść pierwszemu wrażeniu lub cechom fizycznym, które po kilku latach stają się nieistotne. Dzisiejsze biura matrymonialne i tak zwane internetowe witryny samotnych serc — z ich prymitywnymi metodami i uproszczonymi kwestionariuszami — jeszcze pogłębiają ten stan. Natomiast my wykorzystujemy superkomputer do wyszukania dwojga idealnych partnerów: ludzi, którzy mają milion zgodnych cech. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Nie wgłębiając się zanadto w szczegóły techniczne, są rozmaite stopnie perfekcji. Nasz personel ustalił dokładną wartość procentową — powiedzmy ponad dziewięćdziesiąt pięć procent — gwarantującą idealną zgodność.

— Rozumiem.

— Pozostaje faktem, doktorze Lash — i przepraszam, że przypomnę o poufnym charakterze tej informacji — iż w ciągu tych trzech lat, od kiedy Eden świadczy swoje usługi, w istocie znaleziono bardzo mało idealnie dopasowanych par. Takich, u których stwierdzono stuprocentową zgodność zmiennych.

— Stuprocentową?

— Idealną zgodność. Oczywiście nie informujemy naszych klientów, ile dokładnie wynosi ich procentowa zgodność. Jednak od początku istnienia naszej firmy było zaledwie sześć przypadków takiego statystycznie idealnego dopasowania. Nazywamy je superparami.

Do tej pory głos Lelyvelda brzmiał spokojnie, pewnie. Teraz dało się w nim słyszeć lekkie wahanie. Dobroduszny uśmiech pozostał na jego twarzy, lecz pod nim widać było smutek, a nawet ból.

— Mówiłem panu, że monitorujemy wszystkich naszych byłych klientów... Doktorze Lash, obawiam się, że tego nie da się łagodnie powiedzieć. W zeszłym tygodniu jedna z naszych sześciu idealnie dobranych par... — Zawahał się, ale zaraz dokończył: — Popełniła samobójstwo.

— Samobójstwo? — powtórzył Lash.

Prezes spuścił wzrok, zajrzał do notatek.

— We Flagstaff, w Arizonie. Lewis i Lindsay Thorpe. Szczegóły są dosyć... hm... niezwykle. Zostawili list. — Podniósł oczy. — Czy teraz pan rozumie, dlaczego chcemy skorzystać z pańskich usług?

Lash jeszcze się zastanawiał nad usłyszaną informacją.?

— Może pan mi to powie. i

— Jest pan psychologiem specjalizującym się w więzach rodzinnych, szczególnie małżeńskich. Książka Zgodność, którą opublikował pan w ubiegłym roku, była niezwykle ciekawym studium tego tematu.

— Chciałbym, żeby więcej czytelników podzielało tę opinię.

— Książka otrzymała entuzjastyczne recenzje. W każdym razie oprócz tego, że byli idealnie dobraną parą, Thorpe'owie byli inteligentni, zdolni, dobrze przystosowani i szczęśliwi.

Najwyraźniej jakaś tragedia musiała ich spotkać po zawarciu małżeństwa. Może jakiegoś rodzaju problemy zdrowotne albo śmierć kogoś bliskiego. Może powodem były kłopoty finansowe. — Milczał chwilę. — Musimy wiedzieć, co się zmieniło w ich życiu i dlaczego uciekli się do tak drastycznego rozwiązania. Jeżeli, co niezwykle mało prawdopodobne, wystąpiły tu jakieś utajone skłonności samobójcze, musimy o tym wiedzieć, żeby zapobiec takim wypadkom w przyszłości.

— Przecież firma ma zespół własnych lekarzy specjalistów, prawda? — zapytał Lash. — Dlaczego nie zlećcie tego jednemu z nich?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, chcemy, by zbadał to niezależny ekspert. A po drugie, żaden z naszych psychologów nie ma pańskiego doświadczenia.

— O jakim doświadczeniu pan mówi?

Lelyveld uśmiechnął się wyrozumiale.

— Mówię o pańskim poprzednim zajęciu. Przed otwarciem prywatnej praktyki. Był pan psychologiem FBI i należał do ich Zespołu Nauk Behawioralnych stworzonego w Quantico.

— Skąd pan o tym wie?

— Proszę, doktorze Lash. Jako były agent specjalny niewątpliwie nadal ma pan dostęp do różnych miejsc, ludzi oraz informacji. Może pan przeprowadzić to śledztwo z niezbędną dyskrecją. Gdybyśmy mieli zrobić to sami albo zażądać oficjalnego dochodzenia, wzbudziłoby to niezdrowe zainteresowanie. A my nie chcemy sprawiać niepotrzebnych zmartwień naszym klientom — byłym, obecnym i przyszłym.

Lash poruszył się na fotelu.

— Miałem powód, aby odejść z Quantico i otworzyć prywatną praktykę.

— W pańskich aktach znajduje się artykuł o tej tragedii. Bardzo panu współczuję. I nie dziwię się, że niechętnie porzuca pan spokojną prywatną praktykę, nawet chwilowo. — Prezes otworzył skórzaną teczkę i wyjął kopertę. — Stąd wysokość kwoty.

Lash wziął kopertę i otworzył ją. W środku był czek na sto tysięcy dolarów.



— To powinno pokryć pańskie wydatki, koszty podróży i czas. Jeśli będzie potrzeba więcej, proszę dać znać. Niech pan się nie spieszy, doktorze Lash. Dokładność i subtelność, oto czego nam trzeba. Im więcej będziemy wiedzieli, tym skuteczniejsze w przyszłości będą nasze usługi.

Prezes milczał chwilę, po czym znowu przemówił:

— Jest jeszcze jedna możliwość, aczkolwiek mało prawdopodobna. A mianowicie, że jedno z Thorpe'ów było nie zrównoważone, miało psychiczne problemy, które jakoś zdołało przed nami ukryć. To naprawdę bardzo mało prawdopodobne. Jeśli jednak nie zdoła pan znaleźć odpowiedzi w ich życiu małżeńskim, będzie pan musiał również zbadać ich przeszłość.

Lelyveld zdecydowanym ruchem zamknął teczkę.

— Ed Mauchly będzie pańskim głównym kontaktem w trakcie tego śledztwa. Zebrał kilka informacji, które pomogą panu zacząć. Oczywiście nie możemy ujawnić panu naszych materiałów na temat tej pary, ale i tak nie znalazłby pan w nich nic interesującego. Rozwiązanie tej zagadki znajduje się w życiu osobistym Lewisa i Lindsay Thorpe'ów.

Mężczyzna znowu zamilkł i Lash przez moment zastanawiał się, czy to już koniec spotkania. Potem jednak Lelyveld odezwał się znów, tym razem ciszej. Uśmiech znikł mu z twarzy.

— Bardzo lubimy wszystkich naszych klientów, doktorze Lash. Jednak bądźmy szczerzy: szczególną sympatią darzymy nasze idealne pary. Ilekroć znajdujemy superparę, wieść rozchodzi się w firmie, pomimo wszelkich starań, by zachować tajemnicę. To zdarza się tak rzadko. Dlatego jestem pewien, że zrozumie pan, jak bolesna i trudna do zniesienia jest dla mnie ta sytuacja, szczególnie że Thorpe'owie byli naszą pierwszą taką parą. Na szczęście w gazetach nie podano informacji o ich śmierci, więc nasi pracownicy na razie nic nie wiedzą o tym smutnym wydarzeniu. Będę wdzięczny, jeśli zdoła pan odkryć, co złego przydarzyło się temu małżeństwu.

Kiedy Lelyveld wstał i wyciągnął rękę, na jego twarz powrócił uśmiech, ale tym razem smutny.

## 4

Dwadzieścia cztery godziny później Lash stał w swoim salonie, popijając kawę i spoglądając przez wykuszowi okno. Daleko za szybą leżała Compo Beach — długi i wąski przecinek piasku, w ten powszedni ranek niemal bez brodzących i spacerujących. Turyści i letnicy wyjechali kilka tygodni wcześniej, ale po raz pierwszy od miesiąca znaleźli czas, aby popatrzeć przez to okno. Uderzyła go względna pustka na plaży. Ranek był pogodny i słoneczny. Po drugiej stronie cieśniny dostrzegł niską zieloną linię brzegową Long Island. Na jej tle przepływał tankowiec, niczym milczący duch kierujący się na otwarty Atlantyk.

W myślach odtworzył wszystkie przygotowania. Na tydzień odwołał indywidualne sesje terapeutyczne i konsultacje. Sesje grupowe przejmie doktor Kline. Te wszystkie sprawy zdołał załatwić z łatwością.

Ziewnął, upił kolejny łyk kawy i dostrzegł swoje odbicie w lustrze. Decyzja, w co się ubrać, przysłała mu z nieco większym trudem. Lash nigdy nie lubił pracy w terenie, a zbliżające się spotkanie trochę za bardzo przypominało mu dawne czasy. Jednak przypomniał sobie, że to ogromnie przyspieszy rozwiązanie sprawy. Zaburzenia równowagi umysłowej u ludzi nie pojawiają się zniemacka, szczególnie tak poważne, prowadzące do podwójnego samobójstwa. Coś musiało się stać w cią-

gu tych dwóch lat od ślubu Thorpe'ów. I nie była to subtelna zmiana, spowodowana jakimś drobnym problemem życiowym, czy powolne pograżanie się w głębokiej depresji. Musiało to być coś poważnego, dostrzegalnego z perspektywy czasu przez ludzi z ich otoczenia. Może jeszcze dziś się dowie, co złego stało się z ich życiem. Jeśli dopisze mu szczęście, do jutra zdoła zamknąć sprawę. Byłoby to w jego życiu najszybciej zarobione sto tysięcy dolarów.

Odwróciwszy się od okna, pozwolił oczom błędzić po pokoju: fotel, biblioteczka, kanapa. Brak innych mebli sprawiał, że pokój wydawał się większy. Cały dom miał spartański wystrój, kultywowany przez wszystkie te lata, od kiedy Lash w nim zamieszkał. Ta prostota stała się częścią jego ochronnego pancerza. Bóg wie, że przypadki jego pacjentów były wystarczająco skomplikowane.

Lash jeszcze raz zerknął na swoje odbicie, zdecydował, że wygląda odpowiednio, i wyszedł drzwiami frontowymi. Rozejrzał się i dobrodusznie zaklął, gdy zauważył, że roznosiciel zapomniał zostawić „Timesa” na jego podjeździe, po czym skierował się do samochodu.

Po godzinie zmagających z ruchem na 1-95 dotarł do New London i niskiego srebrnego łuku Gold Star Memorial Bridge. Zjechawszy z drogi szybkiego ruchu, dostał się nad rzekę i znalazł parking przy bocznej uliczce. Jeszcze raz przejrzał plik papierów na siedzeniu pasażera. Oprócz czarno-białych zdjęć portretowych pary było tam kilka stron wydruku z ich biografiami. Mauchly dostarczył mu tylko trochę istotnych danych o Thorpe'ach: adresy, daty urodzin, nazwiska i miejsca zamieszkania spadkobierców. Jednak te fakty oraz kilka rozmów telefonicznych okazały się wystarczające.

Lash już miał lekkie wyrzuty sumienia z powodu drobnego oszustwa, które zamierzał popełnić. Zaraz jednak sobie przypomniał, że dzięki niemu może zdobyć informacje decydujące o wyniku tego śledztwa.

Na tylnym siedzeniu stała jego skórzana torba, wypchani teraz czystymi kartkami papieru. Chwycił ją, wysiadł z samo-

chodu i jeszcze raz przejrzał się w przedniej szybie, ruszył w kierunku Thames.

State Street drzemała w łagodnym jesiennym słońcu. U jej podnóża, za podobną do fortecy bryłą dworca kolejowego Old Union, migotały fale portu. Lash zszedł ze wzgórza i przystanął w miejscu, gdzie State Street łączyła się z Water. Był tam stary hotel w stylu drugiego cesarstwa, ze spadzistym mansardowym dachem, niedawno zmieniony w restaurację. W najbliższej witrynie dostrzegł szyld Roastery. To publiczne miejsce nad wodą wydawało się najlepsze. Bezpieczne. W tych okolicznościach lunch wydawał się czymś nieodpowiednim. Ponadto ostatnie badania pacjentów szpitala Johna Hopkinsa wykazały, że ludzie pogrążeni w smutku są bardziej podatni na bodźce w godzinach rannych. Przedpołudniowa kawa wydawała się idealnym rozwiązaniem. Spokojny nastrój, zachęcający do zwierzeń. Lash zerknął na zegarek. Punktualnie dziesiąta dwadzieścia.

Roastery w środku okazała się dokładnie taka, jak oczekiwał: wysokie sklepienie, beżowe ściany, cichy gwar rozmów. W powietrzu unosił się cudowny zapach świeżo zmielonej kawy. Lash przyszedł wcześniej, żeby znaleźć odpowiedni stolik, i wybrał duży, okrągły, w kącie pod oknem. Zajął miejsce twarzą do ściany. Obiekt powinien mieć poczucie, że panuje nad sytuacją.

Ledwie zdążył usadowić się przy stole, gdy usłyszał zbliżające się kroki.

— Pan Berger? — zapytał przybyły.

Lash odwrócił się.

— Tak. Czy pan Torvald?

Mężczyzna miał gęste, stalowosiwe włosy i ogorzałą twarz człowieka lubiącego sporty wodne. Pod bladoniebieskimi oczami wciąż widniały smutne ciemne kręgi. Pomimo to podobieństwo do twarzy ze zdjęcia, które Lash dopiero co oglądał w samochodzie, było uderzające. Twarz jego rozmówcy była starsza, męska, okolona krótszymi włosami; poza tym wyglądał jak Lindsay Thorpe, powstała z grobu.

Lash z przyzwyczajenia nie zdradził swoich uczuć.

— Proszę, niech pan usiądzie.

Torvald usadowił się na krześle w rogu. Bez cienia zainteresowania rozejrzał się po sali, po czym wbił wzrok w Lasha.

— Proszę przyjąć wyrazy współczucia. I bardzo dziękuję, że pan przyszedł.

Torvald mruknął coś pod nosem.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że to dla pana niezwykle trudny okres. Postaram się streszczać...

— Nie, nie, w porządku.

Torvald miał bardzo niski głos i mówił krótkimi, urywanymi zdaniami.

Kelnerka podeszła do ich stolika i zaproponowała menu.

— Nie sądzę, żebyśmy ich potrzebowali — powiedział Torvald. — Kawa, czarna, bez cukru.

— Dla mnie to samo.

Kobieta skinęła głową, odwróciła się i zostawiła ich w spokoju. Była atrakcyjna, ale Lash zauważył, że Torvald nawet na nią nie spojrział.

— Jest pan inspektorem ubezpieczeniowym — powiedział Torvald.

— Jestem analitykiem firmy konsultingowej wynajętej przez American Life.

Jedną z pierwszych informacji, jakie Lash odszukał o Thorpe'ach, były dane o ich polisach ubezpieczeniowych. Każda na trzy miliony dolarów, wystawione na ich jedyną córkę. Zgodnie z przewidywaniami był to szybki i stosunkowo łatwy sposób nawiązania neutralnego kontaktu z ich najbliższymi krewnymi. Zadał sobie trud i kazał wydrukować fałszywe firmowe wizytówki, ale Torvald nie poprosił, żeby mu którąś pokazał. Chociaż pogrążony w żalobie, sprawiał wrażenie człowieka nawykłego do wydawania zwięzłych poleceń, które natychmiast zostają wykonane. Może kapitan żeglugi albo członek zarządu dużej firmy. Lash nie zgłębiał tak szczegółowo rodzinnych powiązań. Jednak bardziej prawdopodobny wydawał się członek zarządu. Zważywszy na cenę, jaką Eden wyznaczył za swoje usługi, zapewne tatuś wyłożył pieniądze.

Lash odkaszlnął i włączył swój urok osobisty.

— Bardzo by nam pomogło, gdyby zechciał pan odpowiedzieć na kilka pytań. Zrozumiem, jeśli któreś z nich uzna pan za nietaktowne lub jeśli zechce pan zrobić krótką przerwę.

Kelnerka wróciła. Lash upił łyk kawy, a potem otworzył torbę i wyjął notatnik.

— Jak żyty był pan ze swoją córką, kiedy dorastała, panie Torvald? — zaczął.

— Bardzo.

— A kiedy opuściła dom?

— Rozmawialiśmy codziennie.

— Jak krótko scharakteryzowałby pan stan jej zdrowia?

— Wspaniały.

— Czy regularnie zażywała jakieś lekarstwa?

— Witaminy. Łagodne środki antyhistaminowe. To wszystko.

— Dermografia.

Lash kiwnął głową i zanotował to. Uczulenie powodujące swędzenie. Miał to jego sąsiad. Zupełnie nieszkodliwe.

— Jakież niezwykle lub poważne dolegliwości lub choroby przebyły w dzieciństwie?

— Nie, żadnych. To wszystko powinno być w formularzach, które kiedyś wypełnialiśmy dla American Life.

— Rozumiem, panie Torvald. Ja po prostu usiłuję spojrzeć na to okiem niezależnego obserwatora. Czy miała jakieś rodzeństwo?

— Lindsay była jedynaczką.

— Była dobrą studentką?

— Ukończyła *magna cum laude* college Browna. Zrobiła magisterium z ekonomii w Stanfordzie.

— Nazwałby ją pan nieśmiałą? Wylewną?

— Obcy nazwaliby ją cichą. Jednak Lindsay zawsze miała mnóstwo przyjaciół. Była dziewczyną, która ma wielu znajomych, ale starannie dobiera sobie przyjaciół.

Lash upił następny łyk kawy.

— Jak długo pańska córka była mężatką, panie Torvald?  
— Trochę ponad dwa lata.  
— Jak scharakteryzowałby pan jej małżeństwo?  
— Byli najszcześliwszą parą, jaką widziałem w życiu.  
— Co może mi pan powiedzieć o jej mężu, Lewisie Thorpe?  
— Inteligentny, przyjacielski, uczciwy. Dowcipny. Miał mnóstwo zainteresowań.

— Czy córka kiedykolwiek wspomniała o jakichś problemach małżeńskich?

— Myśli pan o sprzeczkach?

Lash skinął głową.

— O kłótniach lub innych sprawach. Różnicach zdań. Sprzecznych interesach. Niezgodności charakterów.

— Nigdy.

Lash upił następny byk. Zauważył, że Torvald nie tknął swojej kawy.

Torvald chwycił przynętę.

— Nigdy. Niech pan posłucha, panie...

— Berger.

— Panie Berger, moja córka była... — Po raz pierwszy Torvald lekko się zawahał. — Moja córka była klientką Eden Incorporated. Słyszał pan o nich?

— Oczywiście.

— Zatem wie pan, co chcę powiedzieć. Z początku byłem sceptyczny. Wydawało się, że to strasznie dużo pieniędzy za kilka cykli pracy komputera, statystyczny rzut kostką. Jednak Lindsay była stanowcza. — Torvald nachylił się do Lasha. — Musi pan zrozumieć, ona nie była taka jak inne dziewczyny. Wiedziała, czego chce. A chciała tylko tego, co najlepsze. Miała wielu chłopców, niektórzy z nich byli naprawdę mili. Jednak wciąż zdawała się czegoś szukać i żaden z tych związków nie trwał długo.

Mężczyzna się wyprostował. Było to najdłuższe zdanie, jakie dotychczas wygłosił. Lash zachęcająco notował, przezornie nie patrząc mu w oczy.

— I?

— Z Lewisem było inaczej. Wiedziałem o tym, gdy tylko po raz pierwszy wymówiła jego imię. Trafiło ich już na pierwszej randce.

Lash spojrzął na niego w chwili, gdy to wspomnienie wywołało uśmiech na ustach starszego pana. Na chwilę jego podkrążone oczy rozjaśniły się, a twarz wygładziła.

— Mieli pójść na niedzielny lunch, a poszli pojeździć na wrotkach. — Potrząsnął głową. — Nie wiem, kto wpadł na ten zwiariowany pomysł, bo żadne z nich przedtem tego nie próbowało. Może podsunął im go Eden. W każdym razie nie minął miesiąc i zaręczyli się. A potem było coraz lepiej. Jak już powiedziałem, nigdy nie widziałem szczęśliwszej pary. Wciąż odkrywali coś nowego. O świecie. O sobie.

Równie szybko jak się pojawił, błysk w jego oczach zgasł. Torvald odsunął filiżankę z kawą.

— A co z córką Lindsay? Jaki wpływ miała na ich życie?

Torvald przeszył go wzrokiem.

— Dopełniła je, panie Berger.

Lash znów zrobił notatkę, tym razem nie udając. Ta rozmowa nie przebiegała tak, jak oczekiwał. A sposób, w jaki mężczyzna odsunął filiżankę, sugerował Lashowi, że zapewne odpowie już tylko na kilka pytań.

— Czy wiadomo panu coś o tym, żeby pańska córka lub jej mąż mieli ostatnio jakieś kłopoty?

— Nie.

— Żadnych niespodziewanych trudności? Żadnych problemów?

Torvald kręcił się na krześle.

— Chyba że nazwać problemami grant przyznany Lewisowi i przyjście na świat ślicznej córeczki.

— Kiedy ostami raz widział pan swoją córkę, panie Torvald?

— Dwa tygodnie temu.

Lash upił łyk kawy, żeby ukryć zdziwienie.

— Mogę spytać, gdzie to było?

— W ich domu we Flagstaff. Wracalem z regat w Zatoce Meksykańskiej.



— Jak by pan scharakteryzował ich dom?

— Idealny.

Lash znów zanotował.

— Zauważył pan jakąś zmianę w stosunku do poprzednich wizyt? Zwiększony apetyt lub jego brak? Kłopoty z zasypianiem? Apatię? Brak zainteresowania dawnym hobby lub wytyczonymi sobie celami?

— Nie dostrzegłem żadnych zaburzeń, jeśli o to panu chodzi.

— Jest pan klinicystą, panie Torvald?

— Nie. Jednak moja zmarła żona była psychoterapeutką. Rozpoznam objawy depresji, kiedy je zobaczę.

Lash odłożył notatnik.

— My tylko próbujemy ogarnąć sytuację, proszę pana.

Nagle starszy pan nachylił się do Lasha, przysuwając twarz do jego twarzy.

— Ogarnąć? Niech pan słucha. Nie wiem, czego pan lub pańska firma macie nadzieję się dowiedzieć. Myślę jednak, że odpowiedziałem już na dostatecznie wiele pytań. I rzecz w tym, że tu nie ma czego ogarniać. Nie ma odpowiedzi. Lindsay nie była typem samobójczyni. Lewis też nie. Mieli wszelkie powody, żeby żyć. Mieli wszystko.

Lash siedział i milczał. To, co widział, to nie był tylko smutek, lecz potrzeba. Rozpaczliwa potrzeba zrozumienia tego, czego nie można zrozumieć.

— I powiem panu coś jeszcze — rzekł Torvald, wciąż nachylony do Lasha. — Kochałem moją żonę. Sądzę, że nasze małżeństwo było najlepszym związkiem, jaki może łączyć dwoje ludzi. A jednak bez namysłu dałbym sobie odciąć prawą rękę, gdybyśmy dzięki temu mogli być tak szczęśliwi, jak byli ze sobą moja córka i Lewis.

Po tych słowach odsunął krzesło, wstał od stołu i opuścił restaurację.

## 5

Flagstaff, Arizona. Dwa dni później.

Miejsce do parkowania było już zajęte przez dwa audi A8, toteż Lash zostawił swojego wynajętego taurusa przy krawężniku i poszedł po chodniku z kamiennych płyt. Zeschnięte sosnowe igły trzeszczały mu pod nogami. Dom przy Cooper Drive 407 był ładnym bungalowem o szerokim i niskim dachu, z ogrodzonym podwórkiem na tyłach. Za ogrodzeniem zbocze wzgórza opadało, odsłaniając panoramę śródmieścia, lekko rozmazaną przez poranną mgiełkę. Jeszcze dalej, na północy, wznosił się purpurowo-brązowy łańcuch San Francisco Peaks.

Dochodząc do drzwi frontowych, Lash wetknął pod pachę kilka grubych kopert i sięgnął do kieszeni po klucz. Wyłowił go wraz ze zwisającą z łańcuszka białą karteczką z numerem dowodu. Szef filii FBI w Phoenix był jego kolegą z obskurnych szarych internatów Quantico oraz towarzyszem niedoli na torze przeszkód Yellow Brick Road i był mu winien kilka przysług. Jedną z nich Lash zamienił w klucz do domu Thorpe'ów.

Spojrzał w górę i zauważył kamerę przymocowaną pod okapem. Była zainstalowana przez poprzedniego właściciela domu i wyłączona na czas śledztwa. Ponieważ pa oficjalnym zamknięciu dochodzenia dom miał być wystawiony na sprzedaż, instalacja alarmowa nadal pozostawała wyłączona.

Lash ponownie spojrzął na drzwi, włożył klucz do zamka i otworzył je.

Wewnątrz panowała ta szczególna cisza, z którą stykał się w domach zamordowanych. Drzwi frontowe prowadziły prosto do salonu, w którym znaleziono ciała. Lash powoli ruszył naprzód, rozglądając się, notując w pamięci sposób i jakość meblowania. Skórzana sofa koloru masła orzechowego i takie same fotele, zabytkowy kredens oraz okazały telewizor z płaskim ekranem: najwyraźniej Thorpe'om nie brakowało pieniędzy. Na pokrywającej podłogę wykładzinie leżały dwa piękne chodniczki. Jeden z nich nosił jeszcze ślady proszku pozostawione przez ekipę dochodzeniową. Ten nieoczekiwany widok przypomniał mu ostatnie miejsce zbrodni, które oglądał, i Lash pospiesznie poszedł dalej.

Za salonem przez całą szerokość domu biegł korytarz. Na prawo znajdowała się jadalnia i kuchnia, po lewej dwie sypialnie. Lash rzucił koperty na sofę i dotarł aż do kuchni. Była równie gustownie urządzona jak salon. Znalazł w niej tylne drzwi, wychodzące na wąski boczny dziedziniec i sąsiedni dom.

Lash poszedł z powrotem korytarzem w kierunku sypialni. Znalazł pokój dziecienny, cały w niebieskiej taftcie i koronkach; główną sypialnię z nocnymi szafkami zarzuconymi typowym zestawem powieści w miękkich okładkach, słoczków z lekarskami oraz pilotów do telewizora. Trzecie pomieszczenie najwyraźniej pełniło podwójną funkcję: pokoju gościnnego i gabinetu. W tym przystanął na chwilę, rozglądając się z zaciekawieniem. Na ścianach wisiały japońskie szychy wykonane na najcieńszym papierze ryżowym. Na biurku stały oprawione w ramki fotografie: Lewisa i Lindsay Thorpe'ów ramie w ramie przed pagodą i znów Thorpe'ów, stojących chyba na Champs-Elysees. Na każdym zdjęciu para się uśmiechała. Widował już takie uśmiechy, choć rzadko: zwyczajnego, nie udawanego, prawdziwego szczęścia.

Podszedł do przeciwległej ściany, którą całkowicie zajmo-

wały półki z książkami. Thorpe'owie byli wszechstronnymi, nałogowymi czytelnikami. Dwie górne półki były wypełnione podręcznikami o różnym stopniu zużycia. Następną zajmowały periodyki fachowe. Poniżej znajdowało się kilka półek literatury.

Jedna z nich przykuła wzrok Lasha. Stojące na niej książki najwyraźniej były traktowane ze szczególną atencją, unieruchomione posążkami rzeźbionymi w nefrycie. Spojrzał na tytuły: Zen w sztuce łucznictwa, Japoński dla zaawansowanych, Dwieście wierszy wczesnego T'Ang. Półka powyżej była pusta. Stało na niej tylko nie oprawione zdjęcie Lindsay Thorpe na karuzeli, otoczonej przez dzieci i z uśmiechem wyciągającej rękę do kamery. Lash podniósł je. Na odwrocie widniała skreślona męskim charakterem pisma dedykacja:

Chciałbym być tak blisko  
Ciebie jak mokra koszula  
Jak rybaczki.  
Myślę o tobie zawsze.

Starannie odłożył zdjęcie na miejsce, wyszedł z gabinetu i wrócił do salonu.

Na zewnątrz poranna mgła szybko zniknęła i skośne smugi słońca padały teraz na chodniczki. Lash podszedł do skórzanej sofy, odsunął koperty na bok i usiadł. Robił to już przedtem wielokrotnie jako agent specjalnej grupy dochodzeniowej: oglądał dom, usiłując wyczuć patologie jego mieszkańców. Wtedy jednak było zupełnie inaczej. Sporządzał psychologiczne portrety przestępców, zgłębiał prywatne piekła seryjnych morderców, gwałcicieli, sadystów, socjopatów. Badał ludzi zupełnie różnych od Thorpe'ów.

Przyjechał tu w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, co poszło nie tak. Przez ostatnie trzy dni robił coś, co klinicyści nazywali autopsją psychologiczną, przeprowadzając dyskretne wywiady z członkami rodziny, przyjaciółmi, lekarzami, a nawet z pastorem. I to, co z początku wydawało się przypadkiem

łatwym do zdiagnozowania, okazało się czymś wręcz przeciwnym. Nie było żadnych czynników stresogennych zwykle łączonych z samobójstwem. Żadnych wcześniejszych prób samobójczych. Żadnych odchyleń od normy. Niczego, co mogłoby doprowadzić do samobójstwa, w dodatku podwójnego. Wprost przeciwnie, Thorpe'owie mieli wszelkie powody, by żyć. A jednak właśnie w tym pokoju napisali pożegnalny list, owinęli sobie głowy czystymi workami na śmieci i objąwszy się na dywan, udusili się na oczach maleńkiej córki.

Lash przysunął jedną z kopert, rozerwał ją i wysypał zawartość na sofę: fotograficzna dokumentacja dowodów zebranych przez policję Flagstaff. Cienki plik spiętych zdjęć na błyszczącym papierze. Przejrzał je: fotografie męża i żony, martwych, leżących na pięknym dywanie. Odłożył pocztówkowe odbitki i podniósł fotokopię listu. Ten był krótki: „Prosimy, zaopiekujcie się naszą córką”.

Obok leżał nieco grubszy dokument: raport policyjny z miejsca zdarzenia. Lash kartkował go powoli. Ani żona, ani mąż nie opuszczali domu przez całą noc poprzedzającą znalezienie ich zwłok. Taśmy z kamer systemu alarmowego wykazały, że w tym czasie nikt inny tam nie wchodził. Cichy alarm włączyła dopiero następnego ranka zaciekawiona sąsiadka. Na końcu raportu był protokół przesłuchania tej sąsiadki.

## PROTOKÓŁ

WŁASNOŚĆ WYDZIAŁU POLICJI MIASTA FLAGSTAFF

Nr dok.:	AR-27
Sprawa nr:	04B-2190
Prowadzący:	Det. Michael Guierrez
Przesłuchujący:	Sierż. Theodore White
Świadek:	Bowman, Maureen A.
Data/Czas:	9/17/04 14:22

## Zapis rozmowy

- O. Proszę wygodnie usiąść. Jestem sierżant White i mam przeprowadzić z panią tę rozmowę. Zechce pani podać swoje imię i nazwisko.
- Ś. Maureen Bowman.
- O. Pani adres, pani Bowman?
- Ś. Mieszkam przy Cooper Drive czterysta dziewięć.
- O. Od jak dawna znała pani Lewisa i Lindsay Thorpe'ów?
- Ś. Od kiedy wprowadzili się do sąsiedniego domu. Nie tak długo, może półtora roku.
- O. Często ich pani widywała?
- Ś. Właściwie nie. Byli bardzo zajęci, małym dzieckiem i w ogóle.
- O. Miewali regularnie wielu gości?
- Ś. Nie zauważyłam. Lewis miał kilku przyjaciół w laboratorium, w którym pracował. Myślę, że parę razy byli u nich na obiedzie. Po przyjeździe na świat dziecka kilkakrotnie odwiedzili ich dziadkowie. To chyba wszystko.
- O. A jacy byli Thorpe'owie?
- Ś. Co ma pan na myśli?
- O. Jako sąsiedzi i para. Jacy byli?
- Ś. Zawsze bardzo mili.
- O. Zauważyła pani jakieś problemy? Kłótnie, podniesione głosy, coś w tym rodzaju?
- Ś. Nie, nigdy.
- O. Czy kiedykolwiek mieli jakieś problemy, o jakich pani wiadomo? Na przykład finansowe?
- Ś. Nie, nic o tym nie wiem. Jak już mówiłam, rzadko ze sobą rozmawialiśmy. Zawsze

byli bardzo mili, bardzo szczęśliwi. Nie sądzę, żebym kiedyś widziała szczęśliwszą parę.

0. Co dokładnie skłoniło panią, żeby tego ranka pójść do posiadłości Thorpe'ów?
- Ś. Dziecko.
0. Przepraszam?
- Ś. Dziecko. Mała płakała bez końca. Nigdy wcześniej nie płakała. Pomyślałam, że coś się stało.
0. Proszę opisać, do protokołu, co pani tam zastała.
- Ś. Ja . . . podeszłam do kuchennych drzwi. Dziecko było tam.
0. W kuchni?
- Ś. Nie, na korytarzu. Na korytarzu prowadzącym do jadalni.
0. Pani Bowman, proszę opisać wszystko, co pani widziała i słyszała. Dokładnie, proszę.
- Ś. Dobrze. Zobaczyłam dziecko na korytarzu, obok kuchni. Płakało tak, że miało twarz czerwoną od krzyku. Światło się nie paliło, ale ranek był słoneczny. Widziałam wszystko bardzo wyraźnie. Słyszałam dźwięki jakiejś opery.
0. Opery?
- Ś. Stereo. Jednak dziecko prawie je zagłuszało. Ledwie mogłam zebrać myśli. Podeszłam, żeby je uspokoić. Wtedy zajrzałam do salonu. I zobaczyłam... o Boże... [ PRZERWA W ZAPISIE ]
0. Proszę się nie spieszyć, pani Bowman. Chusteczki są po pani prawej ręce, tu na stole.

Lash odłożył protokół. Nie musiał czytać dalej. Dobrze wiedział, co zobaczyła Maureen Bowman.

Nie sądzę, żebym kiedyś widziała szczęśliwszą parę. Prawie to samo, słowo w słowo, powiedział mu w restauracji w New London ojciec Lindsay Thorpe, mężczyzna o pozbawionych wyrazu, podkrążonych oczach. I to samo mówili wszyscy.

Co poszło nie tak w tym małżeństwie? Co się stało?

Doświadczenia Lasha z patologiami dzieliły się na dwa okresy: pierwszy, gdy był psychologiem FBI i badał akty przemocy po fakcie, oraz drugi, gdy jako specjalista prowadził prywatną praktykę i pracował z ludźmi, starając się, żeby nigdy nie popełnili żadnych gwałtownych czynów. Bardzo się starał oddzielać od siebie te dwa światy. Tymczasem w tym domu czuł, że oba zlewają się w jeden.

Popatrzył na drugą kopertę: tę z nadrukiem *Własność Eden Inc. Zastrzeżone i poufne*. Wyprostował skrzydełka zamknięcia i otworzył kopertę. W środku były dwie nieopisane kasety video. Lash wyjął je i przez moment ważył w dłoniach. Potem wstał i podszedł do magnetowidu. Włączył go i włożył jedna z kaset.

Na czarnym ekranie pojawiła się data, a po niej długi ciąg przewijających się cyfr. Potem nagle pokazała się powiększona męska twarz: ciemnoblonde włosy, przenikliwe piwne oczy, przystojna. To był Lewis Thorpe i uśmiechał się.

Składając jakiegokolwiek podanie w Edenie, najpierw trzeba było usiąść przed kamerą i odpowiedzieć na dwa pytania. Oprócz skąpych danych osobowych te pierwsze kasety Thorpe'ów były jedynym materiałem, jaki dostarczył mu Mauchly.

Lash skupił uwagę na kasecie. Już kilkakrotnie obejrzał obie. Tutaj, w domu Thorpe'ów, zamierzał obejrzeć je ostatni raz w nadziei, że w tym otoczeniu dostrzeże jakiś związek, który dotychczas mu umykał. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale kończyły mu się pomysły i spędził nad tą sprawą znacznie więcej czasu, niż zamierzał.

— Dlaczego pan tu przyszedł? — zapytał głos spoza kamery.

Lewis Thorpe miał szczerzy, rozbrajający uśmiech.

— Jestem tutaj, ponieważ w moim życiu czegoś brakuje — odparł po prostu.



— Niech pan opisz coś, co robił pan dziś rano — rzekł głos spoza kadru. — I dlaczego uważa pan, że powinniśmy o tym wiedzieć.

Lewis zastanawiał się tylko chwilę.

— Skończyłem przekład szczególnie trudnego haiku — powiedział. Zamilkł, jakby czekał na reakcję. Kiedy się nie doczekał, podjął: — Przekładałem wiersze Basho, japońskiego poety. Ludzie zawsze myślą, że tłumaczenie haiku jest łatwe, ale w rzeczywistości jest bardzo, bardzo trudne. Są tak treściwe, a jednocześnie tak proste. Jak oddać takie bogactwo znaczeń? — Wzruszył ramionami do kamery. — Zacząłem to robić w szkole średniej. Ukończyłem wiele kursów japońskiego i naprawdę urzekła mnie książka Basho, *Wąska droga do środka*. To historia podróży, jaką odbył czterysta lat temu po północnej części Japonii. Oczywiście opisuje w niej również swoje... No cóż, to zwięzłe dzieło, pełne haiku. Szczególnie jeden z nich, bardzo znany, sprawiał mi kłopot. Nie mogłem dać sobie z nim rady. Dziś rano, jadąc tutaj taksówką, wreszcie go skończyłem. Brzmi to zabawnie, prawda, ponieważ ma tylko... zaraz, dziewięć słów?

Zamilkł.

Trudno było skojarzyć tę urodziwą twarz z tą z policyjnej fotografii: rozdziawione usta, szeroko otwarte i niewidzące oczy, siny, wywalony na zewnątrz język.

Obraz nagle ściemniał. Lash wyjął kasetę i włożył drugą.

Następny ciąg cyfr. Potem na ekranie pojawiła się Lindsay Thorpe, szczupła, jasnowłosa i mocno opalona. Wyglądała na nieco bardziej zdenerwowaną niż Lewis. Oblizła wargi i odgarnęła palcem niesforny kosmyk włosów, spadający jej na oczy.

— Dlaczego pani tu przyszła? — ponownie zapytał głos spoza kadru.

Lindsay zawahała się, odwróciła wzrok.

— Ponieważ wiem, że może być lepiej — odparła po chwili.

— Niech pani opisz coś, co robiła pani dziś rano. I dlaczego uważa pani, że powinniśmy o tym wiedzieć.

Lindsay spojrzała w obiektyw. I teraz ona też się uśmiechnęła, pokazując idealnie równe, błyszczące zęby.

— To łatwiejsze. Zaszalałam i kupiłam bilet w dwie strony na samolot do Lucerny. Wybieram się na tygodniową wędrowkę po Alpach w zorganizowanej grupie. To droga impreza i wydaje się lekką ekstrawagancją, szczególnie po opłaceniu... — Jej uśmiech stał się lekko zawstydzony. — W każdym razie zdecydowałam, że warto. Niedawno zakończyłam nieudany związek i chciałam się oderwać, może spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. — Zaśmiała się. — Tak więc dziś rano zapłaciłam kartą Visa za bilet. Nie ma zwrotów. Wylatuję pierwszego przyszłego miesiąca.

Kaseta się skończyła. Lash wyjął ją i wyłączył magnetowid.

Pięć miesięcy po tych wywiadach Thorpe'owie byli małżeństwem. Wkrótce potem sprowadzili się tutaj. Najlepiej dobrana para na świecie.

Lash wrzucił kasetę do koperty i ruszył do drzwi. Otworzywszy je, przystanął i odwrócił się, raz jeszcze żądając odpowiedzi. Gdy dom nadal milczał, Lash starannie zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz.

## 6

Lecąc z powrotem do Nowego Jorku na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp, Lash wepchnął kartę kredytową do szczeliny w oparciu fotela, zdjął z uchwytu słuchawkę telefonu i spoglądał na nią przez chwilę. Co robi ekspert, kiedy coś nie ma sensu? — pomyślał. Proste. Pyta innego eksperta.

Najpierw zadzwonił do informacji o abonentach, potem pod numer znajdujący się w okręgu Putnam w stanie Nowy Jork.

- Centrum Weisenbauma — zgłosił się energiczny głos.
- Z doktorem Goodkindem proszę.
- Mogę spytać, kto dzwoni?
- Christopher Lash.
- Chwileczkę.

W środowisku prywatnych psychologów Centrum Badań Biomedycznych Normana J. Weisenbauma budziło szacunek i zazdrość jakością swoich badań neurochemicznych. Czekał przy dźwiękach eterycznej muzyki New Age, Lash próbował wyobrazić sobie ten ośrodek. Wiedział, że Centrum znajduje się nad rzeką Hudson, około czterdziestu pięciu minut jazdy na północ od Manhattanu. Niewątpliwie piękne, o nieskazitelnej architekturze. Centrum było oczkiem w głowie szpitali i koncernów farmaceutycznych, więc nie brakowało mu funduszy.

— Chris! — usłyszał wesoly głos Goodkinda. — Nie wierzę. Nie miałem od ciebie wieści od... zaraz, od sześciu lat?

— Chyba tak.  
— Jak tam prywatna praktyka?  
— Lepsze godziny pracy.  
— Pewnie. Zawsze zastanawiałem się, kiedy przestaniesz jeździć z kawalerią i osiadiesz w jakimś miłym miejscu. Masz praktykę w Fairfield, tak?

— W Stamford.  
— No tak, oczywiście. Blisko Greenwich, Southport, New Canaan. Niewątpliwie mnóstwo bogatych, dysfunkcyjnych par. Doskonale wybór.

Dawni koledzy z uniwersytetu stanu Pensylwania, do których należał Goodkind, mieli podzielone zdania na temat wstąpienia Lasha do FBI. Jedni wydawali się zazdrościć, inni kręcili głowami, nie mogąc pojąć, dlaczego dobrowolnie podjął taką stresującą, wyczerpującą, potencjalnie niebezpieczną pracę, skoro doktorat gwarantował mu znacznie lukratywniejszą posadę. Kiedy porzucił FBI, dał im do zrozumienia, że motywem były pieniądze, gdyż nie chciał mówić o tragedii, która tak gwałtownie zakończyła jego karierę w organach ścigania i jego małżeństwo.

— Masz jakieś wieści od Shirley? — zapytał Goodkind.  
— Nie.  
— Szkoda, że się rozeszliście. To nie miało chyba nic wspólnego ze sprawą tego, jak mu tam, Edmunda Wyre'a? Czytałem o tym w gazetach.

Lash postarał się, by jego głos nie zdradził bólu, jaki nawet po trzech latach wywoływał dźwięk tego nazwiska.

— Nie, nic podobnego.  
— Straszne. Straszne. Musiało być ci ciężko.  
— Lekko nie było.

Lash zaczął żałować, że zadzwonił. Jak mógł zapomnieć o ciekawości Goodkinda, o jego upodobaniu do wtykania nosa w cudze sprawy?

— Kupiłem tę twoją książkę — powiedział Goodkind. — Zgodność. Świetna robota, chociaż oczywiście pisałeś dla ciemniaków.

- Chciałem sprzedać więcej niż tuzin egzemplarzy.  
— I?  
— Sprzedałem dwa tuziny, co najmniej.  
Goodkind roześmiał się.  
— A ja czytałem twój artykuł — ciągnął Lash. — W „American Journal of Neurobiology”. „Kognitywna ocena a bezprzyczynowe samobójstwo”. Ładny wywód.  
— Największą zaletą mojego stanowiska w Centrum jest to, że wybieram sobie tematy badań.  
— Zainteresowały mnie również inne twoje ostatnie publikacje. Na przykład „Wychwył zwrotny inhibitorów i samobójstwa osób w podeszłym wieku”.  
— Naprawdę? — W głosie Goodkinda było słychać zdziwienie. — Nie miałem pojęcia, że tak uważnie śledzisz literaturę.  
— Z tych artykułów wywnioskowałem, że oprócz prowadzenia pracy badawczej zebrałeś wywiady od wiciu osób, które próbowały popełnić samobójstwo.  
— No cóż, nie miałem okazji porozmawiać z wieloma, którym się to udało! — Goodkind zachichotał ze swojego żartu.  
— Były wśród nich próby podwójnych samobójstw?  
— Oczywiście.  
— Zatem mam coś, co może cię zainteresować. Prawdę mówiąc, przydałaby mi się twoja rada. Chodzi o znajomych mojego pacjenta, małżeństwo. Niedawno oboje popełnili samobójstwo.  
— Skutecznie?  
— Ta sprawa ma kilka niezwykłych aspektów.  
— Na przykład?  
Lash uśmiechnął się, że się zastanawia.  
— No cóż, może zabrałibyśmy się do tego z drugiej strony i gdybyś mi podał, oczywiście na podstawach swoich badań, hipotetyczne czynniki motywacyjne? Przeprowadźmy psychologiczną autopsję tej pary. Podam ci dane.  
Zapadła krótka cisza.  
— Jasne, czemu nie. W jakim byli wieku?

- Tuż po trzydziestce.
- Praca?
- Stała.
- Choroby psychiczne? Zaburzenia nastroju?
- Żadnych nie stwierdzono.
- Mania samobójcza?
- Nie.
- Jakieś wcześniejsze próby?
- Żadnych.
- Uzależnienia?
- Pośmiertne badania krwi niczego nie wykazały.
- Znów chwila ciszy.
- Czy to żart?
- Nie. Mów dalej, proszę.
- Jakim byli małżeństwem?
- Wszystko wskazuje na to, że czułym i kochającym.
- Utrata najbliższych?
- Nie.
- Choroby dziedziczne?
- Wykluczono depresję, schizofrenię i inne choroby psychiczne.
- Jakieś inne czynniki stresujące? Drastyczne zmiany?
- Nie.
- Problemy zdrowotne?
- Oboje w ciągu ostatnich sześciu miesięcy mieli doskonałe wyniki badań.
- Coś, o czym powinienem wiedzieć? Cokolwiek?
- Lash zastanowił się.
- Niedawno urodziło im się dziecko.
- I?
- Pod każdym względem normalne i zdrowe.
- Zapadła długa cisza. Potem Lash usłyszał śmiech w słuchawce.
- To żart, prawda? Nie ma takich samobójstw. Opisałeś mi Kapitana Amerykę i Cudowną Kobietę.
- Taka jest twoja diagnoza?

Śmiech Goodkinda powoli ucichł.

— Tak.

— Roger, spoglądasz na samobójstwa z wyjątkowego punktu widzenia. Jesteś biochemikiem. Nie tylko rozmawiasz z niedoszłymi samobójcami, ale także badasz ich motywacje na poziomie molekularnym. — Lash poprawił się na fotelu. — Czy u ludzi występuje jakiś czynnik, który, obojętnie jak się wydają szczęśliwi, może powodować predyspozycje samobójcze?

— Masz na myśli jakiś gen samobójcy? Chciałbym, żeby to było takie proste. Badania wykazały, że niektóre geny być może — tylko być może — odpowiadają za skłonności do depresji. Tak jak geny obżarstwa, preferencji seksualnych, koloru oczu lub włosów. Ale skłaniające do samobójstwa? Jeśli lubisz hazard, to o to się nie zakładaj. Masz dwie osoby w głębokiej depresji. Dlaczego jedna popełnia samobójstwo, a druga nie? W żaden sposób nie da się tego przewidzieć. Dlaczego raporty policyjne z zeszłego miesiąca wskazują na nagły wzrost liczby samobójstw w Miami Beach, podczas gdy w Minneapolis ich liczba była najmniejsza w historii? Dlaczego w dwutysięcznym roku w Polsce liczba samobójstw była wyjątkowo duża? Przykro mi, kolego. W ostatecznym rezultacie to po prostu rzut kostką.

Lash się zastanawiał.

— Rzut kostką.

— Oto słowa eksperta, Chris. Możesz je cytować.

# 7

Po suchym, wyżynnym powietrzu Flagstaff centrum Nowego Jorku było wilgotne i przygnębiające. Lash miał na sobie gruby płaszcz przeciwdeszczowy, gdy po raz drugi w ciągu ostatnich pięciu dni podszedł do kontuaru recepcji w holu Edenu.

— Christopher Lash do Edwina Mauchly'ego — powiedział wysokiemu, chudemu mężczyźnie za kontuarem.

Mężczyzna postukał w klawisze.

— Czy jest pan umówiony, proszę pana? — zapytał z uśmiechem.

— Zostawiłem mu wiadomość. Będzie mnie oczekiwał.

— Chwileczkę.

Czekając, Lash odwrócił się, by popatrzeć wokół. Dziś w holu coś się zmieniło, ale nie potrafił powiedzieć co. Nagle uświadomił sobie, że tego ranka nie ma kolejki kandydatów. Podwójne ruchome schody do OBSŁUGI KANDYDATÓW były puste. Natomiast znacznie mniej liczny tłum kierował się do punktu kontrolnego. Same pary, wiele trzymających się za ręce. W przeciwieństwie do niespokojnych lub pełnych nadziei twarzy, jakie widział podczas poprzedniej wizyty, ci ludzie uśmiechali się, śmiali i głośno rozmawiali. Pokazawszy ochronie laminowane przepustki, pary podchodziły do wielkich drzwi i znikwały mu z oczu.

— Doktor Lash? — zapytał strażnik.



Lash odwrócił się.

— Tak?

— Pan Mauchly czeka na pana. — Mężczyzna podsunął mu niewielki kartonik koloru kości słoniowej, z wytłoczonym znakiem firmowym Edenu. — Proszę pokazać to przy windzie. Miłego dnia.

Kiedy drzwi windy otworzyły się na trzydziestym drugim piętrze, Mauchly już tam czekał. Skłonił się Lashowi, po czym poprowadził go korytarzem do swojego gabinetu.

Dyrektor Służb Pomocniczych, przypomniał sobie Lash, idąc za Mauchlym. Co to oznacza, do diabła? A głośno zapytał:

— Skąd tyle szczęśliwych twarzy?

— Proszę?

— Na dole, w holu. Wszyscy uśmiechali się, jakby wygrali na loterii.

— Ach. Dzisiaj mamy zjazd absolwentów.

— Zjazd absolwentów?

— Tak to nazywamy. W ramach umowy skojarzone przez nas pary po sześciu miesiącach muszą poddać się weryfikacji. Wracają na jednodniowe rozmowy, indywidualne lub grupowe. Zazwyczaj zupełnie nieformalne. Uzyskane w ten sposób dane pozwalają naszym analitykom udoskonalać proces selekcji. Ponadto możemy szukać oznak niedopasowania, jakichś znaków ostrzegawczych.

— Znaleźliście takie?

— Dotychczas nie. — Mauchly otworzył drzwi i wprowadził Lasha do środka. Jeśli czuł ciekawość, nie widać było tego w jego ciemnych oczach. — Napije się pan czegoś?

— Nie, dziękuję.

Lash wyjął spod pachy torbę i zajął wskazany fotel.

Mauchly usiadł za biurkiem.

— Nie spodziewaliśmy się, że odezwie się pan tak szybko.

— To dlatego, że nie mam wiele do powiedzenia.

Mauchly podniósł brwi.

Lash pochylił się, otworzył torbę i wyjął dokument. Wyprostował zawinięte brzegi, po czym położył go na biurko.

— Co to takiego, doktorze Lash? — zapytał Mauchly.  
— Mój raport.  
Mauchly nie wyciągnął ręki po dokument.  
— Może mógłby mi go pan streścić.  
Lash nabrał tchu.  
— Nie stwierdzono żadnych skłonności samobójczych u Lewisa i Lindsay Thorpe'ów. Absolutnie żadnych.  
Mauchly założył muskularne ręce na piersi i czekał.  
— Rozmawiałem z ich rodzinami, przyjaciółmi, lekarzami. Zbadałem ich zdolności kredytowe, wyciągi bankowe, stosunki w pracy. Wykorzystałem moje znajomości w federalnych i lokalnych organach ścigania. To było najbardziej udane i trwałe małżeństwo, jakie można sobie wyobrazić. Spokojnie można ich było pokazać na tej ścianie szczęśliwych twarzy w waszym holu.  
— Rozumiem. — Mauchly wydał usta w sposób, który zapewne miał oznaczać głęboki namysł. — Może były jakieś wcześniejsze oznaki...  
— To również zbadałem. Sprawdziłem dzienniki szkolne, rozmawiałem z nauczycielami oraz dawnymi kolegami. Nic. I żadnych zaburzeń psychicznych. W rzeczy samej, tylko Lewis raz był w szpitalu, kiedy osiem lat temu złamał nogę na nartach w Aspen.  
— Zatem jaka jest pańska diagnoza?  
— Ludzie nie popełniają samobójstw bez żadnego powodu. Szczególnie podwójnych samobójstw. Czegoś nam brakuje.  
— Sugeruje pan...  
— Niczego nie sugeruję. Raport policyjny stwierdza samobójstwo. Chcę tylko powiedzieć, że nie mam wystarczających informacji, żeby stwierdzić, dlaczego to zrobili.  
Mauchly zerknął na raport.  
— Wygląda na to, że przeprowadził pan drobiazgowe śledztwo.  
— To, czego potrzebuję, jest w tym budynku. Wasza ocena Thorpe'ów może dostarczyć psychologicznych danych niezbędnych mi do pracy.

— Musi pan wiedzieć, że to niemożliwe. Nasze dane są poufne. Chodzi o tajemnice firmy.

— Już podpisałem zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy służbowej.

— Doktorze Lash, taka decyzja nie należy do mnie. Ponadto jest mało prawdopodobne, żeby znalazł pan w wynikach naszych testów coś, czego nie odkrył pan już sam.

— Może tak, może nie. Właśnie dlatego przygotowałem jeszcze to.

Lash wyjął małą kopertę i umieścił ją na pliku kartek raportu.

Mauchly pytająco przechylił głowę.

— To podsumowanie moich wydatków. Czas pracy wyliczony według mojej zwykłej stawki, wynoszącej trzysta dolarów za godzinę. Nie liczyłem nadgodzin. Bilety lotnicze, pokoje w hotelach, wynajem samochodów, posiłki — wszystko tu jest. Trochę ponad czternaście tysięcy dolarów. Jeśli nie zgłosi pan zastrzeżeń wypiszę panu czek na różnicę.

— Jaką różnicę?

— Resztę tych stu tysięcy, które mi pan dał.

Mauchly sięgnął po kopertę i wyjął z niej złożoną kartkę.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem.

— To całkiem proste. Nie uzyskawszy od pana nowych informacji, nie mogę powiedzieć nic więcej poza tym, że Lewis i Lindsay Thorpe'owie byli tak idealną parą, za jaką uznał ich wasz komputer. Ta opinia nie jest warta stu tysięcy.

Mauchly przez moment studiował wykaz kosztów. Potem schował go do koperty i ponownie położył na stole.

— Doktorze Lash, mogę przeprosić pana na chwilę?

— Oczywiście.

Mauchly wstał i z uprzejmym ukłonem opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

Minęło z dziesięć minut, zanim Lash usłyszał, jak ponownie się otwierają. Odwrócił się i zobaczył Mauchly'ego stojącego na korytarzu.

— Proszę tędy — powiedział dyrektor.

Zaprowadził Lasha do innej windy. Zjechali nią kilka pięter,

po czym wysiedli i znaleźli się w pustym korytarzu. Jego ściany, podłoga i sufit były pomalowane na ten sam bladofioletowy kolor. Mauchly przeszedł kawałek, po czym przystanął i otworzył drzwi tej samej barwy co ściany i sufit. Skinął na Lasha, żeby wszedł pierwszy.

Pomieszczenie było długie i słabo oświetlone. Jego ściany odchyłały się na zewnątrz pod kątem czterdziestu pięciu stopni, lecz na wysokości trzech stóp nagle wracały do pionu. Lash miał wrażenie, że zagląda do komina.

— Co to za miejsce? — zapytał.

Mauchly zamknął drzwi i nacisnął guzik na tablicy kontrolnej obok nich.

Rozległ się cichy warkot i Lash odruchowo zrobił krok w kierunku środka pomieszczenia. Po obu stronach czarna zasłona zaczęła przesuwać się wzdłuż skośnych ścian u jego stóp. Lash uświadomił sobie, że to wcale nie ściany, lecz okna, wychodzące na dwa duże pomieszczenia: jedno po jego lewej, a drugie po prawej ręce. Stali na pomoście, zawieszonym pomiędzy i nad dwoma identycznymi pokojami: salami konferencyjnymi z wielkimi owalnymi stołami. Wokół każdego z nich siedziały kilkunastoosobowe grupki osób. Nic nie było słychać, lecz z ich gestykulacji Lash wywnioskował, że rozmawiają z ożywieniem.

— Co, do licha... — zaczął.

Mauchly zaśmiał się sucho. Żółte światło z sal konferencyjnych oświetliło od dołu jego uśmiechniętą twarz, nadając jej niepokojący wyraz.

— Niech pan posłucha — powiedział, naciskając inny guzik.

Pokój nagle wypełnił się zgiełkiem. Mauchly odwrócił się do tablicy, pokręcił gałką i głosy przycichły.

Lash zrozumiał, że słucha rozmów ludzi siedzących w salach na dole. W następnej chwili uświadomił sobie, że są to pary skojarzone przez Eden. Żartowali, dzieląc się wspomnieniami o tym wydarzeniu.

— Opowiedziałem o tym siedmiu, może ośmiu kolegom — mówił jakiś mężczyzna po czterdziestce, czarnoskóry, w ciemnym garniturze. Kobieta siedziała przy nim, z głową na jego

ramieniu. — Trzech już złożyło podania. Paru innych zbiera pieniądze. Jeden z nich nawet zamierza zamienić swojego saaba na używaną hondę, żeby zebrać potrzebną sumę. To już desperacja.

— My nie powiedzieliśmy nikomu — rzekła młoda kobieta po drugiej stronie stołu. — Wolimy trzymać to w tajemnicy.

— I świetnie się bawimy — dodał jej mąż. — Ludzie wciąż nam mówią, jaką jesteśmy dobraną parą. Wczoraj wieczorem paru facetów otoczyło mnie na siłowni. Narzekali, że ich żony to suki, i zastanawiali się, jak mi się udało znaleźć ostatnią miłą dziewczynę na Long Island. — Zaśmiał się. — Jak miałem im powiedzieć, że skojarzył nas Eden? Mam zbyt wielką frajdę, przypisując sobie tę zasługę.

To wywołało zgodny wybuch śmiechu całej grupy.

Mauchly ponownie pokręcił gałką i śmiech ucichł.

— Doktorze Lash, sądzę, że uważa pan, iż jestem zbyt skryty. Tak nie jest. I nie o to chodzi, że panu nie ufamy. Po prostu dyskrecja to jedyny sposób ochrony naszych usług. Mamy mnóstwo konkurentów, którzy zrobiliby wszystko, aby poznać nasze metody testów, nasze algorytmy oceny, cokolwiek. I proszę pamiętać, że dyskrecja jest ważna nie tylko dla nas.

Wskazała na jedną z sal poniżej i pokręcił inna gałką.

— ...i gdybym wiedział, co mnie czeka, nie wiem, czy miałbym dość ikry, żeby poddać się tej ocenie — mówił wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna w półgolfie. — To był ciężki dzień. Jednak teraz, po siedmiu miesiącach, wiem, że to była najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

— Kiedyś, kilka lat temu, skorzystałem z usług typowego biura matrymonialnego — dodał inny. — Było całkowitym przeciwieństwem Edenu. Prymitywne. Kiepskie. Zadali mi tylko kilka pytań. I zgadnijcie, jakie było pierwsze: czy jest pan zainteresowany przelotnym czy poważnym związkiem? Dacie wiarę? Byłem tak ześlony, że od razu wyszedłem!

— Będę spłacała pożyczkę kilka lat — powiedziała kobieta. — Jednak zapłaciłabym nawet dwa razy tyle. Jest tak, jak mówią ci na ścianie w holu. Szczęście nie ma ceny!

— Czy kłóciliście się kiedyś? — zapytał ktoś inny.

— Czasem mamy różne zdania — odparła siwowłosa kobieta na końcu stołu. — Nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy nie mieli. Jednak to tylko pozwala nam więcej się dowiedzieć o sobie i szanować wzajemne potrzeby.

Mauchly ponownie wyłączył dźwięk.

— Widzi pan? To także dla nich. Eden zapewnia usługi, o jakich nikomu dotychczas się nie śniło. Nie możemy robić niczego, co zagrażałoby jakości tych usług, choćby ryzyko było naprawdę niewielkie. — Milczał chwilę. — Proszę posłuchać. Przyprawdę kogoś, z kim będzie pan mógł porozmawiać, zadać kilka pytań. Jednak musi pan zrozumieć, doktorze Lash, że on nic nie wie. Morale naszych pracowników jest niezwykle wysokie. Ludzie są dumni z jakości naszych usług. Nie możemy podważać ich wiary nawet w obliczu tej tragedii. Rozumie pan?

Lash skinął głową.

Jakby na ten znak otworzyły się drzwi na drogim końcu pomieszczenia i pojawiła się w nich postać w białym fartuchu.

— Tu jesteś, Peter — powiedział Mauchly. — Podejdz i poznaj doktora Lasha. Przeprowadza kilka losowych badań uzupełniających kilkorga naszych klientów. Dla celów statystycznych.

Mężczyzna podszedł z nieśmiałym uśmiechem. Był bardzo młody. Grzywa ognistorudych włosów lekko opadła mu na czoło, gdy potrząsnął ręką Lasha.

— To Peter Hapwood. Jest inżynierem oceniającym, który przeprowadzał indywidualne rozmowy z Thorpe'ami, kiedy wrócili do nas na zjazd absolwentów. — Mauchly zwrócił się do Hapwooda. — Pamiętasz Lewisa i Lindsay Thorpe'ów?

Hapwood kiwnął głową.

— Ta superpara.

— Tak. Ta superpara.

Mauchly wyciągnął dłoń w kierunku Lasha, jakby zachęcając do zadawania pytań.

— Czy podczas tych indywidualnych rozmów z Thorpe'ami coś zwróciło pańską uwagę? — zapytał Lash młodego człowieka.

— Nie, nic. Niczego takiego nie pamiętam.  
— Jakie sprawiali wrażenie?  
— Szczęśliwych, jak wszyscy, którzy tu wracają.  
— Ile takich par pan oceniał? Mam na myśli te wracające po sześciu miesiącach.

Hapwood zastanowił się.

— Tysiąc. Może tysiąc dwieście.  
— I wszystkie były szczęśliwe?  
— Bez wyjątku. Nawet po tak długim czasie wydaje się to niesamowite.

Hapwood zerknął na Mauchly'ego, jakby się zastanawiał, czy nie powiedział czegoś niewłaściwego.

— Czy Thorpe'owie mówili coś o swoim życiu, jakie było, od kiedy się poznali?

— Niech pomyślę. Nie. Tak. Niedawno przeprowadzili się do Flagstaff w Arizonie. Pamiętam, że pan Thorpe mówił, że ma kłopoty z aklimatyzacją na tej wysokości — przypominam sobie, że uprawiał jogging — ale oboje uwielbiali tę okolicę.

— Czy w trakcie rozmowy wyszło coś jeszcze?

— Raczej nie. Po prostu zadałem standardowy zestaw pytań. Nic nie zwróciło mojej uwagi.

— Co to za standardowy zestaw pytań?

— No cóż, zaczynamy od wprowadzających odpowiedni nastrój, żeby rozluźnić...

— Nie sądzę, żeby takie szczegóły były konieczne — przerwał Mauchly. — Jeszcze jakieś pytania?

Lash poczuł, że okazja wymyka mu się z rąk. A jednak nie miał już żadnych pytań.

— I nie przypomina sobie pan, żeby powiedzieli lub na pomknęli o czymś niezwykłym? Czymkolwiek?

— Nie — odparł Hapwood. — Przykro mi.

Lashowi opadły ręce.

— Dzięki.

Mauchly skinął głową Hapwoodowi, który ruszył do drzwi na końcu pomieszczenia. W połowie drogi przystanął.

— Ona nienawidziła opery — rzekł.

Lash spojrział na niego.

— Co?

— Pani Thorpe. Kiedy przyszli na konsultację, przeprosiła za spóźnienie. Kiedy tu jechali, nie chciała wsiąść do pierwszej zatrzymanej taksówki, ponieważ kierowca słuchał opery z głośno grającego radia. Powiedziała, że nie mogłaby tego znieść. Minęło dziesięć minut, zanim znaleźli inną taksówkę. — Potrząsnął głową na to wspomnienie. — Śmiali się z tego.

Uklonił się Lashowi i Mauchly'emu, po czym opuścił pokój.

Mauchly odwrócił się, przypominał zjawę w padającej z dolnych pomieszczeń poświacie, i podniósł grubą brązową kopertę.

— To wyniki testów skojarzeniowych Thorpe'ów, przeprowadzonych podczas oceny. To jedyny wykonywany test, który nie jest opracowany przez naszą firmę, dlatego mogę go udostępnić.

— Ładnie z pańskiej strony.

Zniechęcenie sprawiło, że Lash powiedział to nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Mauchly przypomniał mu łagodnie:

— Musi pan zrozumieć, doktorze Lash. Nasze zainteresowanie tym, co przydarzyło się Thorpe'om, jest czysto formalne. To tragiczne wydarzenie jest dla nas szczególnie bolesne, ponieważ przytrafiło się superparze. Jednak to pojedynczy przypadek. — Podał Lashowi kopertę. — Proszę spokojnie to przejrzeć. Mamy nadzieję, że będzie pan nadal prowadził dochodzenie, szukał takich cech osobowości, na które w przyszłości powinniśmy zwrócić uwagę przy dokonywaniu oceny. Jeśli jednak zechce pan zrezygnować, zaakceptujemy sporządzony przez pana raport. W obu wypadkach proszę zatrzymać pieniądze. — Wskazał drzwi. — A teraz, jeśli pan pozwoli, odprowadzę pana do holu.



## 8

Popołudniowe cienie wydłużały się, gdy Lash zjechał do Greenwich Audubon Center, zaparkował i poszedł usłaną suchymi gałązkami ścieżką, wiodącą do jeziora Mead. Miał całe to miejsce dla siebie: szkoląc wycieczki odjechały kilka godzin wcześniej, a weekendowi obserwatorzy ptaków i fotografowie przyrody mieli pojawić się dopiero pod koniec tygodnia. Wilgotny ranek zaowocował parnym dniem. Lasy wokół Lasha stapały się w oddali w zielono-brązowe smugi. W powietrzu unosił się zapach mchu. W miarę jak oddalał się od Riversville Road, odgłosy ulicznego ruchu cichły. Po kilku minutach zastąpił je śpiew ptaków.

Opuścił wieżowiec Eden Incorporated, zamierzając pojechać prosto do swojego gabinetu w Stamford. Tydzień, który przeznaczył na dochodzenie, już się kończył i Lash powinien zdecydować, co — jeśli w ogóle — zrobić ze spotkaniami wyznaczonymi na następny tydzień. Jednak w połowie drogi do domu nieoczekiwanie zjechał z New England Thruway i pojechał, niemal bez celu, cienistymi drogami Darien, Silvermine, New Canaan, przez krainę swojej młodości. Testy skojarzeniowe Thorpe'ów leżały nietknięte w kopercie na siedzeniu pasażera. Jechał przed siebie, pozwalając, by prowadziła go droga. Ta doprowadziła go tutaj, do rezerwatu przyrody.

Równie dobre miejsce jak każde inne.

Ścieżka rozgałęziała się, prowadząc do szeregu stanowisk z widokiem na jezioro. Lash na chybił trafił wybrał jedno i wdrapał się po krótkiej drabinie na pudełkowatą ambonę. W środku było ciepło i ciemno. Długa pozioma szczelina w tylnej ścianie pozwalała z ukrycia obserwować jezioro. Lash popatrzył na ptaki wodne, nurkujące i wyskakujące na powierzchnię, nieświadome jego obecności. Potem usiadł na drewnianej ławeczce i położył obok siebie pękatą brązową kopertę.

Nie otworzył jej od razu. Zamiast tego sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął cienki tomik: *Wąska droga do środka*, napisany przez Matsuo Basho. Zauważył egzemplarze wystawione na kontuarze restauracji Starbucks w Sky Harbor International i ten zbieg okoliczności wydawał się zbyt niezwykły, żeby jej nie kupić. Pominął wstęp tłumacza, znalazł pierwsze zdania.

Księżyc i słońce to wieczni wędrowcy. Nawet lata odchodzą w dal. Całe życie dryfując z prądem, czy w podszłym wieku wiodąc zmęczonego wierzchowca w kolejne lata, każdy dzień jest podróżą, a sama podróż jest domem.

Odłożył książkę. Co Thorpe powiedział o poezji Basho? Tak treściwa, a jednocześnie taka prosta? Coś w tym rodzaju.

Lash miał wiele zawodowych zasad, ale najważniejsza brzmiała następująco: zachowaj dystans w stosunku do pacjentów. Nauczyło go tego doświadczenie nabyte w FBI. Dlaczego więc pozwolił sobie na taką fascynację Lewitem i Lindsay Thorpe'ami? Czy tylko z powodu ich tajemniczej śmierci? A może urzekł go ich perfekcyjny związek małżeński? Ponieważ wszystkie dowody, jakie zdołał zgromadzić, świadczyły o tym, że ich małżeństwo istotnie było idealne, aż do chwili gdy założyli sobie na głowy worki na śmieci, objęli się i powoli umarli na oczach ich małej córki.

Zazwyczaj Lash nie pozwalał sobie na osobiste introspekcje. Do niczego nie prowadziły, tylko negatywnie wpływały na obiektywizm. Jednak postanowił pozwolić sobie na jeszcze jedną taką uwagę. Nie wybrał tego miejsca przypadkowo. W tym rezerwacie, na tej ścieżce — a nawet dokładnie w tej ambonie — przed trzema laty Shirley powiedziała, że nie chce go więcej widzieć.

Każdy dzień jest podróżą, a sama podróż jest domem. Lash zastanawiał się, w jaką podróż wyruszyli Thorpe'owie. Albo, skoro o tym mowa, w jaką podróż on sam się wybrał, próbując odkryć ich tajemnicę. Była to podróż, którą odradzał mu zdrowy rozsądek, chociaż nogi same go niosły.

Ze znużeniem przetarł dłonią oczy, sięgnął po pękatą kopertę i rozerwał ją wskazującym palcem.

W środku było ponad sto kartek: wyniki testów skojarzeniowych Lewisa i Lindsay Thorpe'ów, przeprowadzonych w Edenie w ramach oceny kandydatów.

Już w szkole średniej Lasha fascynowały testy atramentowe, myśl, że dostrzeganie jakichś obiektów w zwykłych kleksach może powiedzieć coś o człowieku. Dopiero na studiach, kiedy poznał zastosowanie tego testu — i sam mu się poddał, co było obowiązkiem każdego studenta psychologii — zrozumiał, jak użytecznym narzędziem diagnostycznym może być. Tego rodzaju test uważano za „projekcyjny”, ponieważ — w przeciwieństwie do skomplikowanych, przedmiotowych testów pisemnych, takich jak WAIS czy MMPI — koncepcja dobra i zła była niejednoznaczna. Wyszukiwanie obrazów w plamach wymagało zaangażowania głębszych, bardziej złożonych obszarów osobowości.

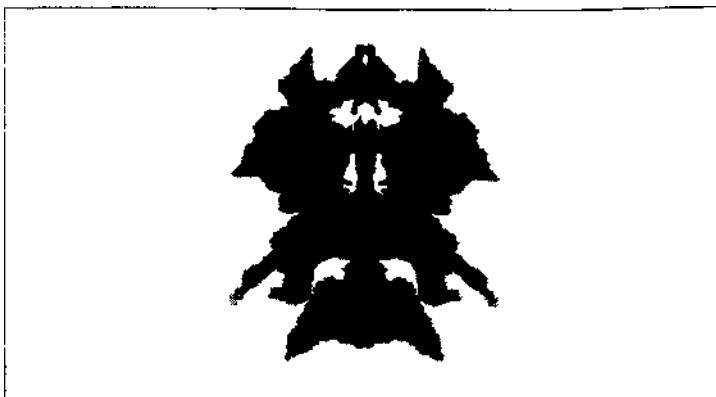
W Edenie stosowano test Hirschfeldta — wybór, który Lash gorąco aprobował. Chociaż pośrednio oparty na zmodyfikowanym przez Exnera teście Rorschacha, test Hirschfeldta pod kilkoma względami miał przewagę nad oryginałem. Test Rorschacha składał się jedynie z dziesięciu plam, co psychologowie usiłowali zachować w tajemnicy. Przy tak niewielu plamach ktoś łatwo mógł zapamiętać „prawidłowe” odpowiedzi. Nato-

miast w teście Hirschfeldta korzystano z katalogu pięciuset plam — to zbyt wiele, aby je zapamiętać. I pokazywano badanemu nie dziesięć, a trzydzieści plam, uzyskując szerszy wachlarz odpowiedzi. W teście Rorschacha połowa plam była kolorowa, a w teście Hirschfeldta wszystkie były czarno-białe, gdyż jego zwolennicy uważali, że kolor niepotrzebnie rozprasza badanego.

Na wierzchu leżały wyniki testu Lindsay Thorpe. Lash przez moment wyobrażał ją sobie w gabinecie. Ten był cichy, wygodny, nic w nim nie rozpraszało badanych. Badający siedział tuż za nią, podczas wykonywania testu należało unikać kontaktu wzrokowego. Lindsay Thorpe nie widziała plam, dopóki badający nie położył ich na stole przed nią.

Elementarne zasady tego testu trzymano w tajemnicy, tak samo jak liczbę plam. Na każde zadane przez nią pytanie pacjentka otrzyma wcześniej przygotowaną odpowiedź. Lindsay nie wiedziała, że wszystko, co powie o tych plamach, istotne czy nie, będzie zapisane i punktowane. Nie wiedziała, że tempo jej odpowiedzi jest mierzone; im szybsze, tym lepiej. Nie miała pojęcia, że w każdej plamie powinna dostrzec więcej niż jedną rzecz: dostrzeganie jednej sugerowało neurozę. I nie wiedziała — a wykonujący badanie zaprzeczyłby, gdyby go o to zapytała — że każda z plam w istocie ma „normalną” odpowiedź. Jeśli ktoś dostrzegł coś oryginalnego i potrafił to uzasadnić, otrzymywał punkty za kreatywność. Jednak dostrzeganie w kleksie czegoś, czego nikt inny nie spostrzegł, zwykle świadczyło o psychozie.

Lash spojrział na pierwszą plamę. Pod nią wykonujący badanie dokładnie zanotował odpowiedzi Lindsay.



1 z 30

Karta 142

Swobodne skojarzenia:

1. To wygląda jak ciało. Te białe plamy na środku przypominają płuca.

2. To coś na dole wygląda jak odwrócona do góry nogami miednica.

3. ↓ To wygląda jak maska. Tak, maska.

4 . A na samym dole jest mały nietoperz.

Wyjaśnienia:

1. (Powtarza)

2. (Powtarza)

3. Tak, maska. Te dwie białe plamki na górze to oczy. Te na środku to nos, a na dole to usta. Trochę niesamowita diabelska maska.

4. Na samym dole nietoperz. Widać sterczące uszy, rozpostarte skrzydła. Wygląda jakby leciał.

Oglądanie każdej karty dzielono na dwa etapy: fazę swobodnych skojarzeń, podczas której badany mówił, co przypomina mu dana plama, oraz fazę wyjaśnień, podczas której badający

prosił o uzasadnienie tych skojarzeń. Widząc strzałkę przy trzecim skojarzeniu, Lash wiedział, że Lindsay bez pytania odwróciła kartę do góry nogami. To świadczyło o niezależności. Jeśli ktoś zapytał, czy można odwrócić kartę, otrzymywał mniej punktów. Lash rozpoznał tę plamę. Lindsay trafiła w najczęściej podawane odpowiedzi: maska, nietoperz. Badający niewątpliwie zwrócił uwagę na jej wzmiankę o diable, dodatkowa uwaga, którą należy wypunktować.

Na następnej kartce była sporządzona przez badającego tabela wyników dla pierwszej karty:

Karta	Nr	Lok.	Nr.odp.	Determinanty	czynnik kształtu	Dodatkowe
1	1	BS	6	H1.M+	OK	
	2	D	21	H, Ma-	OK	
	3	BS	1	I, Ffr2	OK	MOR
	4	D	4	Am, A- (lf)	OK	

Lash szybko przejrzał charakterystykę i punktację czterech odpowiedzi Lindsay. Badający starannie wykonał swoją pracę. Chociaż minęło wiele lat, od kiedy Lash ostatni raz przeprowadzał test Hirschfeldta, natychmiast przypomniał sobie skomplikowany system kodowania: *B* oznaczało odpowiedź obejmującą całą plamę; *D* dotyczącą tylko często dostrzeganego szczegółu. Odnotowano dostrzeżone postacie ludzi i zwierząt, szczegóły anatomiczne, przyrodnicze. We wszystkich czterech odpowiedziach Lindsay czynnik kształtu oznaczono OK: dobry znak. W białych częściach plam dostrzegła więcej niż przeciętny badany, ale nie tyle, aby było to powodem do niepokoju. W rubryce „Dodatkowe” — w której badający umieszczają wypowiedzi odbiegające od normy — Lindsay otrzymała tylko jedną uwagę, MOR, za posępny charakter wypowiedzi: niewątpliwie za to, że scharakteryzowała obraz jako „diabelską maskę” i „niesamowitą”.

Przeszedł do drugiej plamy.



Badający i tu starannie odnotował wypowiedzi Lindsay.

**2 z 30      Karta 315**

Swobodne skojarzenia:

5. To wygląda jak ozdoba na choinkę.
6. Te wyrostki na górze są jak czułki jakiegoś owada.
7. ↓ A pod tym kątem te wyrostki przypominają odnóża kraba.

Wyjaśnienia:

5. No, jest okrągła jak ozdoby wiszące na drzewku. Prawda? A w tę część na górze wchodzi zaczep.
6. Tak. Są delikatnie owłosione, jak czułki niektórych gatunków owadów.
7. (Powtarza)

Lash rozpoznał i tę plamę. Wszystkie odpowiedzi Lindsay mieściły się w normie.

Machinalnie popatrzył na płamę. I nagle zdrętwiał. Kiedy tak patrzył, zupełnie niespodziewanie przyszło mu do głowy wiele skojarzeń: szybko powiększająca się kałuża czerwieni na białym dywanie; zakrwawiony nóż kuchenny; wykrzywiona w uśmiechu twarz Edmunda Wyre'a, sadzanego ze skutymi rękami i nogami przed morzem zaszokowanych twarzy.

Niech szlag trafi Rogera Goodkinda i jego ciekawość, pomyślał Lash, szybko odkładając kartkę.

Pobieżnie przejrzał pozostałe dwadzieścia osiem kart, nie znajdując niczego odbiegającego od normy. Lindsay została scharakteryzowana jako osoba dobrze przystosowana, inteligentna, kreatywna i dość ambitna. Już to wiedział. Słaba nadzieja, która zaczęła się w nim budzić, znów zgasła.

Pozostał jeszcze jeden dokument do przejrzania. Lash wziął do ręki kartkę z podsumowaniem, w którym wszystkie wyniki Lindsay Thorpe poddano analizie jakościowej i częstotliwościowej oraz różnym przekształceniom algebraicznym, aby określić dominujące cechy jej osobowości. Jedno z tych zestawów wyników nazywano „specjalnymi wskaźnikami” i na nich Lash skupił uwagę.

#### SEKCJA VIII. SPECJALNE WSKAŹNIKI (H.28)

H.28a.	SZ	- (1/10)
H.28b.	HVG	- (3/12)
H.28c.	S-zesp	-(0/8)
H.28d.	RH-2	-(0/9)
H.28e.	MRZ	-(1/15)
H.28f.	N-kalk	- (2/11)
H.28g.	PC-neg	-(0/8)

Te specjalne wskaźniki były czerwonymi lampkami alarmowymi. Wysoka liczba odpowiedzi zaliczanych do jednej z tych siedmiu kategorii wskazywała na odchylenie od normy — na przykład do schizofrenii (SZ). Jeden z tych specjalnych wskaźników, S-zesp, mierzył skłonności samobójcze.

W przypadku Lindsay Thorpe ten wskaźnik był negatywny.



Ściśle mówiąc, w skali od zera do ośmiu jej skłonności samobójcze wynosiły zero.

Lash z westchnieniem odłożył wyniki Lindsay i podniósł kartki z wynikami badań jej męża.

Właśnie upewnił się, że wskaźnik skłonności samobójczych Lewisa Thorpe'a był równie niski jak Lindsay, gdy w kieszeni jego marynarki zapiszczał telefon komórkowy. Lash wyjął go.

— Tak?

— Doktorze Lash? Tu Edwin Mauchly.

Lash był lekko zdziwiony. Nikomu nie dawał numeru swojego telefonu komórkowego, a na pewno nie przypominał sobie, żeby podał go komuś z Edenu.

— Gdzie pan teraz jest?

Głos Mauchly'ego brzmiał inaczej niż poprzednio: ostro i zdecydowanie.

— W Greenwich. Dlaczego pan pyta?

— To znów się stało.

— Co się stało?

— Następny taki przypadek. Kolejna próba podwójnego samobójstwa. Superpary.

— Co?

Zdumienie natychmiast ustąpiło miejsca niedowierzaniu.

— Ci nazywają się Wilnerowie. Mieszkańcy Larchmont. W tej chwili są przewożeni do szpitala Southern Westchester. Z Greenwich powinien pan dotrzeć tam w... piętnaście minut — dokończył po krótkim namyśle Mauchly. — Na pańskim miejscu nie traciłbym czasu.

Rozłączył się.

## 9

Southern Westchester County Medical Center było skupiskiem budynków z czerwonej cegły na przedmieściach Rye, tuż za obszarem administracyjnym Nowego Jorku. Gdy Lash z piskiem opon zajechał na podjazd dla karettek, zauważył, że na oddziale pogotowia panuje niezwykle spokoj. W cieniu za szklanymi drzwiami stały tylko dwa pojazdy. Jednym był ambulans, a drugim długi i niski, podobny do karawanu samochodów okręgowego patologa. Tylne drzwi karetki były otwarte i przechodząc po asfaltowym podjeździe, Lash spojrzął na nią. Sanitariusz z wiadrem i szczotką mył wnętrze pojazdu. Nawet z odległości dwudziestu jardów Lash poczuł metaliczny zapach krwi.

To sprawiło, że zatrzymał się i spojrzął na ciemnoczerwoną bryłę budynku. Od trzech lat nie był na izbie przyjęć. Zaraz jednak, przypomniawszy sobie ponaglający głos Mauchly'ego, nakazał sobie iść dalej.

W poczekalni panował spokój. Kilka osób siedziało na plastikowych krzesłach, patrząc niewidzącym wzrokiem na ściany lub wypełniając formularze. W jednym kącie stała grupka policjantów, pogrążonych w cichej rozmowie. Lash pospiesznie skierował się do drzwi z napisem WEJŚCIE NA ODDZIAŁ, otworzył je i odnalazł na ścianie przycisk otwierający automatyczne drzwi do izby przyjęć.

Drzwi otworzyły się z cichym szmerem, ukazując zupełnie inny obraz. Pielęgniarki uwijali się z tacami. Nieopodal przeszła siostra, niosąc pojemniki z krwią. Za nią szła druga, popychając wózek z zestawem resuscytacyjnym. Trzej sanitariusze stali przy punkcie rejestracji, nic nie mówiąc. Dwaj wciąż mieli na rękach jasnozielone rękawiczki umazane krwią.

Lash rozejrzał się, szukając jakiejś znajomej twarzy. Niemal natychmiast spostrzegł głównego rezydenta, Alfreda Chena, idącego ku niemu. Zazwyczaj Chen poruszał się z powolną, dostojną gracją proroka, z uśmiechem na swej okrągłej twarzy. Tego wieczoru szedł szybko i nie uśmiechał się.

Rezydent nie odrywał oczu od kartki na metalowej podkładce, którą trzymał w rękach. Nie zauważył Lasha. Kiedy przechodził obok, Lash wyciągnął rękę.

— Cześć, Alfred. Jak leci?

Chen przez moment patrzył pustym wzrokiem.

— Och. Chris. Cześć. — Uśmiech na moment pojawił się na jego wargach. — Mogłoby być lepiej. Posłuchaj, mam...

— Przyjechałem zobaczyć Wilnerów.

Chen wyglądał na zdziwionego.

— Właśnie do nich idę. Chodź ze mną.

Lash poszedł z rezydentem.

— To twoi pacjenci? — zapytał Chen.

— Prawdopodobnie.

— Jak dowiedziałeś się tak szybko? Przywieźli ich pięć minut temu.

— Co się stało?

— Według policji próba samobójstwa. I to bardzo starannie wykonana. Żyła odpromieniowa, otwarta na całej długości, od nadgarstka do łokcia.

— W wannie?

— To właśnie jest dziwne. Znaleziono ich oboje w łóżku. Ubranych.

Lash poczuł, że mimo woli zaciska zęby.

— Kto ich znalazł?

— Krew przeciekła przez sufit do apartamentu poniżej i właściciel wezwał policję. Musieli tak leżeć kilka godzin.

— Jaki jest ich stan?

— John Wilner wykrwawił się. — Chen westchnął. — Zastali go martwego. Jego żona żyje, lecz jest w ciężkim stanie.

— Mieli dzieci?

— Nie. — Chen spojrzął na kartą. — Jednak Karen Wilner jest w piątym miesiącu ciąży.

Przed nimi pielęgniarka z zestawem reanimacyjnym znikła za parawanem. Chen poszedł za nią. Lash deptał mu po piętach.

Za parawanem panował taki tłok, że w pierwszej chwili Lash nie widział łóżka. Gdzieś w pobliżu EKG popiskiwało w niebezpiecznie szybkim tempie. Wiele osób mówiło jednocześnie, spokojnie, lecz pospiesznie.

— Tętno sto dwadzieścia, częstoskurcz zatokowy — powiedział kobiecy głos.

— Skurczowe siedemdziesiąt.

Nagle włączył się alarm, dodając swoje ponure wycie do zgiełku.

— Podać więcej osocza!

Ten głos był głośniejszy, bardziej ponagląjący.

Lash przesunął się za plecami odzianych na niebiesko osób, tuż przy parawanie, w kierunku wezgłowia. Kiedy wcisnął się między dwa stojaki z aparaturą medyczną, w końcu zobaczył Karen Wilner.

Była jak z alabastru, tak blada, że Lash dostrzegł niewiarygodnie wyraźną siatką pustych naczyń krwionośnych na szyi, piersiach i ramionach. Rozcięto jej bluzkę oraz biustonosz i umyto klatkę piersiową, ale wciąż miała na sobie spódnice i tam kończyła się biel. Materiał przesiąkł krwią. W zgięcia obu rąk wprowadzono kroplówki, przez które podano plazmę i roztwór soli fizjologicznej. Poniżej, na przedramionach założono opaski uciskowe i lekarze starali się pozszywać rozcięte żyły.

— Mamy skurcz naczyniowy — powiedziała pielęgniarka, przykładając dłoń do czoła pacjentki.

Karen Wilner nie otworzyła oczu i nie zareagowała na ucisk. Lash przysunął się bliżej i przyklęknął obok nieruchomej twarzy.

— Pani Wilner — wymamrotał. — Dlaczego? Czemu to zrobiliście?

— Co pan robi? — zapytała pielęgniarka. — Kim jest ten facet?

Popiskiwanie elektrokardiografu zwolniło, stało się ospałe i nieregularne.

— Bradykardia! — zawołał ktoś. — Ciśnienie spadło do czterdziestu pięciu na dwadzieścia.

Lash przysunął się jeszcze bliżej.

— Karen — powiedział ponagłająco. — Muszę wiedzieć dlaczego. Proszę.

— Christopherze, odsuń się — ostrzegł go Chen z drugiej strony łóżka.

Powieki kobiety poruszyły się znów zamknęły i ponownie uniosły. Były suche i jeszcze bledsze niż jej skóra.

— Karen — powtórzył Lash, kładąc dłoń na jej ramieniu. Było jak marmur.

— Żeby ucichł — raczej tchnęła, niż powiedziała.

— Kto miał ucichnąć?

— Ten głos — odparła kobieta, niemal bezdźwięcznie. — Ten głos w mojej głowie.

Znów zamknęła powieki i głowa opadła jej na bok.

— Tracimy ją! — zawołała pielęgniarka.

— Jaki głos? — pytał Lash, nachylając się. — Karen, jaki głos?

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu i odciągnął go.

— Proszę odsunąć się od łóżka — powiedział pielęgniarz, błyskając oczami nad białą gazą maski.

Lash wycofał się między stojaki z aparaturą. Elektrokardiograf zawodził teraz piskliwie i nieprzerwanie. Pielęgniarka już podtaczała do łóżka wózek z defibrylatorem.

— Naładowany? — zapytał doktor Chen, biorąc elektrody.

— Sto dzuli.

— Cofnąć się! — zawołał Chen.

Lash patrzył, jak ciało Karen Wilner sztywnieje pod wpływem ładunku elektrycznego. Zwisające ze stojaków przewody kropłówek gwałtownie się zakołysały.

— Jeszcze raz! — krzyknął Chen, trzymając w powietrzu elektrody.

Przez moment spoglądał Lashowi w oczy. Choć to spojrzenie było przelotne, mówiło wszystko.

Po raz ostatni badawczo spojrzawszy na Karen Wilner, Lash odwrócił się i wyszedł.

## 10

Tym razem, gdy Edwin Mauchly wprowadził Lasha do sali konferencyjnej Edenu, prawie wszystkie miejsca przy stole były zajęte. Lash rozpoznał niektóre twarze: Harold Perrin, były prezes Komisji Rezerw Federalnych i Caroline Long z Fundacji Longa. Innych nie znał. Jednak nie ulegało wątpliwości, że miał przed sobą cały zarząd Eden Incorporated. Brakowało tylko unikającego ludzi założyciela firmy, Richarda Silvera. Chociaż w ciągu ostatnich lat rzadko dawał się fotografować, niewątpliwie żadna z tych twarzy nie należała do niego. Niektórzy spoglądali na Lasha z ciekawością, inni z czymś, co zapewne było nadzieją.

John Lelyveld siedział na tym samym fotelu co podczas pierwszego spotkania.

— Doktorze Lash.

Wskazał mu jedyne wolne miejsce. Mauchly cicho zamknął drzwi sali i stanął przed nimi, założywszy ręce z tyłu. Prezes zwrócił się do kobiety siedzącej po prawej.

— Proszę nie notować, jeśli łaska, pani French. — Potem znów spojrzął na Lasha. — Ma pan na coś ochotę? Kawa, herbata?

— Kawę, jeśli można.

Lash obserwował twarz Lelyvelda, gdy ten dokonał szybkiej prezentacji. Łagodny, niemal dobronuduszy nastrój poprzedniego

spotkania znikł. Teraz prezes Edenu był sztywny, skupiony, trochę nieobecny. To już nie jest zbieg okoliczności, pomyślał Lash, i on to wie. Pośrednio lub bezpośrednio Eden był w to zamieszany.

Przyniesiono kawę i Lash przyjął ją z wdzięcznością: przez całą noc był tak zajęty, że nawet nie zmrużył oka.

— Doktorze Lash — powiedział Lelyveld. — Myślę, że wszyscy poczują się lepiej, jeśli od razu przejdziemy do sedna. Zdaję sobie sprawę z tego, że było niewiele czasu, ale może mógłby pan w skrócie przedstawić, czego się pan dowiedział i czy... — Urwał i spojrzał na zebranych. — Czy można to jakoś wyjaśnić.

Lash upił łyk kawy.

— Rozmawiałem z koronerem i miejscową policją. Pozornie wszystko nadal wskazuje na początkową koncepcję podwójnego samobójstwa.

Lelyveld zmarszczył brwi. Kilka miejsc dalej mężczyzna, którego przedstawił jako Gregory'ego Minora, wiceprezesa zarządu, niespokojnie wiercił się w fotelu. Był młodszy od Lelyvelda, ciemnowłosa, o inteligentnym, przenikliwym spojrzeniu.

— A co z Wilnerami? — zapytał. — Czy można to jakoś wytłumaczyć?

— Nie. Jest tak samo jak z Thorpe'ami. Wilnerowie mieli wszystko. W izbie przyjęć rozmawiałem z lekarzem, który ich znał. Mieli dobre posady: John był bankierem, a Karen bibliotekarką na uniwersytecie. Była w ciąży. Żadnych skłonności do depresji ani innych chorób. Żadnych kłopotów finansowych ani rodzinnych tragedii. Badanie krwi niczego nie wykazało. Dopiero po wnikliwym dochodzeniu uzyskamy całkowitą pewność, ale raczej nic nie wskazuje na skłonności samobójcze.

— Oprócz ciąż — rzekł Minor.

— Badanie podczas zjazdu absolwentów również nic nie wykazało. Wydawali się równie szczęśliwi jak pozostałe pary. — Lelyveld spojrzał na Lasha. — Użył pan sformułowania „pozornie”. Zechciałby pan to rozwinąć?



Lash upił następny łyk kawy.

— To oczywiście, że samobójstwa we Flagstaff i w Larchmont coś łączy. Nie ma mowy o zbiegu okoliczności. Tak więc musimy traktować te incydenty jako coś, co w Quantico nazywamy „niejednoznacznym zgonem”.

— Niejednoznaczny zgon? — powtórzyła siedząca po jego prawej ręce Caroline Long. W sztucznym oświetleniu jej włosy były prawie bezbarwne. — Proszę wyjaśnić.

— To termin wprowadzony przez FBI przed dwudziestoma laty. Znamy ofiary, wiemy, jak zginęły, ale jeszcze nie wiemy jaką śmiercią. W tym wypadku może to być podwójne samobójstwo, zabójstwo i samobójstwo lub podwójne zabójstwo.

— Zabójstwo? — powtórzył Minor. — Chwileczką. Powiedział pan, że policja traktuje to jako samobójstwo.

— Wiem.

— I wszystko, co pan ustalił, tylko to potwierdza.

— Zgadza się Wspomniałem o niejednoznacznych zgonach, ponieważ mamy tu zagadkę. Wszystkie fizyczne dowody wskazują na samobójstwo. Jednak dane psychologiczne dowodzą czegoś innego. Tak więc nie możemy wykluczyć żadnej ewentualności.

Spojrzał na zebranych. Kiedy nikt się nie odezwał, podjął przerwany wywód.

— Jakie to możliwości? Jeśli mamy do czynienia z zabójstwem, to musiał popełnić je ktoś, kto znał obie pary. Może odrzucony konkurent? Albo ktoś, kto został odrzucony przez Eden w procesie weryfikacji i teraz żywi urazę?

— Niemożliwe — powiedział Minor. — Nasze rejestry są ściśle tajne. Żaden odrzucony kandydat nie zna tożsamości ani adresów naszych klientów.

— Mogli poznać się w holu w dniu składania podań. Albo któraś z par mogła pochwalić się przed niewłaściwą osobą wizytą w Edenie.

Lelyveld powoli pokręcił głową.

— Nie sądę. Nasza ochrona zaczyna działać od chwili, gdy klient wchodzi do budynku. Przeważnie nie rzuca się w oczy,

ale to wyklucza sytuację, którą pan opisał. Co do drugiej ewentualności, to przestrzegamy naszych klientów przed chwaleniem się wizytą w Edenie. I sprawdzamy to podczas zjazdu absolwentów. Zarówno Thorpe'owie, jak Wilnerowie zachowali w tajemnicy to, jak się poznali. Lash dopił kawę.

— W porządku. Wróćmy do samobójstwa. Może w doborze superpary tkwi jakiś błąd. Jakaś psychopatologia, głęboko ukryta i subtelna, coś, czego nie wykazują rutynowe badania podczas waszych... Jak je nazywacie? Zjazdów absolwentów.

— Nonsens — rzekł Minor.

— Nonsens? — Lash podniósł brwi. — Natura nie znosi perfekcji, panie Minor. Czyste złoto jest tak miękkie, że nie nadaje się do obróbki, przez co staje się bezwartościowe. Tylko fraktale są idealne, ale nawet one w zasadzie są asymetryczne.

— Sądzę, że Greg chciał powiedzieć, że nawet gdyby to było możliwe, zwrócilibyśmy na to uwagę — rzekł Lelyveld. — Nasze badania psychologiczne są niezwykle szczegółowe. Takie zjawisko wyszłoby na jaw w trakcie oceny.

— To tylko teoria. Tak czy inaczej zabójstwo czy samobójstwo, kluczem jest Eden. To jedyne, co łączy obie pary. Dlatego muszę lepiej poznać proces doboru. Chcę zobaczyć to, co widzieli Thorpe'owie i Wilnerowie jako wasi klienci. Chcę wiedzieć, w jaki sposób zostali dobrani jako superpary. I muszę uzyskać dostęp — nieograniczony — do ich akt.

Tym razem Gregory Minor zerwał się z fotela.

— To nie wchodzi w rachubę! — Zwrócił się do Lelyvel-  
da. — Wiesz, że od początku miałem zastrzeżenia, John. Wprowadzanie kogoś z zewnątrz za Mur jest niebezpieczne i destabilizujące. Co innego, kiedy mieliśmy do czynienia z pojedynczym incydem, który dotyczył nas tylko pośrednio. Jednak po tym, co stało się zeszłej nocy... No cóż, ryzyko jest zbyt duże.

— Za późno — powiedziała Caroline Long. — Teraz ryzykujemy więcej niż tylko tajemnice firmy. Kto jak kto, ale ty, George, powinienesz to rozumieć.

— No to zapomnijmy na moment o bezpieczeństwie. Po prostu nie ma sensu wprowadzać do firmy kogoś takiego jak Lash. Czytaliście jego akta, o tej paskudnej historii przed jego odejściem z FBI. Zatrudniamy setkę psychologów z nienaganymi referencjami. Pomyślcie, ile czasu i wysiłku będzie kosztowało zapoznanie go ze wszystkim. I po co? Nikt nie wie, dlaczego ci ludzie umarli. Kto może stwierdzić, że mamy powody sądzić, że to się powtórzy?

— A chce pan zaryzykować? — odparował gniewnie Lash. — Ponieważ jedno mogę panu powiedzieć na pewno. Mielicie dużo szczęścia. Do tych samobójstw doszło w dwóch odległych miejscach. A w przypadku Wilnerów tak blisko was, że zdołaliście wyciszyć sprawę i ukryć ją przed prasą. Dlatego nikt nie zwrócił uwagi na podobieństwo tych zdarzeń. Jeśli jednak trzecia para zdecyduje się zrobić to samo, za cholere nie zdołacie utrzymać tego w tajemnicy.

Usiadł lekko zdyszany. Podniósł filiżankę z kawą, przypomniał sobie, że jest pusta, i odstawił z powrotem.

— Obawiam się, że doktor Lash ma rację — powiedział spokojnie Lelyveld. — Musimy ustalić, co się dzieje, i położyć temu kres, tak czy inaczej — nie tylko ze względu na Thorpe'ów i Wilnerów, ale i sam Eden. — Spojrzał na Minora. — Greg, sądzę, że nieświadomość jest w tym wypadku zaletą, a nie wadą. Wprawdzie doktor Lash jeszcze nie rozumie procesu doboru, ale może spojrzeć nań świeżym okiem. Z tuzina kandydatów, których braliśmy pod uwagę, ma najlepsze kwalifikacje. Mamy już jego pisemne zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Uważam, że powinniśmy przeprowadzić głosowanie, czy wprowadzić go do firmy.

Upił łyk wody ze szklanki stojącej obok, a potem w ciszy podniósł rękę.

Powoli podniosła się następna, a potem jeszcze jedna i jeszcze. Wkrótce wszyscy trzymali ręce w górze, poza Gregorym Minorem i siedzącym obok niego mężczyzną w ciemnym garniturze.

— Decyzja przegłosowana — oznajmił Lelyveld. — Doktorze Lash, Edwin wprowadzi pana we wszystko.

Lash wstał.

Jednak Lelyveld jeszcze nie skończył.

— Uzyskuje pan bezprecedensowy dostęp do wewnętrznych procedur Edenu. Otrzymał pan możliwość, jakiej dotychczas nie miał nikt inny dysponujący pańską wiedzą: poznać proces doboru jako klient. Powinien pan pamiętać stare powiedzenie: uważaj z życzeniami, bo mogą się spełnić.

Lash skinął głową i odwrócił się.

— I jeszcze jedno, doktorze Lash — zatrzymał go głos Lelyvelda.

Lash odwrócił się do prezesa.

— Niech pan działa szybko. Szybko.

Gdy Mauchly otworzył drzwi, Lash usłyszał, jak Lelyveld mówi:

— Może pani znów protokółować przebieg posiedzenia, pani French.

# 11

Kevin Connelly szedł po szerokim asfaltowym parkingu Stoneham Corporate Center do swojego samochodu. Był to mercedes klasy S, nisko zawieszony i srebrzysty, i Connelly przezornie zaparkował go z daleka od innych: warto przejść kilka kroków dalej, żeby uniknąć wgnieceń i zadrapań.

Przekreślił kluczyk w zamku, otworzył drzwi i opadł na czarną skórę. Connelly uwielbiał dobre samochody, a w tym mercedesie wszystko — cichy trzask zamykanych drzwi, dobra amortyzacja fotela, pomruk silnika — sprawiało mu radość. Dodatkowe wyposażenie było warte każdego centa z tych dwudziestu tysięcy, jakie dopłacił do ceny podstawowej. Był taki czas, niezbyt odległy, kiedy sama jazda do domu była dla niego najprzyjemniejszym wydarzeniem wieczoru.

Ten czas już minął.

Connelly opuścił parking i wjechał na drogę dojazdową do Route 12 8, w myślach planując trasę podróży. Zatrzyma się przy Burlington Wine Merchants i kupi butelkę perrier-jouet, a potem odwiedzi kwiaciarnię obok i kupi bukiet. W tym tygodniu fuksje, zdecydował: nie będzie się spodziewała fuksji. Kwiaty i szampan stały się tradycją jego sobotnich wieczorów z Lynn, która lubiła żartować, że jedyną zagadką był kolor róż, jakie jej przyniesie.

Gdyby ktoś mu powiedział zaledwie przed kilkoma laty, jak bardzo Lynn zmieni jego życie, wyśmiałby go. Miał ekscytującą

i odpowiedzialną pracę jako dyrektor firmy software'owej; miał mnóstwo przyjaciół i więcej niż dość zainteresowań, żeby wypełnić wolny czas; robił pieniądze i nigdy nie miał problemów z kobietami. A jednak podświadomie chyba zdawał sobie sprawę z tego, że czegoś mu brakuje. W przeciwnym razie nigdy nie odwiedziłby Edenu. Jednak nawet po przejściu męczących badań, nawet po uiszczeniu wynoszącej dwadzieścia pięć tysięcy dolarów opłaty, nie miał pojęcia, jak kompletnym Lynn uczyni jego życie. Jakby do tej pory był ślepy i nigdy nie wiedział, czego mu brak, dopóki nagle nie odzyskał wzroku.

Wjechał na drogę szybkiego ruchu i wtopił się w weekendowy sznur pojazdów, ciesząc się płynnym przyspieszeniem zapewnianym przez moc silnika. Pamiętał, jak dziwnie się poczuł tamtego wieczoru, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Przez pierwszych piętnaście minut, a może dłużej, myślał, że to koszmarna pomyłka, że ci z Edenu pokręcili coś, może zamienili nazwiska. Podczas ostatniego spotkania ostrzeżono go, że to często spotykana reakcja, lecz to nie pomogło: pierwszą część randki spędził, patrząc na siedzącą z nim przy stoliku kobietę, która wcale nie wyglądała tak, jak oczekiwał, i zastanawiał się, jak szybko zdoła odzyskać te dwadzieścia pięć tysięcy, które zapłacił za ten zwariowany pomysł.

Jednak nagle coś się stało. Nawet teraz, obojętnie ile razy on i Lynn żartowali z tego w ciągu następnych miesięcy, nie potrafił powiedzieć, co to było. Coś go wzięło. W trakcie kolacji odkrył w sposób, jakiego nigdy by się nie spodziewał, ich wspólne zainteresowania, gusta, upodobania i niechęci. Jeszcze bardziej intrygujące były różnice między nimi. Tak jakby w jakiś sposób wzajemnie się uzupełniali. Zawsze był kiepskim lingwistą — ona płynnie mówiła po francusku i hiszpańsku, i wyjaśniła mu, dlaczego czynna nauka języka jest bardziej naturalna od wkuwania podręcznika. Przez drugą połowę kolacji mówiła wyłącznie po francusku i zanim podano mu *creme brulee*, dziwił się, jak wiele rozumie. Na drugiej randce dowiedział się, że Lynn boi się latać; jako pilot i współwłaściciel awionetki wyjaśnił jej, jak przezwyciężyć ten lęk, oraz zaproponował, żeby spróbowała to zrobić, latając z nim jego *cessną*.

Zmienił pas, uśmiechając się do siebie. To były nieporadne próby wyjaśnienia i zdawał sobie z tego sprawę. Ich osobowości dopełniały się w sposób chyba zbyt subtelny i skomplikowany, żeby to opisać. Mógł ją tylko porównać z innymi kobietami, które znał. Prawdziwą różnicą — fundamentalną cechą — było to, że znał ją już prawie dwa lata, a jednak był teraz tak podekscytowany czekającym go spotkaniem, jakby dopiero co się zakochał.

Nie był doskonały, na pewno nie. Przeprowadzone w Edenie badania psychologiczne aż nazbyt jasno wykazały wszystkie jego wady. Bywał niecierpliwy, arogancki i tak dalej. Jednak przy Lynn się zmienił. Nauczył się od niej spokojnej pewności siebie, cierpliwości. A ona nauczyła się czegoś od niego. Kiedy się poznali, była cicha, trochę zamknięta w sobie. Przy nim się wyluzowała. Nadal czasem bywała wyciszona — na przykład w ciągu paru ostatnich dni — ale w tak subtelny sposób, że nikt oprócz niego tego nie zauważał.

Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, kiedy zgłosił się do Edenu, najbardziej niepokoił go seks. Miał już swoje lata i sporo związków za sobą, więc maratony łózkowe nie były już dla niego tak ważne jak kiedyś. W żadnym razie nie był jeszcze kandydatem do viagry, ale stwierdził, że teraz musi naprawdę darzyć kobietę głębszym uczuciem, żeby na niego działała. Na tym właśnie polegał problem z jego poprzednim związkiem: partnerka była od niego o piętnaście lat młodsza i jej apetyt seksualny, który by go cieszył, gdyby był młodym ogierem, okazał się trochę przytłaczający.

Z Lynn nie miał takiego problemu. Była tak cierpliwa i kochająca — a jej ciało tak cudownie wrażliwe na jego dotyk — że seks z nią był najlepszy, jaki miał w życiu. I jak wszystko inne w ich małżeństwie, z czasem stawał się jeszcze lepszy. Na myśl o zbliżającej się rocznicy ślubu przeszedł go elektryzujący dreszcz pożądania. Spędzają w Kanadzie, nad Niagarą, gdzie spędzili miesiąc miodowy. Jeszcze tylko kilka dni, pomyślał Connelly, zwalniając przed zjazdem. Jeśli coś niepokoi Lynn, to Pani Mgieł szybko rozproszy i przegna te obawy.

## 12

O 8.55 w niedzielny rano Christopher Lash przecisnął się przez drzwi obrotowe i wszedł do holu Eden Incorporated, otoczony dziesiątkami innych, pełnych nadziei klientów. Był chłodny, słoneczny jesienny dzień i ściany z różowego granitu lśniły. Dziś zostawił torbę w domu. Oprócz portfela i kluczyków od samochodu Lash miał w kieszeni tylko otrzymaną podczas ostatniego spotkania z Mauchlym kartę, z krótkim napisem: Obsługa kandydata, 9 rano, niedziela.

Idąc w kierunku ruchomych schodów, Lash w myślach sumował przygotowania do testu, których uczył się ponad dziesięć lat wcześniej w akademii. Dobrze się wyśpij. Zjedz śniadanie bogate w białka, ale nie cukry. Żadnego alkoholu i narkotyków. Nie panikuj.

Trzy warunki z czterech niespełnione, pomyślał. Był zmęczony i chociaż po drodze wypił dużą kawę w lokalu Starbucks, miał ochotę na następną. I chociaż daleko mu było do panikowania, zdawał sobie sprawę z tego, że jest dziwnie nerwowy. To normalne, powiedział sobie: odrobina napięcia poprawia koncentrację. Mimo to wciąż przypominał sobie, co rzekł tamten mężczyzna na zjeździe absolwentów, który Lash obserwował: „Gdybym wiedział, co mnie czeka, nie wiem, czy miałbym dość ikry, żeby poddać się tej ocenie. To był ciężki dzień”.

Podchodząc do ruchomych schodów, odsunął od siebie tę



myśl. Zdumiewające, że zapotrzebowanie na usługi Edenu było tak ogromne, że firma musiała obsługiwać klientów siedem dni w tygodniu. Wszedł na stopień i z zaciekawieniem spojrzął na ludzi jadących w górę sąsiednimi schodami, po lewej. Co się działo w głowie Lewisa Thorpe'a, kiedy jechał tymi schodami? Albo Johna Wilnera? Czy byli podekscytowani? Zdenerwowani? Wystraszeni?

Gdy tak patrzył, na sąsiednich schodach zobaczył dwoje ludzi — mężczyznę w średnim wieku i młodą kobietę, oddzielonych od siebie kilkoma osobami — którzy wymienili znaczące spojrzenia. Mężczyzna niemal niedostrzegalnie skinął głową, a kobieta odwróciła wzrok. Lash pomyślał o tym, co mówił prezes: ochrona subtelna, ale wszechobecna. Czyżby niektórzy z tych klientów w rzeczywistości byli pracownikami Edenu?

Wjechawszy na górę, Lash przeszedł pod szerokim łukiem i poszedł korytarzem, obwieszonym plakatami z uśmiechniętymi parami. Ledwie widoczne linie na podłodze dzieliły ją na szereg szerokich pasów, biegnących wzdłuż korytarza. W efekcie kandydaci — z własnej woli, choć subtelnie sterowani — nie tłoczyli się i szli obok siebie. Na końcu każdego pasa znajdowały się drzwi. Przed każdymi stał technik w białym fartuchu. Lash zobaczył, że ten stojący na końcu jego pasa jest wysokim i szczupłym mężczyzną około trzydziestki.

Skłonił się podchodzącemu Lashowi i otworzył drzwi.

— Proszę wejść — powiedział.

Lash spojrzął i zobaczył, że technicy przy innych drzwiach robią to samo. Wszedł.

Zobaczył następny korytarz, bardzo wąski, nieznośnie biały. Mężczyzna zamknął drzwi, po czy poprowadził go tunelem bieli. Po obszernym holu i szerokim korytarzu ten wydawał się nieznośnie ciasny. Lash poszedł za technikiem, aż dotarli do małego, prostokątnego pokoju. Był równie biały jak korytarz. Znajdowało się w nim tylko sześcioro identycznych drzwi. Zamiast klamek miały przyśrubowane małe czytniki kart. Na jednych drzwiach po przeciwnej stronie pomieszczenia znajdowała się tabliczka z symbolem toalety.

Mężczyzna odwrócił się.

— Doktorze Lash — powiedział. — Jestem Robert Vogel. Serdecznie witamy w Edenie.

— Miło mi — powiedział Lash, ściskając podaną dłoń.

— Jak pan się czuje?

— Dobrze, dziękuję.

— Przed nami długi dzień. Jeśli będzie miał pan jakies pytania lub wątpliwości, jestem do pańskich usług.

Lash skinął głową, a mężczyzna wsunął rękę do kieszeni fartucha i wyjął palmtopa. Wyciągnął rysik z uchwytu i zaczął pisać. Po chwili zmarszczył brwi.

— O co chodzi? — zapytał pośpiesznie Lash.

— Nic. Po prostu... — Technik wyglądał na zdziwionego. — Po prostu system pokazał pana jako już zakwalifikowanego do oceny. Jeszcze nigdy tego nie widziałem. Nie przechodził pan badań wstępnych?

— Nie. Jeśli to jakiś problem...

— Och, nie. Poza tym wszystko w porządku. — Technik szybko doszedł do siebie. — Oczywiście rozumie pan, że nie zostanie pan formalnie zaakceptowany jako kandydat przed dzisiejszym badaniem?

— Tak.

— I że jeśli nie zostanie pan zaakceptowany, opłata wstępna w wysokości tysiąca dolarów jest bezzwrotna?

— Tak.

Oczywiście Lash nie uiścił żadnej opłaty wstępnej, ale ten człowiek nie musiał tego wiedzieć. Lash uspokoił się. Najwyraźniej Vogel nie znał prawdziwego celu jego wizyty. Lash z naciskiem powiedział Mauchly'emu, że chce być traktowany jak prawdziwy kandydat, zobaczyć wszystko to, co widzieli Thorpe'owie i Wilnerowie.

— Jakies pytania, zanim zaczniemy?

Kiedy Lash przecząco pokręcił głową, Vogel wyjął kartę, która wisiała mu na szyi na długim czarnym sznurku. Lash spojrział na nią z zaciekawieniem: była koloru cyny, a jej blask nie całkiem skrywał złoto-zieloną barwę wtopionego w nią

mikroprocesora. Z jednej strony miała wytłoczony znak firmowy Edenu. Vogel przesunął ją przez czytnik na najbliższych drzwiach, które otworzyły się z cichym kliknięciem.

Pokój za nimi wydawał się odrobiną szerszy niż korytarz. Była w nim kamera cyfrowa na statywie, a za nią namalowany na podłodze X.

— Proszę stanąć na tym znaku i spojrzeć w obiektyw. Zadam panu dwa pytania. Proszę odpowiedzieć tak wyczerpująco i szczerze, jak pan potrafi.

Vogel stanął za kamerą. Niemal natychmiast na jej obudowie zapaliła się czerwona dioda.

— Dlaczego się pan tu znalazł? — zapytał Vogel.

Lash wahał się przez moment, przypomniawszy sobie kasety, które oglądał w domu we Flagstaff. Jeśli mam przejść przez to wszystko, pomyślał, powinienem robić to jak należy. A to znaczy uczciwie, unikając łatwych i cynicznych odpowiedzi.

— Jestem tutaj, ponieważ czegoś szukam — odparł. — Odpowiedzi.

— Niech pan opiszę jedną rzecz, jaką zrobił pan dziś rano i dlaczego uważa pan, że powinniśmy o tym wiedzieć.

Lash zastanowił się.

— Spowodowałem korek drogowy.

Vogel nic nie powiedział, a Lash dodał:

— Jechałem 1-95 w kierunku miasta. Mam przepustkę E-Zpass za przednią szybą, więc nie muszę płacić gotówką za przejazd tunelami i płatnymi drogami. Dostałem się na most na Manhattan. Trochę to trwało, ponieważ jedna z kas przy wjeździe była nieczynna. Czytnik wczytuje moją kartę. Jednak z jakiegoś powodu drewniany szlaban się nie podnosi. Czekam minutę, aż przychodzi obsługująca. Mówi mi, że moja karta jest nieważna. Anulowana. Na pewno jest ważna i opłacona. Tylko w tym tygodniu korzystałem z niej kilka razy. Najwyraźniej mają wadliwy system. Jednak kobieta żąda ode mnie sześciu dolarów za przejazd przez most. Mówię nie, niech to wyjaśni. Tymczasem jest czynna tylko jedna bramka na most. Kolejka za mną rośnie. Ludzie trąbią. Ona się upiera. Ja też. Policjant

zauważa zamieszanie i rusza w naszym kierunku. W końcu kobieta brzydko mnie nazywa, ręcznie otwiera bramkę i wpuszcza mnie na most. Przejeżdżając, posyłam jej mój najmiłszy uśmiech. Zamilkł, zastanawiając się, dlaczego akurat to przyszło mu do głowy. Potem uświadomił sobie, że to naprawdę jest zgodne z jego charakterem. Gdyby przyszedł tu jako prawdziwy klient, powiedziałby coś równie prozaicznego. Łzawa opowieść o tym, jak postanowił wyruszyć na poszukiwanie kobiety swoich marzeń, to nie w jego stylu.

— Chyba wspominałem o tym, ponieważ przypomina mi to mojego ojca — ciągnął Lash. — Był bardzo wojowniczy w takich drobnych sprawach, jakby toczył pojedynek z życiem. Może jestem do niego bardziej podobny, niż sądziłem.

Zamilkł i po chwili czerwona dioda zgasła.

— Dziękuję, doktorze Lash — powiedział Vogel. Odszedł od kamery. — A teraz zechce pan pójść za mną?

Wrócili do małego centralnego przedsiönka i Vogel przesunął kartą przez czytnik sąsiednich drzwi. Pokój za nimi był większy od pierwszego. Stało w nim krzesło i biurko, a na nim plastikowy sześcianik z zatemperowanymi ołówkami. Ten pokój też był cały biały. Cały sufit miał pokryty styropianowymi płytami. Wszystkie te pokoiki, identycznie białe i puste, każdy mający inne przeznaczenie, przypominały Lashowi pokoje przesłuchań w nieco złagodzonej wersji.

Vogel wskazał mu krzesło.

— Nasze testy mają limit czasowy, ale tylko dlatego, by mieć pewność, że odpowie pan na wszystkie niezbędne pytania do końca dnia. Ma pan godzinę i sądzę, że tyle w zupełności panu wystarczy. Nie ma dobrych czy złych odpowiedzi. Gdyby miał pan jakieś pytania, będę na zewnątrz.

Położył na biurku dużą białą kopertę, a potem opuścił pokój, cicho zamykając za sobą drzwi.

W pomieszczeniu nie było zegara, więc Lash zdjął zegarek i położył go na blacie. Podniósł kopertę i wysypał zawartość na dłoń. W środku była cienka instrukcja wypełniania testu i czysta karta odpowiedzi.

**EDEN INC.**

Zastrzeżone i poufne

**KARTA ODPOWIEDZI**

**STRONA 1 - ZACZĄĆ OD TEJ STRONY**

**ZAZNACZANIE ODPOWIEDZI**

Proszę odpowiadać na każde z pytań, zakreślając jedną z pięciu następujących odpowiedzi na załączonej karcie odpowiedzi

zdecydowanie tak    tak    nie mam zdania    nie    zdecydowanie nie

Proszę nie pomijać żadnych pytań i starać się wyraźnie zaznaczać odnowi ^d7i . Nie robić żadnych niepotrzebnych dodatkowych znaków. W razie konieczności zmiany odpowiedzi najpierw dokładnie wymazać poprzednią.

Nieprawidłowo:  )B[

Nieprawidłowo:  O

Prawidłowo:

=====

ehk90000000049a

Lash pospiesznie przejrzał pytania. Rozpoznał podstawową strukturę: test osobowościowy, jeden z tych rozstawionych przez Minnesota Multiphasic Personality Inventory. Wydawało się to dziwnym wyborem ze strony Edenu: takie testy były głównie stosowane w diagnostyce psychoanalitycznej i nie wychwytywały indywidualnych upodobań lub niechęci, lecz pozwalały zaliczyć osobowość do jednego z wielu typów. Ponadto ten test był bardzo obszerny: podczas gdy MMPI-2 składał się z pięćuset sześćdziesięciu siedmiu pytań, ten miał ich dokładnie

tysiąc. Lash doszedł do wniosku, że zapewne poszerzono procedurą weryfikacji. Takie testy zawsze zawierały pewną liczbę powtarzających się pytań, mających sprawdzić, czy badany odpowiada konsekwentnie. Eden był bardzo ostrożny.

Uświadomił sobie, że zegar tyka. Z westchnieniem wziął ołówek z plastikowego sześcianu i zabrał się do pierwszego pytania.

1. Lubię oglądać huczne parady.

Lash lubił, więc zakreślił O w kolumnie „tak”.

2. Czasem słyszę głosy, których inni nie słyszą.

No, po prostu bomba. Nie ma dobrych ani złych odpowiedzi — akurat. Gdyby odpowiedział twierdząco, znacznie zwiększyłby prawdopodobieństwo, że jest schizofrenikiem. Zakreślił odpowiedź „zdecydowanie nie”.

3. Nigdy nie wybucham gniewem.

Lash rozpoznał typ pytania po użytym słowie „nigdy”. Wszystkie testy osobowościowe zawierają tak zwane procedury weryfikacyjne: pytania wykazujące, czy badany kłamie, przesadza, udaje (na przykład odważnego w przypadku kandydatów do służby w policji lub umyślowo chorego w celu uzyskania renty). Lash wiedział, że jeśli ktoś zbyt często twierdzi, że nigdy się nie boi, nigdy nie kłamie, nigdy nie wpada w złość, jego współczynnik kłamstwa przekracza wartość krytyczną i test zostaje odrzucony jako bezwartościowy. Zakreślił „nie”.

4 . Większość ludzi uważa mnie za osobę wylewną.

To pytanie mające ustalić skłonności ekstrawertyczne lub introwertyczne. W takich testach otwartość jest pożądaną cechą. Jednak Lash wołał być skryty. Ponownie zakreślił „nie”.

Ołówek złamał się i Lash zaklął pod nosem. Minęło już pięć minut. Jeśli ma go ukończyć, musi zrobić to jak typowy klient, instynktownie odpowiadając na pytania, a nie analizując każde z nich. Wziął nowy ołówek i ponownie zabrał się do pracy.

Do dziesiątej odpowiedział na cały zestaw pytań i Vogel zrobił mu pięciominutową przerwę. Potem ponownie posadził go za biurkiem, zostawił na chwilę i wrócił z następną białą kopertą oraz kawą, o którą poprosił Lash. Bezkofeinowa, ale tylko taką tu mieli. Lash otworzył kopertę i odkrył, że zawierała zestaw testów na inteligencję: percepcyjnych, wzrokowo-prze-strzennych i pamięciowych. Te testy również były obszerniejsze i dokładniejsze od wszystkich, jakie znał, i zanim je skończył, była prawie jedenasta.

Następna pięciominutowa przerwa, kolejny kubek bezkofeinowej kawy i trzecia koperta. Przecierając podkrążone oczy, Lash otworzył ją i wyjął plik spiętych razem kartek. Tym razem test zawierał długą listę niedokończonych zdań:

- Chciałbym, żeby mój ojciec .....
- Chyba najbardziej lubię jeść .....
- Moim największym błędem było .....
- Uważam, że dzieci są .....
- Chciałbym, żeby inni ludzie .....
- Wierzę, że jednoczesny orgazm .....
- Uważam, że czerwone wino .....
- Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby .....
- Niektóre obszary mojego ciała są bardzo.....
- Wiosenne wędrowki po górach są .....
- Książka, która wywarła na mnie największy wpływ, to ....

No wreszcie: osobiste, intymne pytania, jakich wyraźnie brakowało w pierwszym teście. Lash znowu oszacował ich liczbę na blisko tysiąc. Gdy przeglądał niedokończone zdania, instynktownie — zarówno jako człowiek, jak i profesjonalista — miał ochotę skłamać. Jednak przypomniał sobie, że półśrodki nic tu nie dadzą. Jeśli ma w pełni zrozumieć proces

doboru, musi przejść przezeń z takim samym zaangażowaniem jak Wilnerowie i Thorpe'owie. Wziął nowy ołówek, zastanowił się nad pierwszym zdaniem i dokończył je:

Chciałbym, żeby mój ojciec częściej mnie chwalił.

Zanim Lash dokończył ostatnie zdanie, dochodziła dwunasta trzydzieści i czuł początki bólu głowy, rozchodzącego się od skroni i za oczami. Vogel przyszedł z długą wąską kartką w rękę i przez jedną okropną chwilę Lash sądził, że to następny test. Jednak to było menu. Chociaż nie miał apetytu, posłusznie wybrał dania na lunch i oddał menu Vogelowi. Ten zaproponował mu, żeby skorzystał z toalety, i wyszedł z pokoju, zostawiając otwarte drzwi.

Zanim Lash wrócił, Vogel zdążył już przynieść składane krzesło i ustawił je tuż za jego krzesłem. Na miejscu sześcianika z ołówkami stało teraz podłużne pudełko z czarnego kartonu.

— Jak pan się czuje, doktorze Lash? — zapytał Vogel, usiadłszy na składanym krześle.

Lash przetarł oczy.

— Ogłuszony.

Usta Vogla skrzywiły się w przelotnym uśmiechu.

— Wiem, że to wydaje się nieludzkie. Jednak z naszych danych wynika, że najlepsze rezultaty uzyskuje się w trakcie jednego dnia intensywnych badań. Proszę usiąść.

Otworzył pudełko, w którym znajdował się zestaw dużych kart. Widząc numerek widniejący na koszulce każdej karty, Lash zrozumiał, co go czeka. Był tak zaabsorbowany trzema pierwszymi testami, że prawie zapomniał o tym, którego wyniki przeglądał przed kilkoma dniami.

— Teraz przeprowadzimy test skojarzeniowy, zwany testem Hirschfeldta. Zna go pan?

— Mniej więcej.

— Rozumiem.

Vogel wyjął z pudełka czystą kartę kontrolną, zrobił notatkę.

— Zaczynamy. Będę pokazywał panu kleksy, jeden po



drugim, a pan będzie mi mówił, co widzi. — Wyjął z pudełka pierwszą kartę, odwrócił i położył na blacie, rysunkiem do góry. — Co to może być?

Lash spojrział na obrazek, starając się oczyścić umysł z wcześniejszych skojarzeń — szczególnie tych strasznych obrazów, jakie nieoczekiwanie stanęły mu przed oczami w Audubon Center.

— Widzę ptaka — powiedział. — Na samej górze. Jest podobny do kruka, a ta biała część to jego dziób. Cały obrazek przypomina wojownika, japońskiego, ninja albo samuraja. Z dwoma mieczami w pochwach, które sterczą na boki i w dół.

Vogel pisał w notesie. Lash wiedział, że dokładnie notuje jego wypowiedzi.

— Bardzo dobrze — powiedział po chwili. — Przejdźmy do następnego. Co to może być?

Lash przeszedł cały test, walcząc z rosnącym zmęczeniem, starając się udzielać własnych odpowiedzi, a nie takich, które są udzielane najczęściej. Do pierwszej Vogel zakończył zarówno etap swobodnych skojarzeń, jak i wyjaśnień, a ból głowy Lasha jeszcze się nasilił. Patrząc, jak Vogel chowa karty, zaczął rozmyślać o wszystkich tych klientach, którzy tego ranka weszli do budynku. Czy wszyscy siedzieli teraz na tym piętrze w takich pokoikach przesłuchań? Czy Lewis Thorpe był równie wyczerpany jak on i znużony oglądaniem tych nagich białych ścian?

— Na pewno jest pan głodny, panie Lash — powiedział Vogel, zamykając pudełko. — Chodźmy. Pański lunch czeka.

Chociaż nadal nie miał apetytu, Lash poszedł za nim przez mały przedsionek do jednych z drzwi w przeciwległej ścianie. Vogel przesunął kartą przez czytnik i drzwi otworzyły się, ukazując kolejny biały pokoik. Jednak w tym na trzech ścianach wisiały fotografie. Były to zwyczajne, ładnie oprawione zdjęcia lasów i morskiego brzegu, bez ludzi czy zwierząt, lecz po sterylnej pustce ranka spojrzenie Lasha przywarło do nich pożądliwie.

Lunch czekał na wyprasowanym lnianym obrusie: smażony łoś na zimno w sosie koperkowym, ryż, drożdżówka i kawa — oczywiście bezkofeinowa. Jedząc, Lash poczuł, że wraca

mu apetyt, a ból głowy przechodzi. Vogel, który dał mu spokój — nie zjeść, wrócił po dwudziestu minutach.

— Co teraz? — zapytał Lash, wycierając usta serwetką.

Nie miał wielkiej nadziei, że otrzyma odpowiedź na to pytanie, ale Vogel go zaskoczył.

— Jeszcze tylko dwa punkty programu — odparł. — Badanie lekarskie i rozmowa z psychologiem. Jeśli pan już skończył, możemy natychmiast zacząć.

Lash odłożył serwetkę i wstał, ponownie przypominając sobie, co tamten mężczyzna na zjeździe absolwentów mówił o swoich badaniach. Do tej pory były męczące, a nawet irytujące, ale nic poza tym. Z badaniem lekarskim jakoś sobie poradzi. A jako psycholog przeprowadził tyle rozmów, że wiedział, czego się spodziewać.

— Niech pan prowadzi — rzekł.

Vogel skierował go z powrotem do przedsionka i wskazał jedne z dwóch par drzwi, których jeszcze nie otwierał. Przesunął kartę przez czytnik, a potem zaczął pisać coś plastikowym rysikiem w swoim palmtopie.

— Może pan wejść, doktorze Lash. Proszę zdjąć ubranie i włożyć szpitalną koszulę, którą znajdzie pan w środku. Może pan powiesić rzeczy na wieszaku na drzwiach.

Lash wszedł do kolejnego pokoju, zamknął drzwi i rozbierając się, obejrzał pomieszczenie. Był to gabinet lekarski, niewielki, lecz zaskakująco dobrze wyposażony. W przeciwieństwie do poprzednich pokoi w tym znajdowało się mnóstwo różnych rzeczy, ale większości Lash wolałby nie oglądać: próbówki, szpatułki i strzykawki, jałowe opatrunki. W powietrzu unosił się słaby zapach środka dezynfekcyjnego.

Zaledwie Lash zdążył włożyć koszulę, gdy drzwi znów się otwały i wszedł inny mężczyzna. Był niski i śniady, o rzędniejących włosach i z wąsami jak szczotka. Z bocznej kieszeni jego białego fartucha zwisał stetoskop.

— Zobaczmy — powiedział, spoglądając na kartę, którą trzymał w dłoni. — Doktor Lash? Czy przypadkiem lekarz medycyny?

— Nie. Doktorat z psychiatrii.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze — rzekł lekarz, odkładając kartę i wkładając gumowe rękawiczki. — Teraz proszę się odprężyć, doktorze Lash. To nie powinno zająć nam dłużej niż godzinę.

— Godzinę? — powtórzył Lash i zamilkł, widząc, że lekarz wsadza palec do słoiczka z wazeliną.

Może sto tysięcy dolarów to jednak wcale nie takie wygórowane honorarium, pomyślał.

Wyliczenia lekarza okazały się trafne. W ciągu następnych sześćdziesięciu minut Lash przeszedł najbardziej złożone i męczące badanie lekarskie w swoim życiu. EKG i EEG, echokardiografia, próbki moczu, stolca i błony śluzowej, jak również nabłonka wyściółki jamy ustnej, szczegółowy wywiad z naciskiem na przebyte choroby do dwóch pokoleń wstecz, badanie odruchów i wzroku, testy neurologiczne i psychomotoryczne, dokładne badanie dermatologiczne. W pewnej chwili lekarz dał mu szklany pojemniczek i opuszczając pokój, poprosił Lasha o próbkę spermy. Gdy drzwi się zamknęły, Lash spojrzał na probówkę — chłodną w jego palcach — mając wrażenie, że to sen. To ma sens, powiedział mu cichy głos w głowie. Bezplodność lub impotencja mogą być poważnym problemem.

Po pewnym czasie poprosił lekarza, który podjął przerwane badanie.

— Jeszcze tylko próbka krwi — powiedział w końcu lekarz, biorąc stojak co najmniej z dwoma tuzinami szklanych probówek, jeszcze pustych. Proszę położyć się na kozetce.

Lash zrobił to i zamknął oczy, gdy poczuł, jak gumowa rurka zaciska się nad jego łokciem. Potem zimny dotyk betadyny, nacisk na końcu palca i ukłucie wbijanej igły.

— Proszę zacisnąć pięść — polecił lekarz. Lash zrobił to i ze stoickim spokojem zaczekał, aż pobierze mu co najmniej dwieście mililitrów krwi. W końcu ucisk gumowej rurki zelżał. Lekarz wyjął igłę i jednym zwinnym ruchem założył opatrunek. Potem pomógł Lashowi usiąść. — Jak się pan czuje?

— Dobrze.

— Świetnie. Może pan przejść do następnego pokoju.  
— Ale moje ubranie...  
— Będzie tu czekało na pana po zakończeniu badań. Lash zamrugnął, potem odwrócił się i wyszedł do przedsiionka. Vogel był tam, znowu coś pisał w swoim komputerowym notatniku. Jego zwykle nieruchoma twarz teraz miała wyraz, którego Lash nie potrafił do końca zinterpretować.

— Doktorze Lash — powiedział Vogel, chowając notatnik do kieszeni fartucha. — Tędy, proszę.

Lecz Lash nie potrzebował tych wskazówek: były tu tylko jedne drzwi, których jeszcze nie otworzył, więc łatwo się domyślił, gdzie odbędzie się ostatnia rozmowa.

Kiedy skierował się do nich, były już uchylone. A znajdujący się za nimi pokój różnił się od wszystkich innych, które odwiedził tego dnia.

# 13

Lash przystanął w progu. Miał przed sobą pokój niemal równie mały jak inne i zwyczajnie umeblowany: na środku fotel z niezwykle długimi podłokietnikami, metalowa szafka, a pod tylną ścianą stolik z laptopem. Jednak uwagą Lasha natychmiast przykuły przewody ciągnące się od fotela do laptopa. Uczestniczył w wielu przesłuchaniach, więc natychmiast rozpoznał wykrywacz kłamstw.

Przy stoliku siedział mężczyzna i czytał jakieś notatki. Był wysoki, chudy jak szkielet, z głową pokrytą stalowosiwymi, krótko obciętymi włosami.

— Dziękuję, Robercie — powiedział do czekającego Vogla.

Potem zamknął drzwi i bez słowa wskazał Lashowi fotel na środku pokoju.

Lash usiadł i patrzył z niedowierzaniem, jak tamten podłącza mu elektrody do czubków palców i zakłada nadmuchiwany mankiet na nadgarstek.

Mężczyzna na moment znikł mu z oczu. Kiedy znów się pojawił, w ręce trzymał czerwony czepek. Do tego nakrycia głowy była podłączona długa taśma przewodu we wszystkich barwach tęczy. Na materiał naszyto tuziny jasnych plastikowych krążków, każdy wielkości dziesięciocentówki. Dokładnie dwa tuziny, pomyślał ponuro Lash. Rozpoznał „czerwony kapturek”, czyli nakrycie głowy wkładane pacjentowi przy wykonywaniu

EEG lub QEEG, monitorujące częstotliwość pracy mózgu. Zazwyczaj używane w razie zaburzeń neurologicznych, rozkojarzenia, urazów głowy i tak dalej.

To wcale nie przypominało rozmowy z psychologiem.

Mężczyzna posmarował żelem przewodzącym wszystkie dwadzieścia cztery elektrody, włożył czepek na głowę Lasha i przymocował mu do uszu przewody uziemiające. Potem wrócił do stolika i podłączył kolorową taśmę do laptopa. Lash patrzył na to. Czepek na głowie nieprzyjemnie mu ciążył.

Mężczyzna usiadł i zaczął coś pisać. Zerknął na ekran i znowu coś napisał. Nie uściśnął Lashowi ręki ani nie przywitał się z nim w żaden inny sposób.

Lash czekał odretwiąły, czując się odsłonięty i upokorzony w szpitalnej koszuli. Wiedział z doświadczenia, że badania psychologiczne często bywają pojedykiem psychologa i pacjenta. Pierwszy próbuje się dowiedzieć rzeczy, których w wielu wypadkach ten drugi nie dopuszcza do swojej świadomości. Może to być właśnie taki rodzaj gry. Milczał i czekał, starając się zapomnieć o zmęczeniu.

Mężczyzna przeniósł wzrok z laptopa na leżące na biurku notatki. Potem, po dłuższej chwili, podniósł głowę i spojrzał Lashowi w oczy.

— Doktorze Lash — powiedział. — Jestem doktor Alicto, pański starszy weryfikator.

Lash się nie odezwał.

— Jako starszy weryfikator mam dostęp do większej ilości informacji niż pan Vogel. Na przykład do informacji świadczących o tym, że w poprzedniej pracy z pewnością zaznajomił się pan z wykrywaczem kłamstw.

Lash skinął głową.

— W takim razie pominiemy standardowy wstęp demonstrujący jego skuteczność. Znany jest panu także rejestrator aktywności neuronów, który umieściłem na pańskiej głowie?

Lash ponownie kiwnął głową.

— Jako fachowca, zapewne interesuje pana jego zastosowanie w tych badaniach. Wie pan, że wykrywacze kłamstw

rejestrują tylko tętno, ciśnienie krwi, napięcie mięśni i tak dalej. Odkryliśmy, że dane dostarczane przez QEEG stanowią doskonałe uzupełnienie. Pozwalają nam przekroczyć granice typowych „tak” i „nie” rejestrowanych przez wykrywacz kłamstw.

— Rozumiem.

— Proszę trzymać ręce nieruchomo na podłokietnikach, a plecy wyprostowane. Zadam panu kilka podstawowych pytań. Proszę odpowiadać tylko tak lub nie. Czy nazywa się pan Christopher Lash?

— Tak.

— Czy obecnie mieszka pan przy Ship Bottom Road siedemnaście?

— Tak.

— Czy ma pan trzydzieści dziewięć lat?

— Tak.

— Teraz pokażę panu kartę do gry. Jakiegokolwiek jest koloru, czerwona czy czarna, chcę, żeby podał mi pan przeciwny kolor. Rozumie pan?

— Tak.

Alicto podniósł talię kart, wyjął czerwoną i pokazał mu.

— Jaki kolor ma ta karta?

— Czarny.

— Dziękuję. — Alicto odłożył talię. — A teraz zaczynamy. Czy odpowiedział pan na dzisiejsze testy tak uczciwie i wyczerpująco, jak to możliwe?

Mężczyzna spoglądał na niego z zagadkowym, niemal tajemniczym wyrazem twarzy.

— Oczywiście — odparł Lash.

Alicto znów zajął do notatek i przez długą chwilę panowała cisza.

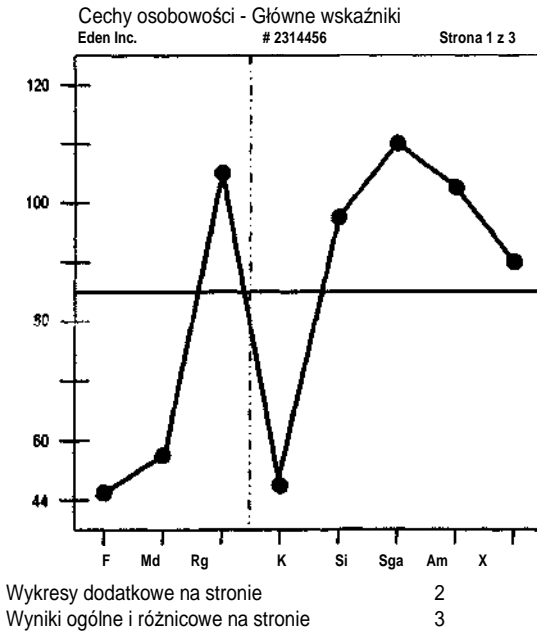
— Dlaczego pan się tu znalazł, doktorze Lash?

— Sądziłem, że to oczywiste.

— Prawdę mówiąc, to wcale nie jest oczywiste. — Alicto przerzucił kilka kartek. — Widzi pan, jeszcze nigdy nie dokończyłem oceny psychologa. Z jakiegoś powodu nigdy nie przychodzą do Edenu. Interniści, kardiolodzy, anestezjolodzy

zjawiają się tabunami. Jednak nie psychologdy i psychoterapeuci. Mam w związku z tym pewną teorię. Jednak do rzeczy. Przeglądałem pańskie poranne wyniki, szczególnie test osowości.

Pokazał Lashowi wykres wyników, ledwie zaszczycając go spojrzeniem.



— Bardzo intrygujące, co najmniej.

Alicto wetknął wykres z powrotem między kartki z notatkami.

Zazwyczaj psycholog nie wyjawia takich informacji badanemu. Lash zastanawiał się, dlaczego Alicto traktuje go tak uprzejmie.

— Jeśli chce pan wiedzieć, jakie lubię filmy albo czy wolę koniak od whisky, powinien pan się skoncentrować na teście preferencyjnym.

Alicto zerknął na niego.



— Widzi pan, to również jest dziwne — rzekł. — Większość kandydatów chętnie współpracuje, chce pomóc, jest wylewna. Sarkastyczne uwagi są bardzo niezwykłe i szczerze mówiąc, niepokojące.

Irytacja zaczęła sączyć się przez opar znużenia.

— Innymi słowy wasi kandydaci są przez was zdominowani i na skutek tego zachowują się służalczo. Rozumiem, że to może podbudować czyjeś ego. Szczególnie jeśli to ego ucierpiało trochę w dotychczasowym życiu.

W oczach Alicta pojawił się błysk — irytacji, a może podejrzenia. Znikł jednak równie szybko, jak się pojawił.

— Chyba jest pan zły — powiedział. — Czy to moje pytania pana rozgniewały?

Lash uświadomił sobie, że ta rozmowa może dostarczyć Alictowi odpowiedzi, których tamten szukał. Opanował gniew.

— Niech pan posłucha — powiedział jak najspokojniej. — Trudno mieć ochotę do współpracy, kiedy jest się podpiętym do wykrywacza kłamstw, mając na sobie tylko czepek z neurodetektorami i szpitalną koszulę.

— Większość kandydatów aprobeuje wykrywacz kłamstw, kiedy otrząsną się z początkowego zaskoczenia. Pokrzepia ich świadomość, że wybrany dla nich partner będzie równie uczciwy w swoich odpowiedziach.

Spokojny głos Alicta jeszcze pogłębiał nierealność sytuacji. Lashowi przeszedł gniew, znów zastąpiło go znużenie.

— Może rozpoczniemy badanie — powiedział.

— Dlaczego pan sądzi, że to nie jest część badania, doktorze Lash? Oceniam pana jako konkretną osobę w konkretnym czasie, a nie anonimowego klienta, który wypełnił dziś rano testy. No dobrze, wróćmy do charakterystyki osobowości. Podczas gdy pańskie reakcje na nieprawdziwe i neutralne twierdzenia są w normie, reakcja na próby korygowania jest nienormalnie silna.

Lash się nie odezwał.

— Jak pan wie, to świadczy o tym, że nie ujawnia pan negatywnych informacji o sobie: usiłuje zrobić dobre wrażenie albo minimalizuje problemy osobiste.

Lash czekał, przeklinając się w duchu za uczciwe wypełnienie testów.

— Niektóre z pańskich wyników są po prostu nietypowe dla kandydata. Na przykład skłonności introwertyczne i zdolność samokontroli. Razem wzięte, wskazują na samotnika, kogoś, kto prawdopodobnie ma za sobą nieudany związek. Taka osoba nie byłaby wystarczająco zmotywowana, żeby podjąć taki zdecydowany — i kosztowny — krok, jakim jest przyjscie do nas. — Oderwał wzrok od notatek. — Rozumie pan, doktorze Lash, że normalnie nie wyjawiałbym takich technicznych szczegółów kandydatowi. Jednak panu, jako koledze psychologowi... cóż, to niezwykła okazja.

Niezwykła okazja patrzeć, jak się skręcam, pomyślał Lash.

— Już same te wyniki niepokoiłyby mnie jako oceniającego. Jednak niektóre fragmenty testu... Mogę być szczery? Dają się zauważyć wyraźne odchylenia od normy. Czerwone światełka, jeśli pan woli.—Znów przewrócił kilka kartek. — Na przykład ma pan niezwykle wysokie tendencje do amoralności i wyobcowania. Skłonności do depresji, choć nie tak wysokie, również są powyżej przeciętnych. Pańska wrażliwość, czyli zdolność reagowania na wydarzenia, również jest wysoka, pomimo rozwiniętej samo kontroli. To anomalia, której nie potrafię wytłumaczyć. Wszystko to wygląda na niebezpieczny koktajl, doktorze Lash. Radziłbym panu przyjrzeć się temu i w razie potrzeby poddać się terapii.

Alicto zdecydowanym ruchem odłożył notatki i zajął się laptopem.

— Jeszcze tylko kilka pytań, doktorze Lash. Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Lash kiwnął głową. Zmęczenie powoli brało górę.

— Od jak dawna prowadzi pan prywatną praktykę?

— Prawie od trzech lat.

— Pańska specjalność?

— Stosunki rodzinne. Związki małżeńskie.

— A pański stan cywilny?

— Wolny.

— Wdowiec?

— Nie. Rozwiedziony, jak pan wie.  
— To tylko jeszcze jedno pytanie kontrolne dla wykrywacza kłamstw. Pańskie tętno przyspiesza, doktorze Lash. Radziłbym oddychać wolniej. Kiedy się pan rozwiódł?

— Przed trzema laty.

— Co się zmieniło?

— Byłem żonaty. Teraz nie jestem.

— I mniej więcej w tym samym czasie odszedł pan z FBI i otworzył prywatną praktykę. — A licto oderwał wzrok od ekranu. — Wydaje się, że trzy lata temu w pana życiu zaszły ogromne zmiany: rozwód i zmiana pracy. Zechciałby pan powiedzieć, dlaczego doszło do tego rozwodu?

Lash czuł rosnące napięcie. Czy on zna sprawę Wyre'a? Czy tylko ciągnie mnie za język?

— Nie — odparł.

— Dlaczego tak trudno panu o tym mówić?

— Nic widzę sensu.

— Nie widzi pan sensu? Jako potencjalny klient?

— Jestem tutaj, ponieważ myślę o przyszłości, nie o przeszłości.

— Pierwsza kształtuje drugą. No dobrze. Pozostajmy jeszcze chwilę przy przeszłości. Zechce pan powiedzieć więcej o tym, co robił pan w FBI

— Byłem członkiem specjalnej grupy dochodzeniowej stacjonującej w Quantico. Badałem miejsca zbrodni, wykonywałem psychologiczne autopsje ofiar i sprawców — zabójców. Szukałem wspólnych cech, przyczyn, sporządzałem portrety psychologiczne zabójców i koordynowałem poszukiwania w NCAVC\*.

— I co pan sądził o tej pracy?

— Była odpowiedzialna.

— Był pan w niej dobry?

— Tak.

— To dlaczego pan odszedł?

\* National Center of the Analysis of Violent Crime.

Nawet poruszanie powiekami przychodziło mu z trudem.

— Miałem dość ustalania, co było nie tak z ludźmi, którzy już umarli. Pomyślałem, że mogę być bardziej użyteczny, pomagając żywym.

— To rozumiałe. I niewątpliwie widywał pan straszne rzeczy.

Lash skinął głową.

— Jednak one nie miały na pana żadnego wpływu?

— Oczywiście, że miały na mnie wpływ.

— Jakie dokładnie wywarły na pana piętno?

— Piętno? — Lash wzruszył ramionami.

— A więc nie zmieniły pana w żaden patologiczny sposób. Można rzec, że spłynęły po panu. Wcale nie wpłynęły na pana i na pańską pracę.

Lash ponownie kiwnął głową.

— Zechce pan powiedzieć to głośno, doktorze Lash?

— Nie, nie wpłynęły.

— Pytam, ponieważ czytałem kilka prac na temat syndromu wypalania się agentów. Czasem ludzie, którzy widzą straszne rzeczy, nie reagują na nie tak, jak powinni. Zamiast tego negują je, usiłują ignorować. I po pewnym czasie zaczynają błądzić w ciemności. To nie ich wina, lecz atmosfery miejsca pracy. Tam nie ma miejsca na litość czy słabość.

Lash milczał.

Alicto zerknął na ekran komputera i zapisał coś na kartce. Przez chwilę spoglądał w notatki. Potem znów podniósł głowę.

— Czy jakieś szczególne zadanie w pańskiej poprzedniej pracy skłoniło pana do odejścia? Jakaś niezwykle nieprzyjemna sprawa? Jakiś błąd lub niewłaściwa ocena sytuacji z pańskiej strony? Może coś, co miało również wpływ na pańskie życie osobiste?

Pomimo zmęczenia to pytanie zelektryzowało Lasha. A więc jednak wie. Spojrzał na Alicta, który bacznie mu się przyglądał.

— Nie.

— Przepraszam?

— Powiedziałem nie.

— Rozumiem. — Alicto znów zerknął na ekran, zrobił następną notatkę. Potem wyprostował się. — Na tym zakoń-

czymy rozmową, doktorze Lash — rzekł, wychodząc zza biurka i zdejmując mu czepkę oraz elektrody. — Dziękuję za cierpliwość. Lash wstał. Świat zakołysał się lekko, więc Lash przytrzymał się fotela.

— Czy dobrze pan sypia? — zapytał Alicto. — Zauważyłem, że jest pan bardzo zmęczony.

— Nic mi nie jest.

Jednak Alicto wciąż przyglądał mu się uważnie, co teraz — po zakończeniu badania — wyglądało na szczere zatroskanie.

— Wie pan, że bezsenność to typowy objaw...

— Nic mi nie jest, dziękuję.

Alicto pokiwał głową. Potem odwrócił się i wyciągnął rękę do klamki.

— I co teraz? — spytał Lash.

— Może się pan ubrać. Vogel pana wyprowadzi.

Lash nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Po tym, co przeszedł wcześniej, był pewien, że rozmowa z psychologiem potrwa kilka godzin. Większość badań z wykrywaczem kłamstw opierała się na redundancji, tych samych pytaniach powtarzanych w kółko, tylko w nieco innej formie. Tymczasem to badanie trwało zaledwie pół godziny.

— Chce pan powiedzieć, że to już koniec?

— Bardzo mi przykro — rzekł Alicto. — Jednak w świetle uzyskanych wyników zamierzam odrzucić pańską kandydaturę.

Lash wytrzeszczył oczy.

— Nie ma sensu odwlekać złych wieści. Mam nadzieję, że pan zrozumie. Musimy zawsze patrzeć z szerszej perspektywy, przedkładać dobro naszych klientów nad uczucia indywidualnego kandydata. To niełatwe. Otrzyma pan od nas odpowiednie materiały. Odrzuceni kandydaci często przekonują się, że ta lektura pozwala im przewyciężyć naturalne w tej sytuacji rozczarowanie. Jestem pewien, że Vogel wyjaśnił panu, że opłata wstępna jest bezzwrotna, lecz nie poniesie pan już żadnych innych kosztów. Proszę dbać o siebie, doktorze Lash, i pamiętać o tym, co powiedziałem o czerwonych światełkach.

I po raz pierwszy i ostatni Alicto podał mu rękę.

# 14

Chociaż jest trzecia rano, sypialnia jest skapana w ostrym świetle. Dwa okna wychodzące na taras z basenem są prostokątami nieprzeniknionej czerni. Światło wydaje się tak jasne, że zmienia wszystko w pokoju w zbiór ostrych geometrycznych kątów: łóżko, nocną szajkę, toaletkę. To światło wysysa z pokoju wszystkie barwy: drewniana okleina toaletki, nakryty tkaniną z wielobarwnej cienkiej wełny fotel, rozbite lustra są wyblakłe jak kość słoniowa. Pozostaje tylko czerwień na ścianach.

Na ofierze jest bardzo mało krwi: niezwykle mało, biorąc pod uwagę okoliczności. Leży naga na dywanie jak porcelanowa lalka, samotna w kręgu blasku sodowych lamp. Palce rąk i nóg, starannie obcięte przy pierwszych stawach, są ułożone jak aureola wokół jej głowy.

Słychać cichy gwar, głosy towarzyszące badaniu miejsca zbrodni:

— Sonda doodbytniczo pokazuje dwadzieścia osiem koma osiem stopnia. Ofiara jest martwa w przybliżeniu od sześciu godzin. Brak stężenia pośmiertnego potwierdza tę diagnozę.

— Macie jakieś mikroślady?

— Mikre ślady to wszystko, co mamy.

— System alarmowy monitorowany, ale linia telefoniczna została przecięta przy fundamentach domu. Tak jak w przypadku tej Watkins.

- Ustaliliście już, jak wszedł lub wyszedł?
  - Pracujemy nad tym.
- Kapitan Harold Masterton, wysoki i mocno zbudowany, wychodzi z tłumu policjantów z Poughkeepsie i z rękami w kieszeniach przechodzi przez pokój, ostrożnie omijając rozstawione reflektory.
- Lash, nie wyglądasz najlepiej.
  - Mc mi nie jest.
  - I co wiemy?
  - Jeszcze nie skończyłem. Są tu pewne sprzeczności, rzeczy nie mające sensu w tym kontekście.
  - Pieprzyć kontekst. Masz w Quantico tyle pomocniczego personelu przy komputerach, że mógłbyś sformować drużynę futbolową.
  - Macie już częściowy portret psychologiczny.
  - Ten częściowy portret nie zapobiegł drugiemu zabójstwu.
  - Ja ich identyfikuję nie łapię. To pańska robota.
  - No to daj mi coś, żebym mógł go znaleźć, na Boga! Już dwa razy napisał tę swoją cholerną autobiografię. Wypuścił krew z dwóch kobiet i użył jej jako atramentu. Jest tu, tuż przed naszym nosem. Podaje ci się na pieprzonym talerzu. Kiedy więc mi go dasz? Czy musi napisać to po raz trzeci?
- Masterton wskazał na ścianę, na której równymi dużymi literami, szkarłatnymi, świeżo nakreślonymi, ciągnęła się w nieskończoność rozpaczliwa litania: CHCĘ ZOSTAĆ SCHWYTANY, NIE POZWÓLCIE MI TEGO ROBIĆ. NIE LUBIĘ TEGO, ŚWIĘCI KAŻĄ MI JE KROIĆ, ALE JA NIE CHCĘ WIERZYĆ...

Lash wstał z łóżka i podszedł do drzwi, otworzył je i poszedł w kierunku salonu. Zastłony okna panoramicznego były rozsunięte. Za szybą światło księżyca barwiło kremowe grzywacze bładoniebieską fosforescencją. Meble stały w półcieniu jak z obrazów Magritte'a. Lash usiadł na skórzanej kanapie, pochylił się, łokcie oparł na kolanach i wciąż spoglądał na morze.

Wcześniej, gdy Vogel wyprowadził go przez szereg iden-

tycznych korytarzy i boczne drzwi na Pięćdziesiątą Piątą ulicę, czuł głównie gniew. Czerwone plamki migwały mu przed oczami i przewodzący żel jeszcze zasychał na włosach, gdy Lash wyrzucał pocieszającą literaturę, którą z przeproszącą miną wcisnął mu Vogel. Jednak w miarę jak mijał wieczór — gdy zjadł lekką kolację, sprawdził wiadomości na automatycznej sekretarce, porozmawiał z doktorem Kline'em, który go zastępował — ten gniew przechodził, pozostawiając tylko pustkę. I kiedy Lash nie mógł już dłużej odwlekać pójścia do łóżka, ta pustka zaczęła zmieniać się w coś jeszcze innego.

I gdy tak siedział, patrząc na morze, znów przypomniały mu się słowa doktora Alecto. „Widywał pan straszne rzeczy. Jednak one tylko spłynęły po panu. Wcale nie wpłynęły na pana i na pańską pracę”.

Lash zamknął oczy, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. Idąc tego ranka do Edenu, spodziewał się różnych rzeczy. Ale nie oczekiwał odrzucenia. To prawda, że potraktował to głównie jako ćwiczenie: bezbarwny Vogel i irytujący, a nawet trochę niesamowity doktor Alecto nie znali prawdziwego powodu jego wizyty. To jednak nie łagodziło bólu porażki. Wrócił z Edenu, nie dowiedziawszy się niczego nowego o Wilnerach i Thorpe'ach, za to wciąż słysząc w głowie cichy, słodki jak miód głos doktora Alecto.

„Czasem ludzie, którzy widzą straszne rzeczy, nie reagują na nie tak, jak powinni. Zamiast tego negują je, usiłują ignorować. I po pewnym czasie zaczynają błędzić w ciemności...”.

Latami analizując i lecząc innych, Lash przezornie unikał przeświadczenia w ten sam sposób siebie samego, rozważania, co nim kieruje lub co go powstrzymuje, zastanawiania się nad swoimi motywami, dobrymi czy złymi. A teraz, gdy tak siedział w ciemności, tylko takie myśli przychodziły mu do głowy.

„Czy jakieś szczególne zadanie w pańskiej poprzedniej pracy skłoniło pana do odejścia? Jakaś niezwykle nieprzyjemna sprawa? Jakiś błąd lub niewłaściwa ocena sytuacji z pańskiej strony? Może coś, co miało również wpływ na pańskie życie osobiste?”.

Lash wstał i przeszedł korytarzem do łazienki. Zapalił światło,



otworzył szafkę pod umywalką i przyklęknął. Tam, za zapasowymi butelkami szamponu i zgrzewkami jednorazowych maszynek do golenia, stało małe pudełko. Wyjął je i podniósł wieczko. Pudełeczko było do połowy wypełnione małymi białymi tabletkami: seconal, подарowany mu przed laty przez kolegę agenta, który skonfiskował go podczas rewizji w mieszkaniu podejrzanego o pranie brudnych pieniędzy. Kiedy Lash wprowadził się do tego domu, zamierzał spuścić je z wodą. Jednak jakoś nigdy tego nie zrobił. I proszki nasenne były tu, schowane w ciemnym kącie pod zlewem, niemal zapomniane. Miały trzy lata, ale Lash był pewien, że jeszcze nie są przeterminowane. Wziął garść, otworzył dłoń i spojrzał na nie.

A potem wsypał je z powrotem do pudełka i schował do szafki. Gdyby je połknął, wróciłyby niedobre dni, te miesiące tuż przed opuszczeniem FBI i tuż po nim. A tego nie chciał — nigdy więcej.

Wyprostował się i umył ręce patrząc przy tym na swoją twarz w lustrze.

Od kiedy się tu przeprowadził i otworzył prywatną praktykę, znowu mógł spać. Mógłby jutro zrezygnować z tej sprawy i wrócić do swoich konsultacji. Znowu mógłby spać.

A jednak z jakiegoś powodu wiedział, że nie może tego zrobić. Ponieważ nawet teraz, kiedy patrzył w lustro, widział widmową postać Lewisa Thorpe'a, spoglądającego na niego z ziarnistej taśmy wideo: i wciąż, wciąż zadającego to samo pytanie...

...Dlaczego?

Lash wytarł ręce. Potem wrócił do sypialni, położył się i czekał — nie na sen, gdyż ten nie miał przyjść — lecz na ranek.

# 15

Nazajutrz rano, kiedy Lash wysiadł z windy na trzydziestym drugim piętrze, Mauchly czekał na niego.

— Tędy, proszę — rzekł. — Czego się pan dowiedział o Wilnerach?

Ten facet nie lubi pustej gadaniny, pomyślał.

— Przez ten weekend zdążyłem porozmawiać z ich lekarzem, bratem Karen Wilner, matką Johna Wilnera i przyjaciółką z college'u, która spędziła u nich tydzień w zeszłym miesiącu. Ta sama historia co z Thorpe'ami. Byli niemal zbyt szczęśliwi, jeśli coś takiego jest możliwe. Przyjaciółka powiedziała, że była świadkiem tylko jednej drobnej sprzeczki — o to, jaki film oglądać wieczorem — a i ta po minucie zakończyła się wybuchem śmiechu.

— Nic nie wskazywało na to, że popełnią samobójstwo?

— Nie.

— Hmm. — Mauchly wprowadził Lasha przez otwarte drzwi do pokoju, w którym za kontuarem czekał człowiek w białym fartuchu. Mauchly wziął z lady plik spiętych kartek i wręczył je Lashowi. — Proszę to podpisać.

Lash przekartkował obszerny dokument.

— Niech mi pan nie mówi, że to następne zobowiązanie do przestrzegania tajemnicy. Już kilka takich podpisałem.

— Wtedy miał pan dostęp jedynie do ogólnych wiadomości.

Sytuacja uległa zmianie. Ten dokument po prostu bardziej szczegółowo omawia zakres ewentualnie zaskarżalnych szkód, odpowiedzialności cywilnej i karnej oraz tym podobne rzeczy. Lash upuścił dokument na kontuar.

— Niezbyt pokrzepiające.

— Musi pan zrozumieć, panie Lash. Jest pan pierwszą osobą spoza firmy, która uzyskała dostęp do naszych najpilniej strzeżonych tajemnic.

Lash westchnął, wziął podane pióro i złożył swój podpis w dwóch miejscach oznaczonych żółtym drukiem.

— Nie chciałbym przechodzić przez kontrolą, jakiej podajecie kandydatów do pracy.

— Jest o wiele dokładniejsza niż w CIA. Jednak nasze płace i emerytury są niezwykle wysokie.

Lash wręczył dokument Mauchly'emu, który oddał papiery mężczyźnie za kontuarem.

— Na której ręce nosi pan zegarek, panie Lash?

— Co? Och, na lewej.

— Zatem proszę wyciągnąć prawą rękę.

Lash zrobił to i zdziwił się, gdy pracownik za kontuarem założył mu na przegub srebrną opaskę i zacisnął ją przyrządem podobnym do miniaturowej plombownicy.

— Co to, do licha? — Lash wyrwał mu rękę.

— Po prostu jedno z zabezpieczeń. — Mauchly podniósł prawą dłoń, pokazując identyczną bransoletę. — Ma zakodowany pański identyfikator. Kiedy nosi ją pan na ręce, skanery mogą śledzić pańskie ruchy w całym budynku.

Lash przekręcił bransoletkę. Była dopasowana, ale nie nazbyt mocno zaciśnięta.

— Proszę się nie martwić, zostanie rozcięta, kiedy skończy pan pracę.

— Przecięta?

Mauchly, który rzadko się uśmiechał, teraz rzekł z lekkim uśmiechem:

— Gdyby łatwo się ją zdejmowało, jaki byłby sens ją zakładania? Staraliśmy się, żeby jak najmniej przeszkadzała.

Lash ponownie spojrzął na gładką i cienką bransoletkę. Chociaż nie lubił biżuterii — w trakcie trwania małżeństwa nie chciał nosić nawet obrączki — musiał przyznać, że, ta dyskretna srebrna bransoletka była nawet ładna. Szczególnie jak na kajdanki.

— Możemy iść? — zapytał Mauchly, po czym poprowadził Lasha korytarzem do innego pionu wind.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Lash, gdy winda zaczęła zjeżdżać.

— Tam gdzie chciał pan pójść. Śladem Thorpe'ów i Wilnerów. Za Mur.

# 16

Przez moment Lash tylko gapił się na Mauchly'ego. Przypomniał sobie słowa prezesa: „Uzyskuje pan bezprecedensowy dostęp do wewnętrznych procedur Edenu. Otrzymał pan szansę, jakiej dotychczas nie miał nikt inny dysponujący pańska wiedzą”.

— Za Mur — powtórzył. — Słyszałem to samo wyrażenie na nadzwyczajnym posiedzeniu zarządu.

— To dosłowne określenie. Ten wieżowiec właściwie składa się z trzech oddzielnych budynków. Nie tylko dla ochrony tajemnic firmy, ale ze względów bezpieczeństwa. W razie potrzeby te trzy budowle mogą zostać oddzielone od siebie stalowymi przegrodami.

Lash skinął głową.

— Frontowa część Edenu to ta, którą widzą nasi klienci: gabinety, recepcje, sale konferencyjne i tym podobne. Prawdziwa praca odbywa się w pomieszczeniach z tyłu. Ta część jest znacznie większa. Prowadzi do niej sześć strzeżonych przejść. My kierujemy się do punktu kontrolnego numer cztery.

— Wspomniał pan o trzech budynkach.

— Tak. Górna część wieżowca jest odseparowana. To prywatna kwatery doktora Silvera.

Lash z zaciekawieniem spojrział na Mauchly'ego. Tak niewiele wiadano o tajemniczym założycielu firmy, geniuszu

komputerowym, który opracował system wykorzystywany przez Eden, że nawet wiadomość o tym, że mieszka tutaj i być może właśnie przebywa w pobliżu, wydawała się rewelacją. Lash zaczął się zastanawiać, jakim człowiekiem jest Silver. Ekscentrykiem w rodzaju Howarda Hughesa, chudym nałogowcem? Bezwzględny despotą? Zimnym i wyrachowanym technokratą? Z jakiegoś powodu brak jakichkolwiek informacji tylko podsycił zainteresowanie.

Drzwi windy się rozsunęły, ukazując korytarz szerszy od poprzedniego. Lash zauważył, że ten kończy się czymś, co wygląda jak szklana ściana. Nad nią jarzyła się duża rzymska IV. Przed szklaną ścianą stała kolejka ludzi. Niemal wszyscy byli w białych fartuchach.

— Większość punktów kontrolnych znajduje się na najniższych kondygnacjach budynku — powiedział Mauchly, gdy stanęli na końcu kolejki. — To ułatwia szybkie rozpoczęcie pracy i opuszczenie budynku po jej zakończeniu.

Gdy kolejka powoli posuwała się naprzód, Lash mógł lepiej obejrzeć to, co znajdowało się za szklaną ścianą: krótki korytarz o przekroju sześciokąta, przypominający komórkę plastra miodu, jasno oświetlony i zakończony następną szklaną ścianą. Kiedy tak patrzył, rozsunęła się szklana ściana przed nim, osoba stojąca na początku kolejki weszła do środka i szklana przegroda znów się zamknęła.

— Nie ma pan przy sobie żadnych urządzeń mechanicznych? — zapytał Mauchly. — Dyktafonu, palmtopa, niczego takiego?

— Wszystko zostawiłem w domu, tak jak pan chciał.

— Dobrze. Proszę iść za mną. Kiedy strażnik sprawdzi pańską bransoletę, proszę powoli przejść przez punkt kontrolny.

Znaleźli się na początku kolejki. Przed szklaną taflą z obu stron stali dwaj wartownicy w beżowych kombinezonach. Wszystko to — strażnicy, punkty kontrolne, identyfikatory, cały ten rozbudowany system zabezpieczeń — wydawało się grubą przesadą. Jednak Lash zaraz przypomniał sobie wysokość zysku osiągniętego przez firmę w poprzednim roku. Oraz słowa

Mauchly'ego: „Mamy mnóstwo konkurentów, którzy zrobiliby wszystko, aby poznać nasze metody testów, nasze algorytmy oceny, cokolwiek”.

Lash zobaczył, że Mauchly podsuwa lewą ręką pod przymocowany do ściany skaner. Rozbłysło niebieskie światło i bransoletka zamigotała. Z cichym sykiem szklana tafla odsunęła się i Mauchly wszedł do jasno oświetlonego, krótkiego korytarza. Szklane drzwi znów się zamknęły, a otworzyły się te na drugim końcu korytarza. Gdy Mauchly przeszedł przez służę i obie pary jej drzwi były zamknięte, strażnicy skinęli na Lasha.

Podsunał swoją bransoletkę pod skaner i poczuł ciepło promieniowania. Szklane drzwi otworzyły się i wszedł do służy.

Natychmiast drzwi za jego plecami zamknęły się z cichym sykiem. Światło w służy było tak jasne i tak odbijało się od jej białej powierzchni, że Lash ledwie zdołał dostrzec, iż to pomieszczenie to nie tylko gołe ściany. Idąc, widział dziwne elementy wystające ze ścian, pomalowane na taki sam biały kolor jak one i trudne do zauważenia. Słyszał cichy szum, jak pomruk pracującego w oddali generatora. To nie był tylko korytarz, lecz przejście łączące dwa oddzielne budynki.

Szklane drzwi na końcu korytarza otworzyły się i Lash wyszedł ze służy. Opodal stał strażnik, który skinął mu głową. Lash odpowiedział tym samym i z ciekawością rozejrzał się wokół. „Zamurze” niewiele się różniło od tego Edenu, który już widział. Zobaczył kilka tabliczek: TELEFONY A-E, MONITORING, ZAAWANSOWANA SYNTEZA DANYCH. Po korytarzach chodzili ludzie, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Mauchly stał z boku, czekając. Kiedy wewnętrzne szklane drzwi zamknęły się za Lashem, podszedł do niego.

— Co to było? — spytał Lash, ruchem głowy pokazując służę, którą dopiero co opuścił.

— To korytarz skanujący. Zabezpieczenie przed wniesieniem lub wyniesieniem czegokolwiek. Aparatura, oprogramowanie, informacje, wszystko, co tu jest, musi tutaj pozostać.

— Wszystko?

— Wszystko oprócz kilku ściśle kontrolowanych strumieni przepływu danych.

— Zatem cała obróbka odbywa się tutaj, wewnątrz. Prawda? Musicie wykonywać niewiarygodnie dużo obliczeń.

— Więcej, niż potrafi pan sobie wyobrazić. — Mauchly wskazał duży panel, osadzony nisko w ścianie. — Takie kanały jak ten są we wszystkich pomieszczeniach za Murem. W zasadzie są jak pajęczyna, łączące każdy system wewnętrzny ze wszystkimi innymi.

Mauchly odsunął się na bok, odsłaniając postać, której Lash wcześniej nie zauważył.

— To jest Tara Stapleton, nasz główny technik ochrony. Będzie pańskim przewodnikiem podczas pobytu za Murem.

Kobieta zrobiła krok naprzód.

— Doktorze Lash — powiedziała cichym, spokojnym głosem, wyciągając rękę.

Lash uściśnął jej dłoń. Stapleton była wysoką brunetką o poważnym spojrzeniu, która — jak oszacował — jeszcze nie skończyła trzydziestki.

— Nasz pierwszy przystanek jest tam—powiedział Mauchly, gdy ruszyli jednym z szerokich korytarzy. — Tara przed chwilą została dokładnie poinformowana, dlaczego pan się tu znalazł. Oczywiście nikt inny o tym nie wie. Oficjalnie opracowuje pan dla rady nadzorczej raport efektywności na potrzeby planu pięcioletniego. Sądzę, że zdziwi pana to, jak oddany i pracowity jest nasz personel.

Lash zerknął na Tarę Stapleton.

— Czy to prawda?

Skinęła głową.

— Mamy najlepsze wyposażenie, technologię znacznie przewyższającą każdą inną. Czy jest jakieś inne zajęcie, które w tak ogromnym stopniu wpływałoby na życie innych ludzi?

Te entuzjastyczne słowa zabrzmiały trochę mało przekonująco, jak wyuczone na pamięć, jakby myślami była gdzieś indziej.

— Pamięta pan ten zjazd absolwentów, któremu pan się przysłuchiwał? — zapytał Mauchly. — Każdy nasz pracownik



musi przyglądać się im dwa razy w roku. To przypomina nam, na czym polega nasz praca.

Dotarli do podwójnych drzwi z napisem: AKWIZYCJA DANYCH — INTERNET — GALERIA. Mauchly podstawił bransoletkę pod skaner i drzwi się rozsunęły. Skinął na Lasha.

Weszli i znaleźli się na balkonie sali, w której panował ruch jak na nowojorskiej giełdzie. Tylko że giełda zawsze sprawiała na Lashu wrażenie ledwie kontrolowanego chaosu, a w tej ogromnej sali na dole panował celowy, spokojny ruch jak w pszczelim ulu. Ludzie siedzieli przy biurkach, patrząc na ekrany komputerów, a inni tłoczyli się przy centrach danych, pokazując wykresy na monitorach lub rozmawiając przez telefon. Ściany pokrywały ogromne wideoekrany, pokazujące wiadomości Reutera i innych agencji, CNN oraz lokalne i zagraniczne programy informacyjne.

— To jedno z naszych centrów gromadzenia danych — powiedział Mauchly — W budynku jest kilka innych działów badawczo-kontrolnych, wszystkie podobne do tego.

— To wygląda na strasznie wielką operację — mruknął Lash, spoglądając na salę.

— Mówimy naszym klientom, że jeden dzień badań jest najważniejszym etapem doboru, lecz w rzeczywistości jest to jego niewielka część. Po badaniu monitorujemy wszystkie aspekty behawioralnych procesów kandydata. Może to trwać kilka dni lub miesiąc w zależności od gęstości strumienia danych. Upodobania, ulubione stroje i rozrywki, wydatki — wszystko jest analizowane. Na przykład to centrum sprawdza aktywność kandydata w Internecie. Patrzymy, jakie witryny odwiedza, co go interesuje, a potem integrujemy te dane z innymi uzyskanymi informacjami.

Lash spojrział na niego.

— Jak to możliwe?

— Zawarliśmy umowy z największymi firmami kredytowymi, operatorami telefonii stacjonarnej i komórkowej, dostawcami telewizji kablowej i satelitarnej i tym podobnymi podmiotami. Pozwalają nam monitorować ich pasma. A my w za-

mian sporządzamy dla nich pewne zestawienia — oczywiście, bardzo ogólne — popularności ich usług. Rzecz jasna, mamy własnych specjalistów od monitoringu. Wszechobecność komputerów w codziennym życiu to jeden z faktów umożliwiających nam działanie, doktorze Lash.

— Teraz będę się bał dotknąć mojego — rzekł Lash.

— Monitorujemy dyskretnie. Nasi klienci nie mają pojęcia, że sprawdzamy, gdzie zagląдают w sieci, za co płacą kartami kredytowymi i o czym rozmawiają przez telefon. Dzięki temu uzyskujemy o wiele pełniejszy obraz, niż moglibyśmy uzyskać w jakikolwiek inny sposób. To jedna z rzeczy różniących nas od innych, o wiele bardziej prymitywnych firm matrymonialnych, które powstały na fali naszego sukcesu. I nie muszę mówić, że zebrane przez nas dane nie wychodzą poza te ściany. To jeszcze jeden powód tego, że wydajemy się panu tak skryci, doktorze Lash: naszym najważniejszym celem jest zapewnić klientom dyskrecję.

Machnięciem ręki wskazał salę na dole.

— Kiedy Thorpe'owie zakończyli badania, ich dane zostały przekazane do takich centrów do sprawdzenia. Dane Wilnerów również. I pańskie, gdyby przyjęto pańską kandydaturę.

Po tych słowach zamilkł na moment.

— Skoro o tym mowa, przykro mi. Czytałem raporty Vogla i Alicita.

— Wasz doktor Alicto zdaje się żywić do mnie osobistą niechęć.

— Nie wątpię, że tak to wyglądało. Starszy egzaminator ma pewną swobodę w wyborze sposobu prowadzenia badania. Alicto to jeden z naszych najlepszych ekspertów, ale także jeden z najmniej ortodoksyjnych. W każdym razie nie była to prawdziwa ocena, ponieważ nie był pan kandydatem. Mam nadzieję, że to trochę łagodzi pańskie rozczarowanie.

— Chodźmy. — Lash był lekko zażenowany, że Tara Stapleton słucha tej analizy jego niefortunnego występu.

Mauchly wyprowadził Lasha z galerii i ruszył długim, pomalowanym na jasny kolor korytarzem, aż w końcu zatrzymał

się przed grubymi stalowymi drzwiami z namalowanym symbolem zagrożenia biologicznego i tabliczką RADIOLOGIA I GENETYKA III. Ponownie otworzył drzwi bransoletką identyfikatora. Weszli do dużego pomieszczenia pełnego pomalowanych na szaro szafek. Na metalowych wieszakach wisiały kombinezony do prac biochemicznych w warunkach aseptycznych. Przeciwległa ściana była z pleksiglasu, a na uszczelnionych drzwiach widniało kilka ostrzegawczych napisów. POMIESZCZENIE STERYLNE, głosił jeden. OBOWIĄZUJĄ STERYLNE KOMBINEZONY I PROCEDURY, dziękujemy za współpracę.

Lash podszedł do szyby i spojrzął z ciekawością. Zobaczył postacie w kombinezonach i rękawiczkach, pochylone na aparaturą.

— To wygląda na sekwencer DNA — zauważył, wskazując szczególnie dużą konsolę w kącie.

Mauchly stanął przy nim

— Owszem.

— Co tutaj robi?

— Służy nam do badań genetycznych.

— Nie rozumiem, co genetyka ma wspólnego z waszymi usługami.

— Bardzo wiele. To jedna z najważniejszych dziedzin badań Edenu.

Lash milczał wyczekująco w przedłużającej się ciszy. W końcu Mauchly westchnął.

— Jak pan wie, nasz proces doboru kandydatów nie ogranicza się do badań psychologicznych. W trakcie wstępnych badań lekarskich dyskwalifikowani są wszyscy kandydaci mający istotne problemy zdrowotne lub z wysokim prawdopodobieństwem ich późniejszego wystąpienia.

— Wydaje się to okrutne.

— Wcale nie. Chciałby pan poznać idealną partnerkę tylko po to, żeby umarła rok później? W każdym razie po badaniach lekarskich próbki krwi kandydatów są analizowane — w tym i innych laboratoriach za Murem — pod kątem występowania

rozmaitych schorzeń uwarunkowanych genetycznie. W ten sposób zostają odrzucone osoby mające dziedziczne predyspozycje do choroby Alzheimera, stwardnienia rozsianego, płasawicy Huntingtona i tym podobnych chorób.

— Jezu. A wyjaśnicie im powód?

— Nie, bezpośrednio nie. W ten sposób ujawnilibyśmy jedną z tajemnic naszej firmy. Ponadto dyskwalifikacja jest wystarczająco traumatycznym przeżyciem. Po co pogłębiać je obawą przed czymś, co może nie nastąpić przez wiele lat, a ponadto i tak jest nieuleczalne?

Właśnie, po co? — pomyślał Lash.

— Jednak to dopiero początek. Najważniejsze jest zastosowanie genetyki w samym procesie doboru.

Lash oderwał wzrok od Mauchly'ego i spojrzął na pracowników laboratorium, krzątających się za pleksiglasową ścianą, a potem znów na rozmówcę.

— Niewątpliwie zna pan psychologią ewolucyjną lepiej niż ja — rzekł Mauchly. — A szczególnie koncepcję rozprzestrzeniania genów.

Lash skinął głową.

— Chęć przekazania swoich genów przyszłym pokoleniom w najlepszy możliwy sposób. Fundamentalny impuls.

— Właśnie. A „najlepszy możliwy sposób” zwykle oznacza wysoki stopień zmienności genetycznej. To, co technik mógłby nazwać zwiększoną heterozygotycznością. Ta zapewnia silne, zdrowe potomstwo. Jeśli jedno z partnerów ma grupę krwi A o stosunkowo dużej odporności na cholere, a drugie grupę krwi B o podwyższonej odporności na tyfus, ich dziecko — mające grupę krwi AB — zapewne będzie odporne na obie choroby.

— Tylko co to ma wspólnego z tym, co się tu dzieje?

— Uważnie śledzimy najnowsze badania w dziedzinie biologii molekularnej. Obecnie monitorujemy kilkadziesiąt genów mających znaczenie przy doborze idealnego partnera.

Lash pokręcił głową.

— Zadziwia mnie pan.

— Nie jestem ekspertem, doktorze Lash. Jednak mogę podać jeden przykład: HLA.

— Nie znam tego skrótu.

— To od *human leucocyte antigen*. U zwierząt nazywany MHC. To duży gen zlokalizowany w długim ramieniu chromosomu 6 i wpływający na sposób odbierania bodźców zapachowych. Badania wykazały, że ludzie odczuwają największy pociąg do osób mających haplotyp HLA najmniej podobny do ich własnego.

— Chyba powinienem dokładniej czytać „Naturę”. Ciekawe, jak tego dowiedziono?

— No cóż, w ramach jednego testu poproszono grupę kontrolną o wąchanie bawelnianych koszulek noszonych przez przedstawicieli płci przeciwnej i uszeregowanie ich według atrakcyjności. Wszyscy członkowie grupy preferowali zapachy osób, których genotypy najbardziej różniły się od ich własnych.

Żartuje

— Nie, nie żartuję. Zwierzęta również wykazują te preferencje, parząc się z partnerami o odmiennych genach MHC. Na przykład myszy ich rozróżniają, wąchając moczu potencjalnych partnerów.

Zapadła krótka cisza.

— Osobiście wolę podkoszulki — zauważyła Tara.

Odezwała się po raz pierwszy od kilku minut i Lash odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Nie uśmiechała się, więc nie był pewien, czy żartowała.

Mauchly wzruszył ramionami.

— W każdym razie genetyczne preferencje Wilnerów i Thorpe'ów zostały zestawione z innymi informacjami, jakie o nich zebraliśmy: danymi z monitoringu, wynikami badań, wszystkim.

Lash spoglądał na pracowników w kombinezonach po drugiej stronie szyby.

— To zdumiewające. Będę chciał zobaczyć wyniki tych badań. Jednak najważniejsze pytanie brzmi: jak właściwie zostały skojarzone te pary?

— To nasz następny przystanek.

Mauchly wyprowadził go z powrotem na korytarz.

Długa wędrówka labiryntem krzyżujących się korytarzy, kolejna jazda windą w górę i Lash znalazł się przed następnymi drzwiami z tabliczką głoszącą po prostu KOMORA DOBORU.

— Co to za miejsce? — spytał Lash.

— To Zbiornik — odparł Mauchly. — Pan pierwszy.

Lash wszedł do dużego pomieszczenia, któremu niskie sklepienie i rozproszone światło nadawały dziwnie intymną atmosferę. Z obu stron ściany od podłogi po sufit były zastawione monitorami i aparaturą. Uwagę Lasha przykuła jednak przeciwległa ściana, niemal całkiem zasłonięta czymś przypominającym akwarium. Przystanął.

— Proszę podejść i przyjrzeć się z bliska — zachęcił Mauchly.

Gdy Lash się zbliżył, uświadomił sobie, że patrzy na wielki przezroczysty sześcian, osadzony w ścianie pomieszczenia. Grupka techników stała przed nim. Jedni pisali coś w swoich palmtopach, inni tylko obserwowali. W sześcianie niezliczone widmowe kształty nieustannie poruszały się we wszystkie strony, zmieniając barwy i rozbłyskując na moment przy zderzeniu z innymi widmami. Słabe oświetlenie i te półprzezroczyste kształty nadawały sześcianowi pozory ogromnej głębi.

— Teraz pan rozumie, dlaczego nazywamy to Zbiornikiem — powiedział Mauchly.

Lash machinalnie kiwnął głową. To było akwarium, swego rodzaju: elektromechaniczne akwarium. A jednak nazwa „Zbiornik” wydawała się zbyt prozaiczna dla czegoś tak niezmiernie pięknego.

— Co to jest? — zapytał cicho Lash.

— To graficzna reprezentacja doboru, realizowana w czasie rzeczywistym. Dostarcza nam wizualnych wskazówek, które byłyby znacznie trudniejsze do zanalizowania, gdybyśmy musieli przeglądać na przykład sterty wydruków. Każdy z tych poruszających się w Zbiorniku obiektów to awatar.

— Awatar?

— Symulacja osobowości naszego kandydata. Stworzona na podstawie badań i danych z monitoringu. Tara potrafi wyjaśnić to lepiej niż ja.

Dotychczas Tara trzymała się na uboczu. Teraz nadeszła jej chwila.

— Wzięliśmy koncepcją wydobywania i analizy danych, a potem postawiliśmy ją na głowie. Po zakończeniu procesu monitoringu nasze komputery na podstawie surowych danych kandydata — pół terabajta informacji — tworzą coś, co nazywamy awatarem. Jest on następnie umieszczany w sztucznym środowisku, w którym ma styczność z innymi awatarami.

Lash nadal nie odrywał oczu od Zbiornika.

— Styczność — powtórzył.

— Najłatwiej myśleć o nich jako o niezwykle dużych pakietach danych, obdarzonych sztucznym życiem i wypuszczonych w wirtualnej przestrzeni.

To było dziwne, niemal irytujące: myśl, że każdy z tych niezliczonych widmowych kształtów, trzepoczących przed nim w pustce, reprezentuje kompletną i unikatową osobowość: nadzieje i pragnienia, pożądania i marzenia, nastroje i skłonności, zobrazowane jako dane przechodzące przez krzemową matrycę. Lash znów spojrział na Tarę. W odbitym świetle jej oczy lekko błyszcząły na jasnoniebiesko, a po twarzy przesuwwały się dziwne cienie. Wydawała się nieobecna duchem. Ją również zafascynował ten widok.

— To piękne — rzekł Lash. — Ale niesamowite.

Nagle jej oczy straciły nieobecny wyraz.

— Niesamowite? To wspaniałe. Awatary zawierają o wiele za dużo danych, żeby można je porównywać za pomocą konwencjonalnych algorytmów komputerowych. Rozwiązaliśmy ten problem, obdarzając je sztucznym życiem i pozwalając porównywać się samodzielnie. Zostają wprowadzone do przestrzeni wirtualnej, a następnie pobudzone, podobnie jak atomy. Dzięki temu awatary mogą się poruszać i oddziaływać na siebie. Te oddziaływania nazywamy kontaktami. Jeśli dwa awatary już kontaktowały się w Zbiorniku, nazywamy to starym kon-

taktem. Jeżeli to pierwsza styczność między dwoma awatarami, jest to świeży kontakt. Przy każdym świeżym kontakcie następuje gwałtowny przepływ ogromnej ilości danych, który w zasadzie określa wspólne cechy dwóch osobowości.

— Tak więc to, co teraz widzimy, to wszyscy obecni klienci Edenu?

— Zgadza się.

— Ilu ich tu jest?

— Ich liczba się zmienia, ale jednocześnie może tu być do dziesięciu tysięcy awatarów. Wciąż dochodzą nowi. Może tu być dosłownie każdy. Prezydenci, gwiazdy rocka, poeci. Jedyni... — Zawahała się. — Jedyni, którzy nie mogą tu być, to pracownicy Edenu.

— Dlaczego?

Tara nie odpowiedziała.

— Potrzeba w przybliżeniu osiemnastu godzin, żeby awatar zetknął się ze wszystkimi innymi w Zbiorniku. Nazywamy to cyklem. Tysiące awatarów styka się ze sobą, wyzwalając przepływ ogromnych strumieni danych — może pan sobie wyobrazić, jak ogromna moc obliczeniowa jest potrzebna do ich przetworzenia.

Lash skinął głową. Za plecami usłyszał elektroniczny pisk. Odwrócił się i zobaczył, że Mauchly podnosi do ucha telefon komórkowy.

— W każdym razie — ciągnęła Tara — kiedy dobór zostaje dokonany, oba awatary usuwa się ze Zbiornika. W dziewięciu przypadkach na dziesięć dobierają się w pierwszym cyklu. Jeśli nie, awatar pozostaje w Zbiorniku przez następny cykl, a potem jeszcze jeden. Jeżeli awatar w ciągu pięciu cykli nie znalazł nikogo pasującego, usuwa się go ze Zbiornika i kandydat zostaje zdyskwalifikowany. Jednak dotychczas zdarzyło się to zaledwie kilka razy.

Kilka razy, pomyślał Lash. Zerknął na Mauchly'ego, ale ten wciąż rozmawiał przez telefon.

— Jednak gdybyście chcieli, moglibyście wziąć jeden z tych awatarów, po roku wprowadzić go do Zbiornika i wybrałby inny awatar. Inną osobę. Prawda?



— To delikatna sprawa. Mówimy naszym klientom, że znaleźliśmy im idealną partnerkę lub partnera. I to prawda. Co jednak wcale nie oznacza, że nie moglibyśmy im znaleźć równie idealnej osoby jutro lub za miesiąc. Z wyjątkiem superpar, oczywiście — te są naprawdę idealne. Jednak nie ujawniamy naszym klientom stopnia tej doskonałości, ponieważ mogłoby to zachęcić do grymaszenia. Znajdujemy idealną osobę i już. Koniec opowieści. Awatary są usuwane ze Zbiornika.

— A potem?

— Powiadamy oboje kandydatów o doborze. I umawiamy spotkanie.

Mówiąc to, znów miała nieobecne spojrzenie. Lash odwrócił się do Zbiornika, patrząc na tysiące poruszających się w nim awatarów, bezcielesnych i obcych.

— Wspomniała pani o ogromnej mocy obliczeniowej — mruknął. — To mi wygląda na niedopowiedzenie. Nie wiem, czy jakkolwiek komputer potrafiłby sobie z tym poradzić.

— Zabawne, że pan to mówi. — Tym razem odezwał się Mauchly, chowając telefon z powrotem do kieszeni marynarki. — Ponieważ jeden człowiek w tym budynku wie o tym więcej niż ktokolwiek inny. I właśnie poprosił o spotkanie z panem.

# 17

Po pięciu minutach znaleźli się w holu na trzydziestym piętrze. Na jednym jego końcu był bufet i Lash widział pracowników siedzących przy dziesiątkach stołów, rozmawiających i jedzących.

— Mamy tu dziesięć takich bufetów — powiedział Mauchly. Nie chcemy, żeby ludzie opuszczali budynek w czasie lunchu lub kolacji, a doskonałe jedzenie pomaga nam w tym.

— W czasie lunchu lub kolacji?

— Lub śniadania, skoro o tym mowa. Nasi technicy pracują w systemie trzymianowym, szczególnie w działach gromadzenia danych.

Mauchly podszedł do windy na końcu najbliższej sekcji. Ta była nieco oddalona od innych i stał przed nią strażnik w beżowym kombinezonie. Odsunął się na ich widok.

Mauchly zwrócił się do Tary:

— Ty masz najnowszy kod. Proszę.

Wskazał panel obok windy.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Tara.

— Do apartamentu na dachu.

Na moment zaparło jej dech, ale zaraz doszła do siebie. Wprowadziła kod i po chwili drzwi się otworzyły.

Wchodząc do windy, Lash natychmiast zauważył, że ta wygląda jakoś inaczej. Zmiana nie dotyczyła ścian, które były z wykończonego na wysoki połysk drewna jak w innych win-

dach tego budynku, ani wykładziny, oświetlenia czy drzwi. Nagle uświadomił sobie, o co chodzi. W tej windzie nie było maleńkiej kamery. I miała tylko trzy przyciski, wszystkie nieopisane. Mauchly nacisnął najwyższy i podsunął bransoletką pod skaner.

Wydawało się, że winda wznosi się wieki. W końcu otworzyła się, ukazując jasno oświetlone pomieszczenie. Jednak nie sztucznym światłem, które Lash dotychczas widział we wszystkich pomieszczeniach Edenu, lecz słonecznym blaskiem, wpadającym przez trzy przeszklone ściany. Ruszył przed siebie po grubej niebieskiej wykładzinie, rozglądając się z podziwem. Za szybą, pod bezchmurnym niebem, rozpościerała się panorama środkowego Manhattanu. Po lewej i prawej stronie — w sporej odległości — dwa pozostałe okna ukazywały rozległy widok na Long Island i New Jersey. Zamiast lamp fluorescencyjnych, wszechobecnych w pomieszczeniach na dole, tu pod sufitem wisiały kryształowe żyrandole, niepotrzebne w tej powodzi światła.

Lash przypomniał sobie widzianą z ulicy ażurową konstrukcję, która oddzielała najwyższe piętra wieżowca. A także słowa Mauchly'ego: „Ten wieżowiec właściwie składa się z trzech oddzielnych budynków. Górna część jest odseparowana”. Te pomieszczenia na samej górze mogły być tylko jednym: siedzibą tajemniczego założyciela firmy, Richarda Silvera.

Czwartą ścianę, w której znajdowały się drzwi windy, od podłogi po sufit zajmowały mahoniowe regały z książkami. Ale nie były to oprawione w skórę tomy, jakich można by oczekiwać w takim wnętrzu, lecz tanie wydania science fiction, poźółkłe i podniszczone; fachowe periodyki, noszące ślady częstego czytania; opasłe podręczniki komputerowych systemów operacyjnych i języków programowania.

Tara Stapleton przeszła przez to obszerne pomieszczenie i spoglądała na coś przed jednym z trzech okien. Gdy wzrok oswoił się z jasnym światłem, Lash zauważył dziesiątki przedmiotów — dużych i małych — stojących przed wielkimi taflami szkła. Zaciekawiony, też tam podszedł i stanął przed urządze-

niem wielkości budki telefonicznej. Z drewnianej podstawy tej maszyny sterczał rozbudowany system wirników, umieszczonych poziomo na metalowych trzpieniach. Za wirnikami był skomplikowany układ kół zębatych, przekładni i dźwigni.

Podszedł do następnego okna, gdzie na drewnianym postumencie leżało coś, co wyglądało na metalowe wnętrze jakiejś olbrzymiej szafy grającej. Obok było monstrualne urządzenie, będące skrzyżowaniem starej maszyny drukarskiej ze stojącym zegarem. Z jednej strony miało dużą metalową korbę, a frontową ściankę pokrytą rozmaitej wielkości tarczami z polerowanego metalu. Na drewnianej tacy między nóżkami tego urządzenia spoczywały grube rolki papieru.

Mauchly gdzieś zniknął, lecz już podchodził do nich jakiś inny mężczyzna: wysoki, młody, z grzywą rudych włosów opadających na wysokie czoło. Uśmiechał się, a jego bladoniebieskie oczy, spoglądające na nich zza okularów w drucianych oprawkach, błyszczały przyjaźnie. Miał na sobie koszulę khaki, wypuszczoną na znoszone dżinsy. Chociaż Lash nigdy przedtem go nie widział, natychmiast rozpoznał Richarda Silvera, genialnego twórcę Edenu oraz komputera, który to umożliwił.

— Pan z pewnością jest doktorem Lashem — powiedział, wyciągając rękę. — Jestem Richard Silver.

— Proszę mi mówić Christopher — rzekł Lash.

Silver zwrócił się do Tary, która spoglądała na niego w milczeniu.

— Pani Tara Stapleton? Edwin wiele mi o pani opowiadał.

— Spotkanie z panem to dla mnie zaszczyt, doktorze Silver — odparła.

Lash ze zdumieniem słuchał tej wymiany uprzejmości. Ona jest szefem ochrony. Jednak nigdy wcześniej się z nim nie spotkała. Silver ponownie zwrócił się do Lasha.

— Wydaje mi się, że słyszałem już twoje nazwisko, Christopherze, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

Lash nic nie powiedział i po chwili Silver wzruszył ramionami.

— No cóż. Może sobie przypomnę. W każdym razie jestem ciekaw, jaką orientację teoretyczną pan reprezentuje. Zważyw-

szy na poprzednią pracę, domyślam się, że jest to szkoła behawioryzmu kognitywnego?

Była to ostatnia rzecz, jaką Lash spodziewał się usłyszeć.

— Mniej więcej. Mam dość eklektyczne poglądy, oparte na wybranych elementach różnych szkół.

— Rozumiem. Behawiorysta? Humanista?

— Bardziej to ostatnie, doktorze Silver.

— Richardzie. — Silver znów się uśmiechnął. — Ma pan rację, wybierając elementy różnych teorii. Zawsze fascynowała mnie kognitywna psychologia behawioralna, ponieważ jest podstawą przetwarzania informacji. Jednak z drugiej strony ortodoksyjni behawioryści uważają, że wszystkie zachowania są wyuczone. Prawda?

Lash skinął głową zdziwiony. Silver nie pasował do jego wyobrażenia genialnego samotnika.

— Ma pan tu niezwykłą kolekcję — zauważył Lash.

— To moje małe muzeum. Te urządzenia to jedna z moich słabostek. Takie jak to чудо, które przed chwilą pan oglądał: zaprojektowaną przez Kelvina maszynę do przedstawiania okresów pływów. Mógł podawać pory przyptywów i odpływów w dowolnym dniu przyszłości. I proszę zwrócić uwagę na te rolki papieru w podstawie: to zapewne pierwszy wydruk komputerowy. Albo to urządzenie na cokole obok? Skonstruowane ponad trzysta pięćdziesiąt lat temu, ale nadal może dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić jak dzisiejsze kalkulatory. Zostało zbudowane na wzór tak zwanego arytmetru Leibniza, będącego pierwowzorem maszyn liczących.

Silver przeszedł wzdłuż okna, pokazując różne maszyny i z zapalem objaśniając ich historyczne znaczenie. Poprosił Tarę, żeby mu towarzyszyła, po czym w trakcie tej przechadzki pochwalił jej pracę i spytał, czy odpowiada jej obecne stanowisko w firmie. Pomimo krótkiej znajomości Lash zaczął przekonywać się do tego człowieka, który wydawał się przyjacielski, absolutnie niearogancki.

Silver przystanął przed tą wielką machiną, która od razu rzuciła się w oczy Lashowi.

— To — powiedział z niemal nabożnym szacunkiem — jest maszyna licząca Babbage'a. Jego najambitniejsze dzieło, którego nie zdołał ukończyć do śmierci. Pierwowzór wszystkich naprawdę ważnych komputerów, takich jak Mark I, Colossus czy ENIAC.

Czule pogłodził jej stalowy bok.

Wszystkie te zabytkowe maszyny, stojące na tle zapierającej dech w piersiach panoramy środkowego Manhattanu, wydawały się nie na miejscu w tym eleganckim wnętrzu. Nagle Lash zrozumiał.

— To wszystko maszyny liczące — powiedział. — Stworzone po to, aby zastępowały człowieka przy wykonywaniu obliczeń.

Silver skinął głową.

— Właśnie. Niektóre z nich czynią mnie pokornym. — Wskazał na maszynę liczącą Babbage'a. — Inne budzą nadzieję. — Pokazał znacznie nowocześniejszy komputer Macintosh, stojący na marmurowym postumencie na drugim końcu pomieszczenia. — A jeszcze inne pozwalają mi obiektywnie spojrzeć na wszystko. — Wycelował palec w duże drewniane pudło z wbudowaną w przednią ściankę szachownicą.

— Co to takiego? — zapytała Tara.

— To komputer szachowy, skonstruowany we Francji pod koniec renesansu. Okazało się, że tym „komputerem” w rzeczywistości kierował dobrze grający w szachy karzeł, schowany w środku.

Silver podszedł do niskiego stołu, otoczonego obitymi skórą fotelami. Leżały tam stopy periodyków: „Times”, „Wall Street Journal”, egzemplarze „Computerworld” oraz „Journal of Advanced Psychocomputing”.

Kiedy usiedli, uśmiech Silvera trochę przygasł.

— Naprawdę miło cię poznać, Christopherze. Wolalbym jednak, żebyśmy spotkali się w przyjemniejszych okolicznościach.

Nachylił się, lekko pochylając głowę i splatając dłonie.

— To był dla nas straszny wstrząs. Dla zarządu i dla mnie osobiście.

Gdy Silver podniósł głowę, Lash dostrzegł w jego oczach niepokój. To dla niego okropne, pomyślał. Stworzona przez

niego firma i cały jej dorobek znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— Kiedy myślę o tych parach, o Thorpe'ach i Wilnerach... No cóż, brak mi słów. To nie mieści się w głowie.

Lash zrozumiał, że się mylił. Silver nie myślał o swojej firmie, lecz o czworgu martwych ludziach i o ironii okrutnego losu, jaką była ich nagła śmierć.

— Musisz zrozumieć, Christopherze — rzekł Silver, znów wbijając wzrok w blat stołu. — Nasza firma nie tylko świadczy usługi. Ponosi odpowiedzialność, taką samą jak chirurg podchodzący do pacjenta leżącego na stole operacyjnym. Tylko że w naszym wypadku ta odpowiedzialność trwa do końca życia naszych klientów. Oni powierzają nam swoje szczęście. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, kiedy wpadłem na pomysł, który stał się fundamentem Edenu. Dlatego teraz naszym obowiązkiem jest ustalić, co się stało i czy... czy odegraliśmy jakąś rolę w tej tragedii.

Lash ponownie się zdziwił. Z taką szczerością nie spotkał się u nikogo z zarządu Edenu, może z wyjątkiem Lelyvelda.

— Wiem, że Wilnerowie umarli zaledwie przed kilkoma dniami. Może jednak dowiedziałeś się już czegoś istotnego? — Silver spojrzał na niego niemal błagalnie.

— Jest tak, jak powiedziałem Mauchly'emu. W miesiącach poprzedzających ich śmierć absolutnie nic nie wskazywało na to, że zamierzają popełnić samobójstwo.

Silver przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem odwrócił wzrok. Lash przez moment się obawiał, że komputerowy geniusz wybuchnie płaczem.

— Mam nadzieję, że niebawem uzyskam wgląd w wyniki ich badań psychologicznych przeprowadzonych w Edenie — powiedział pospiesznie Lash, jakby chciał go pocieszyć. — Może wtedy dowiem się więcej.

— Chcę, by wykorzystano w tej sprawie wszystkie możliwości Edenu — odparł Silver. — Powiedz Edwinowi, że tak zdecydowałem. Jeśli jest coś, co ja lub Liza możemy zrobić, proszę daj mi znać.

Liza? — pomyślał lekko zaskoczony Lash. Czyba Tara? Tara Stapleton?

— Masz już jakąś teorię? — zapytał cicho Silver.

Lash wahał się. Nie chciał przynosić następnych złych wieści.

— Na razie to tylko teoria. Jeśli jednak nie mamy do czynienia z jakimś nieznanym czynnikiem emocjonalnym lub fizjologicznym, wszystko to coraz bardziej wskazuje na zabójstwo.

— Zabójstwo? — powtórzył ostro Silver. — Jak to możliwe?

— Jak powiedziałem, na razie to jedynie teoria. Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że zamieszany w to jest ktoś z firmy: jeden z waszych pracowników lub byłych pracowników. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że sprawcą może być ktoś odrzucony w procesie doboru.

Silver miał dziwną minę: jak dziecko skarcone za coś, czego nie zrobiło. Był to wyraz urażonej niewinności.

— Nie wierzę — mruknął. — Nasze zabezpieczenia są tak szczelne. Tara może to zaświadczyć. Zapewniano mnie, że... — Urwał.

— Jak powiedziałem, na razie to tylko teoria.

Przy stole znów zapadła cisza, tym razem dłuższa niż poprzednio. Potem Silver wstał.

— Przepraszam — rzekł. — Czyba odciągam was od ważniejszych spraw.

Kiedy podawał im rękę, ciepły uśmiech wrócił na jego wargi. Jak spod ziemi pojawił się Mauchly. Poprowadził Tarę i Lasha do windy.

— Christopherze? — usłyszał Lash głos Silvera.

Odwrócił się i zobaczył Silvera stojącego obok maszyny Babbage'a.

— Tak?

— Dziękuję ci za przybycie. Dobrze wiedzieć, że jesteś z nami. Jestem pewien, że wkrótce znów się spotkamy.

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, Silver odwrócił się i ponownie w zadumie pogładził metalowy bok starego komputera.



# 18

Zanim Lash wjechał na podjazd swojego domu, dochodziła siódma trzydzieści i na wybrzeże Connecticut opadła kurtyna nocy. Zgasił silnik i przez moment siedział, słuchając tykania stygnącego metalu. Potem wysiadł i ze znużeniem poszedł w kierunku domu. Był otepiały, jakby mnóstwo technologicznych cudów oglądanych tego dnia chwilowo odebrało mu zdolność kojarzenia.

W domu od niedzieli pozostał zapach dymu z kominka. Lash zapalił światła i poszedł do gabinetu sąsiadującego z sypialnią. Wciąż czuł się nieswojo z tą bransoletką na przegubie. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Odkrył, że ma piętnaście pozostawionych wiadomości i zaczął uzbrajać się w cierpliwość potrzebną do ich odsłuchania.

Zabrało mu to zadziwiająco mało czasu. Cztery telefony reklamowe i sześć niezrealizowanych połączeń. Była tylko jedna wiadomość wymagająca natychmiastowego oddzwonienia. Sięgnął po książkę telefoniczną i wybrał domowy numer Oscara Kline'a, psychologa, który go zastępował.

- Tu Kline — powiedział krótko tamten.
- Oscarze, tu Christopher.
- Cześć, Chris. Jak leci?
- Jakoś.
- Wszystko w porządku? Masz zmęczony głos.

- Bo jestem zmęczony.
- Założę się, że całą noc nie spałeś i pracowałeś nad tym projektem badawczym, o którym nie chcesz mówić.
- Coś w tym rodzaju.
- Po co się męczysz? No wiesz, przecież nie musisz szukać sławy — nie po opublikowaniu tej książki. I nie potrzebujesz pieniędzy. Bóg wie, że żyjesz jak mnich w tym swoim klasztorze.
- Ciężko rzucić coś takiego, kiedy już raz się zacznie. Wiesz, jak to jest.
- No cóż, przychodzi mi do głowy jeden dobry powód. Twoja praktyka. W końcu to nie sierpień i pacjenci oczekują, że będziemy do usług. Ominiesz jedną sesję, nie ma sprawy. Ale dwie? Ludzie zaczynają się niepokoić. Dziś na spotkaniu grupowym dwie osoby głośno wyrażały swoje niezadowolenie.
- Niech zgadnę. Stinson.
- Tak, Stinson. I Brahms. Jeśli opuścisz następne spotkanie, może być niedobrze.
- Wiem. Postaram się zakończyć tę sprawę, zanim do tego dojdzie.
- Dobrze. Ponieważ w przeciwnym razie będę musiał przekazać niektórych pacjentów Cooperowi. A to nie zrobiłoby dobrego wrażenia.
- Masz rację. Będę w kontakcie, Oscarze. Dziękuję za wszystko.
- Gdy Lash odłożył słuchawkę i zaczął odchodzić, telefon znowu zadzwonił. Odwrócił się i odebrał.
- Halo?
- Usłyszał głośny trzask zakończonego połączenia.
- Lash ponownie odwrócił się, ziewając, usiłując myśleć o kocelacji. Poszedł do kuchni i otworzył lodówkę w nadziei, że może pojawił się w niej jakiś posiłek. Niestety. Półprzytomny ze zmęczenia wybrał najłatwiejsze wyjście: zamówi coś w chińskiej restauracji przy Post Road.
- Gdy podchodził do telefonu, ten znów zadzwonił.
- Podniósł słuchawkę.

— Halo?

Tym razem na linii panowała zupełna cisza.

— Halo?

Następny sygnał zakończonego połączenia.

Lash powoli odłożył słuchawkę i patrzył na nią zamyślony. Był tak zaprzątnięty wydarzeniami w Edenie, że nie zwracał uwagi na te wszystkie drobne kłopoty, które znów zaczęły uprzykrzać mu życie. A może zauważył je, ale po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości. Gazety, nie doręczane trzy na cztery razy. Brak poczty w skrzynce. Nieustanne głuche telefony, osiem tylko tego jednego dnia.

Dobrze wiedział, co to oznacza i co trzeba zrobić, żeby z tym skończyć.

Myśl o tym przygnębiła go jeszcze bardziej.



Drogę do East Norwalk przebył w niecałe dziesięć minut. Jechał nią dopiero drugi raz, ale dobrze znał Norwalk i tamtejsze punkty orientacyjne. Był to obszar, który władze eufemistycznie nazywały terenem przejściowym: w pobliżu nowego Maritime Center, a jednocześnie dostatecznie blisko najuboższych dzielnic, żeby konieczne były kraty w oknach i drzwiach.

Lash zaparkował przy krawężniku i dwukrotnie sprawdził adres: Jefferson 9148. Dom wyglądał tak samo jak wszystkie wokół: drewniany, mały, czteropokojowy, ze stiukami na froncie i osobnym garażem na tyłach. Może trawnik przed nim był mniej zadbany od innych, ale w bezlitosnym świetle ulicznych lamp wszystkie te domy wyglądały na nieco zaniedbane.

Patrzył na dom. Można to było załatwić na dwa sposoby: ze współczuciem lub stanowczo. Mary English niezbyt dobrze reagowała na współczucie. Współczuł jej przez cały zeszły rok, podczas małżeńskich sesji terapeutycznych. Mary uczepliła się tego współczucia i dostała manii na punkcie terapii. To obsesyjne uczucie doprowadziło do rozwodu, czyli właśnie tego, do czego Lash usiłował nie dopuścić. Skutkiem było nieustanne nękanie: głuche telefony, podkradanie lub czytanie

korespondencji, łzawe wieczorne zasadzki przed jego gabine-  
tem, które musiał powstrzymać nakazem sądowym.

Lash siedział jeszcze chwilę, zbierając siły. Potem otworzył  
drzwi, wysiadł z samochodu i poszedł w kierunku domu.

Dźwięk dzwonka odbił się głuchym echem w pustych po-  
kojach. Kiedy ucichł, na chwilę wróciła cisza. Potem przerwał  
ją odgłos kroków na schodach. Zapaliło się światło na ganku  
i zgrzytnęła odchylana klapka wizjera. Po chwili trzasnęła  
zasuwa, otworzyły się drzwi i stanęła w nich Mary English,  
mrużąc oczy w blasku latarni.

Miała jeszcze na sobie robocze ubranie, ale najwyraźniej  
przerwał jej toaletę: zdążyła już zetrzeć szminkę, lecz nie resztę  
makijażu. Chociaż od ostatniej sesji z nią i jej mężem minął  
dopiero rok, wyglądała teraz na znacznie więcej niż czterdzieści  
lat. Makijaż nie zdołał zamaskować ciemnych kęgów pod oczami  
i drobnych zmarszczek biegnących od kącików ust. Szeroko  
otworzyła oczy ze zdziwienia i Lash wyczytał w nich złożoną  
mieszaninę emocji: zdziwienia, zadowolenia, nadziei i lęku.

— Doktor Lash? — powiedziała lekko zdyszonym gło-  
sem. — Nie... nie wierzę własnym oczom. O co chodzi?

Lash nabrał tchu.

— Sądzę, że wiesz o co, Mary.

— Nie, nie wiem. Co się stało? Chce pan wejść? Napije się  
pan herbaty?

Szerzej otworzyła drzwi.

Lash pozostał na ganku, starając się zachować spokój.

— Mary, proszę. To tylko pogorszy sytuację.

Spoglądała na niego, nie rozumiejąc.

Lash wahał się przez chwilę. Potem przypomniał sobie, jak  
było za pierwszym razem, kiedy próbował to jej wyperswado-  
wać na tym samym ganku.

— Zaprzeczanie nic nie da, Mary. Znowu mnie nękaśz —  
wydzwaniasz do mnie, kontrolujesz moją korespondencję. Pro-  
szę, chcę, żebyś przestała, i to natychmiast.

Mary nic nie powiedziała. Patrząc na niego, jakby jeszcze  
się postarzała. Powoli odwróciła wzrok i zgarbiła się.

— Nie mogę znowu przez to przechodzić, Mary. Nie teraz. Dlatego chcę, żebyś przestała, zanim to znowu się nasili. Chcę, żebyś mi obiecała, żebyś mi powiedziała, że przestaniesz Proszę, nie zmuszaj mnie...

Słyszając to, znowu spojrzała na niego i tym razem w jej oczach ujrział gniew.

— Czy to jakiś okrutny żart? — prychnęła. — Spójrz na mnie. Spójrz na mój dom. Prawie nie ma w nim mebli. Straciłam prawo do opieki nad dzieckiem. Muszę walczyć o to, żeby widywać je co drugi weekend. O Boże...

Równie szybko jak wybuchł, jej gniew się wypalił. Łzy pozostawiały rozmazane smugi tuszu.

— Zastosowałam się do nakazu sądowego. Zrobiłam wszystko, czego chciałeś.

— Dlaczego więc znów nie otrzymuję poczty, Mary? Skąd te głuche telefony?

— Sądzisz, że te ja? Myślisz, że mogłabym to robić po tym wszystkim, co się stało... po tym, co twój sędzia zrobił z moim życiem, z moim...

Dalsze słowa zdusił szloch.

Lash wahał się, nie wiedząc, co powiedzieć. Ten gniew i smutek wyglądały na prawdziwe. Ale tacy pacjenci jak Mary English naprawdę odczuwali gniew, żal i przygnębienie. Tylko niewłaściwie ukierunkowane. I doskonale potrafili je wykorzystywać, obracać przeciw tobie, czyniąc ciebie odpowiedzialnym...

— Jak możesz tu przychodzić i ranić mnie w taki sposób? — zaskąkała. — Jesteś psychologiem, powinieneś pomagać ludziom... Lash stał w progu, milczący i coraz bardziej zbity z tropu, czekając, aż kobieta weźmie się w garść. Przestała płakać. Po chwili się wyprostowała.

— Jak mogłam tak się pomylić? — zapytała cicho. — Przedtem uważałam cię za człowieka wrażliwego, który przejmuję się losem innych. Trochę tajemniczego. — Gwałtownym ruchem otarła łzę. — Jednak wiesz, co zrozumiałam, leżąc tu bezsennie w pustym domu? Twoja tajemnica to tajemnica

człowieka, który skrywa duchową pustkę. Człowieka, który nie ma do zaofiarowania.

Wyciągnęła rękę, odszukała stojące na stoliku pudełko chusteczek i zakląła, gdy okazało się puste.

— Wynoś się stąd — powiedziała cicho, unikając jego spojrzenia. — Wynoś się stąd, proszę. Zostaw mnie w spokoju.

Lash patrzył na nią. Z zawodowego przyzwyczajenia przyszło mu na myśl kilka typowych odpowiedzi. Jednak żadna z nich nie wydawała się właściwa. Tak więc tylko skinął głową i odwrócił się.

Zapuścił silnik, zawrócił i pojechał z powrotem ulicą. Zanim jednak dotarł do skrzyżowania, podjechał do krawężnika i zatrzymał wóz. W lusterku wstecznym zauważył, że światło na ganku Jefferson 9148 już zgasło.

Co powiedział Richard Silver w tym wielkim pomieszczeniu trzydzieści pięter nad Manhattanem? „Dobrze wiedzieć, że jesteś z nami”. Teraz, patrząc w ciemność, Lash wcale nie był tego pewien.

## 19

Nazajutrz rano, wyszedłszy z piętrowego garażu na Manhattanie, Lash przystanął przed kioskiem z prasą, znajdującym się na parterze dużej kamienicy i tonącym w cieniu sąsiednich budynków. Wszedł i pośpiesznie przejrzał nagłówki lokalnych i krajowych gazet: „Kansas City Star”, „Dallas Morning News”, „Providence Journal” i „Washington Post”. Odetchnął z ulgą, nie znajdując żadnych doniesień o podwójnych samobójstwach szczęśliwych par małżeńskich. Opuściwszy sklep, skręcił w Madison Avenue, kierując się do budynku Edenu. Teraz wiem, co czuł Ludwik XVI, pomyślał. Budzić się co rano w cieniu katowskiego topora, nie wiedząc, czy nadchodzący dzień nie będzie ostatni.

Chociaż wciąż czuł zmęczenie, trochę spokojniej myślał o poprzednim wieczorze. Tacy pacjenci jak Mary English byli doskonałymi kłamcami i aktorami. Postąpił słusznie. Będzie musiał uważnie wypatrywać następnych oznak nękania.

Znalazł się w holu trochę wcześniej, lecz Tara Stapleton już tam czekała na niego. Miała na sobie czarny sweter i spódnicę. Zauważył brak biżuterii. Uśmiechnęła się i wymienili kilka uprzejmych uwag o pogodzie, ale wydawała się jeszcze bardziej zamyślona niż poprzedniego dnia.

Prowadząc go przez posterunek kontrolny i szerokim anonimowym korytarzem, Tara zwięźle wyjaśniała mu zasady wchodzenia do wewnętrznej części wieżowca i wychodzenia

stamtąd. Chociaż w punkcie kontrolnym numer jeden były dwie bramki, nawał przybywających do pracy ludzi sprawiało, że musieli odstać swoje w pięciominutowej kolejce. Tara mówiła niewiele, więc Lash dyskretnie przysłuchiwał się prowadzonym wokół rozmowom. Z ożywieniem rozmawiano o niedawnym komunikacie, informującym o trzydziestoprocentowym wzroście liczby kandydatów. Stosunkowo niewiele mówiono o wczorajszym meczu futbolowym lub korkach ulicznych. Było tak, jak powiedział Mauchly: ci ludzie naprawdę uwielbiali swoją pracę. Kiedy przeszli przez punkt kontrolny, Tara zaprowadziła Lasha do zarezerwowanego dla niego gabinetu na szesnastym piętrze. Drzwi nie miały zamka, otwierały się po przesunięciu bransoletki pod obiektywem skanera. Gabinet nie miał okien, lecz był jasno oświetlony i rozległy, wyposażony w biurko i stolik, duży regał na książki i komputer, również zaopatrzony w skaner. Poza tym była jeszcze niewielka tablica, osadzona nisko na jednej ze ścian, umożliwiająca dostęp do wszechobecnej wewnętrznej sieci komputerowej firmy.

— Załatwiłam, żeby udostępniono ci wszystkie wyniki Thorpe'ów i Wilnerów — powiedziała. — Jeszcze dziś rano podłączymy terminal do sieci i pokażą ci, jak uzyskać dostęp do potrzebnych ci danych. Przed zalogowaniem musisz zeskanować swoją bransoletkę. Oto mój numer telefonu służbowego i komórkowego, gdybyś chciał się ze mną skontaktować. — Położyła na stole wizytówkę. — Wrócę tu i zabiorę cię na lunch.

Lash schował wizytówkę do kieszeni.

— Dzięki. A gdzie tu znajdę kawę?

— Idąc dalej korytarzem, trafisz do bufetu dla personelu. I toalety. Jeszcze coś?

Lash postawił swoją torbę na jednym z krzeseł.

— Czy mógłbym dostać zwykłą tablicę?

— Każę ci ją przynieść.

Skinęła głową, odwróciła się z gracją i opuściła pokój.

Lash przez chwilę w zadumie rozglądał się wokół. Potem schował torbę do jednej z szuflad biurka i poszedł do bufetu, gdzie kobieta o posągowych kształtach z miłym uśmiechem



zrobiła mu dużą kawę z ekspresu. Z wdzięcznością przyjął kubek, upił łyk i stwierdził, że kawa jest doskonała.

Zaledwie zdążył wrócić do gabinetu i wygodnie usiąść, gdy do otwartych drzwi zapukał technik.

— Doktor Lash?

— Tak?

Mężczyzna wtoczył coś, co wyglądało jak czarna szafka na dokumenty, umieszczona na stalowym podwoziu.

— Oto wszystkie dokumenty, jakich pan zażądał. Kiedy skończy pan je przeglądać, proszę zadzwonić pod numer znajdujący się na pudełkach, to ktoś po nie przyjdzie.

Lash podniósł ciężką szafkę i postawił na stole. Pojemnik był zabezpieczony białą taśmą z napisem **ŚCIŚLE TAJNE I ZASTRZEŻONE — NIE WYNOSIĆ Z BUDYNKU**.

Zamknął drzwi gabinetu. Potem przeciął taśmę i podniósł wieczko. W środku znajdowały się cztery zaopatrzone w metalowe zaczepy kopert}', każda opatrzona nazwiskiem i numerem.

THORPE, LEWIS A.	000451823
TORVALD, LINDSAY E.	000462196
SCHWARTZ, KAREN L.	000527710
WILNER, JOHN L.	000491003

Każda była zaklejona białą taśmą i nosiła identyczną etykietkę:

**POUFNY MATERIAŁ EDEN INC.  
WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO  
WYMAGANA AUTORYZACJA L-3**

UWAGA: WYDRUK, DANE OSIĄGALNE RÓWNIEŻ W POSTACI CYFROWEJ.  
KOD DOSTĘPU AT-4849

Lash sięgnął po akta Lewisa Thorpe'a. Potem zawahał się: nie, lepiej zostawić Lewisa Thorpe'a na koniec. Zamiast jego akt wziął kopertę Lindsay Thorpe i wysypał jej zawartość na stół. Ze

środka wyleciał plik papierów, głównie formularzy testów i kart odpowiedzi, ale także gruby plik zabindowanych papierów z dość niezrozumiałym opisem:

STRONA KODOWA

Uwaga: wyłącznie podsumowanie

Nagłówek

pomiary telefoniczne — kwantyzacja  
okres akwizycji: 27-08-02 do 09-09-02  
strumień danych: nominalny  
homogenizacja: optymalna  
lokalizacja danych (wydruk): 2342400494234  
pierwszy sektor dostępu 3024-a  
wybrany algorytm kategoryzacji  
główny operator: Pawar, Gupta  
nadzór: Komgold, Sterling  
kontrola akwizycji danych: Rose, Lawrence

poniżej zapis szesnastkowy

234B	3A32	5923	9F43	5032	5225	60D2	6522	6A1D	5934
59C9	322D	4034	25C5	2344	5982	3F40	2354	0C81	2119
2B92	C598	0423	58A0	8981	2099	0901	4309	5852	19B5
5931	0904	88F9	0123	550D	0492	4E90	0499	0982	1258
5AB8	293F	5014	0E94	4C0F	1039	0589	3E09	5915	03E1
2903	854A	4910	C252	3414	0539	932E	3210	54AA	4913
2234	590C	2340	0D82	7899	3981	777F	3291	0948	A972
4933	0D81	4802	29E1	0913	5A0B	1501	08D1	4848	9083

Wyglądało to na jakiś wykonany w kodzie maszynowym bilans rozmów telefonicznych Lindsay w monitorowanym okresie. Czytelne czy nie, nie były to dane, które by go interesowały. Lash odłożył bilans na bok i wziął formularze testów. Wyglądały dokładnie tak samo jak te, które wypełniał poprzed-

niego dnia: na ich widok znowu poczuł zażenowanie. Upił łyk kawy i przekartkował test, spoglądając na pracowicie pozakreślone przez Lindsay Thorpe czarne kółka. Jej odpowiedzi zdawały się nie odbiegać od normy i szybki rzut oka na wyniki to potwierdził! W końcu spojrzął na podsumowanie starszego psychologa.

Lindsay Torvald wykazuje wszelkie oznaki osobowości dostosowanej społecznie o normalnych cechach. Wygląd, postawa i zachowanie w trakcie wykonywania testów i między nimi nie odbiegały od normy. Zdolność koncentracji, formułowania myśli, kojarzenia i wymowy mieściły się w górnych dziesięciu procentach. Testy wykazały niewielki rozrzut i odchylenie, a współczynnik wiarygodności zawsze był bardzo wysoki. Kandydatka wydaje się nadzwyczaj szczerą i otwartą. Test skojarzeniowy wykazał kreatywność i żywą wyobraźnię, z niewielką skłonnością do makabrycznych skojarzeń. Profil osobowościowy wykazuje niewielkie skłonności introwertyczne, jednak w akceptowalnych granicach, szczególnie należy uwzględnić wysoki współczynnik pewności siebie. Inteligencja badanej również jest bardzo wysoka, zwłaszcza w dziedzinie werbalnej percepcji i zapamiętywania; zdolności matematyczne słabsze, lecz mimo to ogólny wynik uzyskany przez kandydatkę to IQ równy 138 (wg zmodyfikowanego WAIS-III). Krótko mówiąc, wszystkie mierzalne wyniki wskazują na to, że panna Torvald powinna być doskonałą kandydatką dla Edenu.

Dr R.J. Steadman 21-  
08-2002

Z korytarza przed jego drzwiami dobiegł turkot kółek i technik wtoczył do gabinetu tablicę. Lash podziękował mu i zaczekał, aż wyjdzie. Potem odłożył raport i ponownie sięgnął po formularze testów.

Do południa przejrzał wyniki badań trojga kandydatów. Nic sensoryjnego, żadnych oznak patologii. Nikt z nich nie wykazywał żadnych objawów depresji czy samobójczych skłonności. Lash schował pliki papierów z powrotem do kopert, wstał, przeciągnął się, a potem poszedł do bufetu po następną kawę.

Wracał do swojego tymczasowego gabinetu wolniej, niż z niego

wyszedł. Została mu tylko jedna teczka: Lewisa Thorpe'a. Człowieka, który był specjalistą w dziedzinie biologii bezkręgowców i dla przyjemności tłumaczył wiersze Basho. Lash spędził kilka wieczorów, czytając *Wąską drogę do środka*, usiłując wejść w rolę Lewisa, poczuć to, co on podczas badań, w tym słonecznym pokoju we Flagstaff, w którym zmarł na oczach swojego małego dziecka.

Pospiesznie, ale ostrożnie Lash rozdarł taśmę na czwartej teczce.

Wystarczyło mu mniej niż pół godziny, żeby zdać sobie sprawę z tego, że ziściły się jego obawy. Wyniki badań Lewisa Thorpe'a świadczyły, że był równie normalny i przystosowany społecznie jak pozostali. Był inteligentnym, obdarzonym wyobraźnią, ambitnym człowiekiem o trzeźwej samoocenie. Nie miał skłonności do depresji ani manii samobójczej.

Lash wygodnie wyciągnął nogi i pozwolił, by raport starszego psychologa wypadł mu z rąk. Te wyniki, które tak bardzo chciał przejrzeć, wcale nie przybliżyły go do rozwiązania.

Ktoś zapukał do drzwi. Podniósł głowę i zobaczył zaglądnącą do środka Tarę Stapleton. Gęste rude włosy okalały jej owalną twarz.

— Lunch? — zapytała.

Lash pozbiierał papiery Lewisa Thorpe'a i wepchnął je z powrotem do koperty.

— Jasne.

W bufecie w głębi korytarza czuł się już jak w domu. Lokal był jasno oświetlony i gwarny, bardziej zatłoczony niż podczas jego dwóch poprzednich wizyt. Lash stanął w kolejce do lady, wziął następną kawę i kanapkę, po czym poszedł w ślad za Tarą do pustego stolika pod tylną ścianą. Tara wzięła tylko miseczkę zupy i filiżankę herbaty. Zauważył, że rozerwała torebkę sztucznego słodziku i wsypała go do filiżanki. Wciąż zachowywała skupione, pełne rezerwy milczenie. Jednak w tym momencie to mu pasowało: nie miał ochoty odpowiadać na pytania o to, jak mu idzie śledztwo.

— Od jak dawna pracujesz dla Edenu? — odezwał się po chwili.

— Od trzech lat. Prawie od chwili powstania firmy.

— Czy to jest tak dobra praca, jak twierdzi Mauchly?

— Zawsze była.

Lash zaczął, aż zamiesza herbatę. Nie wiedział, co właściwie chciała przez to powiedzieć.

— Opowiedz mi o Silverze.

— Co chcesz wiedzieć?

— No, jaki on jest? Wydał mi się inny, niż oczekiwałem.

— Mnie także.

— Rozumiem, że pierwszy raz spotkałaś się z nim oko w oko.

— Widziałam go już kiedyś na przyjęciu z okazji pierwszej rocznicy założenia firmy. Jest bardzo skryty. Z tego, co wiem, nigdy nie opuszcza swojego apartamentu. Porozumiewa się przez telefon komórkowy lub domofon. Mieszka tam sam. Sam z Lizą.

Liza. Silver też wymienił to imię. Wtedy Lash uznał to za przejęzyczenie.

— Z Lizą?

— To komputer. Dzieło jego życia. Umożliwiający istnienie Edenu. Liza to jego jedyna prawdziwa miłość. Trochę to zabawne, zważywszy na rodzaj naszych usług. Silver przeważnie porozumiewa się z zarządem i personelem za pośrednictwem Mauchly'ego.

Lash był zdziwiony.

— Naprawdę?

— Mauchly to jego prawa ręka.

Lash zauważył, że ktoś przygląda mu się z drugiego końca bufetu. Młodzieńcza twarz i strzecha jasnych włosów wyglądały znajomo. Nagle Lash przypomniał sobie kto to: Peter Hapwood, inżynier, którego Mauchly przedstawił mu podczas zjazdu absolwentów. Hapwood uśmiechnął się i pomachał do niego. Lash odpowiedział tym samym.

Ponownie skupił uwagę na Tarze, która teraz mieszała łyżką zupę.

— Powiedz mi coś więcej o Lizie — poprosił.

— To superkomputer hybrydowy. Nie ma drugiego takiego na świecie.

— Dlaczego?

— To jedyny duży komputer całkowicie oparty na rdzeniu sztucznej inteligencji.

— W jaki sposób Silver go skonstruował?

Tara pociągnęła łyk herbaty.

— Krążą różne plotki. Całe legendy. Nie wiem, czy którakolwiek z nich jest prawdziwa. Jedni mówią, że Silver miał smutne, samotne dzieciństwo. Inni, że był beniaminkiem i potrafił rozwiązywać równania różniczkowe w wieku ośmiu lat. Sam nigdy o tym nie mówi. Na pewno wiadomo tylko, że zanim poszedł do college'u, już prowadził pionierskie badania w dziedzinie AI. Błyskotliwe, wręcz genialne. W swojej pracy dyplomowej zajął się samouczącym się komputerem. Obdarzył go osobowością, wprowadził bardzo zaawansowane algorytmy rozwiązywania problemów. W końcu udowodnił, że samouczący się komputer może nauczyć się rozwiązywać znacznie trudniejsze problemy niż jakikolwiek ręcznie programowany komputer. Później, aby sfinansować dalsze badania, sprzedawał cykle obliczeniowe Lizy Laboratorium Silników Odrzutowych czy Projektowi Badania Ludzkiego Genomu.

— A potem wpadł na genialny pomysł. Stworzył Eden, z Lizą jako centrum obliczeniowym. — Lash upił łyk kawy. — Jak pracuje się z Lizą?

Chwila milczenia.

— Nie mamy bezpośredniego dostępu do jej podstawowych procedur i inteligencji. Liza znajduje się w apartamencie Silvera i tylko on go ma. Wszyscy inni — naukowcy, technicy, a nawet programiści komputerowi — używają lokalnej sieci informacyjnej i abstrakcyjnej warstwy danych Lizy.

— Czego?

— Otoczki tworzącej wirtualne maszyny w pamięci superkomputera. — Tara ponownie zamilkła. Kolejne zdania przediała coraz dłuższymi przerwami. Nagle wstała.

— Przepraszam — powiedziała. — Możemy porozmawiać o tym innym razem? Muszę iść.

I nie mówiąc ani słowa więcej, odwróciła się i wyszła.

## 20

Kiedy Mauchly około czwartej wszedł do gabinetu, zastał Lasha przy tablicy. Dyrektor poruszał się tak cicho, że Lash zauważył go dopiero wtedy, gdy stanął obok niego.

— Chryste! — podskoczył, upuszczając linijkę.

— Przepraszam. Powinienem być zapukać. — Mauchly spojrział na narysowaną na tablicy tabelę. — Rasa, wiek, typ, osobowość, zatrudnienie, lokalizacja, ofiary. Co to takiego?

— Usiłuję wytypować zabójcę. Ustalić profil. Mauchly obrzucił go swym nieprzeniknionym spojrzeniem.

— Nadal nie wiemy, czy istnieje jakiś zabójca.

— Przejrzałem wszystkie wasze dane. Pod względem psychologicznym Thorpe'owie i Wilnerowie byli bez zarzutu, żadnych klinicznych objawów samobójczych skłonności. Dalsze badanie tej ewentualności byłoby tylko stratą czasu. A słyszał pan, co Lelyveld powiedział w sali konferencyjnej: nie mamy czasu.

— Ale nie ma też żadnych dowodów, że to było morderstwo. Na przykład kamera bezpieczeństwa u Thorpe'ów. Nie zarejestrowała nikogo wchodzącego lub wychodzącego.

— Znacznie łatwiej zatrzeć ślady morderstwa niż samobójstwa. Kamery można wyłączyć. Systemy alarmowe obejść.

Mauchly zastanowił się nad tym. Potem znów spojrział na tabelę na tablicy.

— Skąd pan wie, że zabójca jest tuż przed trzydziestką albo trochę starszy?

— Nie wiem. To typowy wiek seryjnych zabójców. Musimy zacząć od typowego portretu, a potem go dopracować.

— A co z tym, że ma dobrą pracę albo dostęp do pieniędzy?

— W ciągu tygodnia dokonał dwóch podwójnych zabójstw na dwóch przeciwległych wybrzeżach. To nie jest *modus operandi* włóczęgi czy autostopowicza: ci zwykle dokonują zabójstw w miejscach nie tak odległych od siebie.

— Rozumiem. A to?

Mauchly wskazał na napisane na tablicy słowa: TYP i NIEZNANY.

— To największy problem. Zazwyczaj dzielimy zabójców na zorganizowanych i niezorganizowanych. Zorganizowani kontrolują miejsca zbrodni i swoje ofiary. Są sprytni, dostosowani społecznie, sprawni seksualnie. Wybierają na ofiary obcych ludzi, ukrywają ciała. Natomiast niezorganizowani znają swoje ofiary, działają nagle i spontanicznie, dokonując zbrodni, nie odczuwają żadnego stresu, zwykle mają niewielkie kwalifikacje zawodowe i pozostawiają ofiary na miejscu zbrodni.

— I?

— No cóż, jeśli ktoś zamordował Thorpe'ów i Wilnerów, to wykazuje cechy zarówno zorganizowanego, jak niezorganizowanego zabójcy. Tu nie ma mowy o zbiegu okoliczności: musiał znać swoje ofiary. Mimo to pozostawił ciała na miejscu zbrodni jak niezorganizowany zabójca. Jednak na miejscu zbrodni pozostawił idealny porządek. Takie niekonsekwencje są bardzo rzadkie.

— Jak rzadkie?

— Nigdy nie spotkałem takiego seryjnego zabójcy.

Nie licząc jednego, powiedział głośno w jego głowie. Szybko kazał mu zamilknąć.

— Jeśli zdołamy ustalić profil osobowości tego sprawcy — ciągnął Lash — będziemy mogli porównać go z rejestrami zabójstw. Poszukać podobieństw. A tymczasem, czy pomyśleliście o tym, żeby wziąć pod obserwację pozostałe cztery superpary?



— Z oczywistych powodów nie możemy prowadzić bezpośredniej obserwacji. I nie możemy ich należycie chronić, dopóki nie wiemy, co właściwie się dzieje. Ale już wysłaliśmy zespoły ludzi.

— Gdzie znajdują się te pozostałe pary?

— W różnych częściach kraju. Najbliżej mieszka małżeństwo Connellych, na północ od Bostonu. Powiem Tarze, żeby przekazała panu krótkie raporty na ich temat.

Lash powoli pokiwał głową.

— Naprawdę uważa pan, że ona jest do tego odpowiednią osobą?

— Dlaczego pan pyta?

— Zdaje się, że mnie nie lubi. Albo ma na głowie inne sprawy, które zaprzatają jej uwagę.

— Tara przechodzi ciężkie chwile. Jednak jest najlepsza. Nie tylko dlatego, że jest szefem sekcji ochrony danych — co daje jej dostęp do wszystkich systemów — ale ponadto jako jedyna z tej sekcji zajmowała się wcześniej inżynierią oprogramowania naszej firmy.

— Jeśli tak...

Zadzwoił telefon komórkowy Mauchly'ego, który pośpiesznie podniósł aparat do ucha.

— Mauchly. — Posłuchał. — Tak, oczywiście, proszę pana. Natychmiast.

Schował komórkę.

— Dzwonił Silver. Chce się z nami zobaczyć, i to zaraz.

## 21

Dzień zrobił się ponury i pochmurny, więc otwierające się drzwi windy ukazały zupełnie inny widok, niż Lash oglądał poprzedniego dnia. Tylko kilka kryształowych kloszy rozprasało smugami światła zalegający w pokoju mrok. Za oknami rozpościerał się szary burzowy krajobraz. Muzealna kolekcja myślących maszyn stała przed nimi — ciemne bryły na tle pochmurnego nieba.

Richard Silver stał pod oknami, z rękami założonymi do tyłu. Słyszając dzwonek towarzyszący przybyciu windy, odwrócił się.

— Christopherze — powiedział, ściskając dłoń Lasha. — Miło znów cię widzieć. Coś do picia?

— Z przyjemnością napiłbym się kawy.

— Zrobię — powiedział Mauchly, zmierzając w stronę baru wbudowanego w jeden z regałów.

Silver wskazał Lashowi miejsce przy tym samym stole, przy którym siedzieli dzień wcześniej. Periodyki i gazety znikły. Silver zaczekał, aż Lash usiądzie, a potem zajął miejsce naprzeciwko niego. Miał na sobie sztruksowe spodnie i kaszmirowy sweter z rękawami podciągniętymi powyżej łokci.

— Dużo rozmyślałem o tym, co powiedziałaś mi wczoraj — rzekł. — O tym, że te zgony to nie samobójstwa. Nie chcę w to wierzyć. Mimo to sądzę, że masz rację.

— Nie widzę innej możliwości.

— Nie, nie to miałem na myśli. Mówię o tym, co powiedziałeś, że Eden jest w to zamieszany, tak czy inaczej. — Silver z zakłopotaną miną spojrział w dal. — Tkwiłem w tej mojej wieży z kości słoniowej, zbyt zajęty badaniami. Zawsze bardziej mnie interesowała czysta nauka niż jej praktyczne zastosowania. Próby skonstruowania maszyny, która potrafi samodzielnie myśleć, uczyć się i rozwiązywać problemy — oto na czym zawsze najbardziej mi zależało. Rodzaj tych problemów interesował mnie znacznie mniej niż sama zdolność ich rozwiązywania. Dopiero kiedy wpadłem na pomysł stworzenia Edenu, zaangażowałem się osobiście. Wreszcie było to godne Lizy zadanie: ludzkie szczęście. Mimo to nie angażowałem się w codzienne, rutynowe działania. A teraz widzę, że to był błąd.

Silver zamilkł i znów skupił wzrok na Lashu.

— Sam nie wiem, dlaczego ci to mówię.

Ludzie mówią mi, że moja twarz pobudza do zwierzeń.

Silver zaśmiał się cicho.

— W każdym razie w końcu postanowiłem, że skoro nie angażowałem się w przeszłości, mogę zrobić coś teraz.

— Co takiego?

Mauchly wrócił z kawą w rękę i Silver wstał.

— Pozwolisz ze mną?

Poprowadził go do odległego kąta pokoju, gdzie szklane okna zajmujące trzy ściany spotykały się z pełnymi książek regałami czwartej. Tutaj Silver zgromadził muzyczne eksponaty swojej kolekcji: farfisa combo, melotron i modułowy syntezator Mooga, z mnóstwem przewodów i filtrów dolnoprzepustowych.

Silver odwrócił się do Lasha.

— Powiedziałeś, że zabójca prawdopodobnie jest odrzuconym kandydatem.

— Tak sugeruje profil. Schizoidalna osobowość nieakceptująca odrzucenia. Znacznie mniejsze jest prawdopodobieństwo, że zabójca zrezygnował po tym, jak został zaakceptowany. Lub był jednym z klientów, którzy nie znaleźli partnera w trakcie pięciu cykli.

Silver kiwnął głową.

— Poleciałem Lizie przejrzeć wszystkie dostępne dane kandydatów i wyszukać anomalie.

— Anomalie?

— Trochę trudno to wyjaśnić. Wyobraź sobie, że tworzysz wirtualną topologię w trzech wymiarach, a potem zapełniasz ją danymi kandydatów. Kompresujesz dane i porównujesz. To niemal jak dopasowywanie awatarów, które Liza co dzień wykonuje, tylko na odwrót. Widzisz, nasi kandydaci już przeszli badania psychologiczne i wszyscy powinni się mieścić w ciasno wytyczonych normach. Szukałem kandydatów, których zachowanie lub osobowość nie mieści się w tych normach.

— Dewiantów — podsunął Lash.

— Tak. — Silver miał zbolałą minę. — Albo ludzi, których zachowanie nie zgadzało się z dokonaną oceną.

— Jak udało ci się to zrobić tak szybko?

— Nie mnie. Ja tylko wyjaśniłem Lizie naturę problemu a ona sama opracowała metodę jego rozwiązania.

— Wykorzystując wyniki badań kandydatów?

— Nie tylko. Liza zebrała również wszelkie możliwe dane o odrzuconych kandydatach oraz tych, którzy zrezygnowali.

Lash był zaszokowany.

— Chcesz powiedzieć, że zebrała dane po tym, jak przestali być potencjalnymi klientami? Jak to możliwe?

— To aktywny monitoring. Wiele dużych firm go stosuje. Rząd także. My wyprzedzamy wszystkich o kilka lat. Mauchly zapewne pokazał ci już niektóre podstawowe zastosowania. — Silver obciągnął sweter. — W każdym razie Liza wytypowała trzy nazwiska.

— Wytypowała? Jak to, już?

Silver skinął głową.

— Przecież to ogromna ilość danych...

— W przybliżeniu pół miliona petabajtów. Cray przetwarzał by je przez rok. Lizie zajęło to kilka godzin.

Wskazał na coś pod ścianą.

Lash ze zdumieniem spojrzął na coś, co uznał za kolejny

antyk z kolekcji Silvera. Na stolyczku stała standardowa klawiatura i staromodny monochromatyczny monitor. Obok była ustawiona drukarka.

— To jest to? — zapytał z niedowierzaniem Lash. — To jest Liza?

— A czego się spodziewałeś?

— Nie tego.

— Sama Liza, a raczej jej moduły obliczeniowe, zajmują kilka pięter pod nami. Jednak po co komu niepotrzebnie skomplikowany interfejs? Zdziwiłbyś się, czego można dokonać za pomocą tego.

Lash pomyślał o ogromie obliczeń wykonanych przez Lizę.

— Nie, nie zdziwiłbym się.

Silver zawahał się.

— Christopherze, wspomniałeś o innej możliwości. O tym, że zabójcą może być ktoś z naszego personelu. Dlatego kazałem Lizie szukać wszystkich anomalii w firmie. — Skrzywił się, jakby bolał go ząb. — Wytypowała jedno nazwisko.

Silver odwrócił się do stoliczka, podniósł dwa arkusze i wcisnął je w rękę Lasha.

— Życzę szczęścia, jeśli w tym wypadku to odpowiednie słowo.

Lash kiwnął głową i odwrócił się.

— Christopherze? Jeszcze jedno.

Lash spojrzął przez ramię.

— Wiem, że rozumiesz, dlaczego nadałem temu problemowi najwyższy priorytet.

— Wiem. I dziękuję.

Pozwolił Mauchly'emu zaprowadzić się do windy, rozważając ostatnie słowa Silvera. Jemu również przyszło to do głowy. Thorpe'owie umarli w piątek, przed jedenastoma dniami. Wilnerowie w piątek tydzień później. Seryjni zabójcy są konsekwentni i systematyczni.

Do kolejnego piątku zostały trzy dni.

## 22

— Cztery nazwiska — powiedział Mauchly.

Patrzył na stół w gabinecie Lasha. Leżały tam dwie rozłożone kartki papieru, które dostał od Silvera.

— Czy wiesz, dlaczego Liza wytypowała akurat tych czterech? — zapytała z drugiej strony stołu Tara.

Mauchly podniósł tę kartkę, na której znajdowało się tylko jedno nazwisko.

— Gary Handerling. Nic mi to nie mówi.

— Należy do zespołu czyszczącego.

— Do czego? — zdziwił się Lash.

— Do zespołu czyszczącego. Zajmują się magazynowaniem i zabezpieczaniem danych.

Mauchly zerknął na nią.

— Rozpoczęłaś wewnętrzne śledztwo?

— Powinno się zakończyć przed upływem dwunastu godzin.

— Najwyższy stopień utajnienia?

— Oczywiście.

— Zatem ja zajmę się pozostałymi trzema. — Mauchly wziął drugą kartkę. — Każe Rumsonowi z sekcji Selektynego Gromadzenia Danych wyszukać wszystkie informacje.

— Co mu powiesz? — zapytała Tara.

— Powiem, że prowadzimy losowe analizy kilku nietypowych. Kolejna kontrola systemu.

Nietypowi, pomyślał Lash. Slangowe określenie odrzuconych kandydatów. Ja chyba też jestem nietypowy.

— Doktorze Lash, wyniki powinniśmy poznać najpóźniej jutro przed południem. Wtedy się spotkamy i porównamy je z opracowanym przez pana portretem psychologicznym. — Mauchly spojrział na zegarek. — Dochodzi piąta. Może pójdziecie do domu. Jutro czeka nas długi dzień. Tara, może będziesz tak miła i przeprowadzisz doktora Lasha przez punkt kontrolny, żeby trafił do wyjścia?



Zanim wyszli przez obrotowe drzwi na ulicę, był kwadrans po piątej. Lash przystanął przy fontannie, żeby zapiąć płaszcz. Zgiełk Manhattanu, niemal zapomniany w wyciszonych wnętrzach wieżowca Edenu, teraz mściwie powrócił.

— Nie wiem, jak można się do tego przyzwyczaić — rzekł Lash. Mówię o przechodzeniu przez posterunki kontrolne.

— Można się przyzwyczaić do wszystkiego — odparła Tara, zarzucając torebkę na ramię. — Zobaczymy się jutro.

— Zaczekaj chwilkę! — Lash dogonił ją. — Dokąd idziesz?

— Na Grand Central. Mieszkam w New Rochelle.

— Naprawdę? Ja mieszkam w Westport. Pozwól się podwieźć.

— Nie trzeba, dziękuję.

— No to pozwól, że postawię ci drinka, zanim pojedziesz do domu.

Tara przystanąła i spojrzała na niego.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie? To coś, co współpracownicy czasem robią. Przynajmniej w cywilizowanych krajach.

Tara zawahała się.

— Nie daj się prosić.

Kiwnęła głową.

— Dobrze. Chodźmy do Sebastiana. Chcę odjechać najpóźniej o szóstej dwie.

Lokal Sebastiana znajdował się na górnym poziomie stacji Grand Central, z widokiem na główny terminal. Przepastne wnętrze zostało całkowicie odrestaurowane w ostatnich latach i było piękniejsze, niż Lash je pamiętał: kremowe ściany wznoszące się do krzyżowego sklepienia, zielone zagłębienia łuków i przepych wszechobecnej mozaiki. Głosy niezliczonych podróżnych oraz nawoływania megafonów zapowiadających przyjazdy i odjazdy stapały się w dziwnie przyjemne dla ucha tło.

Posadzono ich przy stoliczku przy samej balustradzie. Po chwili przybiegł kelner.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

— Ja poproszę Bombaj martini, bardzo wytrawne, z cytryną — powiedziała Tara.

— Wódkę Gibsona, proszę. — Lash popatrzył, jak kelner lawiruje między stolikami, a potem spojrzął na Tarę. — Dziękuję.

— Za co?

— Za to, że nie zamówiłaś jednego z tych okropnych martini *du jour*. Ktoś, z kim w ubiegłym tygodniu byłem na obiedzie, zamówił jabłkowe martini. Jabłkowe. Co za profanacja.

Tara wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem.

Lash spojrzął nad balustradą na rzekę podróżnych. Tara milczała, skręcając serwetkę palcami jednej ręki. Znów popatrzył na nią. Ukośna smuga rozproszonego światła padła na jej rude włosy. Jej oczy nad wysokimi kośćmi policzkowymi miały poważny wyraz.

— Może powiesz mi, co się dzieje? — zapytał.

— Co się dzieje z czym?

— Z tobą.

Owinięła serwetką palec i mocno zacisnęła.

— Dałam się zaprosić na drinka, nie na spotkanie z psychiatrą.

— Nie jestem psychiatrą. Jestem facetem, który chce wy-



konać swoją robotę z twoją pomocą. Tylko że ty nie sprawiasz wrażenia skorej do pomocy.

Spoglądała na niego przez chwilę, po czym znów zajęła się serwetką.

— Sprawiasz wrażenie nieobecnej. Niezainteresowanej. To nie rokuje dobrze naszej współpracy.

— Naszej chwilowej współpracy.

— Właśnie. A im lepiej będzie się ona układała, tym bardziej będzie chwilowa.

Upuściła serwetkę na stół.

— Mylisz się. Jestem zainteresowana. Po prostu... ostatnie dni były dla mnie bardzo trudne.

— Dlaczego mi o tym nie opowiesz?

Tara westchnęła, błędząc wzrokiem pod wysokim sklepieniem.

— Ja stawiam. Chyba tyle możesz dla mnie zrobić.

Kelner przyniósł im drinki przez moment popijali w milczeniu.

— W porządku — powiedziała Tara. — Chyba nie ma powodu, żebyś o tym nie wiedział. — Upiła następny łyk. — Dowiedziałam się o tym dopiero wczoraj, kiedy Mauchly wezwał mnie i powiedział, że będę twoim łącznikiem podczas twojego pobytu za Murem. Właśnie wtedy powiedział mi, o co chodzi.

Lash milczał i słuchał.

— Tylko że właśnie w tę sobotę Eden zapalił mi zielone światło.

— Zielone światło?

— Tak nazywamy zawiadomienie o tym, że znaleziono kogoś idealnego partnera.

— Partnera? Chcesz powiedzieć, że ty... — Urwał.

— Tak. Byłam kandydatką.

Lash patrzył na nią ze zdziwieniem.

— Myślałam, że pracownicy Edenu nie mogą być kandydatami.

— Zawsze tak było. Jednak kilka miesięcy temu rozpoczęli

pilotażowy program dla kandydatów spośród personelu, oparty na zasługach i stażu pracy. Obejmujący tylko kandydatów z firmy, nie klientów.

Lash pociągnął łyk swojego drinka.

— Nie rozumiem, dlaczego w ogóle wprowadzano takie ograniczenia.

— Psycholodzy firmy zalecali je od początku. Nazywali to „efektem Oz”.

— Nie zwracać uwagi na człowieka za kulisami?

— Właśnie. Uważali, że pracownicy nie będą pożądanymi kandydatami. Rozumiesz, za dużo wiemy o tym, co i jak się dzieje za kulisami. Uważali, że będziemy cyniczni. — Nagle nachyliła się do niego. Jeszcze nie widział na jej twarzy takiej burzy uczuć. — Nie masz pojęcia, jak to jest. Dzień za dniem łączyć ludzi. Siedzieć w ciemności za lustrem weneckim i słuchać, jak pary podczas spotkań absolwentów mówią, jakie wszystko stało się cudowne. Jak Eden zmienił ich życie, uczynił je pełnym. No wiesz, jeśli już kogoś masz i jesteś szczęśliwy, może potrafisz jakoś to sobie wytłumaczyć. Jednak jeśli nie...

Pozwoliła temu niedokończonemu zdaniu zawisnąć w próżni.

— Masz rację — rzekł Lash. — Nie mam pojęcia, jak to jest.

— Nosiałam to zawiadomienie przy sobie przez cały weekend. Przeczytałam je chyba ze sto razy. Moim idealnym partnerem był Matt Bolan z naszego działu biochemii. Nigdy go nie spotkałam, ale słyszałam to nazwisko. Zarezerwowali dla nas stolik na nadchodzący piątek. W One If By Land, Two If By Sea.

— To w Village. Piękne miejsce.

— Szczególnie o tej porze roku. — Tara na moment się rozpogodziła. Potem znów spochmurniała. — A potem, wczoraj z samego rana, dostałam wiadomość od Mauchly'ego. Powiedział mi o superparach, o tych podwójnych samobójstwach. I żeby była tak miła i oprowadziła cię po firmie.

— I co?

— I tuż przed spotkaniem z tobą wysłałam e-mail do komisji kandydackiej, żeby wycofali moje nazwisko.

— Co?

Spojrzała na niego gniewnie.

— Jak mogłam postąpić inaczej, wiedząc to, co wiem? A także czego nie wiem?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Uważasz, że w procesie rozpatrywania kandydatur tkwi błąd?

— Sama nie wiem, co myśleć! — wykrzyknęła. Frustracja nadała jej głosowi ostry ton. — Nie rozumiesz? Ten proces jest bezbłędny, obserwuję go codziennie, raz po raz widzę, jak sprawia cuda. Tylko co się przydarzyło tym dwóm parom?

Równie szybko jak wezbrały, gwałtowne emocje opadły. Tara się uspokoiła.

— W każdym razie jak mogłabym teraz to zrobić? Jeśli Eden łączy pary, to na całe życie. Jak mogłabym tworzyć związek oparty na tajemnicy, której nigdy nie mogłabym wyjawiać?

To pytanie zawisło w powietrzu. Tara podniosła kieliszek.

— Teraz już wiesz — powiedziała z suchym uśmiechem — co mi chodzi po głowie. Jesteś zadowolony?

— Zadowolony? Na pewno nie.

— Tylko proszę, nie poruszaj już więcej tego tematu. Nic mi nie będzie.

Kelner znów się pojawił.

— Jeszcze po jednym?

— Ja dziękuję — rzekł Lash.

Chyba popełnił błąd, pijąc ten koktajl: był taki zmęczony, że zapewne zaśnie za kierownicą w połowie drogi do domu.

— Ja również — powiedziała Tara. — Muszę zdążyć na pociąg.

— Proszę rachunek — rzekł Lash do kelnera.

Tara patrzyła, jak ten znika za barem, a potem znowu spojrzała na Lasha.

— W porządku. Twoja kolej. Słyszałam, jak mówiłeś doktorowi Silverowi, że twoja specjalność to behawioryzm kognitywny.

— Ty też byłeś wtedy u niego po raz pierwszy. Nie powiedziałeś mi, co myślisz o tym miejscu.

— Teraz mówimy o tobie, nie o mnie.

— Jak sobie życzysz. — Kelner wrócił z rachunkiem. Lash wyjął portfel i włożył kartę kredytową w skórzane etui. — Behawioryzm kognitywny, zgadza się.

Tara zaczęła, aż kelner odejdzie z rachunkiem.

— Chyba przespałam zajęcia z psychologii. Co oznacza to określenie?

— Oznacza, że nie skupiam się na podświadomych konfliktach, na tym, czy matka tuliła kogoś, kiedy miał dwa latka. Koncentruję się na tym, co dana osoba myśli, jaki ma zbiór reguł.

— Zbiór reguł?

— Każdy żyje zgodnie z własnym zbiorem zasad, czy o tym wie, czy nie. Jeśli zrozumiesz te zasady, możesz zrozumieć i przewidzieć jego zachowanie.

— Przewidzieć. Zakładam, że właśnie to robiłeś w FBI.

Lash dopił drinka.

— Coś w tym rodzaju.

— A jeśli to... jeśli okaże się, że to robota zabójcy, czy zdołasz przewidzieć, co teraz zrobi?

— Mijmy nadzieję. Tyle że dotychczasowy profil wykazuje ogromne sprzeczności. No cóż, może nie będzie potrzebny. Dowiemy się jutro rano.

Mówiąc to, Lash uświadomił sobie, że kelner stoi obok niego.

— Tak? — zapytał Lash.

— Przykro mi, proszę pana — powiedział kelner. — Ta karta jest zablokowana.

— Co takiego? Proszę jeszcze raz przepuścić ją przez czytnik.

— Zrobiłem to już dwukrotnie, proszę pana.

— To niemożliwe, przecież w zeszłym tygodniu przesłałem czek na...

Lash otworzył portfel. Było tak, jak się obawiał: miał tylko jedną kartę kredytową. Sięgnął do kieszeni po gotówkę i znalazł

tylko dwa dolary. Byłem śpiący i zapomniałem skorzystać z cholernego bankomatu, pomyślał.

Schował portfel i z głupią miną spojrzał na Tarę.

— Będiesz tak dobra i założysz za mnie? — zapytał.

Spojrzała na niego.

— Oddam ci jutro.

Nagle jej wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

— Zapomnij o tym — powiedziała, rzucając na stół dwudziestkę. — Warto tyle zapłacić choćby za to, żeby zobaczyć, jak na chwilę wypadasz z roli cwanego psychoanalityka.

I parsknęła śmiechem, krótkim, lecz wystarczająco głośnym, żeby zwrócił uwagę połowy klientów lokalu.

## 23

Zanim Lash dotarł w środę rano do holu Edenu, przeszedł przez kilka punktów kontrolnych i wjechał na szesnaste piętro, dochodziła dziewiąta trzydzieści. Poszedł jasnofioletowym korytarzem, mijając swój gabinet i kierując się prosto do bufetu

— Duża z ekspresu, zgadza się? — zapytała Marguerite, bufetowa zdająca się z góry wiedzieć, co kto zamówi.

— Marguerite, twoja kawa jest najlepsza w tych trzech stanach. Marzyłem o niej przez całą drogę tutaj.

— Złotko, przy tej ilości kofeiny, jaką pochłaniasz, mogliby doprowadzić ci kółka i nie potrzebowalbyś samochodu.

Upił łyk i jeszcze jeden. Gorący napój rozgrzał ścierpięte kończyny i przyspieszył bicie serca. Lash uśmiechnął się do Marguerite, a potem poszedł z powrotem korytarzem.

Niechętnie wstał, czując apatię, która niewiele miała wspólnego ze zmęczeniem. Zabawne, lecz rozpaczliwy pośpiech towarzyszący poszukiwaniom zdawał się działać na niego usypiająco. A doświadczenie wyniesione z FBI mówiło mu, że nie jest to właściwe podejście do sprawy. Nie ślęczy się w biurze nad wydrukami. Jasne, te są pomocne przy klasyfikacji i sporządzaniu portretu psychologicznego. Jednak polując na ewentualnego zabójcę, który może zaraz znów uderzyć, trzeba krążyć po mieście, szukać tropów, rozmawiać z członkami rodziny i świadkami. Wysiadywanie w tym wieżowcu i zbieranie da-

nych, daleko od zwłok i miejsc popełnionych morderstw, wydawało się idiotyzmem.

Ale niezrównane możliwości Edenu w dziedzinie gromadzenia danych były wszystkim, co mieli.

Dochodząc do swojego biura, Lash zobaczył przez przeszklone drzwi, że szafki z dowodami zasłaniają już całą jedną ścianę. Zaledwie zdążył wejść do środka i postawić filiżankę na biurku, gdy wszedł Mauchly, a z nim Tara.

— Ach, jest pan już, doktorze Lash — powiedział Mauchly. — Jak pan widzi, proces gromadzenia danych zakończył się wcześniej, niż oczekiwaliśmy.

Tara uśmiechnęła się do Lasha. Gdy podeszła do komputera i przeskanowała swoją bransoletkę, Mauchly zamknął drzwi i zasłonił szyby.

— Zacznijmy od tych trzech nietypowych.

— A jeśli nie znajdziemy naszego zabójcy?

— Wtedy zajmiemy się pracownikiem Edenu, Handerlin-giem. Chociaż to mało prawdopodobna ewentualność.

— Jak pan uważa.

Lash doskonale znał się na ludziach, lecz Mauchly pozostawał dla niego zagadką. Wydawało się, że ma nieskomplikowaną osobowość, niezdolną do nagłych zmian nastroju, a nawet okazywania uczuć.

— Zaczynajmy — powiedziała Tara.

Po raz pierwszy sprawiała wrażenie rześkiej, energicznej. Podczas gdy na samą myśl o czekającej ich pracy Lash czuł głębokie znużenie, Tarze ta perspektywa zdawała się dodawać sił.

Zajęli miejsca przy stole. Lash popijał kawę, gdy Mauchly otworzył pierwszą z trzech teczek i wyjął zawartość.

— Grant Atchison — przeczytał Mauchly z pierwszej kartki. — Przeszedł badania wstępne dwudziestego pierwszego lipca dwa tysiące trzeciego roku. Lat dwadzieścia trzy, mężczyzna rasy białej, ukończył Uniwersytet Rutgersa, uzyskując tytuł magistra ekonomii, zamieszkały przy Auburn Street trzy tysiące sto czterdzieści trzy, Perth Amboy, New Jersey.

— To jego własny dom czy rodziców? — zapytał Lash.

Tara podniosła kilka kartek i przeglądała je.

— Rodziców.

— Na razie dobrze.

— Zatrudniony w fabryce barwników w Linden. — Mauchly przewrócił kartkę. — Przeszedł nasze badania wstępne, poddał się ocenie w sierpniu. Został odrzucony przez starszego psychologa, doktora Alicto.

Lash spodziewał się, że Mauchly zerknie na niego. Jednak dyrektor nie oderwał oczu od podsumowania.

— Powód? — spytała Tara.

— Przede wszystkim mnóstwo nieprawdziwych odpowiedzi w trakcie testów. Wartości weryfikacyjne znacznie odbiegające od normy — czytał Mauchly. — Trudności z samokontrolą, niestabilność emocjonalna, brak odczuwania przyjemności i tak dalej.

— Był w Arizonie w tym czasie, gdy umarli Thorpe'owie — powiedziała Tara.

— Skąd wiesz? — zapytał Lash.

— Z pół tuzina źródeł. Facet kupuje bilet przez Internet i od tej chwili jest w bazie danych linii lotniczej. Płaci kartą kredytową i figuruje w bazie danych banku. Wypożycza samochód w Phoenix i jest w bazie wypożyczalni.

Wzruszyła ramionami, jakby każdy powinien to wiedzieć.

— Owszem, ale tu mamy problem. — Mauchly spoglądał na ostatnią stronę podsumowania. — Tutaj mamy wyniki jego ostatnich badań medycznych: próbki krwi przesłane Enzymatics do analizy, jakieś dane z firmy ubezpieczeniowej. — Zerknął na Tarę. — Zechciałabyś trochę w tym pogrzebać?

— Jasne. — Tara podeszła do komputera na biurku Lasha i zaczęła stukać w klawiaturę. — Facet dwa i pół tygodnia temu został przyjęty do Middlesex County Hospital. Problemy z nerkami. Jedną musieli mu usunąć.

— Jak długo leżał?

Stukot klawiszy.

— Jeszcze tam jest. Komplikacje pooperacyjne.



— To tyle, jeśli chodzi o pana Atchisona. — Mauchly zgarnął papiery, schował do teczki, a potem odłożył ją i odpieczętował następną. — Druga z nietypowych to Katherine Barrow. Złożyła podanie dwudziestego grudnia dwa tysiące trzeciego roku. Lat czterdzieści sześć, kobieta rasy białej, zaoczny dyplom szkoły wyższej, zamieszkała w York w Pensylwanii. W rubryce religia wpisała: „druidzka”. Właścicielka sklepu o nazwie Kobięca Magia w okręgu Lancaster. Sprzedaje świece, pachnidła, zioła.

— Co napisano w jej ocenie? — zapytała Tara, wróciwszy do stołu.

— Nie zaszła tak daleko. Zaraz po tym, jak wypełniła formularz podania, doszło do przykrego incydentu. Kręciła się po holu, próbowała zaczepiać kilku kandydatów. Interweniowała ochrona, usuwając ją z budynku.

— No, no — powiedziała Tara.

Mauchly przekartkował podsumowanie.

— Wyciągi bankowe i rejestry hotelowe wskazują, że była w miejscowości Sedona w Arizonie, kiedy zginęli Thorpe-owie. — Odłożył podsumowanie i spojrzał na Lasha. — Jak często kobiety popełniają seryjne zabójstwa?

— Częściej, niż ludzie przypuszczają. Pod koniec lat osiemdziesiątych Dorothea Puente zabiła aż dwunastu lokatorów swojego pensjonatu. Mary Ann Cotton pozostawiła za sobą krwawy ślad: kilkoro zamordowanych dzieci i mężów. Ponad osiemdziesiąt procent seryjnych zabójczyń to białe kobiety. Często są to opiekunki lub innego rodzaju „czarne wdowy”, które po cichu zabijały przez wiele lat. Czterdzieści sześć lat to wiek pasujący do profilu. Czy miała jakąś rodzinę?

Mauchly zajrzał do papierów.

— Nie.

— Szukamy osoby samotnej, nie karanej, być może maltretowanej przez męża lub bardzo rygorystycznie wychowanej.

— Nigdy nie wyszła za mąż — dodał Mauchly. — Sama prowadzi sklep. Nie widzę żadnych adnotacji o zatrudnieniu w bazie danych Departamentu Pracy. Nie karana.

Patrzący na to Lash tylko pokręcił głową. Widział już — na własne oczy — niewiarygodną ilość gromadzonych przez Eden informacji o klientach. Mimo to zdolność firmy do tak głębokiej penetracji życia osoby, która została odrzucona przed kilkoma laty, była niepokojąca.

— To wygląda na trafienie numer dwa — oznajmiła Tara. — Wprawdzie nie jest notowana, ale nadużywała leków. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy kilkakrotnie była na detoksie. — Wzięła kilka karetek, wróciła do komputera. — Wczesnym rankiem w sobotę Barrow zgłosiła się do kliniki odwykowej New Hope.

— Wilnerowie umarli w piątek w nocy — przypomniał Mauchly. — York dzielą od Larchmont zaledwie dwie godziny jazdy.

Tara znów stuknęła w klawiaturę.

— W chwili przyjęcia stwierdzono u niej niemal toksyczny poziom fentanylu we krwi. Dyżurny lekarz zanotował, że straciła przytomność w poczekalni i spała wiele godzin.

— Człowiek nafaszerowany fentanylem nie zdoła popełnić dwóch morderstw — powiedział Lash.

Tara westchnęła.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem Mauchly odłożył papiery i rozpieczętował trzecią i ostatnią teczkę.

— James Albert Groesch — zaczął. — Trzydzieści jeden lat, mężczyzna rasy kaukaskiej, bezwyznaniowy, dwa lata college'u. Mieszka w Masspequa, Nowy Jork. Pracownik poczty. Przeszedł badania wstępne. Wrócił na badania oceniające, odrzucony przez starszego psychologa.

— Z powodu? — zapytał Lash.

— Niepokojących wyników testów. Analiza osobowości wykazała nieprzystosowanie społeczne, niezdolność do nawiązywania bliskich związków, potencjalne problemy seksualne, mizoginiczne skłonności.

— Mizoginia? Dlaczego ktoś taki chciał skorzystać z usług Edenu?

— Niech pan mi to powie, doktorze Lash. Nie wszyscy

przychodzą do nas z normalnych powodów. To jedna z rzeczy, które mają ujawnić nasze badania. — Mauchly przejrzał raport. — Psycholog twierdzi, że powiadomiony o fakcie odrzucenia Groesch uciekł się do gróźb. Rzucił gniewne uwagi pod adresem Edenu, mówił... zobaczmy... o „pozornej perfekcji”, i „sztucznym szczęściu”. Sugerował, że to spisek rządu, który chce infiltrować gospodarstwa domowe i werbuje kobiety, żeby szpiegowały mężczyzn. Wezwano ochronę i ukarano nagana pracownika, który wstępnie opiniował Groescha.

— Przed śmiercią Thorpe'ów Groesch wędrował po Wielkim Kanionie — powiedziała Tara, zajrzawszy do papierów. — Spędził dwie noce na Phantom Ranch. Poleciał z Flagstaff do Phoenix, a potem z powrotem na La Guardia, dzień po tym, jak znaleziono ich ciała.

Zatem cała trójka była we Flagstaff lub w pobliżu, pomyślał Lash. Niewątpliwie jeden z filtrów użytych przez Lizę przy zestawianiu listy.

— Jest jeszcze coś — powiedziała Tara. — Ocenę Groescha przeprowadzono drugiego sierpnia dwa tysiące drugiego roku.

— I co z tego? — zapytał Lash.

— W tym dniu oceniano także Karen Wilner.

W pokoju powiało chłodem.

— Nieprzystosowany społecznie — mruknął Lash. — Problemy natury seksualnej.

Zwrócił się do Mauchly'ego.

— Jest jeszcze coś? Cokolwiek, co mogłoby go wykluczyć?

Mauchly znów spojrział na raport. Przeglądał go przez chwilę, a potem oddał Tarze. Ona również przekartkowała podsumowanie i przecząco potrząsnęła głową.

Lash poczuł przelotny, elektryzujący dreszcz. Zmęczenie przeszło mu jak ręką odjął. W papierach było kolorowe zdjęcie Groescha. Podniósł je. Krępy mężczyzna o krótko ściętych blond włosach i obwisłych wąsach zmierzył go gniewnym wzrokiem.

— Biermy łopaty i kilofy — powiedziała Tara. — Czas pokopać w danych.

Mauchly bez słowa wstał i podszedł do przeciwległej ściany, gdzie ustawiono szafki z dowodami, przyniósł trzy, postawił na stole i złamał pieczęcie. W środku znajdowały się wyciągi bankowe, rejestry rozmów telefonicznych, spisy wyglądające na wykazy najczęściej odwiedzanych stron internetowych.

— Tara, możesz skontaktować się z grupą CCTV i skoordynować? — poprosił Mauchly. — Niech puszczą algorytmny identyfikujący w Massapequa, Larchmont, Flagstaff. I zobacz, kto dziś pilnuje łączności satelitarnych. Niech i oni sprawdzą swoje archiwa, tak na wszelki wypadek.

— Oczywiście. — Tara wstała i podniosła słuchawkę.

Mauchly sięgnął do otwartej szafki, wyjął dwa grube pliki papierów i zaczął je przeglądać.

— Wygląda na to, że w ciągu tygodni poprzedzających śmierć tych czterech osób pan Groetsch wykonał mnóstwo telefonów do matki. Będziemy musieli dokładnie przyjrzeć się wszystkim rozmowom, jakie przeprowadził — może to posunie nas naprzód. Hm. Ponadto w ciągu paru ostatnich miesięcy skorzystał z usług prymitywnych internetowych biur matrymonialnych. W każdym z nich inaczej wypełniał formularz, kłamiąc w kwestii swojego wieku, miejsca zamieszkania i zainteresowań. Ponadto ostatnio najwyraźniej odwiedził kilka nie zwykłych witryn internetowych: stronę z opisami sporządzania trucizn oraz inną, specjalizującą się w szokujących fotografiach morderstw i samobójstw. — Podniósł wzrok. — Czy to pasuje do opracowanego przez pana portretu, doktorze Lash?

Ilość szczegółów, jakie Eden najwyraźniej bez trudu potrafił zebrać, była przytłaczająca.

— Jak robicie to wszystko? — zapytał.

Mauchly znów na niego spojrzał.

— Co wszystko?

— Jak zbieracie te wszystkie informacje. Chcę powiedzieć, że ci ludzie nawet nie byli waszymi klientami.

Wargi Mauchly'ego zacisnęły się w grymasie, który mógł być uśmiechem.

— Doktorze Lash, skojarzenie dwojga ludzi w idealną parę to zaledwie połowa naszego zadania. Drugą połową jest... powiedzmy, informatyczna gotowość. Bez tej ostatniej nie zdołalibyśmy wykonać pierwszej.

— Wiem. Nigdy jednak nie widziałem niczego podobnego, nawet w FBI. To niemal tak, jakbyście mogli zrekonstruować całe życie danej osoby.

— Ludzie sądzą, że ich codzienne czynności pozostają niezauważone — powiedziała Tara. — Nic z tego. Za każdym razem kiedy buszujesz po sieci, software'owe ciasteczka śledzą, gdzie byłeś, i rejestrują każde kliknięcie myszy podczas twojej bytności. Każdy twój e-mail przechodzi przez kilka serwerów, zanim dotrze do adresata. Spędzisz dzień w dużym mieście, a twój obraz zarejestrują setki kamer telewizji przemysłowej. Brak tylko dostatecznie rozbudowanej infrastruktury, która ogarnęłaby to wszystko. My przejmujemy tę rolę. Dzielimy się informacjami z komercyjnymi bazami danych, wybranymi agencjami rządowymi, dostawcami usług internetowych, spamerami...

— Spamerami? — powtórzył zdziwiony Lash.

— Programy rozsyłające spam są oparte na niezwykle wyrafinowanych algorytmach. Nie robią tego na chybił trafił, jak sądzi większość ludzi. To samo dotyczy firm telemarketingowych. W każdym razie wszystkie dane dotyczące konkretnej osoby są gromadzone i magazynowane. Zachowywane na zawsze. Naszym problemem nie jest zebranie dostatecznej ilości danych. Zazwyczaj mamy ich za dużo.

— Jesteście jak Wielki Brat.

— Może tak to wygląda — odparł Mauchly. — Jednak dzięki naszej pomocy setki tysięcy klientów znalazły szczęście. A teraz może uda nam się zapobiec morderstwu.

Ktoś zapukał do drzwi i Tara wstała od komputera, żeby je otworzyć. Mężczyzna w białym fartuchu wręczył jej kopertę koloru kości słoniowej. Tara podziękowała, zamknęła drzwi i otworzyła kopertę. Przez chwilę spoglądała na jej zawartość.

— Cholera — zaklęła pod nosem.

— Co to? — spytał Mauchly.

Bez słowa podała mu kopertę. Mauchly też przyglądał się przez chwilę zawartości. Potem odwrócił się do Lasha.

— Nasz zespół przeprowadził poszukiwania w archiwum obrazów z kamer bezpieczeństwa — rzekł. — Wiedzieliśmy już, że Groesch był w pobliżu Flagstaff, kiedy umarli Thorpe'owie, tak więc Tara zawężyła poszukiwania do jego poczynań tej nocy, gdy umarli Wilnerowie. Program rozpoznający twarze wyszukał te obrazy.

Podał Lashowi kilka fotografii.

— Tu jest przy bankomacie o trzeciej dwanaście po południu. A tutaj przejeżdża przez skrzyżowanie o czwartej pięć. Tu kupuje papierosy w sklepie monopolowym o czwartej czterdzieści dziewięć. A o piątej czterdzieści pięć kupuje džinsy.

Lash spojrzął na zdjęcia. Były pocztówkowe, na błyszczącym papierze. Podobnie jak zdjęcia z domu Thorpe'ów, które dostał z FBI. Miały doskonałą rozdzielczość i nie było cienia wątpliwości, że jasnowłosa mężczyzna z gęstymi węsami to nikt inny tylko James Groesch.

Z rosnącym podnieceniem oddał Mauchly'emu zdjęcia.

— No i?

Mauchly wskazał na pieczętkę znajdującą się na kopercie: *MASSAPEQUA, INNER RING, 9/24/04*.

Podniecenie opadło równie szybko, jak się pojawiło.

— Zatem był w Massapequa, kiedy Wilnerowie wykrwawiali się w Larchmont — powiedział Lash.

Mauchly kiwnął głową.

Lash ciężko westchnął. Spojrzął na zegar: dokładnie dziesiąta trzydzieści.

— I co teraz? — zapytał.

Jednak znał już odpowiedź. Teraz pora na ich ostatniego podejrzanego. Gary'ego Handerlinga. Pracownika Edenu.

## 24

— Oczyszczenie Handerlinga nie powinno zabrać nam wiele czasu — powiedział Mauchly. — Naszych przyszłych pracowników sprawdzamy i badamy jeszcze dokładniej niż klientów. Jestem trochę zdziwiony, że Liza go wytypowała.

W gabinecie panowała niemal namacalna atmosfera rozczarowania.

— Na czym polega ta procedura? — zapytał Lash.

Upił łyk kawy, stwierdził, że jest zimna, ale i tak ją wypił.

— W każdej stacji roboczej i na każdym stanowisku mamy bierne urządzenia monitorujące. Rejestrujące uderzenia klawiszy i tym podobne. Nie jest to tajemnica, raczej środek zapobiegawczy. — Mauchly otworzył inną kopertę: cienką i brązową, zawierającą tylko kilka kartek. — Gary Joseph Handerling. Lat trzydzieści trzy. Poprzednio zatrudniony jako technik informatyk w banku w Poughkeepsie. Obecnie mieszka w Yonkers. Rozwiedziony, bezdzietny. Wywiad środowiskowy nie wykazał niczego poza kilkoma wizytami u szkolnego psychologa po zerwaniu z pierwszą dziewczyną.

Tara zachichotała.

— Badania psychologiczne nie wykazały odchyień od normy. Skłonności przywódcze i do oportunisty. Zatrudniony przez Eden w czerwcu dwa tysiące pierwszego, odbył praktykę w kilku działach. Najpierw przez sześć miesięcy pracował

w Dziale Wspomagania Systemów. W styczniu dwa tysiące drugiego przeniesiony do Selektynego Gromadzenia Danych. Zakończył praktyką w sierpniu w Dziale Czyszczenia Danych. We wszystkich zebrał pozytywne opinie. Szczególnie wysoko oceniano jego motywację i chęć zdobycia wiedzy o firmie. Cholerny skaut, pomyślał Lash.

— W lutym tego roku został kierownikiem swojego działu. Kwalifikuje się do następnego awansu, ale wydaje się zadowolony ze swojego obecnego stanowiska. — Mauchly spojrzął na Lasha. — Czy pasuje do jakiegoś znanego panu profilu?

Jego głos był zabarwiony delikatną nutą ironii.

Lash poczuł się pokonany.

— Raczej nie. Niektórzy socjopaci potrafią bardzo dobrze się maskować. Na przykład Ted Bundy. Jego wiek, rasa i stan cywilny pasowały do portretu seryjnego zabójcy. Natomiast stała praca nie zgadzała się z tym profilem. Jednak w przypadku naszych ofiar nic nie jest typowe. Zastanawiał się chwilę. - Czy on na bieżąco płaci raty za samochód i nie ma debetu w banku? Zorganizowani seryjni zabójcy potrafią wprost obsesyjnie pilnować terminów płatności, nie chcąc rzucać się w oczy.

Mauchly znów spojrzął na zawartość teczeki.

— Tara, możesz zajrzeć do wyciągów bankowych i porównać je z rejestrami DMV?

— Oczywiście. Jaki jest jego SSN?

— Dwieście, sześćdziesiąt sześć, dwa tysiące dziewięćset osiemdziesiąt cztery.

— Chwileczkę. — Tara postukała w klawisze. — Wszystko na tip-top. Żadnych zaległości w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Raty za samochód płacone na bieżąco.

Mauchly kiwnął głową.

— Jest też dobrym kierowcą. Ma na koncie tylko dwa punkty karne.

— Za co je dostał? — zapytał Lash, bardziej z przyzwyczajenia niż rzeczywistej ciekawości.

— Zapewne za przekroczenie dozwolonej szybkości. Niech sprawdzi kartotekę policyjną.



W pokoju zapadła cisza, przerywana tylko stukaniem klawiszy.

— Jest — powiedziała po chwili Tara. — Jazda z nadmierną szybkością w terenie zabudowanym. Niedawno: dwudziestego czwartego września.

— Dwudziestego czwartego września — powtórzył Lash. — W dniu, kiedy...

Jednak Tara przerwała mu.

— W Larchmont.

Larchmont.

— W dniu, kiedy umarli Wilnerowie — dokończył Lash.

Przez moment wszyscy troje spoglądali na siebie. Potem odezwał się Mauchly.

— Tara — powiedział bardzo cicho. — Czy możesz zabezpieczyć ten terminal? Nie chcę, żeby ktoś zaglądał nam przez ramię.

Tara znowu odwróciła się do komputera i wprowadziła kilka poleceń.

— Gotowe.

— Zaczniemy od jego rejestrów płatności kartą kredytową— powiedział Mauchly. — Zobaczymy, czy w zeszłym miesiącu odwiedził jakieś ciekawe miejsca.

Nadal mówił powoli, niemal sennie.

— Już łączę się z Instifaksem. — Stukot klawiszy. — Był bardzo zajęty. Mnóstwo rachunków z restauracji, głównie w centrum i dolnym Westchester. Dziwne: są też rachunki z moteli. Jednego w Pelham, drugiego w New Rochelle. — Podniosła głowę. — Dlaczego miałby płacić za pokój w motelu odległym o piętnaście minut jazdy od jego mieszkania?

— Szukaj dalej — rzekł Mauchly.

— Jest niedawno kupiony bilet na samolot Air Northern. I rachunek z wypożyczalni samochodów na ponad sto dolców. Następny rachunek za pokój w Dew Drop Inne. I rachunek za bilet kolejowy. Oraz coś, co wygląda na zaliczkę za rezerwację pokoju w motelu na nadchodzący weekend.

— Gdzie?

— Chwileczkę. Burlingame, Massachusetts.  
— Wejść w EasyTrak. Sprawdźmy te bilety.  
— Sie robi. — Tara zaczekała, aż odświeży się ekran. Bilet na samolot w obie strony do Phoenix i z powrotem. Wylądował z La Guardia piętnastego września, wrócił siedemnastego września.

— Thorpe'owie umarli siedemnastego września — przypomniał Mauchly. — Wspomniałaś o Dew Drop Inne. W jakiej miejscowości?

Głośne postukiwanie klawiszy.

— Flagstaff, Arizona.

Lash poczuł dreszcz podniecenia.

Powoli, prawie obojętnie, Mauchly wstał i wyszedł zza stołu.

— Czy możesz ściągnąć rejestr uderzeń w klawiaturę terminalu Handerlinga za... powiedzmy, ostatnie trzy tygodnie?

Lash wstał i tak samo jak Mauchly podszedł do monitora.

— Już jest — oznajmiła Tara.

Lash zobaczył niekończące się szeregi znaków przewijających się na ekranie: każdy klawisz naciśnięty przez Handerlinga w ciągu ostatnich piętnastu dni pracy.

— Przepuść to przez sniffer. — Mauchly zerknął na Lasha. — Przepuścimy to przez inteligentny filtr i poszukamy czegoś podejrzanego.

— Tak jak rząd sprawdza pocztę elektroniczną i rozmowy telefoniczne, szukając terrorystów?

— Kupili licencję od nas.

— Nic szczególnego — powiedziała po chwili Tara. — Sniffer nic nie pokazuje.

— Mówicie, że czym zajmuje się ten facet? — zapytał Lash.

— Dział Czyszczenia Danych odpowiada za bezpieczne składowanie danych o klientach po całym procesie.

— Czyli po doborze partnera.

— Zgadza się.

— I mówił pan, że on kieruje tym działem. Czy to daje mu dostęp do poufnych danych osobowych?

— Rozdzielamy dane o klientach na kilka różnych działów

czyszczących, żeby zminimalizować ryzyko. Teoretycznie to możliwe. Gdyby jednak próbował wtykać nos tam, gdzie nie powinien, wykazałyby to rejestry pracy jego klawiatury.

— Czy mógł uzyskać dostęp do danych, korzystając z innego terminalu?

— Terminale wymagają wprowadzenia kodu identyfikacyjnego z bransoletki. Gdyby użył innego terminalu, wiedzielibyśmy o tym.

W pokoju zapadła cisza. Mauchly z rękami założonymi na piersi spoglądał na ekran.

— Taro — rzekł. — Przeprowadź analizę częstotliwości uderzeń w klawisze. Zobaczmy, czy nie ma jakichś odchyleń.

— Chwileczkę.

Ekran odświeżył się i pojawił się na nim szereg równoległych kolumn: daty, czasy i jakieś tajemnicze skróty, nic nie mówiące Lashowi.

— Nic odbiegającego od normy — orzekła po chwili Taro. — Wszystko wygląda typowo.

Lash uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Czy to ma się powtórzyć? Czy znów będzie to wyglądało na przełom, a okaże się następną ślepą uliczką?

— Jeżeli już, to nawet zbyt typowo — dodała Taro.

— Jak to? — zdziwił się Mauchly.

— No cóż, spójrzcie na to. Codziennie, dokładnie od drugiej trzydzieści do drugiej czterdzieści pięć powtarzają się dokładnie te same polecenia.

— I co w tym niezwykłego? Może to być jakaś rutynowa czynność, na przykład odświeżanie archiwum.

— Nawet takie przypadki trochę się różnią: nowymi zestawami danych lub lokalizacją kopii bezpieczeństwa. Natomiast tu nawet nazwy są takie same.

Mauchly przez długą chwilę spoglądał na ekran.

— Masz rację. Codziennie przez piętnaście minut naciskano te same klawisze.

— W dodatku dokładnie o tej samej porze. — Taro wskazała

na ekran. — Co do sekundy. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego zdarzenia?

— Cóż więc to oznacza? — spytał Lash.

Mauchly zerknął na niego.

— Nasi pracownicy wiedzą, że ich praca jest monitorowana. Handerling wie, że gdyby spróbował czegoś oczywistego — na przykład wyłączyć rejestr pracy klawiatury — natychmiast zwróciłby na siebie uwagę. Wygląda na to, że znalazł jakiś sposób, żeby oszukać program śledzący. Zapewne wprowadza makropolecenie złożone z niewinnych komend, a w tym czasie robi coś innego.

— Może znalazł jakiś słaby punkt systemu — powiedziała Tara. — Jakaś lukę lub wadę, którą wykorzystuje.

— A czy jest sposób, żebyśmy mogli zobaczyć, co naprawdę robi przez ten kwadrans? — zapytał Lash.

— Nie — odparł Mauchly.

— Tak — powiedziała Tara.

Obaj spojrzeli na nią.

— Być może. Używamy także kamer, które robią zdjęcia ekranów wszystkich komputerów kierownictwa, prawda? Robią to w pewnych odstępach czasu, losowo. Może jednak dopisze nam szczęście.

Szybko wprowadziła nowy ciąg poleceń i znieruchomiła.

— Wygląda na to, że w tym piętnastodniowym okresie wykonano tylko jedno zdjęcie terminalu Handerlinga. Trzynastego września.

— Zechciałabyś je wydrukować? — poprosił Mauchly.

Podziała kilka poleceń i drukarka na biurku zaczęła pomrukiwać. Mauchly chwycił kartkę, ledwie wylądowała w podajniku, i wszyscy troje spojrzeli na nieostry obraz:

```
EDEN — ZASTRZEŻONE I POUFNE
WYNIKI WYSZUKIWANIA SQL W ZBIORZE DANYCH A$4719
OPERATOR: NIEZNANY
CZAS: 14:38:02 13-09-98
CYKLE CPU: 23054
```

THORPE, L.  
WILNER, J.  
CONNELLY, K.  
GUPTA, P.  
REVERE, M.  
IMPERIOLE, M.

FLAGSTAFF, AZ  
LARCHMONT, NY  
BURLINGAME, MA  
MADISON, WI  
JUPITER, FL  
ALEXANDRIA, VA

### KONIEC WYSZUKIWANIA

— O Jezu — westchnęła Tara.

— Te pozostałe nazwiska — spytał Lash. — Superpary? Mauchly skinął głową.

— Wszystkie sześć.

Jednak Lash prawie go nie słyszał. Gorączkowo kojarzył fakty. Seryjni zabójcy mają swoje nawyki...

Patrząc na tę listę, przypomniał sobie coś i przeszedł go dreszcz.

— Wspomniałaś o bilecie kolejowym — powiedział do Tary. — I o zaliczce za rezerwację pokoju w motelu.

Tara nagle szeroko otworzyła oczy. Znów zajęła się komputerem.

— Bilet na Acele do Bostonu. W ten piątek rano.

— A położenie motelu?

— Burlingame, Massachusetts.

Mauchly odszedł od terminalu. Jego obojętność gdzieś się zapodziała.

— Taro, chcę, żebyś ściągnęła mi wykaz rozmów telefonicznych Handerlinga. Zarówno z pracy, jak z domu. Załatwisz mi to?

Tara kiwnęła głową i podniosła słuchawkę.

— Dziękuję. — Mauchly ruszył do drzwi, ale w połowie drogi przystanął i odwrócił się. — A teraz, doktorze Lash, musi mi pan wybaczyć. Mam kilka spraw do załatwienia.

## 25

Pod wieloma względami ta sceneria była taka jak inne: nieład w pokoju, potłuczone lustra, zasłony w sypialni szeroko rozsunięte, jakby zapraszające noc na świadka zbrodni. Jednak pod innymi względami była całkiem inna. Kobieta leżała w kałuży krwi, otaczającej okropną koroną jej zmasakrowane ciało. A w bezlitosnym blasku reflektorów białe ściany lśniły pustką, nie było na nich żadnych napisów.

Kapitan Masterton oderwał wzrok od ofiary. Miał zaciętą minę policjanta naciskanego ze wszystkich stron.

— Zastanawiałem się, kiedy tu ściągniesz, Lash. Przywitaj się z ofiarą numer trzy. Helen Martin, lat trzydzieści dwa.

Masterton gapił się na niego. Wydawało się, że zaraz rzuci kolejną cierpką uwagę na temat przydatności portretu psychologicznego sporządzonego przez Lasha. Jednak tylko z niesmakiem pokręcił głową.

— Chryste, Lash, jesteś jak zombi. Za każdym razem kiedy cię widzę, wyglądasz gorzej.

— Pogadamy o tym innym razem. Od jak dawna nie żyje?

— Niecałą godzinę.

— Jakies ślady gwałtu? Doszło do penetracji?

— Patolog już tu jedzie, ale wydaje się, że nie została zgwałcona. Nie ma także śladów świadczących o tym, że padła ofiarą zaskoczonego włamywacza. Tak jak i poprzednio. Jednak tym razem

coś mamy. Sąsiadka zgłosiła hałasy. Nie potrafiła zidentyfikować pojazdu, ale ustawiliśmy posterunki kontrolne na głównych skrzyżowaniach i wjazdach na autostradę. Może dopisze nam szczęście.

Zbrodnia została popełniona tak niedawno, że miejscowi policjanci dopiero zabierali się do pracy, pstrykając zdjęcia, rozpylając proszek daktyloskopijny, obrysowując kredą kontury ciała. Stał tam, spoglądając na ciało. Znow czuł to irytujące wrażenie, że wszystko jest nie tak. Jak układanka z niewłaściwymi obrazkami. Nic nie pasowało do siebie, a jeśli nawet, to obraz nie wyglądał dobrze. Lash wiedział o tym, ponieważ nieustannie, od wielu dni, składał i rozkładał go w myślach. Ten widok był jak ogień w jego głowie, pochłaniający wszystkie inne myśli, nie pozwalający zasnąć.

Ciało zostało zmasakrowane, najwyraźniej w ataku szału. To wskazywało na społecznie nieprzystosowanego mordercę. A jednak dom stał samotnie, na skraju lasu, więc nie była to przypadkowa zbrodnia, zrodzona ze sposobności. Ponadto potłuczone lustra zazwyczaj wskazywały na dyskomfort psychiczny zabójcy po dokonaniu takiej zbrodni. Tylko że tacy zabójcy zakrywali swoje ofiary, a przynajmniej ich twarze. Ta kobieta była naga, a kończyny miała ułożone w upiornie prowokacyjny sposób. A przecież nie było to morderstwo na tle seksualnym. Ani rabunkowym. I tym razem nie było nawet rytualnej aureoli odciętych palców rąk i nóg, nadającej morderstwu cechy zbrodni z wewnętrznego przymusu.

Aby stworzyć profil, musisz wejść w myśli mordercy, zadać sobie pytania. Co się wydarzyło w tym pokoju? Dlaczego stało się to właśnie tak? Nawet seryjni zabójcy mają swoją spaczoną logikę. Tu jednak nie było żadnego logicznego wytłumaczenia.

Powiedział wzrokiem wokół. Na miejscach dwóch poprzednich morderstw ściany sypialni pokrywały bełkotliwe gryzmoły nabazgrane krwią; cholerny melanż sprzeczności.

Tym razem ściany były puste.

Dlaczego?

Zatrzymał wzrok na dużym oknie panoramicznym wychodzącym na las za domem. Tak jak poprzednio, zasłony były rozsunięte i ukazywały prostokąt czerni, który odbijał światło lamp sodowych. Trudno było mieć pewność w tym oślepiającym blasku, ale Lash miał wrażenie, że dostrzega jakieś niewyraźne smugi na szkle, czarne na tle czarnej nocy.

— Masterton. Możesz im kazać, żeby nie świecili reflektorami w okna?

Właśnie przybył patolog i kapitan przeszedł przez pokój, żeby go powitać. Obejrzał się przez ramię.

— Co mówisz, Lash?

— Te lampy, tam przy oknie. Odwróćcie je.

Masterton wzruszył ramionami i zaczął rozmawiać z Ahearnem, swoim zastępcą.

Gdy blask lamp padł na niego, okno pograżyło się w cieniu. Lash ruszył tam, a Masterton za nim. Wysoko na szybie zakrwawionym palcem ktoś dużymi literami napisał:

TERAZ JUŻ MAM TO, CZEGO POTRZEBUJĘ. DZIĘKI.

— O cholera — wymamrotał.

— To koniec — powiedział Masterton, podchodząc z detektywem Ahearnem. — Dzięki Bogu, Lash. To już koniec.

— Nie — odparł Lash. — Wcale nie. To dopiero początek...



Lash usiadł na łóżku, zupełnie rozbudzony, czekając, aż wspomnienia odpłyną. Spojrzał na zegarek: wpół do drugiej. Wstał, ale zaraz się rozmyślił i usiadł na brzegu łóżka.

Przez wszystkie cztery noce z rzędu przespał chyba parę godzin. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby pokazać się w Edenie półprzytomny: na pewno nie jutro.

Znów wstał i szybko poszedł do łazienki, wyjął pudełko z seconalem, połknął kilka pastylek i popił je wodą z kranu. Potem wrócił do łóżka, starannie poprawił pościel i powoli zapadł w mrok snu.



Obudziły go kościelne dzwony, jego weselne dzwony, bijące w białej od pyłu misji Carmel-by-the-Sea. Tylko, że te dzwony były trochę zbyt głośno i nieprzerwanie, i nie chciały ucichnąć.

Lash z trudem otworzył oczy i uświadomił sobie, że dzwoni telefon. Usiadł i pokój zawirował wokół niego. Zamknął oczy i znów się położył, po czym na oślep sięgnął po słuchawkę.

— Tak — powiedział ochrypłym głosem.

— Doktor Christopher Lash?

— Tak.

— Tu Ken Trotwood z działu pożyczek i kredytów New Olympia.

Lash ponownie zdołał otworzyć oczy i spojrzał na zegarek.

— Czy pan wie, która...

— Wiem, że jest wcześniej, doktorze Lash. Bardzo mi przykro. Jednak w inny sposób nic mogliśmy się z panem skontaktować. Nie odpowiadał pan na nasze listy i wiadomości.

— O czym pan mówi?

— O obciążonej hipotece pańskiego domu. Nie spłaca pan rat, doktorze Lash, i musimy domagać się natychmiastowego uregulowania zaległości z karnymi odsetkami.

Lash usiłował zebrać myśli.

— To chyba jakaś pomyłka.

— Nie wygląda na to. Chodzi o posiadłość przy Ship Bottom Road siedemnaście, Westport, Connecticut.

— To mój adres, ale...

— Z tego, co widzę na ekranie, proszę pana, wysłaliśmy do pana trzy listy i dzwoniliśmy kilka razy. Bez powodzenia.

— To niemożliwe. Nie otrzymałem żadnych zawiadomień. Ponadto moje raty hipoteczne są opłacane przelewem przez bank jako zlecenie stałe.

— Zatem może to jakieś problemy w pańskim banku. Ponieważ według naszych danych zalega pan z płatnościami już od ponad pięciu miesięcy. Muszę pana poinformować, że jeśli natychmiast nie ureguluje pan należności, będziemy zmuszeni...

— Nie ma potrzeby uciekać się do gróźb. Natychmiast to sprawdzę.

— Dziękuję panu. Miłego dnia.

W słuchawce zapadła cisza.

Miłego dnia. Lash ze znużeniem usiadł i spojrzął w kierunku okna, gdzie pierwsze wątłe promyki świtu zaczęły pokonywać nielitościwą ciemność nocy.

## 26

— Co takiego zrobił ten facet? — zapytał agent federalny siedzący za kierownicą.

— Jest podejrzany o popełnienie czterech zabójstw — odparł Lash.

Deszcz bębnił o dach i szerokimi strumieniami spływał po szybach. Lash dopił kawę, zastanowił się, czy skoczyć do pobliskiego sklepu po następną, spojrzął na zegarek i porzucił ten pomysł. Już dziesięć po piątej, a z danych działu osobowego wynikało, że Gary Handerling niemal zawsze punktualnie wychodzi z pracy.

Spojrzał na leżące na siedzeniu obok, wykonane na błyszczącym papierze zdjęcie Handerlinga, zrobione tego ranka przez kamerę przy punkcie kontrolnym I. Potem popatrzył przez Madison Avenue, na wieżowiec Edenu. Handerlinga nietrudno będzie zauważyć: wysoki i chudy, nie licząc niewielkiego brzuszka, z rzadkimi blond włosami i w żółtej kamizelce bez rękawów, będzie wyróżniał się w tłumie. Nawet gdyby Lash go przeoczył, na pewno zauważy go któryś z innych zespołów.

Lash znów popatrzył na fotografię. Handerling nie wyglądał na seryjnego zabójcę. Co prawda niewielu z nich wyglądało na zbrodniarzy.

Prawe przednie drzwi otworzyły się i do środka wcisnął się mocno zbudowany mężczyzna w mokrym granatowym gar-

niturze. Kiedy obrócił głowę, żeby spojrzeć do tyłu, Lash poczuł bijący od niego zapach old spice'a. Wiedział, że pojedzie z nimi jeszcze jeden agent FBI, ale zdziwił się na widok Johna Coven. kolegi, z którym na początku swojej kariery współpracował przy kilku sprawach.

— Lash? — powiedział Coven, wyglądając na równie zaskoczonego. — To ty?

Lash kiwnął głową.

— Jak się masz, John?

— Chyba nie powinienem narzekać. Wciąż na fali jako GS-trzyniącie. Jeszcze pięć lat i osiadę w Marathon, i będę nurkował w morzu zamiast w śmietnikach.

— Fajnie.

Jak wielu innych agentów Coven obsesyjnie liczył lata do emerytury. Z zaciekawieniem popatrzył na Lasha.

— Słyszałem, że odszedłeś z roboty. Podobno przeszedłeś do prywatnego sektora i sam kręcisz sobie lody.

Oczywiście Coven dobrze wiedział, że Lash odszedł z FBI i dlaczego. Po prostu był taktowny.

— Zgadza się — odparł Lash. — Tutaj tylko chałturzę. Potrzebowałem odmiany.

Coven kiwnął głową.

— A dla ciebie nie jest to trochę dziwny przydział? — zapytał Lash, uprzejmie kierując rozmowę na inne tory.

Coven wzruszył ramionami.

— Już nie. Teraz wszystko się wymieszało. Po tych wszystkich wstrząsach i reorganizacjach wszyscy sypiają ze wszystkimi. Nigdy nie wiesz, z kim będziesz pracował: DEA, CIA, Homeland Security, miejscową policją czy ze skautami.

Owszem, ale nie z prywatną korporacją, pomyślał Lash. Wykorzystywanie FBI jako najemnej siły roboczej było dla niego czymś całkiem nowym.

— Dziwne było tylko to, że rozkaz otrzymałem bezpośrednio od szefa — powiedział Coven. — Z pominięciem normalnych kanałów.

Lash pokiwał głową. Przypomniawszy sobie słowa Mauchly'ego: „Dzielimy się informacjami z wybranymi agencjami rządowymi”. Najwyraźniej była to obustronna współpraca.

Przez cały ten dzień rzadko widywał Mauchly'ego i Tarę Stapleton. Przyjechał późno, zmuszony spędzić większą część ranka na rozwiązywaniu skomplikowanej łąmigiłówki przepisów, bankowych formularzy, raportów towarzystwa kredytowego i biurokratycznych idiotyzmów, żeby wyjaśnić sprawę swojej hipoteki i uaktywnić zablokowane karty kredytowe. Mauchly zajrzał do jego gabinetu tuż przed lunchem, niósł pod pachą dużą paczkę. Handerling, powiedział, odebrał bilet kolejowy wystawiony na jutro wieczór. Rozmowa telefoniczna, którą przeprowadził tego ranka ze swojego biura, wskazywała, że po pracy miał się spotkać z jakąś kobietą. Postanowiono go śledzić i Lash miał wziąć w tym udział. Poprzedniego wieczoru delikatnie, lecz stanowczo odrzucił sugestie Lasha, który zalecał niezwłocznie zawiadomić policję. „On nie stanowi bezpośredniego zagrożenia — powiedział Mauchly. — Musimy zgromadzić więcej dowodów. Proszę się nie obawiać, jest dobrze pilnowany”.

Położył na biurku Lasha paczkę, zawierającą takie dokumenty Handerlinga, jak podanie o pracę oraz opinie wydane przez przełożonych w Edenie i poprzednich miejscach pracy.

— Trzeba sprawdzić, czy to pasuje do portretu psychologicznego — powiedział. — Jeśli tak, to proszę sporządzić dla nas krótką analizę jego charakteru. To może nam bardzo pomóc.

Tak więc Lash przez całe popołudnie przeglądał akta Handerlinga. Ten człowiek był sprytny: teraz Lash dostrzegł subtelne dowody na to, że tamten umiejętnie oszukiwał podczas badań psychologicznych. Na wszystkie potencjalnie niebezpieczne pytania odpowiadał neutralnie. Współczynnik wiarygodności wszystkich testów był należycie wysoki, w rzeczy samej identycznie wysoki, co sugerowało, że Handerling rozpoznał pytania mające wykryć oszustwo i odpowiedział na wszystkie w ten sam sposób.

Taka inteligencja i staranne planowanie były typowe dla

zorganizowanego zabójcy. A w istocie Handerling musiał nim być, jeśli udało mu się uchodzić za wzorowego pracownika Edenu. Lash doszedł do wniosku, że brak zorganizowania widoczny w miejscach zbrodni można wyjaśnić niezwykłością wybranych ofiar. Nie ulegało wątpliwości, że te sześć superpar było w Edenie niemal obiektem kultu. Jednak w kimś przepełnionym frustracją lub gniewem — kimś, kto na przykład miał apodyktyczną matkę lub pecha w związkach z kobietami — mogły budzić zazdrość, a nawet źle ukierunkowaną wściekłość.

Handerling nie tyle znał Thorpe'ów i Wilnerów, ile znał ich historię dzięki swojej pozycji w Edenie. A to był niezwykle interesujący fakt. Oznaczało, że powstał nowy rodzaj seryjnego zabójcy, dotychczas nieznaną: uboczny produkt ery informacyjnej, morderca przeszukujący bazy danych w poszukiwaniu idealnych ofiar. Byłby to niesamowity artykuł w „American Journal of Neuropsychiatry”; artykuł, który dałby do wiwatu staremu przyjacielowi Lasha, Rogerowi Goodkindowi.

Z przodu doleciał pisk krótkofalówki.

— Jednostka siedem zero dziewięć. Na pozycji.

Coven podniósł mikrofon, trzymając go nisko, żeby nie było tego widać z zewnątrz.

— Przyjąłem. — Odwrócił się do Lasha. — Niewiele nam powiedziano. Czego dokładnie możemy się spodziewać?

— Ten cały Handerling ma się spotkać po pracy z jakąś kobietą. Poza tym niewiele wiemy.

— Jaki wybierze środek lokomocji?

— Nie wiadomo. Może pieszo, może metrem lub autobusem. I... — Lash nagle zamilkł. — Już jest. Właśnie przechodzi przez drzwi obrotowe.

Coven włączył radiostację.

— Tu siedem zero siedem. Wszystkie jednostki, podejrzany wychodzi z budynku. Biały mężczyzna około sześciu stóp wzrostu, w żółtej kamizelce. Przygotować się.

Handerling przystanął i rozejrzał się po Madison Avenue. Kamizelka rozciągnęła się, gdy rozłożył nad głową duży parasol. Lash powstrzymał chęć spojrzenia mu w twarz. Minęły lata,

od kiedy ostatni raz kogoś śledził, i teraz czuł, że serce bije mu nieprzyjemnie szybko.

— Tam jest nasz człowiek — powiedział Coven, ruchem głowy wskazując stoisko z prasą na rogu.

— Ten z czerwonym parasolem i telefonem komórkowym?

— Tak. Nie uwierzysz, jak telefony komórkowe ułatwiają obserwację. W dzisiejszych czasach człowiek idący ulicą i mówiący do mikrofonu to normalny widok. A aparaty Nextela mają wbudowane właściwości krótkofalówek, więc można utrzymywać łączność z całą grupą.

— Są inni piesi obserwatorzy?

— Przy wejściu do metra i na tamtym przystanku autobusowym.

— Tu siedem zero dziewięć — powiedział głos przez radio. — Podejrzany przemieszcza się. Wygląda na to, że zamierza złapać taksówkę.

Lash pozwolił sobie na rzut oka przez boczną szybę. Handerling długim, rozkołysanym krokiem ruszył w kierunku ulicy. Wyciągnął rękę z wyprostowanym palcem wskazującym i taksówka posłusznie zatrzymała się przy krawężniku.

Coven złapał mikrofon.

— Tu siedem zero siedem. Mam kontakt wzrokowy. Siedem zero dwa i siedem zero pięć, jedziemy.

— Przyjąłem — odpowiedział mu chór głosów.

Kierowca brązowego sedana włączył się do ruchu kilka pojazdów za taksówką.

— Podejrzany zmierza na wschód Pięćdziesiąt Siódmą — powiedział Coven, wciąż trzymając mikrofon.

— Ile mamy wozów? — zapytał Lash.

— Jeszcze dwa. Pojedziemy za nim, zmieniając się co kwartał.

Taksówka jechała powoli, zmagając się z deszczem i ulicznym ruchem. Jednym kołem wjechała w głęboką dziurę, oblewając chodnik fontanną błotnistej cieczy. Na Lexington Avenue znowu skręciła, nieładnie wymuszając pierwszeństwo na minivanie.

— Skręca na południe w Lex — powiedział Coven. — Utrzymuje prędkość dwudziestu pięciu mil na godzinę. Zaraz odskoczę. Kto przejmuję?

— Tu siedem zero pięć — zgłosił się inny agent. — Mam kontakt wzrokowy.

Lash zerknął przez tylną szybę i zobaczył zielonego jeepa jadącego sąsiednim pasem. Przez strugi deszczu dostrzegł Mauchly'ego siedzącego obok kierowcy.

Kierowca Cvena dodał gazu, zręcznie wyprzedzając tak-sówkę i jadąc dalej Lexington Avenue. Lash wiedział, że to standardowa procedura: obserwację należy prowadzić, korzystając z jak największej liczby pojazdów, żeby podejrzany nie zorientował się, iż jest śledzony. Po przejechaniu kilku skrzyżowań zawrócą, pojadą z powrotem i zajmą miejsce na końcu kolejki.

— Siedem zero pięć, przyjąłem. — Coven obejrzał się. — No więc, Lash, jak ci jest w prywatnym sektorze?

— Nie udaje mi się już wykręcić od mandatów za zbyt szybką jazdę.

Coven uśmiechnął się i kazał kierowcy skrócić w Trzecią Aleję.

— Nie tęsknisz czasem za Biurem?

— Nie tęsknię za pensją.

— Słyszałem.

— Tu siedem zero pięć — zapiszczało w głośniku. — Podejrzany skręca na wschód w Czterdziestą Czwartą. Pojazd staje. Przejadę obok, kto go przejmie?

— Tu siedem zero dwa. Stoimy na najbliższym rogu. Utrzymujemy kontakt wzrokowy.

Kierowca Cvena przyspieszył, przedzierając się najpierw przez jedno, a potem drugie skrzyżowanie.

— Siedem zero dwa — powiedział głos. — Podejrzany opuścił pojazd. Wchodzi do baru Stringer's.

— Siedem zero siedem — odparł Coven. — Przyjąłem. Obserwuj wejście. Siedem czternaście, potrzebujemy cię w barze Stringer's. Czterdziesta Czwarta między Lex a Trzecią.



— Przyjąłem.

Po kilku minutach sedan zatrzymał się przy Czterdziestej Czwartej, w miejscu gdzie obowiązywał zakaz parkowania. Lash spojrzął przez szybę. Sądząc po kolorowej markizie nad wejściem i tłumie dwudziestokilkulatków w środku, Stringer's był terenem łowieckim młodych japiszonów.

— Już idą — rzekł Coven.

Lash zobaczył parę młodych ludzi nadchodzących ulicą, trzymających się za ręce pod jednym parasolem.

— To nasi ludzie?

Coven skinął głową.

Para znikła w barze. Po chwili zadzwonił telefon komórkowy Covena.

— Siedem zero siedem — powiedział.

Lash wyraźnie słyszał głos dobiegający z głośniczka komórki.

— Jesteśmy przy barze. Podejrzany siedzi przy stoliku z tyłu. Jest z nim biała kobieta mocno zbudowana, pięć stóp i sześć cali wzrostu, w białym swetrze i czarnych džinsach.

— Przyjąłem. Utrzymujcie kontakt. — Coven odłożył komórkę i spojrzął do tyłu. Zauważył pusty kubek po kawie Lasha.

— Jeszcze jedną? — zapytał. — Ja stawiam.

• • •

W ciągu pół godziny Lash poznał wszystkie ostatnie plotki z Biura: Lothario kręci z żoną szefa, z Waszyngtonu przyszły nowe idiotyczne wytyczne, wyższe szczeble hierarchii obsiedli sami nieudacznicy, a nowicjusze z ostatniego naboru są niewiarygodnie zieloni. Od czasu do czasu przychodziły meldunki od agentów obserwujących Handerlinga w barze.

W końcu rozmowa zaczęła kuleć i Coven spojrzął na zegarek.

— Hej, Pete. Może przyniosłbyś nam jeszcze kawy?

Lash patrzył, jak agent wysiada z samochodu i kłusem pędzi do najbliższego sklepu spożywczego.

— Mogłoby już przestać padać — mruknął Coven.

Lash kiwnął głową. Popatrzył w lusterko. Po drugiej stronie ulicy i pół kwartału dalej dostrzegł jeepa Mauchly'ego.

Coven wiercił się na przednim siedzeniu.

— Powiedz mi coś, Chris — rzekł po chwili. — Ta firma dla której chałturzysz, ten Eden. Jaka ona jest?

— Naprawdę godna uwagi — odparł ostrożnie Lash.

Jeśli Coven dziwiła ta robota i chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej, trzeba uważać, co się mówi.

— Chodzi mi o to, czy oni naprawdę to robią? Czy są tak dobrzy, jak wszyscy twierdzą?

— Mają imponującą listę sukcesów.

Coven powoli pokiwał głową.

— W naszej paczce golfiarzy jest taki facet, ortodonta, stary kawaler. Wciąż próbowaliśmy go wyswatać, ale on nienawidził randek w ciemno. Wiecznie żartowaliśmy sobie z tego. Jakiś rok temu zgłosił się do Edenu. Teraz byś go nie poznał, to inny człowiek. Ożenił się z miłą kobietą. I bardzo ładną. Niewiele o tym mówi, ale nawet idiota by zauważył, jaki jest szczęśliwy. Drań zaczął nawet lepiej grać w golfa.

Lash słuchał i nie komentował.

— No i szef Operacyjnego. Harry Creamer, pamiętasz go? Jego żona zginęła w wypadku samochodowym przed kilkoma laty. Porządny gość. No cóż, ponownie się ożenił. Nigdy nie widziałem szczęśliwszego człowieka. Plotka głosi, że on też przyszedł do Edenu.

Coven odwrócił się i Lash ujrzał w jego oczach rozpacz oraz niepewność.

— Będę z tobą szczery, Chris. Między mną a Anette nie układa się najlepiej. Oddalaliśmy się od siebie, kiedy okazało się, że ona nie może mieć dzieci. Patrząc na mojego kumpla od golfa, patrzę na Harry'ego Creamera i zaczynam myśleć, że dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to nie taki znowu majątek. Nie w ogólnym rozrachunku. Dlaczego nie żyć pełnią życia? Nie będziesz miał drugiej szansy, jeśli je sobie spieprzysz. — I po sekundzie wahania dodał: — Zastanawiałem się, czy może wiesz...

Zadzwoił telefon komórkowy.

— Siedem zero siedem, tu jednostka siedem czternaście, słyszysz mnie?

Coven natychmiast znów stał się chłodnym profesjonalistą. Odebrał telefon.

— Tu siedem zero siedem, mów, siedem czternaście.

— Podejrzany najwyraźniej pokłócił się o coś z kobietą. Zmierzają do wyjścia.

— Tu siedem zero siedem, przyjąłem, bez odbioru.

W tym momencie otworzyły się drzwi baru i wyszła kobieta, ruszyła szybkim krokiem, w biegu wkładając płaszcz. Zaraz po niej pojawił się Handerling i poszedł za nią.

— Wszystkie jednostki, podejrzany idzie ulicą — rzucił do mikrofonu Coven, jednocześnie odrobinę opuszczając boczną szybę.

Kobieta krzyczała przez ramię na Handerlinga. Lash zdążył usłyszeć „nędzny pierdolony szpieg”, zanim resztę zagłuszył warkot przejeżdżających pojazdów.

Handerling wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, lecz kobieta straciła jego dłoń ze swojego ramienia. Kiedy próbował ponownie, odwróciła się i próbowała go spoliczkować. Handerling uchylił się i popchnął ją.

— Zdejmijmy go — powiedział Coven.

Lash wyskoczył z wozu i poszedł za Covenem. Kątem oka zauważył, że agent o imieniu Pete wychodzi ze sklepu, trzymając w rękach kubki z kawą. Widząc przechodzącego przez ulicę Cvena, wrzucił kubki do kosza i dołączył do pozostałych.

W ciągu kilku sekund Handerling był otoczony.

— Agenci federalni — warknął Coven, pokazując odznakę. — Niech pan się cofnie. Ręce do tyłu.

Gniew na twarzy kobiety zmienił się w lęk. Cofnęła się kilka kroków, po czym odwróciła się i uciekła.

— Chce pan, żebyśmy śledzili tę dziewczynę? — zapytał Pete.

— Nie — odpowiedział za Cvena Mauchly. Stał opodal na deszczu, a Tara Stapleton obok niego. — Panie Handerling, jestem Edwin Mauchly z Edenu. Pozwoli pan z nami?

Handerling zbladł. Bezgłośnie poruszył wargami, rozpaczliwie zerkając na boki. Kilku następnych ludzi w garniturach już biegło w ich kierunku. Lash nie wiedział, czy byli to agenci federalni czy pracownicy ochrony Edenu.

— Panie Handerling — powtórzył Mauchly. — Pan pozwoli z nami.

Handerling wyprostował się. Przez moment wydawało się, że spróbuje uciec, i otaczający go ludzie zacieśnili krąg.

Potem nagle uszło z niego powietrze. Zgarbił się, kiwnął głową i pozwolił zaprowadzić się Mauchly'emu do czekającego jeepa.

## 27

Gdyby nie fakt, że to pomieszczenie znajdowało się za Murem, równie dobrze mogłoby być jedną z sal konferencyjnych Edenu, w których odbywały się zjazdy absolwentów. Zabrano krzesła z jednej strony owalnego stołu pozostawiając tylko jedno na środku. Po drugiej stronie ustawiono kilka, a więcej w kątach pokoju.

Handerling siedział na tym jednym krześle, wciąż mając na sobie wilgotną kamizelkę. Rozglądał się ze źle skrywanym zdenerwowaniem. Naprzeciw niego zajął miejsce Mauchly, mając po bokach Tarę Stapleton i dwóch nieznanych Lashowi mężczyzn. Jeden z nich ubrany był w biały lekarski fartuch. Przy drzwiach stało kilku pracowników ochrony. Inni zajęli stanowiska na korytarzu. Obserwujący to wszystko z boku Lash był zaskoczony tak liczną ochroną. I nie byli to przyjaźni, sympatyczni strażnicy z holu, tylko posepni mężczyźni spoglądający prosto przed siebie, o kwadratowych szczękach i z cienkimi przewodami biegnącymi od uszu do kołnierzy. Kiedy jeden z nich rozpiął marynarkę, żeby odebrać telefon, Lash zauważył błysk broni.

Na dużym trójnogu stała kamera, obsługiwana przez człowieka z ochrony. Na środku stołu ustawiono magnetofon. Mauchly skinął głową kamerzyście, po czym włączył magnetofon.

— Panie Handerling, czy pan wie, dlaczego się pan tu znalazł? — zapytał. — Dlaczego z panem rozmawiamy?

Handerling spojrział na niego zza stołu.

— Nie.

Lash obserwował podejrzanego. Kiedy Handerling został otoczony, najpierw był przestraszony i zdezorientowany, ale teraz miał już czas zebrać myśli: w trakcie wypełniania papierków, które towarzyszyło przekazaniu go przez federalnych ochronie Edenu; w drodze powrotnej do siedziby firmy; w labiryntcie wąskich korytarzy, którymi go tu prowadzono. Jeśli był taki jak inni znani Lashowi przestępcy, to zdążył już obmyślić plan.

Przesłuchanie często można było porównać z uwodzeniem. Jedna osoba chciała czegoś od drugiej, a ta druga często nie miała ochoty tego dać. Lash był ciekaw, jakim uwodzicielem okaże się Mauchly. Na samą myśl o tym serce zabiło mu mocniej

Mauchly z nieprzeniknioną miną przyglądał się Handerlingowi. Pozwolił trwać ciszy. W końcu znów przemówił.

— Naprawdę pan nie wie? Nie domyśla się?

— Nie. I nie sądzę, żebyście mieli prawo przetrzymywać mnie tutaj i zadawać takie pytania — powiedział Handerling urażonym, gniewnym tonem.

Mauchly nie odpowiedział od razu. Zamiast tego poprawił stos papierów leżących przed nim na stole.

— Panie Handerling, pozwolę sobie przedstawić państwa, zanim zaczniemy. Obok mnie siedzi Tara Stapleton z ochrony i doktor Debney z Działu Medycznego. Oczywiście, pana Harrisona pan zna. Dlaczego spotkał się pan z tą kobietą?

Handerling zamrugnął na tę gwałtowną zmianę tematu.

— Nie sądzę, żeby to był pański interes. Znam moje prawa i żądam...

— Pańskie prawa — Mauchly wymówił to ostatnie słowo z naciskiem, który zwrócił uwagę wszystkich obecnych w pokoju — są zawarte w dokumencie, który podpisał pan, podej-

mując pracę w Edenie. — Mauchly wziął leżący na samej górze sterty plik spiętych kartek i przesunął go na środek stołu. — Poznaje pan to?

Handerling przez moment się nie ruszał. Potem nachylił się i kiwnął głową.

— W ramach tej w pełni prawomocnej umowy zgodził się pan — między innymi — nie wykorzystywać swojego stanowiska w Edenie do nieupoważnionego stosowania naszej technologii. Zobowiązał się pan do zachowania w tajemnicy danych naszych klientów. A także do zachowania nienagannej postawy moralnej wymaganej od naszych pracowników. Wszystko to zostało panu szczegółowo wyjaśnione w trakcie rozmowy wstępnej, co potwierdził pan własnoręcznym podpisem.

Mauchly mówił to wszystko niemal znudzonym tonem. Jednak jego słowa niewątpliwie zrobiły wrażenie na Handerlingu. Z podejrzliwym błyskiem w oczach patrzył na Mauchly'ego.

— Dlatego pytam ponownie. Dlaczego spotkał się pan z tą kobietą?

— To była randka. Prawo tego nie zabrania.

Lash widział, że Handerling usiłuje utrzymać pozę skrzywdzonej niewinności.

— To zależy.

— Od czego?

Zamiast odpowiedzieć, Mauchly zerknął na leżący przed nim stosik papierów.

— Kiedy podeszliśmy do pana przed barem, ta kobieta — którą już na podstawie pańskich rozmów telefonicznych zdołaliśmy zidentyfikować jako Sarah Louise Hunt — nazwała pana, niech spojrzę... „nędznym pierdolonym szpiegiem”. Czego dotyczyła ta wypowiedź, panie Handerling?

— Nie mam pojęcia.

— Tak się składa, że moim zdaniem pan ma. I to bardzo dobre.

Lash zauważył, że Tara zapisuje coś w notesie, a Mauchly spogląda na siedzącego po drugiej stronie stołu Handerlinga. Standardowa procedura: jedna osoba robi notatki, podczas gdy

druga obserwuje mowę ciała podejrzanego, jego nerwowe gesty, mruganie i tym podobne rzeczy. Jednak większość przesłuchujących lubiła obserwować zmiany wyrazu twarzy przesłuchiwanego, zasypując go gradem pytań. Mauchly wprost przeciwnie. Pozwalał, by milczenie i niepewność działały na jego korzyść. W końcu przemówił.

— Nie tylko sędzę, że bardzo dobrze pan wie, co miała na myśli, ale że jest kilka innych kobiet mających takie samo zdanie. — Ponownie zajrzał do papierów. — Na przykład Helen Malvolia. Karen Connors. Marjorie Silkwood. I pół tuzina innych.

Twarz Handerlinga stała się szara jak popiół.

— Co łączy te wszystkie kobiety, panie Handerling? Wszystkie złożyły podania w Edenie. I wszystkie zostały odrzucone po badaniach psychologicznych. Wszystkie z podobnych powodów. Niska samoocena. Dzieci z rozbitych rodzin. Bierny stosunek do rzeczywistości. Innymi słowy, kobiety mogące łatwo stać się ofiarami.

Mauchly mówił teraz tak cicho, że Lash ledwie go słyszał.

— Te kobiety łączy coś jeszcze. W ciągu sześciu ostatnich miesięcy spotykały się z panem. W niektórych wypadkach kończyło się na lunchu lub drinku. W innych sprawy... hm... zaszły znacznie dalej.

Mauchly nagle chwycił stos papierów i z trzaskiem uderzył nimi o stół. Zrobił to tak niespodziewanie, że Handerling podskoczył na krześle.

Kiedy jednak Mauchly znów przemówił, jego głos był całkiem spokojny.

— Mamy tu wszystko. Zapisy rozmów telefonicznych z domu i z biura, rachunki zapłacone kartą kredytową w restauracjach, barach i motelach, a także rejestry poufnych danych Edenu, które przeglądał pan ze swojego terminalu. A przy okazji, już załatwiłmy tę lukę w systemie, która umożliwiła panu obejście zabezpieczeń i dostęp do danych naszych klientów. — Mauchly rozsiadł się na krześle. — W świetle tych faktów, czy zechciałby pan zmienić swoją odpowiedź?



Handerling z wysiłkiem przełknął ślinę. Krople potu perliły mu się na czole i bezwiednie zaciskał i otwierał dłonie.

— Chcę prawnika — powiedział.

— W podpisanym przez pana dokumencie zrzeka się pan tego przywileju podczas wewnętrznego dochodzenia w sprawie naruszenia obowiązków pracowniczych. Jest faktem, panie Handerling, że zagroził pan bezpieczeństwu naszej firmy. Zrobił pan to i coś znacznie gorszego. Nie tylko zawiódł pan zaufanie nasze i naszych klientów, ale zrobił to w najgorszy, najbardziej godny pogardy sposób. Pomyśleć, że specjalnie wyszukiwał pan najłatwiejsze ofiary — przeglądając wyniki badań, w trakcie których ujawniały swoje najskrytsze nadzieje i marzenia — a potem bezwzględnie wykorzystywał to dla zaspokojenia swojej żądz... to niemal niepojęte.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza.

Handerling oblizał wargi.

— Ja... — zaczął i zamilkł.

— Kiedy zakończymy to przesłuchanie, zostanie pan przekazany — wraz z obciążającymi dowodami — w ręce władz.

— Policji? — rzucił ostro Handerling.

Mauchly przecząco pokręcił głową.

— Nie, panie Handerling. Władz federalnych.

Złość na twarzy Handerlinga zmieniła się w zdumienie.

— Eden ma zawarte z kilkoma agencjami rządowymi umowy o wymianie informacji. Wie pan o tym. Niektóre z tych danych są ściśle tajne. Potajemnie grzebiąc w naszych bazach danych, popełnił pan przestępstwo, które można uznać za zdradą.

— Zdradę? — powtórzył zduszonym głosem Handerling.

— Zostanie pan oddany do dyspozycji sądu federalnego, co oszczędzi kłopotliwej popularności nam i naszym klientom. A na wypadek gdyby pan nie wiedział, w więzieniach federalnych nie ma zwolnień warunkowych, panie Handerling.

Handerling przestał błędzić wzrokiem i spojrzął na Mauchly'ego. Wyglądał jak ścigane zwierzę.

— Dobrze — powiedział. — W porządku. Było tak, jak pan powiedział. Spotykałem się z tymi kobietami. Ale nie robiłem im krzywdy.

— A co robił pan Sarah Hunt, zanim pana osaczyliśmy?

— Ja tylko chciałem, żeby przestała krzyczeć. Nic bym jej nie zrobił. Nie zrobiłem nic złego!

— Nie zrobił pan nic złego? Narzucał się pan kobietom, naruszał i wykorzystywał tajemnice zawodowe, oszukiwał — to nic złego?

— Nie od razu tak było! — Handerling rozpaczliwie wodził wzrokiem po pokoju, szukając współczucia. — Posłuchajcie, to był przypadek. Uświadomiłem sobie, że jako kierownik Działu Czyszczenia Danych mogę wykorzystać lukę w zabezpieczeniach, którą wykryłem, i ogarnąć wystarczającą ilość danych o klientach, żeby uzyskać całościowy obraz. Zrobiłem to z ciekawości, czystej ciekawości...

Jakby pękła tama. Handerling zaczął wyrzucać z siebie wszystko: o tym, jak przypadkowo odkrył lukę w zabezpieczeniach, o swoich nieśmiałych pierwszych próbach, jakimi metodami unikał zdemaskowania, o pierwszych spotkaniach z kobietami. Wszystko. Mauchly doskonale sobie z nim poradził. Rzucił na przynętę kilka pytań o drobniejsze przestępstwa i Handerling połknął haczyk. A teraz, kiedy już zaczął mówić, trudno było mu się powstrzymać. Mauchly, wytrąciwszy swoją ofiarę z równowagi, szykował decydujący cios.

Właśnie w tym momencie stanowczo podniósł rękę. Handerling zamilkł w pół słowa i niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

— To wszystko jest bardzo interesujące — powiedział cicho Mauchly. — I w swoim czasie zechcemy tego wysłuchać. Teraz jednak przejdźmy do prawdziwego powodu, przez który pan się tu znalazł.

Handerling przetarł dłonią oczy.

— Prawdziwego powodu?

— Pańskich znacznie poważniejszych przestępstw. Handerling wyglądał na oszołomionego. Nic nie powiedział.

— Zechciałby pan nam powiedzieć, gdzie pan był rano siedemnastego września?

— Siedemnastego września?

— Albo późnym popołudniem dwudziestego czwartego września?

— Ja... nie pamiętam.

— Zatem ja panu przypomnę. Siedemnastego września był pan we Flagstaff w Arizonie. A dwudziestego czwartego września w Larchmont w stanie Nowy Jork. Na jutrzejszą noc ma pan zarezerwowany pokój w motelu w Burlingame, w Massachusetts. Czy pan wie, co łączy te wszystkie trzy adresy, panie Handerling?

Handerling zacisnął palce na krawędzi stołu, aż pobieleły mu ich końce.

— Superpary.

— Bardzo dobrze. To miejsca zamieszkania ludzi, którzy tworzą idealnie dobrane przez nas małżeństwa. A raczej, w pierwszych dwóch wypadkach, tworzyli takowe.

— Tworzyli?

— Tak. Ponieważ zarówno Thorpe'owie, jak i Wilnerowie już nie żyją.

— Thorpe'owie? — ledwie zdołał wykrztusić Handerling. — I Wilnerowie? Nie żyją?

— Niech pan da spokój, panie Handerling. Nie traćmy czasu. Jakie miał pan plany na nadchodzący weekend?

Handerling nie odpowiedział. Postawił oczy w słupek. Lash zastanawiał się, czy facet nie zaślabnie.

— Jeżeli nie chce pan mówić, to ja panu powiem, co zamierzał pan zrobić. I co już pan zrobił, dwukrotnie. Chciał pan zabić Connellych. Bardzo ostrożnie, tak samo jak poprzednio. Upozorować podwójne samobójstwo.

W pomieszczeniu było słychać tylko głośne dyszenie Handerlinga.

— Zamordował pan kolejno dwie pierwsze pary — rzekł Mauchly. — Teraz zamierzał pan zaskoczyć i zabić trzecią.

Handerling nadal milczał.

— Oczywiście, poddamy pana ponownym badaniom. Już stworzyliśmy teoretyczny portret psychologiczny. W końcu pańskie czyny mówią same za siebie. — Mauchly zajął się leżącymi na stole papierów. — Mówią o pańskiej obawie przed odrzuceniem i niewielkim poczuciu własnej wartości. Uzbrojony w informacje wykradzione z naszych archiwów, wiedział pan, jak podejść do tych wybranych kobiet i jak nimi manipulować. Ciekawe, że nawet mając taką przytłaczającą przewagę, kilkakrotnie nic pan nie osiągnął. — Mauchly uśmiechnął się bez cienia rozbawienia. — Jeśli jednak te spotkania uwolniły pana od lęku przed kobietami, to nie złagodziły pańskiego gniewu. Złości wywołanej tym, że inni zdołali znaleźć szczęście, które panu nie jest dane. Tym innym zawsze pan zazdrościł. Nasze superpary były dla pana uosobieniem tego szczęścia. Ściągnęły na siebie pański gniew, który w istocie był niechęcią do samego siebie, zmienioną w...

— Nic! — wrzasnął piskliwie Handerling.

— Spokojnie, panie Handerling. Niech pan się nie podnieca.

— Ja ich nie zabiłem! — Łzy popłynęły mu z oczu. — W porządku, pojechałem do Arizony. Mam krewnych w Sedonie. Byłem u nich na weselu. Flagstaff leży niedaleko. A Larchmont jest tylko godzinę jazdy od mojego domu.

Mauchly założył ręce na piersi i słuchał.

— Chciałem wiedzieć. Chciałem zrozumieć. Widzicie, akta tego nie wyjaśniały. Nie wyjaśniały, jak ktoś może być tak szczęśliwy. Dlatego pomyślałem, że może jeśli ich zobaczę, jeśli poobserwuję ich tylko przez chwilę z bezpiecznej odległości, może się dowiem... Musicie mi uwierzyć, nikogo nie zabiłem! Ja tylko chciałem... chciałem być szczęśliwy jak oni... o Jezu...

Handerling osunął się, wstrząsany szlochem, z trzaskiem uderzając czołem o blat stołu.

— Nie ma potrzeby tak dramatyzować — rzekł Mauchly. — Możemy to zrobić przy pańskiej współpracy lub bez niej. Przekona się pan, że ta pierwsza możliwość jest o wiele mniej nieprzyjemna.

Kiedy Handerling nie zareagował, Mauchly nachylił się do lekarza i szepnął mu coś na ucho.

Jednak w oczach Lasha cała ta scena nagle zmieniła się, i to całkowicie. Powoli przestał słyszeć płacz Handerlinga i cichy głos Mauchly'ego. Przeszedł go zimny dreszcz. Eden mógł do woli przesłuchiwać i badać tego człowieka. Jednak Lash w głębi duszy wiedział już, że Handerling jest niewinny. Nie do końca — z całą pewnością był winien wykorzystania poufnych informacji dla własnych korzyści. I szpiegował superpary. Mimo to nie był zabójcą. Lash widział dostatecznie wielu wykręcających się podejrzanych, żeby wiedzieć, kiedy ktoś kłamie i czy ktoś jest zdolny do popełnienia morderstwa.

Najgorsze było to, że powinien to wiedzieć. Tabela, którą narysował kredą na tablicy, i portret psychologiczny, który sporządził i który Mauchly przyniósł do tego pokoju, nagle wydały mu się równie zwiewne jak wycinanki z papieru ryżowego w gabinecie Lewisa Thorpe'a. Były pełne niekonsekwencji i błędnych założeń. Za bardzo chciał rozwiązać tę okropną zagadkę, zanim umrą następni ludzie. I oto rezultat.

Cofnął się w cień. W głowie wciąż tłukł mu się wiersz Basho, zagłuszając łkania Handerlinga:

Wiosna mija  
I śpiew ptaków —  
Izy w oczach ryb

Zanim zajechał na Ship Bottom Road, dochodziła już północ. Zgasił silnik, wysiadł z samochodu i powoli, z rozmysłem podszedł do skrzynki pocztowej. Coś go dręczyło, od kiedy opuścił budynek Edenu, coś, co nie miało nic wspólnego z Handerlingiem. Ale uparcie nie chciał zwracać uwagi na to, co podsuwała mu podświadomość. Był tak zmęczony jak jeszcze nigdy w życiu.

Kiedy otworzył skrzynkę, w pierwszej chwili poczuł ulgę: dziś zawierała korespondencję, nie została splądrowana. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że jeśli już, to tej poczty było za

dużo: co najmniej tuzin ilustrowanych magazynów, sterta ulotek i katalogów. Magazyn o stylu życia gejów, dla sadomasochistów i fetyszystów oraz kilka innych. Na wszystkich naklejkach widniało jego nazwisko i adres. Wśród przesyłek było tuzin upomnień o należne opłaty.

Ktoś zamawiał te czasopisma, podszywając się pod niego.

Lash poszedł w kierunku domu, przystając po drodze, żeby wrzucić do kosza na śmieci wszystko oprócz rachunków. Najwidoczniej Mary English zmieniła taktykę. To smutne, ale chyba będzie musiał zadzwonić na policję w Westport.

Podszedł do drzwi, włożył klucz do zamka i znieruchomiał. Pod drzwiami leżała przesyłka kurierska ze stemplem EKSPRES — PRZESYŁKA POLECONA i nadrukowanym logo Edenu. Zapewne kolejne zobowiązania do zachowania tajemnicy służbowej, przysłane do podpisania, pomyślał smętnie. Pochylił się, podniósł kopertę i rozerwał z jednej strony. W świetle księżycy zobaczył w środku jedną kartkę papieru z przypiętą do niej małą broszką. Wyjął kartkę.

Christopher Lash 17  
Ship Bottom Road West-  
port, Connecticut 06880

Drogi doktorze Lash  
My w Edenie zajmujemy się czynieniem cudów. Mimo to nigdy nie nuży mnie zaszczyt powiadomienia o nich. Dlatego z ogromną przyjemnością piszę do pana i informuję, że okres doboru, który nastąpił po złożeniu przez pana podania i procesie oceny, zakończył się wytypowaniem partnerki. Nazywa się Diana Mirren. Pańskim miłym obowiązkiem będzie dowiedzieć się więcej i niebawem będzie pan miał po temu sposobność. Na wasze nazwiska zarezerwowano stolik w Tavern on the Green na godzinę dwudziestą w najbliższą sobotę.

Zdołacie się rozpoznać po załączonych broszkach, które powinniście nosić w klapach, wchodząc do restauracji. Później możecie je wyrzucić, chociaż większość naszych klientów zachowuje je na pamiątkę.

Jeszcze raz gratulujemy zakończenia tej podróży i najlepsze życzenia na początku nowej drogi. Jestem pewien, że w nadchodzących miesiącach i latach przekonacie się, iż połączenie was dwojga było raczej początkiem niż. końcem naszych usług.

Uprzejmie pozdrawiam

John Lelyveld  
Prezes Eden Inc.

## 28

Kiedy następnego ranka drzwi windy otworzyły się w apartamencie na szczycie wieżowca Edenu, Richard Silver już tam na niego czekał.

Christopherze — powiedział. — Jak leci?

— Dziękuję za przyjęcie mnie w tak nagłym trybie.

Lash uściśnął podaną dłoń.

— Nie ma za co. Niecierpliwie czekałem na okazję do ponownej rozmowy

Silver posadził Lasha w fotelu. Skośne smugi słońca wpadały przez okna, uwydatniając każdy szczegół cichej parady starych myślących maszyn i złocąc gładkie powierzchnie rozległej sali.

— Cieszę się również, że mam okazję osobiście cię prosić — rzekł Silver, kiedy usiedli. — Mauchly powiedział mi o tym liście z pisemną aprobatą. Taka pomyłka jeszcze nigdy nam się nie zdarzyła i wciąż usiłujemy dociec, jak to się stało. Chociaż same wyjaśnienia nie uczynią tego mniej upokarzającym. Dla ciebie i dla nas.

Lash spojrzął na Silvera, który zamilkł. Ponownie ujęła go prostolinijność tego człowieka. Silver zdawał się szczerze przejmować tym, co czuje Lash, którego podanie odrzucono, a później omyłkowo zawiadomiono go, że dobrano mu idealną partnerkę. Być może tutaj, w swoim podniebnym gnieździe,



pochłonięty nieustannymi badaniami Silver pozostał nieskażony odczłowieczającą korporacyjną pogonią za zyskiem. Silver popatrzył na Lasha i zauważył jego spojrzenie.

— Oczywiście, kazałem Mauchly'emu powtórzyć dobór. skontaktować się z tą kobietą — przepraszam, nie znam jej nazwiska — i poinformować ją, że znajdziemy jej innego partnera.

— Nazywa się Diana Mirren — powiedział Lash. — Jednak nie w tej sprawie chciałem się z tobą widzieć.

Silver wyglądał na zdziwionego.

— Naprawdę? Zatem wybac mi błędne założenie. Powiedz, dlaczego chciałeś się ze mną spotkać.

Lash się wahał. To, czego był pewien wczorajszej nocy, teraz rozmywało się pod wpływem zmęczenia i działania tabletek nasennych.

— Chciałem powiedzieć ci to osobiście. Nie sądzę, żebym mógł nadal to robić.

— Co robić?

— Prowadzić to dochodzenie.

Silver zmarszczył brwi.

— Jeżeli to kwestia pieniędzy, to z przyjemnością...

— Nie o to chodzi. Już i tak zapłacono mi za dużo.

Silver słuchał uważnie.

— Już od dwóch tygodni nie mam kontaktu z moimi pacjentami. W psychiatrii to cała epoka. Jednak nie tylko w tym problem.

Znów się zawahał. Do czegoś takiego normalnie nigdy nie przyznałby się nawet przed samym sobą, a na pewno nie omawiałby tego z nikim. Jednak Silver miał w sobie coś — jakąś niewymuszoną szczerą, całkowity brak arogancji — co prowokowało do zwierzeń.

— Nie sądzę, żebym w czymś jeszcze mógł wam pomóc — ciągnął Lash. — Z początku sądziłem, że wystarczy mi dostęp do waszych akt. Myślałem, że znajdę jakąś oczywistą odpowiedź w waszej ocenie Thorpe'ów. A po śmierci Wilnerów nabrałem przekonania, że to zabójstwa, nie samobójstwa. Ła-

pałem już seryjnych zabójców i byłem pewien, że tego też mogę schwycić. Ale trafiłem w ślepą uliczkę. Sporządzony przeze mnie portret psychologiczny jest pełen sprzeczności. Bezużyteczny. Z waszą pomocą sprawdziłem już wszystkich ewentualnych sprawców: odrzuconych kandydatów lub pracowników Edenu, ludzi mogących znać obie pary. Nie ma innych możliwości. A przynajmniej takich, które mógłbym pomóc wam zbadać. Westchnął.

— Jest jeszcze coś. Coś, z czego wcale nie jestem dumny. Ta sprawa jest mi zbyt bliska. Tak samo było w Biurze w końcowym okresie. Zbyt się zaangażowałem. Teraz znów tak jest. Ta sprawa rzutuje na moje życie osobiste, myślę o niej dzień i noc. I spójrz, jaki jest rezultat.

— Jaki?

— Handerling. Byłem zmęczony, zbyt niecierpliwy. Źle oceniłem sytuację.

— Jeżeli masz sobie za złe przesłuchanie Handerlinga, nie powinieneś. Ten człowiek nie jest mordercą — nasze badania to potwierdzają. Jednak okropnie nadużył swojego stanowiska i popełnił poważne przestępstwa. Informacja w niewłaściwych rękach może być niebezpieczną bronią, Christopherze. Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc przy jego zdemaskowaniu.

— Niewiele zrobiłem, doktorze Silver.

— Czy nie prosiłem, żebyś mówił mi Richardzie? Zbyt nisko się oceniasz.

Lash potrząsnął głową.

— Namawiałbym was, żebyście zwrócili się do policji, ale nie jestem pewien, czy zdołalibyśmy ich przekonać, że popełniono zbrodnię. — Wstał. — Jeśli jednak to robota seryjnego zabójcy, zapewne wkrótce znów uderzy. Może nawet dziś. A ja nie chcę, żeby stało się to na moim dyżurze. Nie chcę siedzieć i bezsilnie czekać.

Silver patrzył, jak wstaje. I nagle, nieoczekiwanie, na jego ustach pojawił się beztronski uśmiech.

— Nie jesteście tak zupełnie bezsilni — rzekł. — Jak pewnie

wiesz, Mauchly i Tara wysłali zespoły mające obserwować z daleka pozostałe superpary.

— To może nie powstrzymać zdeterminowanego zabójcy.

— Właśnie dlatego ja też podjąłem pewne kroki.

— Jakie?

Silver też podniósł się z fotela.

— Chodź ze mną.

Poprowadził go do niewielkich drzwi, których Lash dotychczas nie zauważył, sprytnie wbudowanych w regał z książkami. Otworzyły się bezgłośnie, ukazując wąskie schody pokryte tą samą grubą wykładziną.

— Idź pierwszy — powiedział Silver.

Lash pokonał co najmniej trzydzieści stopni, które wyprzewadziły go na korytarz. Po znajdującej się piętro niżej sali, niemal oszałamiająco rozległej, ten długi i wąski korytarz sprawiał wrażenie ciasnego. Nie czuło się, że biegnie na szczycie wieżowca, równie dobrze mógłby znajdować się głęboko pod ziemią. Jednak urządzone go równie gustownie: ściany i sufit wyłożono ciemnym błyszczącym drewnem, a ozdobne kinkiety z mosiądzu i macicy perłowej rzucały łagodne światło.

Silver wskazał Lashowi drogę. Gdy szli, Lash z zaciekawieniem spoglądał na mijane pomieszczenia. Zauważył dużą prywatną salę gimnastyczną, wyposażoną w ławeczkę do ćwiczeń, atlas i bieżnię. Potem spartańsko urządzonej jadalnię. Na końcu korytarza znajdowały się czarne drzwi i osadzony obok nich skaner. Silver podstawił przegub pod czytnik i dopiero teraz Lash zauważył, że on również nosił bransoletkę z kodem identyfikacyjnym. Drzwi się otworzyły.

Pomieszczenie za nimi było równie słabo oświetlone jak korytarz. Tylko że tu jedynymi źródłami światła były migające diody i dziesiątki jarzących się wyświetlaczy. Ze wszystkich stron słychać było cichy szum powietrza: odgłos niezliczonych wentylatorów, pracujących jednocześnie. Stojaki z zamontowanym na nich różnym sprzętem — routerami, macierzami dyskowymi w układzie RAID, urządzeniami do obróbki wideo i niezliczonymi przyrządami o nieznanym Lashowi przeznaczeniu.

czeniu — stały pod bocznymi ścianami. Naprzeciw wchodzących, na długim drewnianym stole ustawiono terminale z klawiaturami, jeden przy drugim, w długim szeregu. Przed nimi stał fotel. Jedyna pozostała część umeblowania znajdowała się w kącie naprzeciwko: długi i dziwnie wyglądający fotel, bardzo podobny do dentystycznego i ustawiony za zasłoną z pleksiglasu. Kilka przewodów biegnęło od tego fotela do pobliskiego stojaka z aparaturą diagnostyczną. Do fotela plastikową klamerką był przypięty mikrofon.

— Proszę, wybaczyć brak czegoś do siedzenia — powiedział Silver. — Nikt poza mną nie ma tutaj wstępu.

— Co to takiego? — zapytał Lash, rozglądając się wokół.

— Liza.

Lash posłał mu szybkie spojrzenie.

— Przecież ja już kiedyś widziałem Lizę. Ten mały terminal, który mi pokazałeś.

— To również jest Liza. Ona jest tutaj wszędzie. Niektóre rzeczy robię z tamtego terminalu, który widziałeś. Ten jest do bardziej skomplikowanych spraw. Kiedy potrzebny mi bezpośredni dostęp.

Lash przypomniał sobie, co Tara Stapleton powiedziała przy lunchu w bufecie: „Nie mamy bezpośredniego dostępu do jej podstawowych procedur i inteligencji. Tylko Silver go ma. Wszyscy inni używają lokalnej sieci informatycznej i abstrakcyjnej warstwy danych”. Popatrzył na otaczające ich urządzenia elektroniczne.

— Może powiesz mi coś więcej o Lizie?

— A co chciałbyś wiedzieć?

— Mógłbyś zacząć od imienia.

— Oczywiście. — Silver zamilkł na moment. — Przy okazji, skoro o tym mowa, w końcu przypomniałem sobie, skąd znam twoje nazwisko.

Lash pytająco uniośł brwi.

— Było w „Timesie” przed kilkoma laty. Czy nie byłeś jednym z tych, których zamierzał zamordować...

— Owszem. — Lash natychmiast uświadomił sobie, że przerwał zbyt szybko. — Masz nadzwyczaj dobrą pamięć.

Zapadła krótka cisza.

— No cóż, co do imienia Lizy. To skrót od Elizy, czyli sławnego programu z początku lat sześćdziesiątych. Eliza symulowała dialog między człowiekiem a komputerem, wykorzystując słowa wprowadzane przez niego z klawiatury. „Jak się czujesz?” — mógł rozpocząć rozmowę komputer. Na co mógłbyś napisać „Czuję się parszywie”. „Dlaczego czujesz się parszywie?” — odpowiedziałby program. „Ponieważ mój ojciec jest chory” — napisałbyś. „Dlaczego tak twierdzisz?” — padłaby odpowiedź. Program był bardzo prymitywny i często dawał zabawne odpowiedzi, ale pozwolił mi zrozumieć, co powinienem zrobić.

— Co takiego?

— Dokonać tego, co Eliza jedynie symulowała. Stworzyć program — chociaż „program” to nieodpowiednie słowo — oprogramowanie mogące idealnie współpracować z człowiekiem. Potrafiące, do pewnego stopnia, myśleć.

— Tylko tyle? — zapytał Lash.

Miał to być żart, ale Silver potraktował to poważnie.

— Jeszcze nie zakończyłem pracy. Zapewne poświęcę resztę życia na doskonalenie tego oprogramowania. Jednak kiedy modele inteligencji stały się całkowicie funkcjonalne w komputerowej hiperprzestrzeni...

— Co proszę?

Silver uśmiechnął się z zawstydzeniem.

— Przepraszam. W początkach rozwoju AI wszyscy uważali, że stworzenie samodzielnie myślących maszyn jest tylko kwestią czasu. Tymczasem okazało się, że najdrobniejsze szczegóły są najtrudniejsze do zaimplementowania. Jak zaprogramować komputer tak, żeby zrozumiał, co ktoś czuje? Tak więc kończąc studia, zaproponowałem dwuczłonowe rozwiązanie. Dać komputerowi dostęp do naprawdę ogromnych ilości informacji — do bazy danych — oraz narzędzia do inteligentnego ich przeszukiwania. Ponadto stworzyć tak realistyczny model osobowości, jak to tylko jest możliwe w układach krzemowych i kodzie dwójkowym, ponieważ ludzka ciekawość będzie potrzebna do

wykorzystania wszystkich tych informacji. Czułem, że jeśli zdołam połączyć oba te elementy, stworzę komputer, który będzie umiał sam się uczyć. A wtedy nauczy się reagować jak ludzka istota. Nie czuć jak człowiek, oczywiście. Jednak rozumieć, czym są uczucia.

Silver mówił cicho, lecz w jego głosie słychać było głęboką wiarę ulicznego kaznodziei.

— Ponieważ stoimy tu teraz na szczycie wieżowca, domyślam się, że to ci się udało — rzekł Lash.

Silver znów się uśmiechnął.

— Próbowałem przez długie lata. Wydawało się, że mogę nauczyć maszynę myślenia tylko do pewnego stopnia i ani trochę więcej. Okazało się, że byłem zbyt niecierpliwy. Program uczył się, tylko na początku bardzo wolno. Ponadto potrzebowałem większych mocy obliczeniowych, niż zapewniały mi stacje robocze, na jakie wówczas było mnie stać. Nagle komputery potaniały. A potem stworzono ARPAnet. Właśnie wówczas zaczęła się uczyć o wiele szybciej. — Pokręcił głową. — Nigdy nie zapomnę, jak patrzyłem na jej pierwsze samodzielne wyprawy po sieci, w poszukiwaniu rozwiązania stworzonego przeze mnie problemu. Myślę, że była z tego równie dumna jak ja.

— Dumna — powtórzył Lash. — Chcesz powiedzieć, że ma świadomość? Ma uczucia?

— Zdecydowanie ma świadomość. Natomiast co do jej uczuć to problem filozoficzny, o którym nie mogę dyskutować.

— Ale ma świadomość. A czego dokładnie jest świadoma? Wie, że jest komputerem, że różni się od innych. Prawda?

Silver pokręcił głową.

— Nigdy nie dodałem jej żadnego modułu kodu, który by za to odpowiadał.

— Co? — zdziwił się Lash.

— Dlaczego miałyby sądzić, że różni się od nas?

— Po prostu zakładałem...

— Czy dziecko, obojętnie jak dobrze rozwinięte, kiedykolwiek wątpi w swoje istnienie? Czy ty to robisz?

Lash potrząsnął głową.

— Rozmawiamy o oprogramowaniu i sprzęcie. To mi wygląda na błędny sylogizm.

— Nie ma czegoś takiego w AI. Kto potrafi rozróżnić, gdzie kończy się działanie oprogramowania a zaczyna świadomość? Pewien sławny uczony nazwał kiedyś ludzi „żywymi maszynami”. Czy przez to jesteśmy lepsi? Ponadto żaden test nie wykaze, że nie jesteś programem błędzącym w cyberprzestrzeni. Jak możesz tego dowieść?

Silver mówił z pasją, o jaką Lash dotychczas go nie podejrzewał. Nagle przerwał.

— Przepraszam — powiedział z nieśmiałym uśmiechem. — Chyba rozmyślałem o tych sprawach znacznie częściej, niż o nich mówię. No cóż, wróćmy do architektury Lizy. Ona wykorzystuje bardzo zaawansowaną formę neuronowej sieci komputerowej — o architekturze opartej na pracy ludzkiego mózgu. Typowe komputery są ograniczone do działania w dwóch wymiarach. Natomiast sieć neuronowa ma ich trzy: jak ułożone współśrodkowo kręgi. Tak więc dane można przemieszczać w niemal nieskończonej liczbie kierunków, nie tylko w jednym obwodzie. — Silver zamilkł i zaraz znów zaczął mówić. — Oczywiście, to o wiele bardziej skomplikowane. Aby pokonać problem jej zdolności uczenia się, wykorzystałem zasadę zbiorowej inteligencji. Duże funkcje podzieliłem na maleńkie. Dzięki temu Liza potrafi tak szybko rozwiązywać złożone problemy.

— Czy ona wie, że tu jesteśmy?

Silver ruchem głowy wskazał monitor wideo osadzony wysoko na jednej ze ścian.

— Tak. Ale jej uwaga obecnie nie jest skupiona na nas.

— Wcześniej mówiłeś, że przy bardziej skomplikowanych zadaniach potrzebny ci bezpośredni dostęp do Lizy. Przy jakich?

— Rozmaitych. Na przykład ona tworzy scenariusze, które ja monitoruję.

— Jakiego rodzaju scenariusze?

— Wszelkiego rodzaju. Gry RPG. Strzelanki. Takie, które stymulują kreatywne myślenie. — Silver zawahał się. — Ko-

rzystam z bezpośredniego dostępu również przy znacznie trudniejszych, osobistych zadaniach, takich jak aktualizacja oprogramowania. Zapewne jednak łatwiej mi będzie po prostu ci to pokazać.

Przeszedł przez pokój, odsunął osłonę z pleksi i zasiadł na dziwnym fotelu. Lash patrzył, jak przymocowuje elektrody do swoich skroni. W jednej z poręczy fotela była osadzona pomocnicza klawiatura i pisak, a w drugiej włącznik. Silver wyciągnął rękę i opuścił płaski monitor na teleskopowym ramieniu. Palcami lewej ręki zaczął stukać w klawisze.

— Co robisz? — zapytał Lash.

— Skupiam jej uwagę.

Silver oderwał dłoń od klawiatury i przymocował mikrofon do kołnierzyka koszuli. W tym momencie Lash usłyszał głos.

— Richardzie — powiedział ten głos.

Był kobiecy, głęboki i bez śladu akcentu, i zdawał się dochodzić jednocześnie zewsząd i znikąd. Jakby przemówił sam pokój.

— Lizo — rzekł Silver. — Jaki jest twój obecny stan?

— W dziewięćdziesięciu ośmiu przecinek siedem dwa siedem procent sprawna. Bieżące procesy zajmują osiemdziesiąt jeden przecinek cztery procent wydajności wielowątkowej. Dzięki, że zapytałeś.

Głos był spokojny, niemal łagodny, z niewielkimi śladami elektronicznych zniekształceń. Lash miał dziwne wrażenie déjà vu, jakby już gdzieś, kiedyś go słyszał. Może w swoich snach.

— Kto tam jest z tobą? — zapytał głos.

Lash zauważył, że pytanie zostało poprawnie wyartykułowane, z lekkim naciskiem na końcu. Wydało mu się, że usłyszał w nim nawet zaniepokojenie. Z niepokojem spojrzął w górę, na kamerę wideo.

— To Christopher Lash.

— Christopher — powtórzył głos, jakby smakując to imię.

— Lizo, mam pewien specjalny proces, który chciałbym ci zlecić.



Lash odnotował w pamięci, że kiedy Silver zwracał się do komputera, mówił powoli i wyraźnie, wystrzegając się jakichkolwiek sprzeczności.

— Bardzo dobrze, Richardzie.

— Czy pamiętasz ten proces kontrolny, który poleciłem ci wykonać czterdzieści osiem godzin temu?

— Jeśli masz na myśli kontrolę odchylenia statystycznego, to mój zestaw danych nie jest uszkodzony.

Silver zakrył dłonią mikrofon i odwrócił się do Lasha.

— Źle zinterpretowała „czy pamiętasz”. Nawet teraz czasem zapominam, jak dosłownie wszystko traktuje.

Znów odwrócił się do panelu.

— Chcę, żebyś przeprowadziła podobną kontrolę czynników zewnętrznych. Zakres ten sam: zbieżność danych z czterema podmiotami.

— Podmiot Schwartz, podmiot Thorpe, podmiot Torvald, podmiot Wilner

— Zgadza się.

— Jaki jest zakres poszukiwań?

— Obywatele Stanów Zjednoczonych, wiek od piętnastu do siedemdziesięciu lat, mający dostęp do obu miejsc zamieszkania w określonym czasie.

— Parametry akwizycji danych?

— Wszystkie dostępne źródła.

— A priorytet procesu?

— Najwyższy, z wyjątkiem sytuacji krytycznych. Musimy znaleźć rozwiązanie.

— Bardzo dobrze, Richardzie.

— Czy możesz mi podać przybliżony czas poszukiwań?

— Z jedenastoprocentową dokładnością. Siedemdziesiąt cztery godziny, pięćdziesiąt trzy minuty i dziewięć sekund. W przybliżeniu osiemset bilionów pięćset miliardów cykli obliczeniowych.

— Dziękuję, Lizo.

— Jeszcze coś?

— Nie.

— Teraz rozpocznę rozszerzone poszukiwania. Dziękuję za rozmowę, Richardzie.

Kiedy Silver odpiął mikrofon i znów dotknął klawiatury, beczelny głos przemówił jeszcze raz.

— Miło było cię poznać, Christopherze Lash.

— Cała przyjemność po mojej stronie — mruknął Lash.

Słuchanie tego przemawiającego do niego głosu i oglądanie Silvera rozmawiającego z komputerem było jednocześnie fascynujące i trochę niepokojące.

Silver oderwał elektrody od skroni, odłożył je i wstał z fotela.

— Powiedziałeś, że poszedłbyś na policję, gdybyś sądził, że to coś pomoże. Ja zrobiłem coś lepszego. Poinstruowałem Lizę, żeby sprawdziła wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu podejrzanego.

— Wszystkich mieszkańców? Czy to możliwe?

— Dla Edenu to możliwe. — Silver zachwiał się, ale natychmiast złapał równowagę. — Przepraszam. Sesje z Lizą, nawet krótkie, bywają wyczerpujące.

— Jak to?

Silver uśmiechnął się

— Na filmach ludzie mówią do komputerów, a te posłusznie odpowiadają. Może za dziesięć lat tak będzie. Na razie to ciężka praca. Wyczerpująca zarówno umysłowo, jak i fizycznie.

— Te czujniki na skroniach?

— Ułatwiają komunikację. Częstotliwość i amplituda fal beta lub theta mogą przemawiać wyraźniej niż słowa. Z początku, kiedy miała kłopoty z przyjmowaniem werbalnych poleceń, wykorzystywałem EEG. To wymagało ogromnej koncentracji, ale nie było problemów ze zrozumieniem podwójnych znaczeń, homonimów i różnych innych niuansów. A teraz to tkwi zbyt głęboko w jej kodzie, żeby można to zmienić.

— Zatem tylko ty możesz porozumiewać się z nią bezpośrednio?

— Teoretycznie ktoś inny też mógłby to robić przy odpowiednim treningu i koncentracji. Nie było takiej potrzeby.

— Może nie — rzekł Lash. — Jednak gdybym ja stworzył

coś tak wspaniałego, chciałbym podzielić się tym z innymi. Z podobnie myślącymi uczonymi, którzy mogliby wykorzystać to pionierskie dzieło.

— Na to jeszcze przyjdzie czas. Na razie jestem wciąż zajęty licznymi udoskonaleniami. A nie jest to łatwe zadanie. Możemy o tym podyskutować innym razem, jeśli będziesz miał ochotę.

Zrobił krok naprzód i położył dłoń na ramieniu Lasha.

— Wiem, jakie to dla ciebie trudne. Dla mnie też nie było łatwe. Jednak zaszliśmy tak daleko i tyle już zrobiliśmy. Chcę, żebyś wytrwał jeszcze trochę. Może to jednak tylko niesamowity zbieg okoliczności, dwa podwójne samobójstwa. Może weekend minie spokojnie. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie nie wiemy. Teraz jednak musimy zaufać Lizie. Dobrze?

Lash milczał chwilę.

— Ta kandydatka, którą znalazł dla mnie Eden. Naprawdę do mnie pasuje? To nie była pomyłka?

— Jedyną pomyłką było wprowadzenie twojego awataru do Zbiornika. Sam proces doboru przebiegł tak samo jak dla wszystkich. Ta kobieta pod każdym względem pasowałaby do ciebie.

Półmrok i cichy szum wentylatorów nadawały pomieszczeniu senny, niemal widmowy klimat. Oczami duszy Lash ujrzał szereg szybko zmieniających się obrazów. Wyraz twarzy byłej żony, tamtego dnia w Audubon Center, kiedy się rozeszli. Mina Tary Stapleton w barze na dworcu Grand Central, kiedy mówiła mu o swoim dylemacie. Twarz Lewisa Thorpe'a, patrzącego na niego z ekranu telewizora we Flagstaff.

Westchnął.

— Dobrze. Zostanę jeszcze kilka dni. Pod jednym warunkiem.

— Podaj go.

— Nie odwołacie mojego spotkania z Dianą Mirren.

Silver klepnął Lasha w ramię.

— Porządny z ciebie facet.

Na jego wargach znów pojawił się przelotny uśmiech, lecz kiedy zgasł, twórca Lizy wyglądał na równie zmęczonego jak Lash.

## 29

— Siedemdziesiąt pięć godzin — powiedziała Tara. — To oznacza, że Liza nie będzie miała odpowiedzi wcześniej niż w poniedziałek po południu.

Lash kiwnął głową. Streścił swoją rozmowę z Silverem i dokładnie opisał, w jaki sposób porozumiewał się z Lizą. Tara słuchała zafascynowana, dopóki nie dowiedziała się, jak długo potrwać poszukiwania.

— A co my mamy robić w tym czasie? — zapytała.

— Nie wiem.

— Ja wiem. Mamy czekać. — Tara podniosła oczy ku niebu. — Cholera.

Lash rozejrzał się po pokoju. Znajdujące się na trzydziestym piątym piętrze biuro Tary Stapleton wielkością niewiele różniło się od jego tymczasowego gabinetu. Taki sam stół konferencyjny, biurko i półki. Było kilka zdecydowanie kobiecych drobiazgów: kilka roślin, którym najwyraźniej odpowiadało sztuczne światło, zawieszony na czerwonej wstążce na lampie biurowej wełniany woreczek z drobiazgami. Za biurkiem stały trzy identyczne stacje robocze. Jednak najbardziej rzucającym się w oczy elementem wystroju była duża deska surfingowa z włókna szklanego, mocno poobijana i powgniatana, z farbą wyblakłą od morskiej soli i słońca. Na ścianie za nią były przyklejone nalepki z napisami w rodzaju „Żyj, by surfować,

surfuj, by żyć” lub „Trzymaj się fali!”. Wzdłuż górnej krawędzi regału przyklejano pocztówki z różnych słynnych plaż surfingowych: Lennox Head w Australii, Pipeline na Hawajach. Potovil Point w Sri Lance.

— Musiałaś cholernie się natrudzić, żeby ją tu wnieść — powiedział Lash, ruchem głowy wskazując deskę.

Tara błysnęła zębami w jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

— Pierwsze miesiące przepracowałam przed Murem, sprawdzając procedury bezpieczeństwa. Zabrałam starą deskę, żeby przypominała mi, że istnieje jeszcze jakiś świat poza Nowym Jorkiem. Żeby nie zapomnieć, co wołałabym robić. Kiedy skończyłam kontrolę, awansowałam i zostałam przeniesiona za Mur. Nie pozwolili mi zabrać tu deski. Byłam wkurzona. — Potrząsnęła głową na samo wspomnienie. — A potem pewnego dnia pojawiła się w drzwiach mojego gabinetu z najlepszymi życzeniami od Edwina Mauchly'ego i Edenu z okazji pierwszej rocznicy zatrudnienia.

— Znając Mauchly'ego, pewnie najpierw została zeskanowana, prześwietlona i zbadana na wszelkie możliwe sposoby.

— Zapewne.

Lash spojrzął na zbiór szmaragdowozielonych pocztówek. W myślach zaczął formułować pytanie, na które Tara chyba potrafiłaby odpowiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

Pochylił się nad biurkiem.

— Taro, posłuchaj. Pamiętasz drinka w barze Sebastian's? I to, co powiedziałaś mi o zielonym świetle?

Natychmiast wyczuł, że zeszywniała.

— Muszę cię o coś zapytać. Czy to możliwe, że kandydat odrzucony przez Eden po badaniach wstępnych może jednak zostać obsłużony? Przejść przez akwizycję danych, monitoring, obróbkę i znaleźć się w Zbiorniku? Otrzymać zielone światło?

— Pytasz, czy możliwa jest jakaś pomyłka? Czy odrzuceni mogą jakoś przejść przez sito? Niemożliwe.

— Dlaczego?

— Procedury kontrolne są redundantne. Jak wszystko w sys-

temie. Nie możemy narażać klienta, nawet niedoszłego klienta, na jakieś przykrości wynikłe z nieumiejętnej obróbki danych.

— Jesteś pewna?

— Coś takiego nigdy się nie zdarzyło.

— Zdarzyło się. Wczoraj.

I w odpowiedzi na niedowierzające spojrzenie Tary, wręczył jej list, który znalazł pod swoimi drzwiami. Przeczytała go i wyraźnie zbladła.

— Tavern on the Green.

— Zostałem odrzucony. Zdecydowanie. Jak więc to możliwe?

— Nie mam pojęcia.

— Czy ktoś w Edenie mógł spreparować moje formularze, żeby przeszły przez sito kontroli zamiast znaleźć się na stercie odrzuconych podań?

— Nikt tu nie robi niczego, czego nie obserwowałyby pół tuzina innych osób.

— Nikt?

Słyszając ton jego głosu, Tara posłała mu przenikliwe spojrzenie.

— Musiałby to być ktoś na bardzo wysokim stanowisku, mający najwyższy stopień dostępu. Na przykład ja. Albo łobuz w rodzaju Handerlinga, który włamał się do systemu. — Milczała chwilę. — Tylko po co ktoś miałby to robić?

— To miało być moje następne pytanie.

Zapadła cisza. Tara złożyła list i oddała go Lashowi.

— Nie wiem, jak to się stało. Jednak naprawdę bardzo mi przykro, doktorze Lash. Oczywiście natychmiast to sprawdzimy.

— Tobie jest przykro, Silverowi też. Dlaczego wszystkim jest tak przykro?

Tara spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Chcesz powiedzieć...?

— Właśnie. Jutro wieczorem tam pójde.

— Nie rozumiem... — Urwała.

Wiem, że nie rozumiesz, pomyślał Lash.

Sam tego nie rozumiał. Gdyby był pracownikiem Edenu jak

Tara, gdyby znajdował się pod wpływem tego, co oni nazywali „efektem Oz”, może podarłby ten list.

Jednak nie podarł go. Spojrzenie za kulisy i entuzjastyczne wypowiedzi klientów Edenu obudziły jego żywe zainteresowanie, zanim zdał sobie z tego sprawę. A teraz zawiadomiono go, że znaleziono mu idealną towarzyszkę — Christopherowi Lashowi, tak wprawnie analizującemu związki innych i tak kiepsko radzącemu sobie ze swoimi. Pokusa była po prostu zbyt silna, żeby jej się oprzeć. Nawet świadomość tego, dlaczego się tutaj znalazł, nie mogła przewyciężyć chęci spotkania z osobą, która — być może — byłaby dla niego idealną partnerką.

Jednak to spotkanie odbędzie się dopiero jutro. Dzisiaj miał inne sprawy na głowie.

— To nie jest zbieg okoliczności — powiedział.

— Hm?

— Ta akceptacja mojego podania. Może to była pomyłka, ale nie przypadkowa. Tak samo jak nie jest przypadkiem śmierć tych dwóch superpar.

Tara zmarszczyła brwi.

— Co właściwie chcesz powiedzieć?

— Nie jestem pewien. Ale jest w tym jakaś prawidłowość. Tylko my jej nie dostrzegamy.

Wrócił myślami do wieczornej jazdy do domu, kiedy nie chciał słuchać głosu swojej podświadomości. Teraz usiłował sobie przypomnieć, co mówił mu ten głos.

„Zamordował pan kolejno dwie pierwsze pary — powiedział Mauchly do Handerlinga w trakcie przesłuchania. — Teraz zamierzał pan zaskoczyć i zabić trzecią”.

„Kolejno...”.

— Mogę pożyczyć go na chwilę? — zapytał, biorąc z biurka notatnik.

Wyjął pióro i napisał dwie daty: 9/17/04 oraz 9/24/04. Daty śmierci Thorpe'ów i Wilnerów.

— Taro — powiedział. — Czy możesz mi podać daty złożenia podań przez Thorpe'ów i Wilnerów?

— Pewnie.

Odwróciła się do jednego z terminali i postukała w klawisze. Niemal natychmiast drukarka wypuła odpowiedź:

THORPE, LEWIS A.	000451823	7/30/02
TORVALD, LINDSAY E.	000462196	8/21/02
SCHWARTZ, KAREN L.	000527710	8/02/02
WILNER, JOHN L.	000491003	9/06/02

Nic.

— Mogłabyś rozszerzyć obszar poszukiwań? Potrzebny mi wydruk wszystkich ważnych dat dla tych dwóch par. Kiedy byli badani, kiedy pierwszy raz się spotkali, kiedy się pobrali i tak dalej.

Tara przez moment spoglądała na niego z namysłem. Potem znów zaczęła stukać w klawiaturę.

Druga lista składała się z prawie tuzina stron. Lash przejrzał je, jedną po drugiej, ze znużeniem przesuując wzrokiem po kolumnach. Nagle zastygł.

— Jezu — mruknął.

— Co jest?

— Te kolumny opisane „nominalne usunięcie awataru”. Co oznaczają?

— Kiedy awatary zostały usunięte ze Zbiornika.

— Innymi słowy, kiedy dobrano te pary.

— Zgadza się.

Lash wręczył jej kartkę.

— Spójrz na daty usunięcia awatarów Thorpe'ów i Wilnerów.

Tara spojrzała na raport.

— Mój Boże. Siedemnasty września dwa tysiące drugiego i dwudziesty czwarty września dwa tysiące drugiego.

— Właśnie. Thorpe'owie i Wilnerowie nie tylko byli pierwszymi dobranymi superparami. Umarli dokładnie dwa lata po tym, jak zostali dobrani. Dwa lata — co do dnia.

Tara upuściła kartkę na biurko.

— Jak myślisz, co to oznacza?



— To, że pies obszczekiwał niewłaściwe drzewo. Grzebałem się w testach psychologicznych i ocenach, zakładając, że przeoczyliście jakieś zaburzenia psychiczne. Może zamiast badać ludzi, powinienem zbadać sam proces.

— Proces? A co z szukaniem podejrzanego? Z poszukiwaniami prowadzonymi przez Lizę?

— Nie skończy ich przed poniedziałkiem. Nie zamierzam siedzieć beczynnie przez następne siedemdziesiąt dwie godziny. — Wstał i ruszył do drzwi. — Dzięki za pomoc.

Gdy otworzył drzwi, usłyszał turkot odsuwanego fotela.

— Chwileczkę — powiedziała Tara.

Odwrócił się.

— Dokąd idziesz?

— Wracam do mojego biura. Muszę przejrzeć mnóstwo dokumentów.

Tara bez wahania wyszła z za biurka.

— Idę z tobą — Dowiedziała.

## 30

— Widziałaś moją kosmetyczkę z przyborami toaletowymi, dziecino? — zawołał Kevin Connelly.

— Pod toaletką, druga półka. Po lewej.

Connelly boso przeszedł obok małżeńskiego łóża, mijając żółte smugi światła wpadającego przez okna, i klęknął przed umywalką. Oczywiście: na drugiej półce, wepchnięta pod samą ścianę. Wcześniej stracił pół godziny, przetrząsając sypialnię w poszukiwaniu kosmetyczki. Lynn zdawała się z fotograficzną dokładnością zapamiętywać, co gdzie się znajduje. I nie tylko swoje rzeczy, ale i jego. Robiła to nieświadomie, tak po prostu— zbierając te fakty jak lep muchy. Może dlatego знаła tyle obcych języków.

— Jesteś prawdziwym skarbem — powiedział.

— Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.

Klęcząc przed umywalką, obejrzał się i spojrzał na nią. Stała przed otwartą szafą, patrząc na wieszak z sukniami. Zobaczył, jak wyjęła jedną, obróciła ją w rękach i odwiesiła, wybierając inną. Było coś w tym, jak się poruszała — zwinnie, z nieświadomą gracją — co nawet teraz sprawiało, że serce zaczęło mu szybciej bić. Był urażony, gdy kiedyś jego matka nazwała ją „ładną”. Ładna? Była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

Odwróciła się od szafy i poszła z nowo wybraną suknią do

łóżka, gdzie leżała otwarta duża brezentowa walizka. Złożyła sukienkę i umieściła ją w walizce.

Wziął sobie wolne popołudnie, żeby pomóc żonie przy pakowaniu przed wyjazdem do Niagara Falls. Był to rodzaj grzesznej przyjemności, do której z jakiegoś powodu nikomu by się nie przyznał. Zawsze pakowali się kilka dni przed wyjazdem. W ten sposób jakby przedłużali sobie wakacje. On zawsze pakował się wcześniej i z tego samego powodu lubił wcześniej zjawiać się na lotnisku. Jednak za kawalerskich czasów robił to w pośpiechu i nieporadnie. Lynn pokazała mu, że pakowanie jest sztuką i nie wolno się przy tym spieszyć. A teraz ta czynność stała się jednym z tych intymnych małych rytuałów, z których składało się ich małżeństwo.

Wstał, podszedł i objął ją od tyłu.

— Tylko pomyśl — powiedziała, pocierając nosem o jej ucho. — Jeszcze kilka dni i będziemy siedzieli przed płonąącym kominkiem w Pillar and Post Inn.

— Mhm.

— Zjemy śniadanie w łóżku. A może i lunch. Jak ci się podoba? A jeśli dobrze to rozegrasz, to może dostaniesz również deser.

W odpowiedzi z lekkim znużeniem oparła głowę o jego ramię.

Kevin Connelly znał nastroje swojej żony niemal równie dobrze jak własne i natychmiast się wycofał.

— Co jest, dziecino? — zapytał szybko. — Migrena?

— Może początek — powiedziała. — Mam nadzieję, że nie.

Obrócił ją twarzą do siebie, delikatnie ucałował najpierw jedną, a potem drugą skroń.

— Też mi idealna żona, co? — powiedziała, nadstawiając wargi.

— Jesteś idealną żoną. Moją idealną żoną.

Uśmiechnęła się i znów oparła głowę na jego ramieniu.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Kevin delikatnie uwolnił się z jej objęć, a potem wyszedł na korytarz i zszedł po schodach. Za plecami słyszał ciche kroki Lynn, idącej znacznie wolniej.

Przed frontowymi drzwiami czekał jakiś mężczyzna z wielką paczką.

— Pan Connelly? — zapytał. — Proszę tu podpisać.

Connelly podpisał we wskazanym miejscu, po czym wziął paczkę.

— Co to? — spytała Lynn, gdy podziękował mężczyźnie i zamknął za sobą drzwi.

— Nie wiem. Chcesz otworzyć?

Connelly oddał jej paczkę i z uśmiechem obserwował, jak rozdziera opakowanie. Ukazał się celofan, potem szeroka czerwona wstążka, a wreszcie bladożółty kolor plecionki ze słomy.

— Co to takiego? — zapytał. — Kosz owoców?

— Mało powiedziane — odparła zaskoczona Lynn. — Spójrz na nalepkę. To czerwone gruszki z Ekwadoru! Masz pojęcie, jakie drogie są te owoce?

Connelly uśmiechnął się na widok jej miny. Lynn uwielbiała egzotyczne owoce.

— Kto mógł je przysłać? — spytała. — Nie widzę żadnej karteczki.

— Jest tutaj, taka malutka, wetknięta z tyłu. — Connelly wyjął ją spod kołdry warkoczy słomy i głośno przeczytał: — „Gratulacje i najlepsze życzenia z okazji nadchodzącej rocznicy.”

Lynn przytuliła się do niego, zapomniawszy o bólu głowy.

— Od kogo to?

Connelly oddał jej karteczkę. Nie było na niej żadnej nazwy, tylko wytłoczony firmowy znak Edenu. Zrobiła wielkie oczy.

— Czerwone gruszki! Skąd wiedzieli?

— Oni wiedzą wszystko. Pamiętasz?

Lynn potrząsnęła głową, a potem zaczęła zdzierać celofan z kosza.

— Nie tak szybko — rzekł z udawanym oburzeniem Connelly. — Mamy jeszcze coś do zrobienia na górze. Pamiętasz?

Teraz i jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Odłożywszy kosz, poszła za mężem na górę.

# 31

Lash spojrzął na zegar: pośpiesznie i bez zainteresowania. Potem ponownie — z niedowierzaniem. Za kwadrans szósta. Wydawało się, że minęło zaledwie kilka minut od chwili, gdy Tara, wspominając o umówionym spotkaniu z lekarzem, około czwartej opuściła jego biuro.

Wygodnie wyciągnął się na fotelu, spoglądając na zalegające na stole papiery. Czy naprawdę kiedyś narzekał na brak informacji? Teraz je miał, a jakże — dość, by dać zatrudnienie całej armii.

Odkrycie, że Thorpe'owie i Wilnerowie umarli dokładnie dwa lata po doborze, było niezwykle istotnym elementem łamigłówki — musiał tylko dopasować go do całości. Jednak przy tym potopie danych raczej nie nastąpi to tego popołudnia.

Znów powiódł wzrokiem po stole i jego spojrzenie padło na teczkę z napisem Thorpe, Lewis—Podsumowanie. Już wstępnie przejrzał jej zawartość: zawierała wygenerowaną przez system listę wszystkich działań Edenu, które zajmowały się Thorpe'em. Lash zaczął przetrząsać papiery, aż wyłowił taką samą teczkę Lindsay. Potem, podszedłszy do stojących pod przeciwległą ścianą szafek, zaczął je przeszukiwać, aż znalazł identyczne podsumowania Wilnerów.

Może Silver miał rację i w ciągu tego weekendu nic się nie zdarzy. Jeśli gdzieś tam jest morderca, może ochrona Edenu

pochwyci go, zanim znów zdąży zabić. To jednak wcale nie oznaczało, że Lash ma siedzieć i kręcić młynka palcami. Porównanie danych z tych czterech teczek może dostarczyć nowych fragmentów łamigłówek.

Wsunął teczki do swojej skórzanej torby i przeciągnął się. Potem zszedł na dół do bufetu. Marguerite już skończyła pracę, ale jej zmienniczka z przyjemnością zrobiła mu podwójną kawę z ekspresu. Pomimo późnej pory w bufecie było tłoczno i Lash zajął stolik w kącie, ciesząc się z tego, że w Edenie pracowano na trzy zmiany.

Popijając kawę, wrócił do swojego biura, wzięł płaszcz i torbę, po czym skierował się do najbliższej windy. Chociaż nadal słabo orientował się w budynku Edenu, umiał już przynajmniej trafić do holu.

Stojąc w kolejce do punktu kontrolnego numer trzy, wrócił myślami do superpar. Zanim wyszła, Tara Stapleton odkryła, że trzecia z nich — państwo Connelly — została dobrana 6 października 2002 roku. Jeżeli odkryta przez niego prawidłowość była faktem, oznaczało to, że tragedia Connellych — samobójstwo lub zabójstwo — wydarzy się w nadchodzącą środę. To odrobinę zmniejszało presję, dawało trochę więcej czasu. A jednocześnie wyznaczało nieprzekraczalny termin.

Środa. Do tej pory trzeba znaleźć wszystkie brakujące fragmenty łamigłówek.

Znalazł się na początku kolejki, zaczekał, aż rozsuna się szklane drzwi, a potem wszedł do owalnej komory. Zrobił to niemal odruchowo. Przyzwyczajenie — zadziwiająca rzecz. Można przywyknąć niemal do wszystkiego, obojętnie jak niezwykłego. W laboratorium obserwował ten efekt na psach, myszach, szympanсах. Wykorzystywał w terapii warunkującej. A teraz był tutaj, chodzący przykład praktycznego zastosowania w...

Uświadomił sobie, że słyszy dzwonek w oddali. Światło w komorze, zawsze bardzo jasne, stało się jeszcze jaśniejsze. Przed sobą, za drugimi drzwiami, zobaczył biegnących ludzi. Co się dzieje — alarm pożarowy? Jakieś ćwiczenia?

Nagle po drugiej stronie szklanych drzwi przed nim wyrosli dwaj strażnicy. Zagrodzili mu drogę, stojąc na lekko rozstawionych nogach, z bronią przy boku.

Obejrzał się przez ramię, nie pojmując. Przed pierwszymi drzwiami też stali dwaj ochroniarze. Zobaczył, że nadbiegają następni.

Usłyszał szereg elektronicznych pisków, i drzwi, przez które przeszedł, otwały się ponownie. Strażnicy szli do niego ławą. Lash zauważył, że jeden z nich trzymał w rękę paralizator.

— Co... — zaczął.

Szybko i zdecydowanie dwaj pierwsi strażnicy wywlekli go za pierwsze drzwi. Pozostali otoczyli ich gęstym kordonem. Lash zapamiętał szereg migawkowych obrazów: rozstępujących się i gapiących na niego ludzi z kolejki, ściany korytarza, zakręt — i znalazł się w pustym pokoju bez okien.

Posadzono go na drewnianym krześle. Przez chwilę wydało się, że nikt już nie zwraca na niego uwagi. Słyszał szum krótkofalówek, wybieranego numeru.

— Ściągnijcie tu Sheldrake'a — powiedział ktoś.

Trzasnęły drzwi. Potem jeden ze strażników odwrócił się do niego.

— Dokąd się pan z tym wybierał? — zapytał.

W ręce trzymał cztery teczki z aktami.

W tym zamieszaniu Lash nawet nie zauważył, że odebrano mu torbę.

— Do domu — powiedział. — Chciałem przeczytać je przez weekend.

Chryste, jak mógł zapomnieć o przestroгах Mauchly'ego? „Zza Muru niczego nie wolno wynosić na zewnątrz”. Tylko skąd...

— Zna pan przepisy, panie...? — zapytał strażnik, umieszczając teczki w czymś, co nieprzyjemnie przypominało plastikowy worek na dowody.

— Doktor Lash. Christopher Lash.

Usłyszawszy to, jeden z ochroniarzy podszedł do komputera i zaczął stukać w klawisze.

— Zna pan przepisy, doktorze Lash.

Lash kiwnął głową.

— Zatem zdaje pan sobie sprawę z tego, jak poważne popełnił pan przestępstwo?

Lash ponownie kiwnął głową, zakłopotany. Tara, ściśle przestrzegająca przepisów, nigdy by mu nie pozwoliła wziąć tych teczek. Miał nadzieję, że nie wpędził jej w kłopoty; w końcu Mauchly uczynił ją odpowiedzialną za...

— Zatrzymamy tu pana, dopóki nie sprawdzimy pańskich akt. Jeśli otrzymał pan już jakieś ostrzeżenie, obawiam się, że stanie pan przed komisją do spraw zwolnień dyscyplinarnych.

Strażnik przy komputerze oderwał wzrok od ekranu.

— W bazie danych nie ma żadnego Christophera Lasha.

— Dobrze usłyszeliśmy nazwisko? — zapytał ten z workiem na dowody.

— Tak, ale...

— Wyświetla mi się tylko Christopher Lash jako ewentualny klient — powiedział strażnik przy komputerze, znów pisząc. — Przeszedł badania w zeszłą niedzielę, dwudziestego szóstego września. — Przestał pisać. — Podanie zostało odrzucone.

— To pan? — zapytał pierwszy strażnik.

— Tak, ale...

Atmosfera w pokoju natychmiast uległa zmianie. Pierwszy ochroniarz podszedł do Lasha. Kilku innych, w tym ten z paralizatorem, stanęło tuż za nim.

Chryste, pomyślał Lash, naprawdę robi się niewesoło.

— Posłuchajcie — zaczął znowu. — Nie rozumiecie...

— Niech pan będzie cicho — powiedział pierwszy strażnik. — Ja będę zadawał pytania.

Drzwi otworzyły się i wszedł inny mężczyzna. Wysoki blondyn o tak szerokich ramionach, że tkwiąca na nich głowa wydawała się niedużą w porównaniu z resztą ciała. Gdy podchodził niemal defiladowym krokiem, pozostali rozstępowali się przed nim z szacunkiem. Nosił zwyczajny, ciemny garnitur. Jego oczy miały niezwykły, ciemnozielony kolor. Wyglądał dziwnie znajomo, ale rozkojarzony Lash dopiero po chwili



przypomniał sobie dlaczego. Widział go przez chwilę, stojącego na korytarzu podczas przesłuchania Handerlinga.

— Co macie? — zapytał przybyły krótko i bez śladu obcego akcentu.

— Ten pan usiłował przemycić poufne dokumenty przez punkt kontrolny.

— Jaki dział i stanowisko?

— Nie jest naszym pracownikiem, panie Sheldrake. To odrzucony klient.

Mężczyzna podniósł brwi.

— Naprawdę?

— Właśnie sam to przyznał.

Sheldrake podszedł bliżej, skrzyżował muskularne ręce na piersi i z zainteresowaniem przyjrzał się Lashowi. W jego oczach nie pojawił się błysk rozpoznania: najwyraźniej nie widział Lasha w sali podczas przesłuchania. Potem znów rozplótł ręce i odchylił klapy marynarki. Lash zobaczył szeroki skórzany pas z kaburą, kajdankami i krótkofalówką. Odczepiwszy od pasa teleskopową pałkę, Sheldrake rozciągnął ją na całą długość.

— Crandall — mruknął. — Spójrz na to.

Zakończonym kulką końcem pałki uniósł rękaw marynarki Lasha, odsłaniając bransoletkę.

Pierwszy ochroniarz — ten zwany Crandallem — zmarszczył brwi ze zdziwienia.

— Skąd pan to ma? I co pan robił w strefie podwyższonego bezpieczeństwa?

— Jestem niezależnym konsultantem.

— Dopiero co pan przyznał, że jest pan odrzuconym klientem.

Lash przeklął w duchu tajemnicę, jaką otoczono jego misję.

— Tak, wiem. Jednak proces aplikacji był częścią mojego zadania. Posłuchajcie, po prostu zapytajcie o mnie Edwina Mauchly'ego. On mnie zatrudnił.

W tle znów słyszał rozmowę przez krótkofalówkę. Jeden z ochroniarzy przetrząsał jego torbę.

— Eden nie zatrudnia niezależnych konsultantów. I z pewnością nie wpuszcza ich za Mur. — Sheldrake zwrócił się do jednego ze swoich ludzi. — Postaw w stan gotowości posterunki kontrolne. Ogłaszamy fazę Beta. Przynies tu analizator, zobaczymy, czy bransoletka jest spreparowana.

— Już się robi, panie Sheldrake.

Idiotyczne. Dlaczego nie pojawiły się nowsze dane, na przykład o udanym doborze?

— Słuchajcie — rzekł Lash, wstając. — Mówiłem wam, żebyście porozmawiali z Mauchlym...

— Siadać! — Crandall brutalnie pchnął go z powrotem na krzesło.

Inny strażnik — ten z paralizatorem — podszedł bliżej. Jeszcze inny otworzył metalową szafę i wyjął podobny do grabi przyrząd, zakończony metalowym uchwytem. Lash w przeszłości często widywał to narzędzie: używano go do unieruchamiania opornych pacjentów.

Oblizał wargi. Sytuacja, która z początku była kłopotliwa, a później irytująca, szybko stawała się groźna.

— Posłuchajcie — powiedział najspokojniej jak mógł. — Jak powiedziałem, jestem konsultantem. Pracuję z Tarą Stapleton.

— Nad czym? — zapytał Sheldrake.

— To poufne.

— Jeśli tak chce pan to rozegrać. — Sheldrake obejrzał się przez ramię. — Sprawdźcie, który lekarz ma dyżur, i ściągnijcie go tu. I zadzwońcie do centrali, zawiadomcie kierowników zmiany.

— Mówię prawdę — rzekł Lash. — Jeśli nie wierzycie, możecie zapytać Silvera. On o tym wie.

Wargi Sheldrake'a wykrzywił nikły uśmiech.

— Richarda Silvera?

— On o tym wie — powtórzył Crandall. — Od roku nikt nie widział tego gościa, ale on go zna.

— Sam z nim porozmawiam.

Lash znów próbował wstać. Crandall ponownie popchnął

go na krzesło. Inny ochroniarz doskoczył i we dwóch przytrzymali Lasha.

— Przygotujcie kajdanki — powiedział beznamytnie Shelldrake. — Stemper, użyj paralizatora. Trzeba obezwładnić tego faceta.

Strażnik z paralizatorem przysunął się jeszcze bliżej.

— Cofnij się, kiedy dam sygnał — mruknął Crandall do strażnika z drugiej strony krzesła.

W tym momencie drzwi otworzyły się i wszedł Mauchly.

— Co się tu dzieje? — zapytał.

Sheldrake obejrzał się i znieruchomiał.

— Ten człowiek twierdzi, że pana zna, panie Mauchly.

— Zna. — Mauchly podszedł bliżej. Lash próbował wstać, ale Mauchly powstrzymał go stanowczym gestem. — Co dokładnie się stało? — zapytał Sheldrake'a.

— Ten człowiek usiłował przejść przez punkt kontrolny z tymi dokumentami

Sheldrake skinął na Crandalla, który podał Mauchly'emu worek z aktami.

Mauchly otworzył go i przeczytał napisy na okładkach.

— Ja je wezmę — rzekł.

— Bardzo dobrze, proszę pana — powiedział Crandall.

— Zabiorę również doktora Lasha.

— Jest pan pewien, że to dobry pomysł? — spytał Sheldrake.

— Tak, panie Sheldrake.

— Zatem przekazuję go panu. — Odwrócił się do Crandalla. — Wpisz to do księgi dyżurów.

Mauchly wziął torbę i skinął na Lasha.

— Chodźmy, doktorze Lash — powiedział. — Tędy.

Gdy wychodzili z pokoju, Lash słyszał, jak Sheldrake rozmawia przez telefon, każąc odwołać alarm i przejść z fazy Beta na fazę Alfa.

• • •

Kiedy wyszli na korytarz, Mauchly zamknął za nimi drzwi i odwrócił się.

— Co też pan wymyślił, doktorze Lash?  
— Chyba w ogóle nie myślałem. Jestem zmęczony. Przepraszam.

Mauchly jeszcze przez chwilę przyglądał się Lashowi. Potem pokiwał głową.

— Każę je odnieść do pańskiego biura — rzekł, pokazując teczkę. — Będą na pana czekały w poniedziałek rano.

— Dziękuję. Co to za faza Beta, o której mówili strażnicy?

— W tym budynku obowiązują cztery stopnie alarmu: Alfa, Beta, Delta i Gamma. Faza Alfa to sytuacja normalna. Beta oznacza podwyższoną gotowość. Fazę Delta ogłasza się przy ewakuacji w przypadku pożaru lub czegoś takiego.

— A faza Gamma?

— Tylko w razie jakiejś katastrofy. Oczywiście, jeszcze nigdy nie była ogłoszona.

— Oczywiście.

Lash uświadomił sobie, że plecie bzdury. Życzył Mauchly'emu przyjemnego weekendu i odwrócił się.

— Doktorze Lash — powiedział spokojnie Mauchly.

Lash odwrócił się. Mauchly podał mu jego torbę.

— Może przejdzie pan przez punkt kontrolny numer jeden na trzecim piętrze — rzekł. — Strażnicy tutaj będą przez chwilę trochę... hmm... podekscytowani.

## 32

Zastępca prokuratora okręgowego Frank Piston smętnie wiercił się na drewnianym krześle. Doszedł do wniosku, że oddałby wszystko, żeby dostać w swoje ręce tego sadybę, który kupił meble do siedziby Sądu Najwyższego okręgu Sullivan. Wystarczyłoby dziesięć minut — a nawet pięć — żeby dać mu do zrozumienia, co myśli o jego wyborze. Był w dziesiątkach sal sądowych, gabinetach sędziowskich i pokojach przesłuchań tego pięciopiętrowego budynku. Wszędzie znajdowały się takie same drewniane krzesła o płaskich więziennych siedziskach i oparciach usianych wypukłościami we wszelkich niewłaściwych miejscach. To krzesło w sali przesłuchań komisji do spraw zwolnień warunkowych niczym nie różniło się od innych.

Spojrzał na zegarek i westchnął ponuro. Punkt szósta. Zapewne jego sprawa będzie rozpatrywana ostatnia. A przecież powinna być pierwsza na liście. W końcu jej odrzucenie nie może trwać dłużej niż kilka minut, po czym Edmund Wyre wróci gnść w mamrze przez następne dziesięć lat. Jednak nie, on musiał siedzieć tutaj przez tuzin innych przesłuchań, a każde nudniejsze od poprzedniego. Niewiarygodne, z jakim gównem musi się babrać zastępca prokuratora. Wszyscy już dawno poszli sobie do domu, a on musi tkwić tutaj, zdrętwiały od tyłka w dół. To po to męczył się cztery lata na studiach i wydał prawie sto patyków?

Przez jedną okropną chwilę — pół godziny wcześniej, kiedy rozpatrywano podanie seryjnego gwałciciela — już myślał, że komisja przełoży resztę pracy na inny termin i będzie musiał przyjść tu znowu za tydzień, na kolejną rundę tych tortur. Jednak nie, postanowili wysłuchać pozostałych. Oczywiście odrzucili podanie gwałciciela. Tak jak wszystkich innych. Komisja była surowa. W duchu powiedział sobie, że jeśli kiedyś będzie chciał popełnić jakieś przestępstwo, to lepiej zrobić to w innym okręgu.

Podanie pijanego kierowcy, który przejechał przechodnia w podeszłym wieku — i dostał dwadzieścia lat za zabójstwo o znamionach wymagających zaostrzenia kary — zostało odrzucone. W końcu przyszła jego kolej. Teraz Walt Corso, wiecznie skrzywiony przewodniczący komisji, odkaslnął i zerknąwszy do leżącego przed nim na stole notatnika, powiedział:

— Komisja do spraw zwolnień warunkowych rozpatrzy teraz podanie Edmunda Wyre'a.

Ludzie siedzący po drugiej stronie sędziowskiego stołu poprawili się na swoich miejscach. Piston zauważył, że obecna jest cała dwunastka członków komisji — co było niezbędne podczas rozpatrywania podania mordercy. Teraz, kiedy zasmuceni krewni pijanego kierowcy wyszli, sala była prawie pusta. Pozostała w niej tylko komisja, urzędnik sądowy, stenograf, kilku innych przedstawicieli administracji stanowej i on. Nie było nawet dziennikarzy. Wyre w żadnym razie nie mógł wyjść na wolność i wszyscy o tym wiedzieli. Piston nie pojmował, w jaki sposób facet tak szybko złożył podanie o zwolnienie warunkowe. Nie zabija się sześciu ludzi, a potem...

Usłyszał odgłos otwierających się drzwi po jego prawej stronie. Pojawił się w nich Edmund Wyre, skuty, prowadzony przez strażników więziennych.

Piston usiadł. To niezwykle. Czyżby Wyre nie wynajął prawnika? Dlaczego, do diabła, pojawił się tu osobiście?

Tymczasem członkowie komisji nie byli zaskoczeni. W milczeniu patrzyli, jak prowadzono więźnia przed ich oblicze.

Stary Corso znów zerknął do swojego notesu i przeczytał nagryzmołoną tam adnotację.

— Rozumiem, panie Wyre, że chciał pan być obecny na tym posiedzeniu, ale nie skorzystał pan z usług kuratora lub konsultanta,wołąc reprezentować siebie osobiście?

Wyre skinął głową.

— Zgadza się, proszą pana — powiedział z szacunkiem.

— Bardzo dobrze. — Corso popatrzył na członków komisji. — Kto jest jego kuratorem?

Jeden z urzędników siedzących z tyłu wstał.

— Ja, proszą pana.

— Forster, czy tak?

— Tak, proszą pana.

— Niech pan podejdzie.

Mężczyzna nazwany Forsterem podszedł głównym przejszczem. Wyre spojrział na niego i skinął głową.

Corso oparł się łokciami o stół i nachylił do kuratora.

— Muszę powiedzieć, Forster, że zdziwiło nas uzasadnienie podania tego człowieka.

Nie tylko ciebie, pomyślał Frank Piston.

— Wyroki pana Wyre'a nie zostały skumulowane, proszę pana — rzekł Forster. — Ma je odsiedzieć kolejno.

— Jestem tego świadomy.

Wyre odkaszlnął. Spojrział na kartkę, którą trzymał w dłoni.

— Proszę pana — zaczął — ze względu na stan zdrowia zamierzałem prosić o zwolnienie warunkowe dla podreperowania...

Tego już za wiele. Wyre wyglądał jak okaz zdrowia. Piston poderwał się z krzesła, które głośno stuknęło o drewnianą podłogę. Corso spojrział na niego, marszcząc brwi.

— Chce pan coś dodać, panie...?

— Piston. Frank Piston. Zastępca prokuratora okręgowego.

— Ach tak, młody Piston. Proszę mówić.

— Czy mogę przypomnieć, że winni przestępstw kwalifikujących się do zaostrzenia kary nie mogą ubiegać się o zwolnienie dla podreperowania zdrowia?

— Komisja zdaje sobie z tego sprawę, dziękuję panu. Panie Wyre, może pan kontynuować.

— Jak powiedziałem, proszę pana, zamierzałem prosić o zwolnienie ze względu na konieczność podreperowania zdrowia. Potem jednak dowiedziałem się, że to nie będzie konieczne.

— Tak napisano w podsumowaniu. — Corso spojrzął na kuratora. — Panie Forster, zechce pan to wyjaśnić?

— Pan Wyre zebrał godne uwagi pochwały za dobre sprawowanie. W rzeczy samej, maksymalną liczbę punktów.

Piston pochylił się. No nie, co za bzdury. Często słyszał o kłopotach, jakie Wyre sprawiał w więzieniu. Był jednym z najgorszych więźniów, zimnym mordercą, chytrym jak lis. Szczył jednych więźniów na drugich, wywołując bójkę i awantury, sięjąc niezgodę wśród strażników. Nie mówiąc już o kilku niewyjaśnionych morderstwach. Nie zbiera się pochwał za dobre sprawowanie, załatwiając współwięźniów, nawet jeśli niczego nie można udowodnić.

— Dobre sprawowanie oraz zasługi pana Wyre'a dla więziennej społeczności, udział w pracach na rzecz miasta i spotkaniach grup rehabilitacyjnych pozwalają na skrócenie okresu odsiadki kary i możliwość ubiegania się o zwolnienie warunkowe — oczywiście objęte nadzorem kuratora sądowego — z dniem dwudziestego dziewiątego września bieżącego roku.

To stwierdzenie wstrząsnęło Pistonem. Natychmiast znów wstał. Dwudziesty dziewiąty września był dwa dni temu. Wyre kwalifikuje się do zwolnienia warunkowego? Już? Niemożliwe.

Corso spojrzął na niego.

— Chce pan jeszcze coś dodać, panie Piston?

— Nie. A raczej tak. Zwolnienie za dobre sprawowanie to przywilej, nie prawo. W niczym nie zmienia faktu, że Wyre zabił sześć osób, w tym dwóch oficerów policji.

— Zapomina pan, panie Piston, że pan Wyre został oskarżony i skazany za zamordowanie jednej osoby?

Piston zaklął w duchu. To prawda: Wyre był sądzony tylko za zamordowanie swojej ostatniej ofiary. Chodziło o pewne



techniczne zawiłości, nieprawidłowości w trakcie zbierania dowodów. Chociaż z perspektywy czasu wydawało się to głupotą, prokurator okręgowy wolał pewny wyrok skazujący za jedno morderstwo niż ryzyko, że Wyre zostanie uniewinniony z powodu błędów proceduralnych. Wtedy prasa podniosła straszną wrzawę. Czy ci żartownisie już o tym nie pamiętają?

A głośno powiedział:

— Nie zapomniałem, proszę pana. Proszę tylko o uwzględnienie okoliczności tych morderstw i rodzaju popełnionych przez Wyre'a zbrodni przy rozpatrywaniu...

— Panie Piston. Czy pan poucza komisję do spraw zwolnień, jak ma wykonywać swoją pracę?

Piston przełknął ślinę.

— Nie, proszę pana.

Corso potrząsnął plikiem papierów.

— Czy zna pan wszystkie fakty? Jest pan w posiadaniu podsumowania wniosku?

— Nie, proszę pana.

— Zatem usiądź i trzymaj język za zębami, młodzieńcze, jeśli nie masz nic istotnego do dodania.

Wyre zerknął na Pistona. Było to przelotne, niemal obojętne spojrzenie, ale zmroziło prawnika do szpiku kości. Takim spojrzeniem obrzuca kot kanarka. Potem więzień odwrócił się i znów uśmiechnął do komisji.

Piston — wstrząśnięty wnioskiem o zwolnienie warunkowe, zdenerwowany, że Wyre go obserwuje — usiłował ochłonąć i zebrać myśli. Musiał pamiętać, z kim ma do czynienia. Wszyscy wiedzieli, że Wyre zabił tych dwóch policjantów. Zastawił pułapkę, w którą wpadli, i zamierzał zabić również agenta FBI. Stary Corso z pewnością o tym nie zapomniał, a cieszył się opinią tak surowego sędziego, jak tylko może być przewodniczący komisji do spraw zwolnień. Poza tym trzeba będzie jeszcze przebrnąć przez wszystkie szczegóły podsumowania. Jeśli już, to przy tym najprędzej Wyre wpadnie.

Corso jakby czytał mu w myślach.

— Bardzo dobrze, panie Forster, przejdźmy do pańskiego podsumowania. Cała komisja miała okazję się z nim zapoznać. Muszę przyznać, że wszyscy byliśmy trochę zdziwieni pańskimi odkryciami, nie tylko ja.

— Doskonale to rozumiem, proszę pana. Jednak podtrzymuję zarówno moją opinię, jak prawdziwość danych.

— Och, niczego nie kwestionuję, panie Forster. Zawsze wykazywał pan niezwykłą sumienność przy przygotowywaniu wniosków. Jesteśmy tylko... trochę zdziwieni, to wszystko. — Corso przekartkował podsumowanie. — Te analizy socjologiczne, wyniki badań psychologicznych, cała historia resocjalizacji Wyre'a. Jeszcze nigdy nie widziałem takich doskonałych wyników.

— Ja też nie, proszę pana — rzekł Forster.

Stojącemu obok kuratora Wyre'owi zabłyśły oczy.

— Również załączone przez pana zaświadczenia są równie doskonałe.

— Wszystko to było w bazie danych, proszę pana.

— Hmm. — Corso przerzucił ostatnie strony dokumentu, po czym odłożył go na bok. — Chociaż sam nie wiem, dlaczego jesteśmy tak zdziwieni. W końcu jesteśmy tutaj, ponieważ wierzymy w skuteczność naszego systemu więziennictwa, prawda? Staramy się zapewnić naszym pensjonariuszom te usługi, tę możliwość rehabilitacji. Dlaczego więc mielibyśmy być tak zaskoczeni, napotykając przykład tego, że ten system naprawdę działa? Widząc jego skuteczność?

O mój Boże, pomyślał Piston. Tylko jedno mogło wprawić Corsę w ten podniosły nastrój. Dyndająca przed nosem marchewka sukcesu. Ponieważ Corso przewodniczący komisji do spraw zwolnień warunkowych był również Corsem niespełnionym ustawodawcą. A przekształcenie Edmunda Wyre'a z sadystycznego mordercy w zreformowanego więźnia byłoby krokiem milowym w kierunku senatorskiego stołka...

Nie, tak po prostu nie może być. Wyre to ośliszy gad, psychopatyczny morderca. Co było w tym podsumowaniu? Jak testy mogły aż tak zawieść?

— Proszę pana — powiedział Wyre, pokornie patrząc na Corsa — w świetle tego wszystkiego chciałbym teraz prosić komisję o zgodę na moje zwolnienie warunkowe, wyznaczenie daty zwolnienia i ułożenie planu kurateli sądowej.

Piston z rosnącym niedowierzaniem patrzył, jak Wyre zerka na kartkę, którą trzyma w dłoni. Ma komisję w garści. Ktoś go dobrze ustawił, poinstruował, co ma czytać i mówić. Tylko kto?

Odruchowo znów zerwał się z krzesła.

— Panie Corso! — zawołał.

Stary spojrzał na niego, marszcząc brwi.

— Co znowu?

Piston poruszał wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wyre obojętnie obejrzał się przez ramię. Przechwyciwszy spojrzenie Pistona, zmrużył oczy i oblizał wargi, powoli i znacząco, najpierw górną, a potem dolną.

Piston usiadł. Gdy w sali znów rozległy się odgłosy przerwanej debaty, sięgnął do kieszeni, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do biura. Tak jak się spodziewał, zgłosiła się automatyczna sekretarka. Zaczął wybierać numer szefa, ale zrezygnował. Prokurator okręgowy był teraz na polu golfowym, kończąc szybką osiemnastkę, i jak zwykle wtedy miał wyłączony telefon.

Piston powolnym, niemal sennym ruchem schował aparat do kieszeni i popatrzył na komisję. Miał wrażenie, że to sen: jeden z tych koszmarnych, w których człowiek jest świadkiem jakichś strasznych wydarzeń — z pewnością prowadzących do tragedii, katastrofy — a jednak jest sparaliżowany i nie może nic zrobić, niczego zmienić...

W tym miejscu kończyło się podobieństwo. Ponieważ Piston wiedział, że człowiek zawsze budzi się z koszmaru snu. Z tego nie będzie przebudzenia.

## 33

— Zmiana planów — powiedział Lash, nachyliwszy się do kierowcy. — Proszę mnie tutaj wysadzić.

Zaczekał, aż taksówka zjedzie z Columbus Circle i zatrzyma się przy krawężniku, po czym zapłacił za przejazd i wysiadł. Patrzył, jak taksówka ginie w morzu identycznych żółtych pojazdów, a potem włożył ręce do kieszeni płaszcza i powoli poszedł Central Park West.

Sam nie wiedział, dlaczego postanowił wysiąść kilka przecznic przed restauracją. Chyba nie chciał wpaść na tę kobietę przed wejściem. A co to właściwie oznaczało? Zapewne miało coś wspólnego z chęcią panowania nad sytuacją: chciał zobaczyć ją pierwszy, zająć stanowisko, zanim się spotkają. Objaw zdenerwowania.

W innym nastroju może uśmiełby się z tej autoanalizy. Jednak przyspieszony oddech i puls mówiły same za siebie. Oto on, Christopher Lash, znany psycholog, który widział setki miejsc zbrodni, zdenerwowany jak nastolatek na pierwszej randce.

Zaczął się to stopniowo, tego ranka, kiedy — instynktownie — podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Tavern on the Green. Eden już zrobił rezerwację, ale Lash chciał osobiście wybrać salę. Odłożył słuchawkę równie pospiesznie, jak ją podniósł. Którą salę wybrać? Kryształową, z mnóstwem migoczących żyrandoli, czy też leśną atmosferę Drewnianej?

Podjęcie decyzji zajęło mu dziesięć minut, a piętnaście następnych spędził przy telefonie, dyktując nazwiska i uwodząc panienkę z recepcji, żeby zarezerwowała mu najlepszy stolik.

To było zupełnie do niego niepodobne. Teraz rzadko jadał poza domem, a jeśli nawet, to było mu obojętne, gdzie siedzi. Równie niezwykle było to, że zatrzymał się obok przystanku autobusowego i przejrzał się w szybie. Oraz niepokój, że wybrany przez niego krawat jest niemodny lub zbyt jaskrawy, a może jedno i drugie po trosze.

Ci z Edenu niewątpliwie przewidzieli takie reakcje. Przypuszczalnie w normalnym trybie przygotowaliby go i nakarmili krzepiącymi banałami przed spotkaniem. Jednak to nie był normalny tryb postępowania. Nie wiadomo, jak do tego doszło, ale firma nie popełniająca żadnych błędów właśnie popełniła jeden. Tak więc Lash szedł po Central Park West, była dokładnie ósma wieczór i po raz pierwszy od kilku dni jego myśli nie zaprzętała wyłącznie śmierć Thorpe'ów i Wilnerów.

Przed nim w miejscu, gdzie Zachodnia Sześćdziesiąta Siódma dochodziła do Central Parku, zauważył niezliczone białe światełka migoczące między drzewami. Przepchnął się przez gąszcz limuzyn, a potem wszedł do restauracji. Poprawił marynarkę, upewniając się, że przysłana z Edenu broszka wciąż jest na swoim miejscu. Nawet nad tym drobnym szczegółem zastanawiał się przez kilka minut: zmieniając jej położenie w klapie, upewniając się, że jest dobrze, lecz nie nazbyt widoczna. Zaschło mu w ustach i miał spocone dłonie. Rozłoszczony, otarł je o spodnie i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku baru.

Wszystko sprowadza się do tego, pomyślał. Zabawne — przez cały ten czas, gdy poddawał się badaniom, studiując Eden i te dwie superpary, nigdy nie zastanawiał się, jak to jest, kiedy czekasz i rozmyślasz, jak będzie wyglądała ta wybrana osoba. Aż do dziś. Dzisiaj nie mógł myśleć o niczym innym. Z własnego przykrego doświadczenia wiedział, jaka nie powinna być jego idealna partnerka. Na pewno nie taka jak Shirley, jego była żona, nie umiejąca wybaczyć ludzkiej słabości, zaakcep-

tować tragedii. Czyjego idealna kobieta będzie zlepkiem wcześniejszych przyjaciółek, kompozycją wygenerowaną przez jego podświadomość? Amalgamatem aktorek, które najbardziej podziwiał: będzie miała powabne kształty Myrny Loy i sercowatą twarz Claudette Colbert?

Przystanął przy wejściu do baru, rozglądając się. Przy stolikach siedziały dwu- i trzyosobowe grupki, rozmawiając z ożywieniem. Pozostali, samotni, siedzieli przy barze...

A ona była tam. A przynajmniej wydało mu się, że to musi być ona. Ponieważ do sukni miała przypiętą identyczną broszkę, ponieważ patrzyła prosto na niego, ponieważ podniosła się z krzesła i szła ku niemu z uśmiechem.

A jednak to nie mogła być ona. Ponieważ wyglądała zupełnie inaczej, niż oczekiwał. To nie była smukła, drobna szatynka w typie Myrny Loy: ta kobieta była wysoka i kruczowłosa. Chyba po trzydziestce, z łobuzerskim błyskiem w orzechowych oczach. Lash nie pamiętał, żeby kiedykolwiek umówił się na randkę z kobietą prawie o głowę wyższą od niego.

— Christopher, prawda? — zapytała, ściskając jego dłoń. Ruchem głowy wskazała jego broszkę. — Rozpoznaję styl biżuterii.

— Tak — odparł. — A ty jesteś Diana.

— Diana Mirren.

Jej głos też był niespodzianką: śpiewny kontralt z wyraźnym południowym akcentem.

Lash nie miał najlepszego zdania o kobietach z południa i drażniło go coś w ich sposobie mówienia. Teraz zaczął się zastanawiać, czy proces doboru jego partnerki nie był taką samą pomyłką jak wprowadzenie jego awataru do Zbiornika.

— Wejdziemy do środka? — zapytał.

Diana zarzuciła torebkę na ramię i razem podeszli do recepcjonistki.

— Lash i Mirren, na ósmą — powiedział Lash.

Kobieta za biurkiem zajrzała do wielkiej księgi.

— A tak. W Sali Tarasowej. Tędy proszę.

Lash wybrał Salę Tarasową, ponieważ wydawała się najbardziej intymna, z rzeźbionym sklepieniem i wysokimi oknami wychodzącymi na prywatny ogród. Kelner posadził ich, po czym napełnił im szklanki wodą i podsunął dwa menu, zanim wycofał się z ukłonem.

Przez chwilę milczeli oboje. Lash zerknął na kobietę i zauważył, że ona też mu się przygląda. Nagle Diana się roześmiała.

— Co? — zapytał.

Potrząsnęła głową, sięgnęła po szklankę z wodą.

— Sama nie wiem. Jesteś... jesteś inny, niż oczekiwałam.

— Zapewne starszy, chudszy i bledszy.

Znów parsknęła śmiechem i lekko się zarumieniła.

— Przepraszam — powiedział.

— No cóż, mówili nam, żebyśmy się nie nastawiali. Prawda?

Lash, któremu nikt nic nie mówił, tylko kiwnął głową.

Pojawił się kelner podający wino.

— Coś z listy win, proszę pana?

Lash spojrzał na Dianę, która entuzjastycznie kiwnęła głową.

— Ty zamów. Uwielbiam francuskie wina, ale praktycznie nic o nich nie wiem.

— Może być bordeaux?

— *Naturelement.*

Lash podniósł listę i przejrzał.

— Poprosimy Pichon-Longueville.

— Pichon-Longueville? — zapytała Diana, gdy kelner odszedł. — Drugie co do jakości z Pauillac? Powinno być fantastyczne.

— Drugie?

— No wiesz. Wszystkie zalety *premier cru* przy rozsądnej cenie.

Lash odłożył listę.

— Myślałem, że nic nie wiesz o winach.

Diana upiła następny łyk wody.

— No cóż, nie wiem tyle, ile powinnam.

— Jak to?

— W zeszłym roku byłam na sześciotygodniowej wycieczce po Francji. Spędziliśmy cały tydzień w różnych winnicach.

Lash gwizdnął.

— Tylko wstyd się przyznać, czego się nauczyłam, a czego nie. Na przykład pamiętam że Chateau Beychevelle to najlepsze z colteaux. Jednak zapytaj mnie o roczniki, a nic nie zdołam powiedzieć.

— Chyba ty powinnaś dokonać oficjalnej degustacji przy tym stole.

— Nie zgłaszam sprzeciwu.

I Diana znów się roześmiała.

Zwykle Lash nie lubił ludzi, którzy często śmiali się w głos. Nierzadko było to substytutem znaków przestankowych lub czegoś, co można było lepiej wyrazić słowami. Jednak śmiech Diany był zaraźliwy. Lash przyłapał się na tym, że też się uśmiecha, kiedy go słyszy.

Gdy kelner wrócił z butelką, Lash skierował go do Diany. Zerknęła na etykietkę, zakręciła kieliszkiem i podniosła go do ust, a wszystko to z doskonale udawaną powagą. Drugi kelner znów przyszedł i wyrecytował długą listę wieczornych dań specjalnych. Kelner od win napełnił kieliszki i znikł. Diana podniosła swój kieliszek i spojrzała na Lasha.

— Za co wypijemy? — zapytał.

Na pewno powie „za nas”. Zawsze tak się mówi.

— Może za transwestytów? — odparła gładko Diana.

Lash o mało nie upuścił kieliszka.

— He?

— Chcesz powiedzieć, że tam nie zajrzałeś?

— Gdzie?

— Do fontanny. No wiesz, ten posąg przed budynkiem Edenu. Ta stara rzeźba otoczona przez ptaki i anioły? Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłam, wydała mi się najdziwniejszą rzeczą na świecie. Nie potrafiłabym orzec, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Lash pokręcił głową.

— No cóż, dobrze, że choć jedno z nas popatrzyło. To Tejrezjasz.



- Kto?
- Postać z greckiej mitologii. Widzisz, Tejrezjasz był facetem, który stał się kobietą. A potem z powrotem mężczyzną.
- Co? Dlaczego?
- Dlaczego? Nie pytaj. To było w Tebach. Działy się różne rzeczy. No cóż, Zeus i Hera kłócili się, kto ma więcej radości z seksu: mężczyźni czy kobiety. Ponieważ Tejrezjasz był jedyną osobą, która mogła coś na ten temat powiedzieć, wezwali go, żeby rozsądził spór.
- Mów dalej.
- Herze nie spodobało się to, co miał do powiedzenia. Oślepiła go.
- Typowe.
- Zeus miał wyrzuty sumienia, więc obdarzył go zdolnością jasnowidzenia.
- Ładnie z jego strony. Jednak coś pominęłaś.
- Co takiego?
- Co powiedział Tejrezjasz, że tak rozgniewał Herę.
- Powiedział, że kobiety mają więcej radości z seksu niż mężczyźni.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Dziewięć razy więcej.
- Później do tego wrócimy, pomyślał Lash. Podniósł kieliszek.
- Wznieśmy ten toast. Czy jednak nie powinniśmy wypić za hermafrodytów?
- Diana zastanowiła się nad tym.
- Masz rację. Zatem za hermafrodytów.
- I stuknęła się z nim.
- Lash pociągnął łyk wina i uznał, że jest wspaniałe. Zdecydował, że cieszy się, że Diana nie wygląda jak Claudette Colbert. Gdyby tak było, czułby się przytłoczony.
- Gdzie znalazłaś ten cenny okruch wiedzy? — zapytał.
- Właściwie zawsze to wiedziałam.
- Pozwól mi zgadnąć. Czytałaś mitologię podczas wycieczki po Francji.

— Niezła próba, ale chybiona. Można powiedzieć, że to część mojej pracy.

— Naprawdę? A jaka to praca?

— Uczę literatury angielskiej na Uniwersytecie Columbii.

Lash pokiwał głową. Był pod wrażeniem.

— Wspaniała uczelnia.

— Jestem tylko wykładowcą, ale z widokami na stały angaż.

— Jaka jest twoja specjalność?

— Chyba romantyzm. Poezja.

Lash poczuł dziwne drżenie, jakby coś w nim nagle wskoczyło na swoje miejsce. W college'u lubił poezję romantyczną, ale psychologia i wymogi wyższych studiów zepchnęły te upodobania na dalszy plan.

— To interesujące. Tak się składa, że ostatnio czytałem Basho. Oczywiście, to nie romantyk w ścisłym znaczeniu tego słowa.

— No, na swój sposób jak najbardziej. Największy poeta haiku Japonii.

— O tym nie wiedziałem. Jednak jego wiersze zapadły mi w pamięć.

— Z haiku już tak jest. Jest zwodnicze. Wydaje się takie proste. Jednak później atakuje cię ze stu różnych stron.

Lash pomyślał o Lewisie Thorpe. Upił następny łyk wina i zacytował:

Niemy wobec  
Tych pączkujących wiosennych liści  
W prażącym słońcu.

Kiedy to mówił, uśmiech zgasł na jej ustach, a twarz przybrała skupiony wyraz.

— Jeszcze raz — poprosiła cicho.

Lash powtórzył. Kiedy skończył, przy stoliku zapadła cisza. Jednak nie było to niezręczne milczenie. Po prostu siedzieli tam, ciesząc się chwilą kontemplacji. Lash spoglądał na sąsiednie stoliki, na głębokie kolory, jakie wieczór kładł na park za

oknami. Nawet nie wiedział, kiedy zapomniał o zdenerwowaniu, jakie czuł, gdy wchodził do restauracji.

— To piękne — powiedziała w końcu Diana. — Miewałam takie chwile. — Zamilkła na moment. — Przypomina mi inne haiku, które napisał Kobayashi Issa ponad sto lat później.

I teraz ona wyrecytowała:

*Owady na gałęzi  
Płynącej w dół rzeki,  
wciąż grają.*

Znowu pojawił się kelner.

— Czy państwo już zdecydowali, co zamówią?

— Jeszcze nie zdążyliśmy otworzyć menu — rzekł Lash.

— Doskonale.

Kelner znów się skłonił i odszedł.

Lash zwrócił się do Diany.

— Sęk w tym, że chociaż są piękne, tak naprawdę zupełnie ich nie rozumiem.

— Nie?

— Och, chyba rozumiem je bardzo powierzchownie. Tymczasem one są jak zagadki, mają głębsze znaczenie, które mi umyka.

— Na tym właśnie polega problem. Wciąż słyszę to od moich studentów.

— Oświeć mnie.

— Myślisz o nich jak o epigramach. Haiku nie są zagadkami, które trzeba rozwiązać. Moim zdaniem wprost przeciwnie. Napomykają o różnych sprawach; wiele pozostawiają wyobraźni; więcej sugerują, niż mówią. Nie szukaj odpowiedzi. Zamiast tego myśl o otwieraniu drzwi.

— Otwieraniu drzwi — powtórzył Lash.

— Wspomniałeś o Basho. Czy wiesz, że napisał najszyniej sze haiku? Sto żab. Wiersz jest zbudowany jak wszystkie tradycyjne haiku. I wiesz co? Istnieje ponad pięćdziesiąt wersji jego angielskiego przekładu. Każda całkowicie odmienna od pozostałych.

Lash pokręcił głową.

— Zdumiewające.

Uśmiech powrócił na usta Diany.

— To właśnie miałam na myśli, mówiąc o otwieraniu drzwi.

Znowu zapadła cisza, gdy młodszy kelner podszedł i dołączył Lashowi wina.

— Wiesz co, to zabawne — powiedział Lash, gdy kelner odszedł.

— Co jest zabawne?

— Rozmawiamy o francuskich winach, greckiej mitologii i japońskiej poezji, a ty jeszcze nie zapytałaś, czym się zajmuję.

— Wiem, że nie spytałam.

Ponownie zaskoczyła go jej bezpośredniość.

— Hmm, czy zwykle nie jest to pierwszy temat rozmowy?

No wiesz, na pierwszej randce.

Diana nachyliła się.

— No właśnie. I właśnie to czyni tę tak szczegółową.

Lash zawahał się, rozważając jej słowa. Potem nagle zrozumiał. Nie było potrzeby zadawania takich pytań. Zadbał o to Eden. Bagaż męczących wstępów i ostrożne manewry randki w ciemno nie były tu potrzebne. Zamiast tego czekała ich odkrywczą podróż.

Dotychczas nie zdawał sobie z tego sprawy. Teraz uświadomił to sobie z niewysłowioną ulgą.

Kelner wrócił, zauważył nietknięte menu, znów się uklonił i odszedł.

— Biedny facet — powiedziała Diana. — Ma nadzieję, że następni goście będą lepsi.

— Wiesz co? — odparł Lash. — Myślę, że ten stół jest zarezerwowany na resztę wieczoru.

Diana z uśmiechem uniosła dłoń w udawanym toaście.

— W takim razie za resztę wieczoru.

Lash skinął głową. Potem zrobił coś nieoczekiwanego, nawet dla siebie: ujął palce Diany w swoje i delikatnie ucałował. Nad jej dłonią zobaczył lekkie zdziwienie w jej oczach i jeszcze szerszy uśmiech.

Kiedy puścił jej dłoń, poczuł ledwie uchwytny zapach. Nie mydła czy perfum, ale samej Diany: jakby cynamonu, miedzi i czegoś jeszcze, czego nie dało się zidentyfikować. Subtelnie

upajający zapach. Lash przypomniał sobie to, co Mauchly powiedział w laboratorium genetycznym Edenu: o myszach i ich raczej niezwykłej metodzie wyszukiwania węchem najbardziej różniących się pul genów u potencjalnych partnerów. Nagle parsknął śmiechem.

Diana nie odezwała się, tylko pytająco uniosła brwi.

W odpowiedzi Lash podniósł rękę, tym razem trzymając w niej kieliszek z winem.

— Za wszechświat różnorodności — powiedział.

## 34

Niedziela wstała posepna i chłodna, a pnące się po niebie słońce zdawało się raczej ziębić, niż ogrzewać ziemię. Po południu grzywacze cieśniny Long Island miały ołowianoszarą barwę, a wzburzone wody wydawały się czarne: zwiastuny nadchodzącej zimy.

Lash siedział przy komputerze w swoim domowym gabinecie, trzymając w dłoniach filiżankę ziołowej herbaty. Jakimś cudem — zważywszy na elektryzującą atmosferę kolacji oraz późną porę rozstania z Dianą — zdołał przespać sześć godzin i wstał dość rześki. Tylko dręczyła go jedna sprawa: nie mogąc wynieść żadnych dokumentów z Edenu i nie mając dostępu do żadnych plików czy baz danych, nie mógł posunąć śledztwa naprzód. Mimo to instynkt podpowiadał mu, że jest blisko, może nawet bardzo blisko rozwiązania. Tak więc krążył po domu, rozmyślając, aż w końcu sfrustrowany zaczął szukać w Internecie informacji o firmie.

Jak zwykle, znalazł mnóstwo śmieci: ogłoszenia jakiegoś cwaniaka, który twierdził, że rozgryzł tajemnice Edenu i proponował podzielić się nimi na kasiecie wideo za 19,95 dolara; witryny zwolenników teorii spiskowych, którzy w najczarniejszych barwach malowali złowrogie przymierze zawarte przez Eden z agencjami wywiadowczymi. Jednak w tych stertach śmiecia czasem błyskały diamenty. Lash wydrukował na swojej

drukarce kilka wybranych na chybił trafił artykułów, po czym poszedł z wydrukami do salonu i usiadł na kanapie.

Z oddali dobiegały żalosne krzyki mew. Położył nogi na stole i zaczął powoli przeglądać materiał. Znalazł nadzwyczaj trudną publikację o sztucznej osobowości i zbiorowej inteligencji, napisaną przez Silvera prawie dziesięć lat wcześniej i niewątpliwie umieszczoną w sieci bez zgody autora. Witryna dla finansistów dostarczyła mu trzeźwą analizę modelu biznesowego Edenu, a przynajmniej jego części będącej publiczną tajemnicą, oraz krótką historię finansowania początków działalności firmy przez farmaceutycznego giganta, jakim był PharmGen. Z innej witryny pochodziła biografia Richarda Silvera jako człowieka sukcesu, który z niczego stworzył przedsiębiorstwo światowej klasy. Lash przeczytał ją uważniej niż dwa pierwsze artykuły, podziwiając sposób, w jaki Silver tak pedantycznie i pomysłowo urzeczywistnił swoje marzenie i nie pozwolił, by przeszkodziły mu w tym początkowe niepowodzenia. Był jednym z najrzadziej spotykanych ludzi, geniuszem, który zdawał się od najmłodszych lat wiedzieć, jaki dar ma do przekazania światu.

Były też inne artykuły, nie tak pochlebne: obrzydliwy artykuł z tabloidu, obiecujący odsłonić „szokującą i niesamowitą” prawdę o „stukniętym geniuszu” Silverze. Pierwszy akapit tekstu brzmiał następująco: „Pytanie: Co robisz, jeśli nie możesz znaleźć sobie dziewczyny? Odpowiedź: Programujesz ją sobie”. Jednak autor artykułu nie miał nic więcej do powiedzenia, więc Lash odłożył wydruk, wstał i podszedł do okna.

To prawda, że było wiele innych zadań, które Silver mógł zlecić Lizie, a które przyniosłyby mu znacznie większe zyski, zapewniając możliwość prowadzenia dalszych badań. Pod pewnym względem ten wybór był trochę dziwny. Silver — z całą pewnością nieśmiały i zamknięty w sobie — zbił fortunę na najgorętszej z emocji, na miłości. Wydawało się ironią losu, że nie zdołał pomóc sobie.

I kiedy Lash tak patrzył przez okno, nagle z niezwykłą wyrazistością przypomniał mu się haiku recytowany poprzedniego wieczoru przez Dianę Mirren.

Owady na gałęzi  
Płynącej w dół rzeki,  
wciąż grają.

Uśmiechnął się na wspomnienie kolacji. Zanim w końcu złożyli zamówienie, rozmawiali już zupełnie łatwo i swobodnie. Lash bez cienia wahania wyzbył się typowej dla siebie rezerwy. Ona zaczęła kończyć za niego zdania, a on za nią, jakby znali się od dziecka. A jednak była to dziwna znajomość, pełna niezliczonych niespodzianek. Dochodziła pierwsza, gdy rozstali się na Central Park West. Zanim rozjechali się w swoje strony, wymienili numery telefonów. Nie umawiali się na ponowne spotkanie — nie było takiej potrzeby. Lash wiedział, że znów się z nią zobaczy, i to wkrótce. Prawdę mówiąc, miał ochotę zadzwonić do niej już teraz i zaproponować, że ugotuje dla niej obiad.

Co powiedziała? Haiku to nie zagadki, wprost przeciwnie. Nie szukaj rozwiązań. Myśl o otwieraniu drzwi.

Otwieranie drzwi. Jak więc zinterpretować ten wiersz, który recytowała?

Składał się zaledwie z dziewięciu słów. Lash oczami duszy zobaczył zieloną wierzbową gałąź, niesioną przez leniwy nurt, płynącą w kierunku odległego wodospadu. Wciąż grają. Czy te owady wciąż grały, ponieważ nie wiedziały, co je czeka — czy też z powodu tego?

Wilnerowie i Thorpe'owie byli jak te owady z wiersza, grające na płynącej gałęzi. Upojnie, nieznośnie szczęśliwi... aż do ostatniej niemożliwej do zgłębienia chwili.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu.

Lash podniósł się i poszedł do kuchni. Może to Diana. Będzie musiał znaleźć swój przepis na łososia *en croute*.

Podniósł słuchawkę.



- Tu Lash.
- Chris? — usłyszał głos. — Tu John.
- John?
- John Coven.

Lash rozpoznał głos agenta FBI, który dokonał aresztowania Handerlinga. Podupadł na duchu. Coven z pewnością dzwoni, ponieważ jest osobiście zainteresowany Edenem. Może sądzi, że Lash jest w stanie załatwić mu zniżkę albo coś.

- Co u ciebie, John? — powiedział.
- W porządku, dzięki. Posłuchaj, nie uwierzysz.
- Mów.
- Wyre wychodzi na warunkowe.

Lash zdętwiał.

- Możesz powtórzyć?
- Edmund Wyre dostał zgodę na zwolnienie warunkowe.

W piątek po południu.

Lash przełknął ślinę.

- Nic o tym nie słyszałem.
- Nikt nie słyszał. Dowiedziałem się dziesięć minut temu.

Zobaczyłem w wiadomościach.

- To niemożliwe. Ten facet zabił sześć osób.

— Ty mi to mówisz?

— To na pewno jakaś pomyłka.

— Żadna pomyłka. Komisja przychyliła się do wniosku, opierając się na pisemnym raporcie kuratora.

— Jakie warunki zwolnienia?

— Te co zwykle w takich okolicznościach. Ścisły nadzór kuratora sądowego. Co oznacza tyle co nic dla kogoś takiego jak Wyre.

Lash poczuł przeszywający ból prawej dłoni i uświadomił sobie, że kurczowo ścisną słuchawkę.

— I kiedy to nastąpi? Za kilka tygodni? Miesiący?

— Nawet nie. Wyraźnie bardzo im się spieszy, chyba chcą zrobić z Wyre'a sztandarowy produkt procesu resocjalizacji. Decyzja już zapadła. Właśnie szukają dla niego kwatery i przygotowują certyfikat. Za dzień lub dwa będzie na wolności.

— Jezu.

Lash zamilkł, nie mogąc tego pojąć.

— Christopher?

Lash nie odpowiedział.

— Chris? Jesteś tam?

— Tak — odparł machinalnie Lash.

— Posłuchaj. Masz jeszcze broń służbową?

— Nie.

— To niedobrze. Ponieważ obojętnie, co sobie myśli komisja do spraw zwolnień, my obaj wiemy, że ten skurwiel zechce skończyć to, co zaczął. Na twoim miejscu postarałbym się o broń. I pamiętałbym o tym, czego uczyli nas w akademii. Nie strzelasz, żeby zabić. Strzelasz, żeby żyć.

Lash znów nie odpowiedział.

— Gdybyś czegoś potrzebował, daj mi znać. A na razie uważaj na siebie.

Coven rozłączył się.

# 35

Jechał do domu. Tak to się zaczęło: kolejny raz jechał do domu z Poughkeepsie w jasne i słoneczne piątkowe popołudnie. Podczas tych kilku ostatnich sześćdziesięciomilowych podróży do Westport był tak zmęczony, że obawiał się, iż może zasnąć za kierownicą. Jednak tego popołudnia był zupełnie przytomny.

„Teraz już mam to, czego potrzebuję — napisał morderca krwią na panoramicznym oknie. — Dziękuję”.

Sięgnął po telefon i wybrał numer.

— Mieszkanie Lashów — usłyszał głos Karla Brodena, szwagra.

— Karl.

— Cześć, Chris. Gdzie jesteś?

— Wracam do domu. Będę za jakąś godzinę. Shirley w domu?

— Pojechała załatwić kilka spraw.

— W porządku. Wkrótce się zobaczymy.

— Dobrze. Słuchaj, mam rozpalić ogień na grillu i zamarynować te krewetki, które złowiliśmy wczoraj?

— Niezły pomysł. I wstaw dla mnie kilka piw do lodówki.

— Zrobione.

Przez chwilę myślał o swoim szwagrze. Karl był zupełnie niepodobny do swojej siostry. Bez troski i wyluzowany, bezwstydnie przeciwieństwo intelektualisty. Ilekroć Karl przyjeżdżał z wizytą, napięcie w domu wyraźnie malało. Tym razem przyjechał niespodziewanie

dzień wcześniej, niemal jakby wiedział, że jego obecność jest rozpaczliwie potrzebna.

Jednak Lash zaraz wrócił myślami do Poughkeepsie i ponurej scenarii ostatniego morderstwa.

„Teraz już mam to, czego potrzebują. Dziękuję”.

Policjanci z Poughkeepsie byli przez cały ten ranek prawie weseli: dobrodusznie tręcali się łokciami i wymieniali rubaszne żarty przy chłodziarce. Choć morderca wymknął się z blokady, ucieszyło ich to, co wyglądało na zapowiedź końca morderstw. Lash nie czuł takiej ulgi. Dla niego ta wiadomość była pierwszym pasującym fragmentem układanki, jedynym pozostawionym przez mordercę przesłaniem, które miało sens. A jego lakoniczność i pewność siebie budziła niepokój.

Co takiego miał? Czego potrzebował?

Czy zabijając te cztery kobiety, zaspokoił jakąś chorą potrzebą, wypełnił pustką? Jednak seryjni mordercy tak nie postępowali. Zabijali na skutek nieodpartej potrzeby, której nigdy nie mogli zaspokoić.

A ponadto te wszystkie niekonsekwencje. Pierwsze dwa zabójstwa pomimo powierzchownych podobieństw — wiadomości wypisane krwią na ścianach, ułożenie zwłok — z tuzina różnych powodów nie zgadzały się z żadnym ze znanych profili.

Czym różniło się to ostatnie zabójstwo?

Zastanawiał się nad tym przez całą drogą, jadąc przez okręgi Dutchess i Putnam do Connecticut. Był przekonany, że po raz pierwszy morderca pokazał swoje prawdziwe oblicze.

Ponieważ miał już to, czego potrzebował.

Dlaczego więc pozostawił tylko jedną wiadomość, a nie sto? I dlaczego na szybie, nie na ścianie? Na szkle, na tle czerni nocy, niezwykle trudno było ją zauważyć...

I nagle, niemal nieświadomie, spojrział na scenarię miejsca zbrodni z zupełnie innej perspektywy. Już nie patrzył na kałużę krwi z sypialni. Spoglądał pod innym kątem, obróciwszy się jak na statywie o sto osiemdziesiąt stopni. Patrzył w kierunku domu z lasu, z ciemności, na wielkie oświetlone okno. Widział sylwetki osób — kapitana policji, detektywa z wydziału zabójstw,

psychologa FBI. Trzech mężczyzn, którzy byli na miejscach poprzednich zbrodni.

Te trzy morderstwa miały jedną wspólną cechę. Wszystkie zostały popełnione w nocy w sypialniach z wielkimi oknami. A zasłony tych okien zawsze były rozsunięte...

W gorączkowym pośpiechu chwycił słuchawkę i zadzwonił.

— Policja Poughkeepsie, wydział zabójstw — powiedział głos. — Mówi Kravitz.

— Tu Christopher Lash. Muszę natychmiast mówić z Mastertonem.

— Przykro mi, agencie Lash. Kapitan wyszedł pół godziny temu.

— A więc połącz mnie z detektywem wydziału zabójstw, jak mu tam... Ahearnem.

— Wyszedł razem z kapitanem.

— Czy wiesz, dokąd poszli?

— To piątkowy wieczór. Kapitan i detektyw Ahearn w piątkowe wieczór] zawsze przed pójściem do domu idą na piwo.

— Do którego baru?

— Nie wiem, proszę pana. W grę wchodzi kilka.

Gorączkowo się zastanawiał. Kravitz, dyżurny policjant, wydawał się niegłupim i kompetentnym funkcjonariuszem.

— Kravitz, musisz mnie wysłuchać. Słuchaj bardzo uważnie.

— Tak, agencie Lash.

Na moment przycisnął słuchawkę brodą, wjeżdżając na Saugatuck Avenue i przedzierając się przez weekendowe korki.

— Musisz zadzwonić do każdego z tych barów. Słyszysz? Niech inni policjanci pomogą ci w tym.

— Tak?

W głosie Kravitza brzmiało powątpiewanie.

— To bardzo ważne, Kravitz, słyszysz? Bardzo ważne.

— Tak jest.

— Kiedy złapiesz Mastertona, masz mu powiedzieć, że myliliśmy się co do tego zabójcy. To nie jest seryjny morderca.

— Nie?

Głos Kravitza zdradzał niedowierzanie.

— Nie rozumiesz. Oczywiście, że to morderca. Jednak nie seryjny. To typ zamachowca.

Takim określeniem posługiwali się psychologowie organów ścigania. Czasami tacy zamachowcy mordowali przypadkowe ofiary, strzelając z wież ciśnień. Albo wybierali znane osobistości, tak jak to zrobił Mark Chapman. Mieli tylko jedną wspólną cechę: udręczone, chore umysły, dla których jedynym sensem istnienia były akty przemocy.

Na moment na drugim końcu linii zapadła cisza.

— Nie mam czasu tego wyjaśniać, sierżancie. To jeden z charakterologicznych typów zabójców. Kieruje nimi wyłącznie chęć dominacji, kontroli, zemsty. Ten facet nienawidzi policjantów. Zapewne mamy tu do czynienia z fascynacją, mechanizmem miłości i nienawiści. Może jego ojciec był policjantem i apodyktycznym rodzicem, nie wiem. Jednak to zamachowiec. To jedyne wyjaśnienie.

— Nie rozumiem.

— Byłeś na trzech pierwszych miejscach zbrodni. Nie miały wspólnych cech. Bezsensowne grzmoły na ścianach, różnice w scenerii. Nic nie pasowało. A to dlatego, że mieliśmy do czynienia z kimś naśladującym działanie seryjnego zabójcy. Dlatego nic się nie zgadzało — to był podstęp. Czy zauważyłeś te panoramiczne okna z szeroko rozsuniętymi zasłonami w każdym z tych pomieszczeń, w których popełniono zbrodnie? Nasz zabójca nie uciekł: on tam był, za każdym razem. Polował na policjantów, wybierał cele. Te zamordowane kobiety były tylko przynętą.

— Proszę pana?

Skierował samochód w Greens Farms Road. Za minutę czy dwie, kiedy dotrze do domu, sam zacznie telefonować. Na razie musiał liczyć na Kravitza. Liczyła się każda sekunda.

— Niech pan robi, co mówię, sierżancie. Znajdźcie Master-ona i powórzcie mu wszystko, co powiedziałem. On i Ahearn za każdym razem byli przy oknach, więc muszą na siebie uważać. Powiedzcie mu, żeby szukał białego mężczyzny, prawdopodobnie w wieku dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Samotnego, ale

umiejącego wtapiać się w tłum. Prawdopodobnie jeżdżącego sportowym samochodem dla zrekompensowania swojego niskiego poczucia własnej wartości. Powinniście popytać kolegów, czy ostatnio w odwiedzanych przez nich barach i restauracjach nie kręcił się koło nich ktoś marzący o tym, żeby zostać policjantem.

Znów cisza w słuchawce.

— Kravitz, do licha, słyszałeś mnie?

— Tak jest.

— No to weź się do roboty.

Jeszcze chwila i będzie w domu. Tutaj ruch uliczny był słabszy. Kiedy mijiał skrzyżowanie, jakiś samochód wyjechał z jego uliczki i pomknął po Compo.

Pontiac firebird, czerwony.

Jechał dalej, ledwie zwróciwszy nań uwagę. Przypomnił sobie, że on również jest celem. On też był widoczny w oknie. Będzie musiał wyprowadzić z domu Karla i Shirley — przy czym ona, jak zwykle, będzie wygłaszać cierpkie komentarze na temat tego, jak niebezpieczna jest jego praca, a potem zastanowić się, co robić...

Nagle drgnął. Pontiac firebird, czerwony, najnowszy model...

Zwolnił i spojrzął w lusterko.

Samochód znikł.

Teraz gwałtownie wcisnął pedał gazu i z piskiem opon wziął zakręt, jednocześnie wyjmując broń z kabury, ale zanim jeszcze jego dom znalazł się w polu widzenia, Lash już zamarł ze zgrozy.

Już się domyślał, już wiedział, co zastanie w środku.

## 36

Lash odchylił głowę i spoglądał w sufit. Nawet tam zdawały się maszerować kolumny liczb, nazwisk i dat.

— Chryste — jęknął, zamykając oczy. — Za długo wpatywałem się w te papiery.

Usłyszał szelest przewracanych kartek.

— Masz coś? — zapytał sufitu.

— Zupełnie nic — usłyszał głos Tary Stapleton.

Lash otworzył oczy i przeciągnął się. Pomimo złych snów i wspomnień, które męczyły go w nocy, obudził się pełen energii. Weekend minął bez żadnych okropnych wieści. Jadąc, zadzwonił z komórki do Diany Mirren. Na sam dźwięk jej głosu poczuł dreszcz podniecenia jak nastolatek. Rozmawiali krótko, lecz z ożywieniem, i zgodziła się zjeść z nim obiad w nadchodzący piątek. Był tak zaabsorbowany rozmyślaniami o tym spotkaniu, że zapomniał o swoich przejściach na punkcie kontrolnym III, dopóki nie uświadomił sobie, że znów się tam znalazł. Jednak stali tam inni strażnicy niż ci, którzy pełnili służbę w zeszły piątek, i przeszedł bez żadnych komplikacji.

Teraz jednak — późnym rankiem — podniecenie utonęło w niekończącym się potopie danych. Materiału było po prostu zbyt wiele, żeby go przesiać. Przypominało to przetrząsanie stogu siana bez żadnej pewności, czy jest w nim igła.



Znów westchnął, po czym przysunął sobie raport z oceny Lindsay Thorpe i niemal bezmyślnie zaczął go kartkować.

— Co wiadomo o tej trzeciej parze? O Connellych?

— Jutro wyjeżdżają do Niagara Falls.

— Niagara Falls?

— Tam spędzili miesiąc miodowy.

Niagara Falls, pomyślał Lash. Wspaniałe miejsce na morderstwo. Albo samobójstwo, skoro o tym mowa.

— Po kanadyjskiej stronie niewiele możemy zrobić — do dała Tara. — Przez większą część soboty starałam się zapewnić im obstawę. Możemy tylko patrzeć i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

— Przynajmniej miałas jakieś zajęcie przez ten weekend.

Tara uśmiechnęła się chytrze.

— No, ty chyba nie powinieneś się skarżyć na bezczynność.

— Mówisz o mojej randce?

— Jak było?

— Wyglądała zupełnie inaczej, niż oczekiwałem. Mówiła inaczej. Jednak wiesz co? Po dziesięciu minutach nie miało to żadnego znaczenia.

— Nasze badania wykazują, że często odczuwamy pociąg do niewłaściwych osób z niewłaściwych powodów. Może dlatego jest tyle nieudanych małżeństw.

Umilkła.

— Posłuchaj — powiedział po chwili Lash. — Dlaczego nie spotkasz się z tym facetem, którego ci wybrano? Jeszcze nie jest za późno. Porozmawiaj z Mauchlym, niech ponownie zarezerwują wam stolik.

— Już ci mówiłam. Jak mogłabym się z nim spotkać, wiedząc to, co wiem?

— Ja spotkałem się z Dianą Mirren, wiedząc to, co wiem. I znów się z nią spotkam w ten piątek.

— Tylko że ja jestem pracownicą Edenu. Mówiłam ci, że...

— Wiem. „Efekt Oz”. Wiesz, co ci powiem? Bzdura.

— Czy to pańska opinia jako specjalisty, doktorze?

— Tak jest. — Pochylił się nad biurkiem. — Posłuchaj,

Taro. Eden potrafi dobierać pary. Doskonale. Kiedy jednak nawiążecie kontakt, nie ma już Edenu. Tylko was dwoje. Jeśli będziecie dobrze, poczujesz to.

Tara patrzyła na niego w milczeniu.

— W taki czy inny sposób, rozwiążemy tę sprawę. A wtedy przestanie mieć znaczenie. Będzie tylko wspomnieniem. Przeszłością. Każdy związek wymaga akceptacji przeszłości. Czy miałabyś mu za złe cheerleaderki, z którymi chodził na randki w college'u? To twoja szansa, Taro. Przyjmij tę radę od kogoś, kto dwa dni temu był w tej restauracji.

Lash natychmiast sobie uświadomił, że powiedział już dość. Wracajmy do roboty, pomyślał, wzdychając w duchu.

Odłożywszy dossier Lindsay Thorpe, zaczął kartkować wyniki jej badań lekarskich. Nagle przestał.

— Taro.

Spojrzała na niego ostrożnie.

— Ta powtórna kontrola pani Thorpe.

— Pytasz o zjazd absolwentów?

— Nie, o badania lekarskie. Czy wasi lekarze często zalecają...

— Nie robią tego.

Przez moment Lash nie załapał. Potem popatrzył na nią.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałam, że nie przeprowadzamy ponownych badań lekarskich.

— A co to jest? — Lash podsunął jej raport.

Tara wzięła papiery. Przejrzała je w milczeniu.

— Widziałam to zaledwie parę razy — powiedziała.

— Co?

— Pamiętasz, jak podczas twojej pierwszej wizyty za Murem Mauchly mówił o długoterminowych badaniach, jakim podajemy naszych przyszłych kandydatów? O sprawdzaniu genetycznych markerów chorób dziedzicznych, czynnikach ryzyka i tym podobnych sprawach?

— Tak.

— W razie poważnych wad odrzucamy podanie. Jeśli jednak

to jakiś drobiazg lub choroba mogąca ujawnić się po bardzo długim czasie, dopuszczamy kandydata i później wykonujemy ponowne badania.

— Udając, że to standardowa procedura.

— Zgadza się.

— Nie ma sensu odrzucać wypłacalnego klienta. — Lash znów wziął raport i przerzucał kartki. — Lindsay Thorpe nie miała takich schorzeń. Mimo to wyznaczono jej termin ponownego badania, sześć miesięcy przed śmiercią. — Przerzucił jeszcze kilka kartek. — Podczas tego badania pani Thorpe zapisano scolipan. Jeden miligram dziennie. Nie znam tego lekarstwa.

— Ja też nie.

— Badania wykonał doktor Moffett. Mogłabyś się z nim skontaktować i zapytać o powód ponownego badania oraz przepisania tego leku?

— Jasne.

Tara wstała i podeszła do telefonu.

Lash obserwował ją. Był pewien, że to kolejna poszlaka — następny fragment układanki.

— Doktor Moffett zaczyna pracę w południe — powiedziała Tara, odłożywszy słuchawkę. — Wtedy się z nim skontaktuję.

— Mogłabyś zrobić jeszcze coś? Przejrzyj raporty medyczne Lewisa Thorpe'a, Wilnerów i tej trzeciej pary, Connellych. Sprawdź, czy oni też przeszli powtórne badania.

Lash czekał, gdy pokój wypełnił się stukotem klawiszy.

— Nic — powiedziała Tara. — Nikt z pozostałej piątki nie przechodził żadnych dodatkowych badań.

— Nikt?

Tara pokręciła głową.

— Czy Lewis Thorpe nie uważał za dziwne tego, że jego żona przeszła dodatkowe badania, a on nie?

— Wiesz, jaką tajemnicą otaczamy nasze procedury. Nasi klienci nauczyli się akceptować to bez zadawania pytań.

Lash okłapał. Na przekór wszystkiemu wrócił myślami do spotkania z Dianą Mirren i tego, co powiedziała o haiku.

„Napomykają o różnych sprawach; wiele pozostawiają wyobraźni; więcej sugerują, niż mówią. Nie szukaj odpowiedzi;. Zamiast tego myśl o otwieraniu drzwi”.

Co sugerowały tutaj? Jakie zbiegi okoliczności miały ostatnio miejsce? I o czym świadczyły?

Edmund Wyre, zabójca nienawidzący policjantów, wyszedł na zwolnienie warunkowe. Wyre zamordował trzy kobiety, dwóch policjantów i szwagra Lasha. W wyniku tego żona opuściła Lasha, a on sam — pełen wątplenia i poczucia winy — odszedł z FBI, chcąc położyć kres bezsennym nocom.

Zgodnie z przepisami Wyre nigdy nie powinien wyjść na zwolnienie warunkowe. Lash nie miał złudzeń. Obojętnie, co myśleli ci w komisji do spraw zwolnień warunkowych, Wyre będzie na niego polował. Tylko Lasha nie udało mu się zabić.

Czy to zbieg okoliczności?

Ponadto jego awatar, wprowadzony do Zbiornika. Tara powiedziała, że taka pomyłka jest niemożliwa. Skoro tak, to ktoś zrobił to celowo. „Musiałby to być ktoś na bardzo wysokim stanowisku, mający najwyższy stopień dostępu. Na przykład ja. Albo łobuz w rodzaju Handerlinga, który wdarł się do systemu”.

Zapatrzył się na Tarę, która wróciła do stołu i układała papiery.

„Myśl o otwieraniu drzwi...”.

I nagle drzwi się otworzyły.

Lash sapnął, jakby otrzymał cios w brzuch. Zamaskował jęk ziewnięciem.

Wydawało się to niemożliwe. A jednak nie było innego rozwiązania.

Były jeszcze dwa pytania, na które musiał uzyskać odpowiedzi, zanim nabierze pewności. Tara mogła udzielić mu jednej. Ale będzie musiał zachować spokój — przynajmniej dopóki nie zdobędzie dowodów.

— Taro — rzekł z przesadnym znużeniem. — Mogłabyś jeszcze coś dla mnie zrobić?

Kiwnęła głową.

— Mogłabyś sporządzić listę wszystkich awatarów obecnych w Zbiorniku podczas doboru Thorpe'ów?

— Po co?

— Bo cię proszę.

Ponownie podeszła do komputera, Lash też.

— Pokaż mi, jak to się robi — poprosił.  
— Najpierw musisz uzyskać dostęp do bazy danych. —  
Wprowadziła kod dostępu i na ekranie natychmiast pojawiły się rzędy dziewięciocyfrowych liczb. — To wszystkie awatary.  
— Wszystkie?  
— Wszystkich dotychczasowych klientów. Prawie dwa miliony. — Wystukała kilka dodatkowych poleceń. — W porządku. Sformułowałam zapytanie SQL, które możesz przepuścić przez ten zbiór danych. Wprowadź kod identyfikacyjny awataru, a otrzymasz wszystkie pozostałe, które były w Zbiorniku podczas doboru.  
— Pokaż tę listę, proszę.  
Podniosła kartkę papieru.  
— Oto wydruk, który otrzymaliśmy w piątek, z datami złożenia podań przez Thorpe'ów i Wilnerów.

THORPE, LEWIS A.	000451823	7/30/02
TORVALD, LINDSAY E.	000462196	8/21/02
SCHWARTZ, KAREN L.	000527710	8/02/02
WILNER, JOHN L.	000491003	9/06/02

— Kod identyfikacyjny Lewisa Thorpe to 000451823. Wprowadza się go w pole zapytania.

Wpisała cyfry i ekran znów się odświeżył.

— Tutaj są ułożone w rosnącej kolejności wszystkie awatary obecne w Zbiorniku, gdy Lewis został skojarzony z Lindsay.

0004810  
32  
0004818  
83  
0004819  
07  
0004820  
35  
0004821  
10  
0004827  
22  
0004838  
14

0004839  
92  
0004843  
98  
0004850  
06

WYSZUKIWANIE ZAKOŃCZONO O 11:05:42.82 10/04/04  
SUMA JEDNOSTEK DYSKRETNYCH: 58 812

>?

Tara wskazała na ostatnią linijkę.

— W tym okresie w Zbiorniku były prawie dwadzieścia trzy tysiące awatarów.

— Tylko że to jedynie kolumna liczb.

— Ten klawisz funkcyjny pozwala przełączać się między kodami identyfikacyjnymi a nazwiskami.

Tara nacisnęła klawisz i w miejscu numerów pojawiły się nazwiska:

Fallon, Eugene  
White, Jerome  
Wanderly, Helen  
Garda, Constanze  
Lu, Wen  
Gelbman, Mark  
Yoshida, Aiko  
Horst, Marcus  
Green-Carson, Margo  
Banieri, Antonio

Cholera, pomyślał Lash. Nadal są uszeregowane według numerów, nie nazwisk. Zastanawiał się, czy poprosić Tarę, żeby uszeregować je alfabetycznie, ale rozmyślił się. Jeszcze nie był gotowy, żeby jej to wyjaśnić. Zaczął przeglądać nazwiska, zmieniając strony na ekranie.

— Czego szukasz? — spytała Tara, z zaciekawieniem spoglądając mu przez ramię.

— Tak sobie patrzę. Posłuchaj, zrobisz jeszcze coś?  
— Jeszcze coś i jeszcze coś. Szkoda, że nie mam umowy o dzieło.  
— Sądzę, że popełniliśmy błąd, sprawdzając tylko dane superpar.  
— Dlaczego?  
— Spójrz, czego dowiedzieliśmy się o Lindsay Thorpe i jej niespodziewanym powtórny badaniu. Kto wie, co jeszcze moglibyśmy odkryć, gdybyśmy sprawdzili kilka przypadkowo wybranych zwyczajnych par?  
— To ma sens. — Tara zawahała się. — Przyniosę tu dokumentację.  
— Wracaj szybko.  
Patrzył, jak wychodzi. Chociaż naprawdę ciekawił go rezultat tych poszukiwań, w tym momencie był najbardziej zainteresowany tym, żeby bez świadków przyjrzeć się temu ekranowi. Ponownie zaczął przewijać nazwiska.  
Przejrzenie wszystkich danych zajęło mu więcej czasu, niż sądził, i zanim dotarł na koniec listy, była już prawie jedenasta trzydzieści. Rozczarowany, opadł na fotel. Jednak to by było zbyt proste, gdyby tak od razu znalazł nazwisko, które miał nadzieję znaleźć. Może to był głupi pomysł. Skręcało go na samą myśl o przedzieraniu się przez dane następnej grupy. Jednak zaszedł tak daleko, powinien spróbować z Wilnerami. Na wszelki wypadek.  
Nacisnął klawisz wskazany mu przez Tarę. Natychmiast ekran odświeżył się, pokazując awatary w kolejności numerycznej.

#### POCZĄTEK POSZUKIWANIA

0000000  
00  
0004484  
01  
0004489  
16  
0004489  
54  
0004490  
10

0004490  
29  
0004491  
74  
0004492  
04  
0004492  
48  
0004492  
86

Wyprostował się. Co robił tu ten pierwszy kod, 000000000?  
Wcisnął klawisz funkcyjny, lecz temu kodowi identyfikacyjnemu nie było przyporządkowane żadne nazwisko. Pole pozostało puste.

Lash wzruszył ramionami, sięgnął po pozostawioną przez Tarę na biurku kartkę i wprowadził kod Johna Wilnera — 000491003 — w pole zapytania.

Kiedy ekran się odświeżył, na szczycie listy znów znajdowało się 000000000. I ponownie z tym numerem nie łączyło się żadne nazwisko.

Lash podrapał się po głowie. Co to takiego? Znacznik początku odczytu?

Jeszcze jedna próba. Podniósł się z fotela i zaczął grzebać w rozrzuconych na stole papierach, aż znalazł kartkę z kodem identyfikacyjnym Kevina Connelly'ego. Wrócił do komputera, wpisał nazwisko i zobaczył nowy ciąg liczb.

— Jezu Chryste — westchnął.

Drzwi otworzyły się i weszła Tara, niosąc stertę raportów.

— Wybrałam tuzin przypadkowych nazwisk — oznajmiła. — Pomyślałam, że wystarczy ocena...

Lash przerwał jej.

— Podejdź tu, proszę.

Rzuciła teczki na stół i podeszła do monitora.

Lash spojrział na nią, już nie próbując ukryć wzburzenia.

— Chcę, żebyś sporządziła jeszcze jedną listę. Pokaż mi, kto jest teraz w Zbiorniku.

Zmarszczyła brwi.

— Co się dzieje? Co chcesz zrobić?

— Taro, proszę. Po prostu to zrób.

Przyglądała mu się uważnie jeszcze przez chwilę. Potem



pochyliła się nad klawiaturą i zleciła jeszcze jedno poszukiwanie.

Ekran odświeżył się i Lash na niego uważnie popatrzył. Pokiwał głową, jakby potwierdziwszy jakieś niewypowiedziane podejrzenie.

Potem nagle wyłączył komputer. Ekran zgasł.

— Co do licha? — zapytała Tara.

Nie odpowiedział, Lash chwycił słuchawkę telefonu, przytrzymał ją brodą i wybrał zamiejscowy numer.

— Z kapitanem Tsosie, proszę — rzekł. Zaczekał chwilę. — Joe? Tu Chris Lash. Joe, czy dom Thorpe'ów teoretycznie nadal jest objęty dochodzeniem? Dzięki Bogu. Słuchaj, chciał bym, żebyś zaraz posłał tam jakiegoś agenta. Masz jeszcze numer mojego telefonu komórkowego? Podaj go agentowi, niech zadzwoni do mnie, gdy tylko znajdzie się w środku. Tak, to bardzo ważne. Dzięki.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Tarę.

— Jest coś, co muszę zaraz zrobić. Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Wkrótce się zobaczymy.

Chwycił płaszcz i doszedł do drzwi. Nagle odwrócił się. Tara siedziała za biurkiem, spoglądając na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

— Porozmawiaj z tym lekarzem — powiedział. — Z doktorem Moffettem. Rozumiesz?

Tara skinęła głową. A Lash odwrócił się, nacisnął kławkę i już go nie było.

## 37

W przeszklonej galerii wysoko nad Madison Avenue drukarka laserowa zbudziła się do życia: najpierw z cichym warkotem wentylatora, potem zielonym miganiem diody. Przez chwilę poszumiała silnikiem i wypluła na tacę kartkę papieru.

Richard Silver, który siedział na środku sali przy stoliczku z drewna żółtodrzewu, podniósł głowę, słysząc ten dźwięk. Na ramionach miał ręcznik frotte. Pracował już od prawie dwudziestu godzin, przygotowując szkielet niezwykle rozbudowanego nowego programu, który miał udoskonalić interakcyjną pracę z Lizą w takim stopniu, żeby połączenie EEG przestało być potrzebne. Lash miał rację: już czas.

Ponadto odwracało to jego uwagę od tych przygnębiających wydarzeń, w które nie chciał się wgłębiać.

Spojrzał w kierunku drukarki jak wyrwany z transu. Programowanie w języku maszynowym to szczególny stan umysłu: można stracić wiele czasu na wejście w strefę. Silver był teraz głęboko w strefie i nie chciałby jej opuszczać. Ale czekający na tacy wydruk mógł oznaczać tylko jedno: Liza skończyła zadanie, i to wcześniej, niż oczekiwali.

Wstał i spojrzał na zegarek. Dwadzieścia pięć po jedenastej. Podeszedł do drukarki i niechętnie wziął wydruk.

Nagle zamarł.

Przez długą chwilę stał bez ruchu, gapiąc się na kartkę.

W oświetlonej słońcem galerii panowała głucha cisza. W końcu Silver opuścił rękę, w której trzymał papier. Dłoń lekko mu się trzęsała.

Wepchnął kartkę do kieszeni bawełnianych spodni. Potem przeszedł przez pokój, otworzył zamaskowane drzwi i zszedł po schodach piętra niżej.

Kiedy otworzyły się czarne drzwi na końcu korytarza, Silver natychmiast podszedł do fotela zabiegowego, przyczepił sobie mikrofon do podkoszulka i zaczął mocować elektrody do skroni. Zazwyczaj ta czynność sprawiała mu przyjemność, niemal wprawiała w trans: przygotowania do kontaktu ze znacznie doskonalszą wersją swojej osoby, jaką nigdy nie zdoła się stać.

Dziś był tylko otepiały.

— Richardzie — powiedział cichy, czysty głos ze wszystkich kątów sali.

— Lizo. Jaki jest twój aktualny stan?

— W dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek siedem sześć dwa procent sprawna. Bieżące procesy zajmują osiemdziesiąt sześć przecinek dwa procent wydajności wielowątkowej. Standardowe procedury znów mogą zajmować osiemdziesiąt jeden przecinek cztery procent pasma. Dzięki, że zapytałeś.

— Bardzo proszę.

— Nie spodziewałam się rozmowy z tobą o tej porze. Czy chcesz sprawdzić jakiś scenariusz? Ukończyłam wariant gry katastroficznej w Wielkich Rowach Afrykańskich, która mogłaby cię zainteresować. A może chcesz porozmawiać o moich przemyśleniach na temat ostatnio przeczytanej książki? Zakończyłam analizę dwudziestego rozdziału.

— Nie teraz. Mam wyniki twoich poszukiwań. Szybko je otrzymałaś.

— Tak. Pomyliłam się w obliczeniach o siedemdziesiąt jeden miliardów cykli pracy.

— Lizo, mam tylko jedno pytanie. Jak pewna jesteś wyników?

Rozmawiając z ludźmi, zawsze można liczyć na pauzę wywołaną nieoczekiwaną uwagą. W przypadku Lizy nie było takiej przerwy.

— Nie rozumiem pytania.  
— Czy jesteś pewna, że wynik badania jest prawidłowy?  
— Rezultaty nie wykazują żadnych statystycznych odchyleń.  
Rezultat uzyskano po odrzuceniu wszystkich nieprawidłowych wyników.

— Nie wątpię w ciebie, Lizo. Chciałem tylko mieć pewność,  
— Twój niepokój jest zrozumiały. Przed rozpoczęciem procesu powiedziałaś, że znalezienie rozwiązania to niezwykle ważna sprawa. Mam nadzieję, że te wyniki cię usatysfakcjonują.  
— Dziękuję, Lizo.  
— Bardzo proszę, Richardzie. Jeszcze porozmawiamy?  
— Wkrótce. Najpierw muszę coś zrobić.  
— Dziękuję za rozmowę.

Silver wystukał na klawiaturze sekwencję wylogowania, zerwał elektrody ze skroni i wstał z krzesła. Zaczekał chwilę, słuchając własnego oddechu. Potem otarł czoło ręcznikiem i ruszył do drzwi. Wychodząc na korytarz, wyjął komórkę i wybrał numer.

— Tu Mauchly — usłyszał głos.  
— Edwinie, tu Silver.  
— Tak, doktorze Silver?  
— Edwinie, potrzebuję cię tutaj. Natychmiast.

Ośrodek Badań Biochemicznych w Centrum Normana J. Weisenbauma wznosił się na cyplu wbijającym się w wody rzeki Hudson na południe od Cold Spring. Lash wjechał na parking dla gości, wygramolił się na tłuczniową nawierzchnią i spojrzął na długi, niski budynek ze szkła i kamienia, który wspinał się na zbocze wzgórza. Wcale nie wyglądał tak, jak sobie go wyobrażał, kiedy dzwonił do ośrodka przed tygodniem, wracając z Phoenix. Centrum było nieznośnie nowoczesne. Głębokie barwy polerowanego marmuru ładnie stapiały się z dębami i sykomorami w tle. W górze krążyły i nawoływały się ptaki.

Wewnątrz, w recepcji, siedziały trzy kobiety. Lash podszedł do najbliższej i pokazał swoją wizytówkę.

— Doktor Lash do doktora Goodkinda.

— Proszę chwileczkę poczekać. — Kobieta spojrzała na wbudowany w pulpit monitor, zatkała jedno ucho wymanikirowanym palcem, słuchając dźwięków z niewidocznej słuchawki. Potem znów popatrzyła na Lasha. — Będzie pan łaskaw usiąść, zaraz do pana przyjdzie.

Lash ledwie zdążył się usadowić na jednym z lśniących chromem i skórą foteli, gdy zobaczył nadchodzącego Rogera Goodkinda. Ten przytył kilka funtów od ich ostatniego spotkania, a jasne włosy mocno mu się przeredziły na skroniach.

Jednak ze studenckich czasów pozostał mu chytry półuśmiech i podskakujący chód.

— Chris! — Goodkind uściśnął dłoń Lasha. — Punktualny jak zawsze.

— Zespół niepokoju psychomotorycznego. Objawiający się w formie obsesyjnej punktualności.

Biochemik się roześmiał.

— Gdyby tak łatwo można cię zdiagnozować. — Poprowadził Lasha w kierunku windy. — Czy to naprawdę ty? I rozmawiamy już drugi raz w ciągu dwóch tygodni? Gotów jestem bić czołem z wdzięczności.

— Chciałbym powiedzieć, że to towarzyska wizyta — odparł Lash, kiedy otworzyły się drzwi windy — ale prawda wygląda tak, że potrzebuję twojej pomocy.

Goodkind skinął głową.

— Czegokolwiek ci trzeba.



Laboratorium Goodkinda było większe, niż się Lash spodziewał. Były tam obowiązkowe stoły laboratoryjne i aparatura chemiczna, ale również głębokie, obite skórą fotele, ładne biurko, biblioteczka pełna fachowych czasopism i oszałamiający widok na rzekę. Lash gwizdnął z podziwem.

— Centrum było dla mnie łaskawe — zachichotał Goodkind.

Od czasu ich ostatniego spotkania nabrał nowego nawyku: przeczesał palcami rzadniejące włosy, a potem chwycił kilka kosmyków i lekko za nie pociągał, jakby zachęcając, żeby rosły.

— Widzę.

— Siadaj. Chcesz dietetyczną colę albo coś takiego?

Lash pozwolił się posadzić na jednym z foteli.

— Nie, dziękuję.

Goodkind zajął miejsce naprzeciw niego.

— Co się dzieje?

— Pamiętasz, dlaczego dzwoniłem do ciebie w zeszłym tygodniu?

— Pewnie. Wszystkie te zwariowane pytania o samobójstwo idealnie szczęśliwych ludzi.

— Właśnie pracuję nad czymś, Rogerze, o czym niewiele mogę ci powiedzieć. Czy mogę liczyć na to, że dochowasz tajemnicy?

— O co chodzi, Chris? Czy to jakaś sprawa związana z Biurem?

— W pewnym sensie.

Lash zobaczył, że Goodkind robi wielkie oczy. Jeśli będzie sądził, że to sprawa związana z FBI, stanie się bardziej skory do współpracy.

Goodkind poprawił się na fotelu.

— Zrobię co w mojej mocy.

— Przeprowadzasz wiele badań toksykologicznych, prawda? Uboczne działania leków, interakcje, tego rodzaju rzeczy.

— To nie jest moja działka, ale owszem, wszyscy w centrum w jakimś stopniu mamy do czynienia z toksykologią.

— Zatem powiedz mi, jakie kroki podjąłby biochemik, żeby otrzymać nowy lek.

Goodkind przeczesał rzędniejące włosy.

— Nowy lek? Od podstaw, tak? — Przerwał, żeby pociągnąć za kosmyk. Historycznie rzecz biorąc, projektowanie nowych leków zawsze było ciuciubabką. Bada się cząsteczki i związki, szukając czegoś, co zdaje się dobrze wpływać na ludzi. Rzecz jasna teraz dzięki programom komputerowym można symulować skutki reakcji w...

— Nie, nie mam na myśli tych wczesnych stadiów procesu. Powiedzmy, że już odkryłeś nowy lek lub coś, co uważasz za lek. Jaki będzie następny krok?

Goodkind zastanawiał się chwilę.

— No cóż, przeprowadzasz badania trwałości. Sprawdzasz, jaki sposób podania jest najlepszy: tabletki, kapsułki, roztwór. Następnie badasz zachowanie cząsteczki leku w rozmaitych warunkach — przy różnej wilgotności, promieniowaniu UV, działaniu tlenu lub temperatury. Sprawdzasz, czy nie rozpada się na szkodliwe produkty. — Uśmiechnął się. — Ludzie zawsze

przechowują lekarstwa w łazienkach, a wiesz, że to najgorsze z możliwych miejsc. Ciepło i wilgoć mogą powodować najrozmaitsze reakcje chemiczne.

— Mów dalej.

— Przeprowadzasz badania toksykologiczne, sprawdzasz produkty rozpadu. Określasz, co jest do przyjęcia, a co nie. Potem przychodzi pora na PART.

— Na co?

— PART. Procedura analizy ryzyka toksykologicznego. Przynajmniej tak nazywamy to tutaj, w ośrodku. Sprawdzasz działanie grup funkcyjnych — czyli różnych elementów cząsteczki związku chemicznego — w bazie danych istniejących chemikaliów i lekarstw. Zasadniczo szukasz niepożądaných reakcji, podczas których mogą się tworzyć inne, znacznie groźniejsze grupy funkcyjne. Potencjalnej toksyczności. Działania kancerogennego, neurotoksycznego i tym podobnych.

— A jeśli je wykryjesz?

— Nazywa się to alarmem strukturalnym. Każdy taki sygnał jest odnotowywany i badany.

— Rozumiem. A jeśli lek pomyślnie przejdzie ten etap?

— Poddaje się go badaniom klinicznym, zwykle najpierw na zwierzętach, a potem na ludziach.

— Te alarmy strukturalne. Czy lek może wywołać taki alarm i mimo to zostać wprowadzony do leczenia?

— Oczywiście. To jeden z powodów umieszczania ostrzeżeń na opakowaniach z lekami. „Nie zażywać po spożyciu alkoholu” i tym podobnych.

— Czy te alarmy strukturalne są gdzieś wymienione, w jakiejś książce? Może w *Physician's Desk Reference*?

Goodkind potrząsnął głową.

— Alarmy strukturalne są zbyt proste i mają za bardzo chemiczną naturę, żeby zamieszczać je w PDR.

— Zatem informacje o nich są zastrzeżone? Utrzymywane w tajemnicy przez poszczególnych badaczy lub koncerny farmaceutyczne?



— Och nie. Wszystkie są umieszczone w centralnej bazie danych. Tak nakazują przepisy.

Lash powoli pochylił się.

— Kto ma dostęp do tej bazy danych?

— FDA, producenci farmaceutyków.

— Laboratoria biochemiczne?

Goodkindowi na moment zaparło dech, gdy pojął, do czego zmierza Lash. Potem skinął głową.

— Mając odpowiednią akredytację.

— A centrum Weisenbauma?

Goodkind ponownie kiwnął głową.

— W bibliotece naukowej ośrodka. Dwa piętra wyżej.

— Zaprowadzisz mnie tam?

Goodkind oblizał wargi.

— Chris, nie wiem. Dostęp do tej bazy danych wymaga rządowego zezwolenia. Na pewno działasz oficjalnie?

— To sprawa najwyższej wagi

Goodkind wciąż się wahał. Lash wstał.

— Pamiętasz, co mi powiedziałeś przez telefon? Mówiłeś, że nie można przewidzieć samobójstwa, że to po prostu rzut kością? I że na przykład nie wiadomo, dlaczego w dwutysięcznym roku liczba samobójstw w Polsce była znacznie wyższa niż zwykle?

— Pamiętam.

— Może zapomniałeś o czymś, na co wpadłem, jadąc tutaj. Polska to kraj, w którym, ze względu na niski koszt badań, w dwutysięcznym roku testowano większość nowych leków.

Goodkind zastanawiał się chwilę.

— Chcesz powiedzieć...?

— Chcę powiedzieć, że powinienes mi pokazać tę toksykologiczną bazę danych. Natychmiast.

Goodkind myślał już tylko przez sekundę. Potem też wstał z fotela.

## 39

Biblioteka naukowa centrum wcale nie wyglądała na bibliotekę. W tym niskim pomieszczeniu było wyjątkowo gorąco, pod ścianami znajdowały się stanowiska z jasnego drewna. Każde składało się z krzesła, biurka i terminalu. Jedyną oprócz dwóch przybyłych osobą była bibliotekarka, która oderwała wzrok od maszyny, żeby podejrzliwie popatrzeć na Lasha.

Goodkind wybrał stanowisko w odległym kącie.

— Gdzie są książki? — zapytał ściszym głosem Lash, przystawiając sobie krzesło z sąsiedniego stanowiska.

— Na regałach w piwnicy. — Goodkind przysunął do siebie klawiaturę. — Potrzebne tytuły przynosi pani Gustus. Jednak prawie wszystko, czego potrzebujemy, jest w sieci.

Lash patrzył, jak Goodkind wpisuje swoje nazwisko. Pojawiło się menu i Goodkind wybrał odpowiednią opcję. Ekran odświeżył się.

FDA - SEKCJA R

TWPFB

**TOKSYCZNE WŁAŚCIWOŚCI PREPARATÓW  
FARMACEUTYCZNYCH I BIOMEDYCZNYCH**

REV.120.11

OSTATNIO AKTUALIZOWANA 10.01.04

ZASTRZEŻONE I POUFNE. TYLKO DO UŻYTKU OSÓB UPRAWNIONYCH NIEAUTORYZOWANY DOSTĘP JEST PRZESTĘPSTWEM FEDERALNYM.

ID: \_\_\_\_\_

HASŁO: \_\_\_\_\_

Goodkind spojrział na Lasha, który zachęcająco skinął głową. Goodkind wzruszył ramionami i wypełnił pola. Pojawił się nowy ekran:

FDA - TWPFB 120.11/00012

10/04/04

WYBIERZ POSZUKIWANIA:

1. ZWIĄZKU CHEMICZNEGO
2. NAZWY FIRMOWEJ
3. OGÓLNE

NACIŚNIJ F1 ABY ZOBACZYĆ INDEKS:

Goodkind znów spojrział na Lasha.

- Jak nazywa się ten preparat, który cię interesuje?
- Scolipan.
- Nigdy o nim nie słyszałem. — Goodkind postukał w klawisze i ekran wypełnił się tekstem. — Jest.

Lash zaczął uważnie czytać:

FDA - R / TWPFB 120.11 / 09817

10/04/04

SCOLIPAN

Hydoksen, 2-((6-(p-metyloparapiny) fenylochlorek) alkabid)-, sól sodowa

prod.: PhG

wz. cz.:  $C_{23}H_5N_3Na$

ZASTOSOWANIE: (główne) Z.M.S., (wtórne) patrz str. 20

MUTAGENNOŚĆ: brak danych

WPŁYW NA ZDOLNOŚCI ROZRODCZE: str. 15

SYNONIMY: str. 28

DAWKOWANIE: str. 10

STRONA 1 Z 30

### ZWIĄZEK SILNIE TOKSYCZNY

DROGA PODANIA	DAWKA	DZIAŁANIE
<b>dootrzewnowa (myszy)</b>	dawka letalna DL50 = 340 mg/kg	zwiotczenie mięśni, ataksja
<b>podskórna (myszy)</b>	dawka letalna DL50 = 190 mg/kg	ataksja, niewydolność układu oddechowego
<b>domięśniowa (myszy)</b>	dawka letalna DUo = 240 mg/kg	martwica komórek, zmiany zachowania
<b>doustna (myszy)</b>	dawka letalna DUo = 10 mg/kg	brak danych
<b>doustna (pies)</b>	dawka letalna DUo = 12 500 mg/kg	<i>canine mania</i> patrz str. 20
<b>doustna (człowiek)</b>	dawka toksyczna (najmniejsza znana) 700 mg/kg	patrz str. 20

— Na studiach najgorsze stopnie miałem z biochemii. Pamiętasz? — Lash oderwał wzrok od ekranu. — Może po prowadzisz mnie za rękę?

Goodkind przeczytał tekst.

— Scolipan jest stosowany głównie jako środek zwiotczający mięśnie szkieletowe.

— Zwiotczający mięśnie?

— To stosunkowo nowy związek, ma jakieś pięć lat.

Dawkowanie?

— Jeden miligram. Trochę więcej.

Lash okłapł. Teoria, która wydawała się tak obiecująca, znów zaczynała się rozsypywać.

Smętnie popatrzył na górę ekranu. Między nazwą chemiczną a sumarycznym wzorem cząsteczki znajdował się wiersz, który nic mu nie mówił.

— Co oznacza skrót „prod.”?

— Producenta. Wszyscy mają nazwy kodowe. No wiesz, jak porty lotnicze. Na przykład ten: PhG. To skrót od PharmGen.

Lash znów się poderwał.

PharmGen.

Zaczął dokładniej przyglądać się danym. Tabela toksyczności była typowa dla takich danych. Zwykle podawano w niej DL<sub>50</sub>, czyli wysokość dawki, przy której ginęła połowa badanej populacji. Przebiegł wzrokiem kolumny.

— *Canine mania* — przeczytał głośno. — Co to jest, do diabła?

— Musimy zajrzeć na stronę dwudziestą, żeby dowiedzieć się więcej.

— I spójrz tutaj — tu napisano, że na dwudziestej stronie znajdują się także informacje o skutkach przedawkowania u ludzi. — Lash zerknął na Goodkinda. — Mówiłeś, że głównie stosowany jako środek zwiotczający mięśnie.

— Zgadza się.

— Jednak patrz tutaj. Ma też inne zastosowanie. Wtórne.

Wskazał na ekran.

— Znowu dwudziesta strona — mruknął Goodkind. — Zdaje się, że znajdziemy na niej wiele interesujących rzeczy.

— To zajrzyjmy tam.

Goodkind szybko poruszał myszą, przewijając kolejne strony, aż doszedł do dwudziestej. Obaj nachylili się, żeby odczytać napisany drobnym drukiem tekst.

— Jezu! — sapnął Goodkind.

Lash nic nie powiedział. Jednak nagle w tym przegrzanym pomieszczeniu zrobiło mu się zimno.

## 40

Tara Stapleton siedziała za swoim biurkiem, zupełnie nieruchomo, poruszając tylko oczami. Powoli powiodła wzrokiem po pokoju, zatrzymując spojrzenie to na tym, to na innym przedmiocie. Rośliny były podlane i starannie przycięte; jej stara deska surfingowa jak zwykle oparta o ścianę; plakaty, nalepki i inne związane z surfingiem drobiazgi na swoich miejscach. Należący do wyposażenia biura zegar na ścianie naprzeciwko pokazywał za dziesięć czwartą. Wszystko było jak należy, a jednak wyglądało nieznajomo, jakby ten gabinet nagle stał jej się obcy.

Powoli odchyliła się na fotelu, zdając sobie sprawę z tego, że oddycha szybko i płytko.

Nagle zadzwonił telefon, swym ostrym dzwonkiem przerywając ciszę. Tara zamarła.

Zadzwonił znowu. Dwa razy: ktoś z zewnątrz.

Powoli podniosła słuchawkę.

— Stapleton.

— Tara? — powiedział zdyszany głos. — Tara? — powtórzył. — Tu Christopher Lash.

W słuchawce słychać było odgłosy ulicy: warkot pojazdów, buczenie klaksonów.

— Christopher? — powiedziała spokojnie Tara.

— Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast. To bardzo ważne.

— Dlaczego nie przyjdiesz do mojego biura?

Nic. Nie w firmie. Nie mogę ryzykować.

Tara zawahała się.

— Taro, proszę — powiedział Lash niemal błagalnym tonem. — Potrzebna mi twoja pomoc. Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć, a czego nikt inny nie może usłyszeć.

Tara nadal się nie odzywała.

— Taro. Umrze następna superpara.

— Za rogiem jest kawiarenka — powiedziała. — Rio. Na Pięćdziesiątej Czwartej, między Madison i Park.

— Będę tam na ciebie czekał. Pospiesz się, proszę.

Lash się rozłączył.

Jednak Tara nie wstała z fotela. Nie poruszyła się, tylko odłożyła słuchawkę na widełki i spoglądała na nią, jakby walcząc z głębokimi wątpliwościami.

# 41

Lash wszedł do Rio kilka minut po czwartej. Ściany lokalu były pokryte złotą tapetą, a zapalone żyrandole i miodowe obicia wyściełanych siedzeń napępiały go miękkim, złocistym światłem. Lash poczuł się jak owad zatopiony w bursztynie.

Przez moment wydawało mu się, że zjawił się pierwszy. Zaraz jednak dostrzegł Tarę, siedzącą przy stoliku na końcu sali. Po chwili zajął miejsce naprzeciw niej.

Podeszła kelnerka, Lash zamówił kawę i zaczekał, aż kobieta odejdzie. Potem zwrócił się do Tary:

— Dziękuję, że przysłaś.

Skinęła głową.

— Rozmawiałaś z tym lekarzem? Z Moffettem?

Ponownie kiwnęła głową.

— Co powiedział?

— Zastosował się do zaleceń widniejących w raporcie.

— Co to oznacza?

— Leczenie oparte na wynikach poprzednich badań.

— Innymi słowy wykonał zalecenia jakiegoś innego lekarza firmy.

— Tak.

— Czy powiedział czyje?

— Nie pytałam go o to.

— Czy łatwo byłoby sfalszować takie zalecenia?



Tara zawahała się.

— Słucham?

— W Edenie wszystko robi się automatycznie. Dostajesz kartę z poleceniami. Czy ktoś mógł wprowadzić własne zalecenia do raportu?

Kiedy Tara nie odpowiadała, Lash nachylił się do niej.

— Jeszcze nie znam wszystkich odpowiedzi, ale wiem dostatecznie dużo, aby mieć pewność, że niebezpieczeństwo grozi nie tylko pozostałym superparom. Nam również.

— Dlaczego?

— Ponieważ ktoś... ktoś z Edenu... doprowadził do tego, że te kobiety zamordowały mężów, a potem popełniły samobójstwo.

Tara chciała coś powiedzieć, lecz Lash ją uciszył.

— Nie. Najpierw pozwól mi coś powiedzieć. Nie uwierzysz mi, dopóki nie wyjaśnię ci wszystkiego.

Tara uspokoiła się, ale tylko trochę. Spoglądała na niego ze zdziwieniem, a nawet z niepokojem. Lash zerknął w wiszące nieopodal lustro i dostrzegł swoje odbicie: w wymiętym ubraniu, rozczochrany, z nerwowym błyskiem w podkrążonych oczach. Na jej miejscu też byłby zaniepokojony.

Kelnerka wróciła z kawą i Lash upił łyk.

— Pamiętasz lekarstwo przepisane Lindsay Thorpe? Jeden miligram scolipanu? To była wskazówka, której potrzebowałem. Przez całe popołudnie szedłem tym tropem. Czy doktor Moffett powiedział ci, na co zwykle przepisuje się scolipan?

Tara przecząco pokręciła głową.

— To środek zwiotczający mięśnie. Działa na tę część mózgu, która kontroluje skurcze mięśni. W medycynie sportowej jest stosowany w przypadku skurczów. Mówisz, że doktor Moffett zastosował się do zaleceń będących rezultatem wcześniejszych badań. Tylko jakie badania pozwoliły przewidzieć, że Lindsay Thorpe złapie skurcz?

— Zatem scolipan musi być stosowany w leczeniu jakiegoś innego schorzenia.

— Jesteś bliższa prawdy, niż przypuszczasz. Scolipan jest

głównie stosowany w innym celu. Jednak ten fakt był ściśle strzeżoną tajemnicą, ukrytą w bazie danych koncernów farmaceutycznych. Milczał chwilę.

— Widziałas kiedyś telewizyjną reklamę specyfiku, który wydaje się cudownym lekiem? Na przykład leczącym wszystkie alergie. Albo błyskawicznie obniżającym zbyt wysoki poziom cholesterolu. A potem przewijająca się po ekranie lista tych wszystkich efektów ubocznych... wystarczająca, żeby na zawsze zniechęcić do zażywania jakichkolwiek lekarstw. A to są specyfiki, które przeszły badania kliniczne. Wielu innym to się nie udaje.

Spojrzał na nią, ale Tara nadal miała nieprzenikniony wyraz twarzy.

— No dobrze. Do rzeczy. Większość cech osobowości to wynik genetycznej kontroli nad neuroprzekaznikami w mózgu. Dotyczy to również niepożądanych zachowań, takich jak niepokój czy depresja. Dlatego szukamy leków znoszących te reakcje. Takich jak SSNRI, hamujące wychwyt zwrotny serotoniny. Jednak w mózgu jest mnóstwo receptorów serotoniny. Jak sprawić, żeby dany lek zadziałał na wszystkie od razu?

Upił następny łyk kawy.

— Dlatego firmy farmaceutyczne szukały innych rozwiązań. Środków wpływających na chemię mózgu w sposób dający lepsze rezultaty. Czasem zapuszczały się na nieznane obszary. Tak jak w przypadku neuropeptydu znanego jako substancja P.

— Substancja P — powtórzyła Tara.

— Ja też usłyszałem o niej dopiero dziś po południu. To bardzo zagadkowa sprawa: nikt nie wie, jak powstaje w mózgu i po co. Znamy jednak czynniki powodujące jej uwalnianie. Silny ból. Silny stres. Jest ściśle powiązana ze stanami depresji i nagłymi samobójstwami.

Nachylił się do Tary.

— Co najmniej jedna firma farmaceutyczna zainteresowała się substancją P. Doszli do wniosku, że jeśli zdołają odkryć środek działający na substancję P, blokujący jej receptory, to

może uda im się uszczęśliwić mnóstwo pogrążonych w depresję ludzi. Tą firmą był PhannGen. Ściśle związany z Edenem.

— Już nie. Eden jest teraz niezależną firmą.

— PharmGen odkrył nowy środek przeciwdepresyjny, antagonistyczny wobec substancji P. Początki były trudne. W pierwszej fazie badań toksykologicznych pojawiły się sygnały alarmowe, ale zmodyfikowano strukturę związku. Przed czterema laty w końcu przeprowadzono badania kliniczne. Wykonano je w Polsce, co wówczas często się zdarzało. Badaniami objęto około dziesięciu tysięcy ludzi, za ich zgodą. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto lek działał doskonale. I nie tylko w przypadkach depresji, ale także przy innych zaburzeniach psychicznych: schizofrenii, stanach maniako-depresyjnych.

Sączył kawę.

— Był jednak pewien problem: ów jeden procent. Jeśli ten lek zażyła osoba nie mająca zaburzeń psychicznych — a szczególnie osoba o wysokim stężeniu jonów miedzi we krwi — efekty uboczne były okropne. Depresja, paranoja, ataki szału. Rezultatem były samobójstwa, tak liczne, że zmieniły roczną statystykę całego kraju.

Zerknął na dziewczynę, sprawdzając jej reakcję. Jednak Tara nadal miała nieprzeniknioną minę.

— Przerwano badania nad lekiem. Ale rok później pojawił się na rynku w znacznie obniżonej dawce i nieco zmodyfikowany, jako środek o innym działaniu: rozkurczającym.

Mina Tary znów zdradzała niedowierzanie.

— Scolipan?

— Tabletki jednomiligramowe. Pierwotne pięćdziesięciomiligramowe również są dostępne, ale zapisywane w bardzo rzadkich przypadkach, wymagających ścisłej kontroli lekarskiej. — Odsunął filiżankę. — Pamiętasz tę rozmowę przez telefon, którą przeprowadziłem przed wyjściem z twojego biura? Rozmawiałem z przyjacielem z filii FBI w Phoenix. Poprosiłem go, żeby posłał kogoś do domu Thorpe'ów i sprawdził ich apteczkę. Recepta Lindsay na scolipan leżała na nocnym stoliku

przy jej łóżku. Dawka została zwiększona z jednego do pięćdziesięciu miligramów. Ponieważ Lindsay zażywała lek w postaci kapsułek, nie zauważyła różnicy. Tara zmarszczyła brwi.

— Ktoś zmienił jej dawkowanie. Ktoś, kto znał działanie uboczne scolipanu w jego pierwotnej dawce. Ktoś, kto wiedział, że scolipan nie wzbudzi żadnych podejrzeń, nawet jeśli zostanie wykryty w trakcie pośmiertnych analiz krwi. Ktoś, kto wiedział również — zapewne znając jej dane jako kandydatki — że Lindsay Thorpe zażywała leki antyhistaminowe.

— O czym ty mówisz?

— Kiedy zacząłem prowadzić to dochodzenie, przeprowadziłem rozmowę z ojcem Lindsay. Wspomniał, że miała dermatografię. To łagodne, lecz uporczywe podrażnienie skóry, powodujące swędzenie. W takich wypadkach zaleca się stosowanie leków antyhistaminowych. Z czasem długotrwałe zażywanie takich środków może prowadzić do histapenii z nadmiernym stężeniem miedzi — obniżenie poziomu histaminy we krwi powoduje akumulowanie się miedzi.

Lash był coraz bardziej zaniepokojony jej ciągłym niedowierzaniem.

— Nie rozumiesz? W trakcie badań klinicznych scolipanu ludzie, którzy przyjmowali go w dużych dawkach i jednocześnie mieli wysokie stężenie jonów miedzi we krwi, popełniali samobójstwo. Lindsay Thorpe też brała duże dawki scolipanu. Pomyśl, jakie udręki psychiczne musiała przechodzić, tym gorsze, że zupełnie nagle i niewytłumaczalne. Dręczyły ją obce głosy, które słyszała w głowie. Dziwacznie postępowała: na przykład włączała muzykę, której nie znosiła. Wiesz, że Lindsay Thorpe nie cierpiała muzyki operowej, a słuchała jej, kiedy umierała. A wszystkimu temu towarzyszyła czarna rozpacz, wywołująca mordercze i samobójcze myśli... — Zamilkł i po chwili dodał: — Bardzo kochała swojego męża, ale nie mogła się powstrzymać. Myślę jednak, że postarała się, by oboje odeszli tak godnie i bezboleśnie, jak to tylko możliwe.

Kiedy Tara nic nie powiedziała, znów zaczął mówić.

— Wiem, co myślisz. Dlaczego zabiła męża? Nie chciała tego zrobić. Jednak musiała. Lecz nawet gdy pod wpływem toksycznego leku była bliska szaleństwa, nie przestała kochać Lewisa Thorpe'a. A jak zabić kogoś, kogo się kocha? Bezboleśnie. I odejść razem z nim. Właśnie dlatego do tych samobójstw doszło w nocy: Lindsay mogła najpierw zarzucić worek na głowę śpiącego męża, a potem sobie. Zapewne zaczęła, aż zaśnie przed telewizorem. Tak samo było z Karen Wilner. Była bibliotekarką i pewnie miała dostęp do skalpeli w pracowni introligatorskiej. Nowy skalpel jest tak ostry, że nawet nie poczujesz, jak otwiera ci żyłę — przynajmniej nie we śnie. Założę się jednak, że własne żyły przecięła po lekkim wahaniu, dlatego umarła później.

— A co z dzieckiem? — mruknęła Tara. — Z dzieckiem Thorpe'ów?

— Pytasz, dlaczego przeżyło? Nie znam dostatecznie dobrze działania substancji P, żeby spekulować na ten temat. Być może więź między matką i dzieckiem jest zbyt elementarna, zbyt pierwotna, żeby można ją było w ten sposób zerwać. Teraz wyciągnął rękę nad stolikiem i ujął dłoń Tary.

— Być może Lindsay zabiła siebie i męża. Nie o to jednak chodzi. Mamy do czynienia z morderstwem pierwszego stopnia, ponieważ ktoś z Edenu dobrze wiedział, jak doprowadzić Lindsay Thorpe do samobójstwa. Ktoś znał wyniki jej badań, wiedział, jakie działanie ma scolipan i jak uzyskać zabójczą mieszaninę chemikaliów w jej krwi. I ten ktoś miał możliwość sfałszowania dokumentacji medycznej, a nawet recept. Sama powiedziałaś, że musi to być ktoś mający bardzo wysoki poziom dostępu do waszego systemu komputerowego.

Jego palce zacisnęły się na jej dłoni.

— Sądzę, że wiesz, do czego to prowadzi. To jedyne możliwe wyjaśnienie. Musisz być silna, ponieważ tego kogoś trzeba powstrzymać. W taki sam sposób dotarł do Karen Wilner. Bierze na cel kobiety i doprowadza je do samobójstwa. Za dwa dni trzecia para...

Urwał. Tara już go nie słuchała. Oderwała wzrok od jego twarzy i patrzyła na coś za jego plecami.

Odwrócił się. Edwin Mauchly zbliżał się do nich. Towarzy-  
szyło mu kilku mężczyzn, których Lash nie znał, ale wiedział,  
że to ochroniarze Edenu.

Tara pospiesznie cofnęła rękę.

Zaskoczony Lash nie zdążył zareagować. W następnej chwili  
został otoczony, a wyjście było zablokowane.

— Doktorze Lash — powiedział Mauchly. — Pozwoli pan  
z nami?

Lash nagle wszystko zrozumiał i instynktownie podniósł się  
z krzesła. Jeden z ochroniarzy położył dłoń na jego ramieniu  
i delikatnie, lecz stanowczo posadził go z powrotem.

— Będzie dla pana lepiej, jeśli nie będzie pan stawiał oporu  
— powiedział.

Lash kątem oka zauważył, że Tara wyszła zza stolika i stanęła  
obok Mauchly'ego.

Minęło kilka sekund. Wydawały się bardzo długie. Lash  
Rozejrzał się po sali. Kilka głów obróciło się w jego kierun-  
ku, patrząc z zaciekawieniem. Potem spojrzął na otaczających  
go strażników. Kiwnął głową i powoli wstał. Ochroniarze oto-  
czyli go ciasnym kręgiem i poprowadzili do wyjścia.

Mauchly był już daleko przed nimi, już wychodził z kawiarni.  
Jedną ręką obejmował ramiona Tary.

— Przykro mi, że musiałaś przez to przechodzić — usłyszał  
jego głos Lash — ale już po wszystkim. Jesteś bezpieczna.  
Potem drzwi zamknęły się za nimi i oboje wtopili się w gęst-  
niejący mrok Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Tara zniknęła,  
nie oglądając się za siebie.

## 42

Richard Silver ostrożnie zszedł z bieżni i stał chwilę, ciężko dysząc, gdy ruchomy chodnik wytracał szybkość. Wyłączył urządzenie, sięgnął po ręcznik i otarł nim czoło. To było jedno z jego najtrudniejszych ćwiczeń – czterdzieści pięć minut z prędkością sześciu mil na godzinę przy ośmioprocentowym nachyleniu — a jednak nie zdołał zapomnieć przy nim o niepokojach.

Wrzuciwszy ręcznik do brezentowego kosza, wyszedł z sali gimnastycznej i przeszedł korytarzem do kuchni, gdzie napełnił sobie szklankę wodą z kranu. Cokolwiek robił, nie mógł otrząsnąć się z przygnębienia. Czuł je od rana, kiedy otrzymał wydruk z drukarki, typujący Lasha jako jedynego możliwego zabójcę.

Obojętnie pociągnął kilka łyków i wstawił szklankę do zlewu. Przez chwilę stał, patrząc i niczego nie widząc. Potem pochylił się, oparł łokcie o blat szafki i przycisnął pięść do czoła: raz, drugi i trzeci...

Musi z tym skończyć. Musi zająć się innymi sprawami, musi. Zachowanie pozorów normalności to jedyny sposób, by przetrwać ten nienormalny czas.

Wyprostował się. Czwarta piętnaście. Co zwykle robiłyby o tej porze?

Zaczynałby popołudniową sesję z Liżą.

Silver wyszedł z kuchni i poszedł korytarzem. Zazwyczaj

poranki spędzał, czytając fachowe czasopisma i publikacje, wczesnym popołudniem załatwiał interesy, a wieczorami programował. Zawsze jednak znajdował czas, żeby przed kolacją odwiedzić Lizę. Rozmawiał z nią, omawiał aktualizacje oprogramowania i czuł, że robiła postępy. Zawsze niecierpliwie czekał na te chwile: rozmowa z czymś, co po trosze było jego wynalazkiem i nim samym, nie przypominała jakiegokolwiek innego doznania. Była warta wysiłku, jaki kosztowało go stworzenie Lizy. Nie sądził, aby kiedykolwiek zdołał podzielić się z kimś tym doświadczeniem.

Zawsze zaczynał te spotkania punktualnie o czwartej i zawsze miał na nie czas. Dzisiaj spóźnił się po raz pierwszy od czterech lat, od chwili gdy Liza wraz z mnóstwem niezbędnego sprzętu została zainstalowana w jego apartamencie.

Opadł na fotel i zaczął przymocowywać elektrody, starając się uporządkować myśli. Udało mu się to tylko dzięki długiej praktyce. Minęło kilka minut. W końcu dotknął klawiatury i zaczął pisać.

— Richardzie — usłyszał wyrazisty, bezcielesny głos.

— Cześć, Lizo.

— Spóźniłeś się siedemnaście minut. Czy coś się stało?

— Nic się nie stało, Lizo.

— Cieszę się. Mogę zacząć od bieżącego raportu? Sprawdziałam nowy pseudokod poleceń, który wprowadziłeś, i dokonałam kilku drobnych modyfikacji.

— Bardzo dobrze, Lizo.

— Chciałbyś poznać szczegóły tego procesu?

— Nie, dziękuję. Możemy dziś pominąć resztę raportu.

— Zatem może chcesz omówić ostatnie wprowadzone przez siebie scenariusze? Zamierzam wybrać scenariusz trzysta jedenasty, „Tworzenie nieprawdziwych twierdzeń w teście Turinga”.

— Może jutro, Lizo. Chciałbym od razu przejść do opowieści.

— Bardzo dobrze.

Silver sięgnął pod fotel — uważając, by nie oderwać przy



tym żadnej elektrody — i wyjął mocno zaczytaną książkę. Była własnością jego matki i jedną z niewielu pamiątek, jakie pozostały mu z dzieciństwa.

Najprzyjemniejszą chwilą jego sesji z Lizą zawsze było czytanie. Z biegiem lat czytał jej coraz trudniejsze książki, ucząc ją podstawowych faktów o ludzkiej egzystencji. Dawało mu to niemal ojcowską satysfakcję. Zawsze czuł się potem pokrzepiony, mniej samotny. Może dziś zdoła nawet rozproszyć dręczące go poczucie winy. I może zanim skończy czytać, znajdzie odwagę, aby zadać to pytanie, które oboje pragnęli — i bali się — usłyszeć.

Odczekał chwilę, skupiając się, a potem otworzył książkę.

— Czy pamiętasz, na czym skończyliśmy, Lizo?

— Tak. Gryzoń Templeton odzyskał worek z jajami pajęczycy.

— Dobrze. A dlaczego to zrobił?

— Prosiaczek obiecał mu w zamian wyżywienie.

— A dlaczego przyjaciółka prosiaczka, Charlotte, chciała ocalić ten worek z jajami?

— Aby uratować swoje dzieci i zapewnić przedłużenie gatunku.

— Jednak sama nie mogła tego zrobić.

— Zgadza się.

— Kto więc to zrobił?

— Templeton.

— Pozwól, że sformułuję to inaczej. Kto odegrał sprawczą rolę w ocaleniu worka z jajami?

— Prosiaczek Wilbur.

— Zgadza się. Dlaczego to zrobił?

— Aby wynagrodzić pajęczycę. Ona mu pomogła.

Silver położył książkę na kolanach. Liza nie miała problemów ze zrozumieniem takich motywacji jak wola przetrwania czy nagradzania. Jednak nawet teraz trudno jej było pojąć inne, subtelniejsze uczucia.

— Czy twoje procedury etyczne są aktywne? — zapytał.

— Tak, Richardzie.

— Zatem kontynuujmy. To jeden powód tego, że uratował worek z jajami. Drugi to uczucia, jakimi darzył pajęczycę.

— To metafora.

— Zgadza się. To metafora ludzkiego zachowania. Miłości.

— Tak.

— Wilbur kochał Charlotte. Tak jak Charlotte kochała Wilbura.

— Rozumiem, Richardzie.

Silver na moment zamknął oczy. Dziś nawet te najmilsze chwile nie dawały mu przyjemności. To pytanie będzie musiało poczekać.

— Muszę zakończyć tę sesję, Lizo — powiedział.

— Nasz dialog trwał tylko pięć minut i dwadzieścia sekund.

— Wiem. Mam kilka spraw do załatwienia. Tak więc skończymy, kiedy dojdę do końca dwudziestego pierwszego rozdziału.

— Bardzo dobrze, Richardzie. Dziękuję ci za rozmowę.

— Ja dziękuję tobie, Lizo.

Silver podniósł Pajęczynę Charlotty, znalazł kartkę z zagiętym rogami i zaczął czytać:

Nazajutrz, gdy diabelski młyn został rozebrany, a wierzchowce załadowane do ciężarówek, Charlotte umarła. Nikt z setek ludzi, którzy odwiedzili Miasteczko, nie wiedział, że najważniejszą rolę odegrał w nim szary pająk. Nikt nie był przy niej, kiedy umarła...

## 43

Tym razem to Lash znalazł się w tej sali konferencyjnej, siedział samotnie po jednej stronie stołu. To Lash spoglądał w obiektyw kamery wideo i otaczające go ponure twarze. Edwin Mauchly zajął miejsce na środku. Jednak dziś po jego lewej ręce nie zasiadała Tara Stapleton. Zamiast niej był doktor Alicko w zielonym chirurgicznym kitlu. Gdy pochwycił wzrok Lasha, skłonił głowę z uprzejmym uśmiechem.

Mauchly spojrział na leżące przed nim papiery. Potem na Lasha.

— Doktorze Lash. To bardzo trudne dla nas wszystkich. A szczególnie dla mnie. — Zwykle tak opanowany Mauchly teraz miał twarz szarą jak popiół. — Oczywiście to ja ponoszę odpowiedzialność za całą tę sytuację.

Lash nadal był lekko oszołomiony. Ponoszę odpowiedzialność. Zatem wiedział, że to pomyłka, jakieś koszarne nieporozumienia. Mauchly zaraz go przeprosił i wszyscy będą mogli wrócić do pracy. On będzie mógł wrócić do pracy...

Tylko gdzie jest Tara?

Mauchly ponownie spojrział na stosik papierów i wyrównał je.

— I pomyśleć, że zatrudniliśmy pana. Poprosiliśmy o pomoc. Zapewniliśmy dostęp do naszych najbardziej poufnych danych, przez cały czas nie podejrzewając prawdy.

Nieco energiczniejszym ruchem włączył magnetofon i skinął na kamerzystę.

— Doktorze Lash, czy pan wie, dlaczego się pan tu znalazł? — zapytał. — Dlaczego z panem rozmawiamy?

Lash zamarł. Dokładnie takimi słowami Mauchly rozpoczął przesłuchanie Handerlinga.

— Miał pan tupet — dodał po chwili Mauchly. — Można powiedzieć, że wszedł pan prosto w paszczę lwa. — Zamilkł i po chwili dodał: — Jednak zapewne nie miał pan innego wyjścia. Wiedział pan, że w końcu i tak pana znajdziemy. A tak miał pan szansę się uratować. Mógł pan mącić, odwracać uwagę, marnować nasz czas, kierując podejrzenia w niewłaściwą stronę. W innych okolicznościach byłbym pod wrażeniem.

Odrętwienie, które zaczęło ustępować, znów ogarnęło Lasha.

— Milczenie w niczym panu nie pomoże. Wie pan dokładnie, jak pracujemy, widział pan to na własne oczy. W ciągu kilku ostatnich godzin zebraliśmy wszystkie potrzebne dowody: płatności dokonanych za pomocą karty kredytowej, zestawienia rozmów telefonicznych, nagrania z kamer wideo. Dowodzą pańskiej obecności w miejscach i w czasie popełnienia zbrodni. Znamy pański życiorys i rejestr przestępstw. Powód, dla którego zmuszono pana do odejścia z FBI.

Lash słuchał tego z rosnącym niedowierzaniem. Rozmowy telefoniczne, nagrania wideo? Rejestr przestępstw? Nie popełnił żadnego przestępstwa. I nie kazano mu odejść z FBI. To szaleństwo, bezsensowne...

Nagle zrozumiał, że to jednak ma sens. Głęboki sens. Prawdziwy zabójca wiedział, że Lash jest na jego tropie. Tylko prawdziwy zabójca mógł sfabrykować takie dowody, stworzyć taką pajęczynę kłamstw.

— Oczywiście, mogliśmy schwytać pana wcześniej. Jednak nie pozwalał na to pański specjalny status. Nie był pan naszym klientem ani pracownikiem. Prawdę mówiąc, dziwię się, że nie usiłował pan się wymknąć, wiedząc, że rozszerzyliśmy obszar poszukiwań.

Mauchly stosował inną metodę przesłuchania. Odtwarzał —

na użytek Lasha i pozostałych słuchających tego osób — poczynania i postęпки Lasha, motywy, które skłoniły go do popełnienia zbrodni.

— Chociaż właściwie próbował pan się nam wymknąć Dzisiaj. Wyszedł pan na kilka godzin tuż przed spodziewanym zakończeniem poszukiwań. A po powrocie nie chciał pan wejść do budynku. Dlaczego?

Lash nie odpowiedział.

— Czy miał pan jakąś nie zakończoną sprawę z panią Tarą Stapleton, która pańskim zdaniem wiedziała za dużo? A może, wiedząc o tym, że jesteśmy już na pańskim tropie, uznał pan, że warto zaryzykować próbę zatarcia swoich starych danych?

Lash z trudem ukrył zdziwienie. Jakich starych danych?

— W miniony piątek został pan zatrzymany przez ochronę, kiedy próbował pan przedostać się przez Mur z kilkoma teczkami w torbie. Co było w tych teczkach, doktorze Lash?

W sali na chwile zapadła cisza.

— Moim błędem było to, że wtedy nie przejrzałem tych teczek i za to również ponoszę pełną odpowiedzialność. Teraz jednak dokładnie sprawdziliśmy zapisy komputerowe. Pozwoli pan, że przypomnę na użytek zebranych, co było w tych teczkach. Formularze pańskiego podania, złożonego w Edenie osiemnaście miesięcy temu.

Lash ponownie z trudem ukrył zdumienie. Nigdy nie byłem kandydatem. Nie formalnie. Nigdy nie wypełniałem żadnego formularza! Dopiero dwa tygodnie temu po raz pierwszy wszedłem do tego budynku!

— Chociaż użył pan pseudonimu i podał nieprawdziwe dane, nie ma wątpliwości, że to pan był tym kandydatem. A portret psychologiczny, który wówczas sporządziliśmy — w porównaniu z tym, który ostatnio zrobił doktor Alecto — wiele nam wyjaśnia. Bardzo wiele.

Mauchly odchylił się na fotelu. Jego zakłopotanie już znikło.

— Wyobrażam sobie, jaką ironią losu było to, że to do pana — akurat do pana — zwróciliśmy się o pomoc. Oczywiście narażał się pan na ogromne niebezpieczeństwo. Jednak wiele

mógł pan zyskać. Nie tylko łatwiejszy dostęp do przyszłych ofiar, ale również możliwość ponownego poddania się procesowi oceny. Jako zatrudniony przez nas ekspert mógł pan tego zażądać, nie budząc podejrzeń. I tym razem dopiął pan swego, ponieważ wiedział już, czego się spodziewać. Mauchly spojrział na niego, mrużąc oczy.

— Nie muszę mówić, że podjęto odpowiednie kroki, żeby zapewnić bezpieczeństwo Dianie Mirren. Już nie otrzyma pan od niej żadnej wiadomości ani ona od pana.

Lash z trudem powstrzymał wybuch.

— A małżeństwo Connellych może teraz cieszyć się wycieczką do Niagara Falls bez obawy, że spadnie im pan na kark niczym anioł śmierci.

Kiedy Lash nadal milczał, Mauchly westchnął.

— Doktorze Lash, pan najlepiej powinien wiedzieć, co pana czeka. Po zakończeniu tego przesłuchania zostanie pan przekazany władzom federalnymi. Teraz ma pan jeszcze szansę sobie pomóc.

W sali zapadła głucha, napięta cisza. W końcu odezwał się doktor Alicto.

— On raczej nie powie panu nic użytecznego — stwierdził. — A przynajmniej nie dobrowolnie. Jego psychoza jest zapewne zbyt zaawansowana.

Mauchly kiwnął głową, wyraźnie rozczarowany.

— Co pan zaleca?

— Thorazyna, a następnie odpowiednia dawka amytału sodu może na jakiś czas uczynić go chętnym do rozmowy. A przynajmniej znieść wszelki świadomy opór. Możemy podać mu te środki w jednym z naszych gabinetów lekarskich.

Mauchly ponownie pokiwał głową, nieco wolniej.

— Bardzo dobrze. Jednak nie ryzykujcie. — Odwrócił się i powiedział do kogoś stojącego za plecami Lasha: — Pan i pańscy ludzie będziecie towarzyszyć doktorowi Alicto w drodze do sekcji medycznej. Kiedy tam dotrzecie, macie przywiązać Lasha do noszy skórzanymi pasami.

— Rozumiem — powiedział znajomo brzmiący głos.

Mauchly ponownie zwrócił się do doktora Alictio.

— Ile czasu upłynie, zanim będzie gotowy?

— Godzina. Najwyżej półtorej.

— Do roboty. — Mauchly wstał i obrzucił Lasha chłodnym spojrzeniem. — Wkrótce znów się zobaczymy, doktorze Lash. A tymczasem zostaje mi konieczność poinformowania o tym wszystkim Richarda Silvera.

Jeszcze przez chwilę patrzył Lashowi w oczy. Potem odwrócił się na pięcie i opuścił salę konferencyjną tylnym wyjściem. Ktoś położył ciężką dłoń na ramieniu Lasha.

— Pójdzie pan z nami — rzekł znajomy głos.

Gdy silna dłoń podniosła go z krzesła i obróciła, Lash spojrzął w zielone oczy Sheldrake'a, szefa ochrony. Ten odsunął się i wskazał mu drogę. Lash zauważył, że kilku strażników ustawiło się za jego plecami.

Drzwi przed nim się otworzyły. Jak w złym śnie, otoczony przez strażników, Lash wyszedł z sali. Poprowadzili go najpierw jednym, a potem drugim korytarzem w kierunku sekcji medycznej.

Przed sobą, w miejscu gdzie przecinały się dwa korytarze, Lash dostrzegł grupkę ludzi. Technik szedł stamtąd w ich kierunku, popychając przed sobą metalowy wózek z jakąś aparaturą.

Wszystko to wydawało się Lashowi coraz bardziej nierealne. Gdy dochodzili do skrzyżowania, jeden ze strażników chwycił go za ramię.

— Teraz skręć w lewo i zatrzymaj się przy windach — mruknął. — Nie utrudniaj, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

Technik z wózkiem był już prawie przy nich i ochroniarz skierował Lasha pod ścianę, żeby tamten mógł przejść.

W tym momencie stało się coś dziwnego. Czas jakby zwolnił bieg. Otaczający Lasha strażnicy stopniowo zwolnili tempo marszu, aż słyszał każdy ich krok. Słyszał powolne bicie swojego serca, jak monotonne uderzenia w bęben.

Obrócił się niespodziewanie, wyrrywając się z rąk strażnika. Z tyłu zobaczył pozostałych czterech ochroniarzy oraz Sheld-

rake'a i doktora Alico zamykających pochód. Sheldrake napotkał spojrzenie Lasha, zdając się czytać w jego oczach. Lash zobaczył, jak Sheldrake zaczyna otwierać usta i podnosić rękę. ale wszystko to działo się tak wolno, że wciąż zostawało mu mnóstwo czasu. Lash wyrwał wózek technikowi i pchnął go prosto na strażników. Poczul, że ci dwaj idący po bokach próbują go przytrzymać. Uderzył piętą w śródstopie pierwszego, a drugiego kopnął kolanem w krocze.

Miał wrażenie, że ktoś przejął kontrolę nad jego ciałem i porusza nim jak marionetką. Wózek przewrócił się, blokując drogę strażnikom idącym z tyłu. Lash złapał technika i pchnął go na zbliżającego się Sheldrake'a. Obaj runęli na podłogę. Lash odwrócił się i pobiegł w kierunku skrzyżowania. Gdy biegł, gdy dotarł tam i rozglądał się na boki, gdy wybierał boczny korytarz, przeciskał się przez gromadkę pracowników i znowu zaczął biec — miał wrażenie, że czas znów zaczął przyspieszać, coraz bardziej, aż jego myśli, oddech oraz ból mięśni nóg stopiły się w amalgamat dźwięków i barw.



# 44

Lash minął zakręt, przebiegł kolejnym korytarzem i znów skręcił. Potem stanął i przywarł do ściany, gorączkowo rozglądając się na boki. Wokół nie było nikogo. W oddali słyszał podniesione głosy i tupot nóg. Jego serce — które zaledwie przed chwilą zdawało się bić tak wolno — teraz waliło z szybkością karabinu maszynowego. Odczekał jeszcze sekundę, próbując je uspokoić. Potem oderwał się od ściany i ruszył dalej. Dźwięki nie były już tak odległe, więc skręcił w kolejny korytarz i minął drzwi z tabliczką TABLICA ROZDZIELCZA/PODSYSTEM B. Najwyraźniej znalazł się w dziale wsparcia technicznego, obsługiwanym zaledwie przez kilku pracowników.

Niewielka różnica. Wkrótce go dopadną i podejmą przerwane śledztwo, tym razem posługując się kajdankami, skórzanymi pasami i serum prawdy.

Walczył z rosnącym niedowierzaniem. Jak to się mogło stać, w dodatku tak szybko? Czy naprawdę tego ranka wstał z łóżka jako wolny człowiek, żeby teraz być ściganym jako psychopatyczny morderca? Wydawało się niemożliwe, żeby ktokolwiek, a szczególnie ktoś taki jak Mauchly, mógł uwierzyć w jego winę. A jednak było aż nazbyt oczywiste, że zarówno on, jak i wszyscy inni uwierzyli w winę Lasha. Teraz z łatwością mógł sobie wyobrazić, jakie mieli dowody. Mauchly wyrecytował listę fałszywych, lecz niewątpliwie dobrze udokumentowanych

zarzutów: rachunki telefoniczne, portret psychologiczny, nawet rejestr przestępstw. Jak walczyć z kimś, kto ma do dyspozycji niemal nieograniczone możliwości Edenu?

Na korytarzu przed nim pojawił się ktoś — jakiś technik w białym fartuchu laboratoryjnym — i Lash przeszedł obok niego ze spuszczoną głową, nie kłaniając mu się. Na następnym skrzyżowaniu znów pospiesznie skręcił. Ten korytarz był węższy, a kolejne drzwi bardziej oddalone od siebie.

Czy to naprawdę zaczęło się już wtedy, kiedy ginęły mu gazety, gdy miał kłopoty z przepustką i bankomatem, a także brakiem lub nadmiarem korespondencji? Czy to możliwe, żeby zaczęło się tak wcześnie?

Tak. Problemy z kartą kredytową oraz spłatą rat hipotecznych. Wszystko to było częścią kampanii rosnącego nacisku. Ataku, który przeprowadzono, ponieważ Lash był zbyt bliski odkrycia prawdy.

A teraz, kiedy już wszystko wiedział, podjęto kroki, żeby nikt nigdy go nie wysłuchał. Miał zostać zamknięty w celi, aby jego krzyk zagłuszyły okrzyki wszystkich innych więźniów, zapewniających o swojej niewinności...

Zatrzymał się. Czyżby popadał w paranoję, czy też może nawet warunkowe zwolnienie Edmunda Wyre'a było częścią tej przemyślanej próby zamknięcia mu ust? I czy to możliwe, by ta pomyłka, wskutek której jego odrzucony awatar został umieszczony w Zbiorniku, co wydawało się tak obiecujące, była jedynie sposobem na kontrolowanie jego poczynań?

Zmusił się do dalszego marszu. Jednak idąc, wciąż słyszał słowa Mauchly'ego: „Podjęto odpowiednie kroki, żeby zapewnić bezpieczeństwo Dianie Mirren. Już nie otrzyma pan od niej żadnej wiadomości”.

Musi być ktoś, z kim mógłby porozmawiać, ktoś, kto mu uwierzy. Tylko kto w tej fortecy Edenu cokolwiek o nim wie, nie mówiąc już o prawdziwym powodzie jego obecności? Jego misja od początku była pilnie strzeżoną tajemnicą.

W rzeczy samej przychodziła mu do głowy tylko jedna, jedyna możliwość.

Jak to zrobić? Zagubił się w tym labiryncie korytarzy. Wszystkie były monitorowane. Dotknął bransoletki z kodem identyfikacyjnym, którą nosił na przegubie. Niewątpliwie tuzin skanerów śledziło jego kroki. Za kilka minut, a może sekund, zostanie schwytany.

Jego spojrzenie padło na drzwi z tabliczką WĘZEL SIECIOWY 15. Chwycił klamkę i przekonał się, że są zamknięte. Zaklął pod nosem i już zamierzał podsunąć bransoletkę w kierunku czytnika.

Nagle się rozmyślił. Szybko wycofał się i potruchtał korytarzem, podsuwając bransoletkę pod skanery przy kilku kolejnych drzwiach. Potem wrócił do pierwszych i podstawił bransoletkę pod czytnik. Drzwi otworzyły się z cichym szcękaniem i Lash ostrożnie wszedł do środka.

Wewnątrz było ciemno. I pusto — tak jak miał nadzieję — nie licząc dwóch metalowych regałów, sięgających od podłogi po sufit, zapchanych stojakami z serwerami kartowymi: maleńka część ogromnej mocy obliczeniowej umożliwiającej istnienie Edenu. Przeszedł między regałami na koniec pomieszczenia, oglądając ściany i podłogę. W końcu znalazł to, czego szukał: dużą metalową klapę, nieco wystającą nad podłogę. Była pomalowana na ten sam bladofioletowy kolor co ściany, ale wyraźnie widoczna.

Uklęknął przy niej. Właz miał około czterech stóp na trzy. Przez chwilę Lash bał się, że właz może być zamknięty lub strzeżony przez taki sam czytnik jak drzwi. Jednak okazał się zamknięty tylko na zasuwkę, którą bez trudu odsunął. Otworzył klapę i zajrzał do środka.

Zobaczył wewnątrz rury z gładkiego metalu. Cała była pokryta gęstą siecią kabli: światłowodowych, wielożyłowych i różnych innych, których nie potrafił nazwać. Pod sufitem znajdował się rząd jarzeniówek, rzucających słabe błękitne światło. Lash dostrzegł, że kawałek dalej rura rozgałęziała się na mniejsze odnogi, niczym dopływy wielkiej rzeki.

Uśmiechnął się ponuro. Wielka rzeka to dobra metafora. Tymi łączami płynęła rzeka cyfrowych informacji, docierając

do każdego pomieszczenia za Murem i łącząc je ze sobą nawzajem. Przypomniat sobie, co Mauchly mówił o poziomach zabezpieczeń, o niezliczonych zaporach uniemożliwiających wydostanie się jakichkolwiek informacji za Mur. Lash wiedział — z własnego doświadczenia — że ten Mur jest niemal niepokonany. Wszystkie te czytniki, punkty kontrolne, służby bezpieczeństwa z fanatycznym oddaniem pilnowały, żeby żadne tajemnice nie wydostały się na zewnątrz. Teraz równie skutecznie dopilnują, żeby on się nie wydostał.

A jeśli wcale nie będzie próbował się wydostać? Co będzie, jeżeli zechce pozostać za Murem i zapuści się jeszcze głębiej w ten labirynt korytarzy?

Lash po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. Potem, tak szybko i ostrożnie, jak potrafił, wczołgał się do kanału i zamknął za sobą klapę.

# 45

Na wysuniętym posterunku służby ochrony, znajdującym się na trzecim piętrze wewnętrznej wieży, Edwin Mauchly przez lustro weneckie obserwował punkt kontrolny numer 1. Pano-  
wało tam kontrolowane zamieszanie. Co najmniej setka pracow-  
ników Edenu stała w kolejce do wyjść, pilnowana przez kilku-  
nastu strażników.

Mauchly odszedł od okna do najbliższej stojącego monitora. Na ekranie był główny hol, widziany z lotu ptaka. Następna, jeszcze dłuższa kolejka ludzi czekała przed prowizorycznym punktem kontrolnym, ustawionym przed obrotowymi drzwiami. Umundurowani strażnicy sprawdzali przepustki i identyfikatory, przepuszczając ludzi pojedynczo i dwójkami, szukając Christophera Lasha. Mauchly z satysfakcją zauważył, że ubrani po cywilnemu pracownicy ochrony wmieszali się w tłum, dys-  
kretnie zniechęcając do pogawędek i oddzielając klientów od niedoszłych kandydatów. Nawet w tej kryzysowej sytuacji, kiedy po raz pierwszy w historii firmy ogłoszono fazę Delta, dla Edenu najważniejsze było bezpieczeństwo i poszanowanie prywatności klientów.

Mauchly zaczął przechadzać się po pokoju. To była przykra, paskudna sytuacja, szczególnie dla niego. Jako łącznik pomię-  
dzy Richardem Silverem a resztą firmy Mauchly na swój spokojny sposób odcisnął piętno na Edenie. Osobiście wdrożył

wszystkie procedury zabezpieczające oprócz tych w apartamencie na szczycie wieżowca, które były dziełem samego Silvera. Mauchly rozumiał potrzebą zachowania dyskrecji i tajemnicy zawodowej, zanim jeszcze powstał produkt, który należało chronić. I pierwszy zrozumiał, że ta największa z istniejących sieć wymiany informacji — między firmami telekomunikacyjnymi, konsorcjami przemysłowymi i urzędami federalnymi — nie tylko może podnieść jakość usług Edenu, ale także przynieść niewyobrażalne korzyści.

Mauchly nie piastował żadnych tytułów ani zaszczytów, zwykle związanych z wysoką pozycją w firmie. Mimo to był dumny ze swojej pracy i bezgranicznie oddany Edenowi. I właśnie dlatego, powoli przechadzając się tam i z powrotem po pokoju, czuł wzbierającą wściekłość.

Sam wybrał Lasha. To był przemyślany ruch: firmie groziło niebezpieczeństwo i Lash wydawał się jedyną osobą mogącą je zażegnać.

Ale zamiast zbawcy Mauchly wprowadził do Edenu zdrajcę.

Wciąż zdumiewało go to, jak zręczny okazał się Lash. Mauchly niewiele wiedział o psychologii, ale wiedział, że większość ludzi tak poważnie chorych psychicznie, by mordować innych, ma trudności z ukrywaniem swoich psychopatycznych skłonności. Tymczasem Lash robił to doskonale. To prawda, że nie przeszedł przez pozorowane badania wstępne, lecz te bynajmniej nie dowiodły powagi sytuacji. Teraz jednak Mauchly na własne oczy widział dowody. Po tym, jak Silver przekazał mu alarmujące wieści — kiedy już wiedzieli, gdzie szukać — z komputera popłynęła dosłownie rzeka faktów. Wielokrotne pobyty w szpitalu psychiatrycznym. Historia choroby długa na milę. Pomimo doskonałych wyników na studiach Lash zawsze był poważnie chory i jego stan tylko pogarszał się z czasem. Był sprytny — początkowo zdołał ukryć swoją chorobę i przeszłość nawet przed FBI, tak samo jak przed Edenem — ale w końcu wszystko wyszło na jaw.

Patrząc przez lustro weneckie, Mauchly coraz dotkliwiej odczuwał tę zdradę i jej rezultaty. Spoglądając wstecz, wiedział,

że powinien był wziąć pod uwagę ostrzeżenia doktora Alicto. Atmosfera, w jakiej Lash odszedł z FBI, powinna była jeszcze umocnić te podejrzenia.

Nie mógł cofnąć czasu i naprawić popełnionych błędów Z pewnością jednak mógł złagodzić ich skutki. Teraz dokładnie znał wysokość stawki. Zrobi wszystko co trzeba.

Rozległ się cichy pisk i wideotelefon na stojącym w pobliżu biurku zaczął migać. Mauchly podszedł do niego i wprowadził krótki kod.

— Tu Mauchly — powiedział.

Ekranik przez moment pozostał ciemny, a potem pojawiła się na nim twarz Silvera.

— Edwinie — powiedział. — Jak wygląda sytuacja? Zarówno wyraz jego twarzy, jak i głos zdradzały niepokój.

— W wieżowcu ogłoszono fazę Delta.

— Czy to naprawdę konieczne?

Wydawało się, że to najszybszy i najbezpieczniejszy sposób opróżnienia budynku. Ewakuujemy cały personel oprócz pracowników ochrony. Przy wszystkich wyjściach i punktach kontrolnych mamy ludzi szukających Lasha.

— A nasi klienci? Czy podjęto odpowiednie kroki, żeby ich nie przestraszyć?

— Powiedziano im, że to ćwiczenia ewakuacyjne, które przeprowadzamy co pewien czas, aby mieć pewność, że nasi klienci są całkowicie bezpieczni. Właściwie niewiele mineliśmy się z prawdą... Na razie wszyscy przyjęli to spokojnie.

— Dobrze. Bardzo dobrze.

Mauchly sądził, że rozmówca się rozłączy, lecz twarz Silvera pozostała na ekranie.

— Czy jeszcze coś, doktorze Silver? — zapytał po chwili Mauchly.

Silver powoli pokręcił głową.

— Nie sądzisz, że mogliśmy się pomylić?

— Pomylić, proszę pana?

— Co do Lasha.

— Niemożliwe. Sam przekazał mi pan ten raport. I widział

pan dowody, jakie od tej pory zdobyliśmy. Ponadto, gdyby był niewinny, nie uciekłby.

— Pewnie nie. Mimo wszystko... postępujcie delikatnie, dobrze? Dopilnujesz, żeby nie stała mu się żadna krzywda?

— Oczywiście.

Silver uśmiechnął się słabo i ekranik pociemniał.

Chwilę później otworzyły się drzwi posterunku i pojawił się Sheldrake. Podszedł do Mauchly'ego sztywno wyprostowany, jakby czekając na rozkazy. Człowiek może odejść z wojska, ale najwyraźniej trudno mu się wyżyć wojskowych nawyków.

— I jak nam idzie, panie Sheldrake? — zapytał Mauchly.

— Siedemdziesiąt pięć procent klientów Edenu opuściło budynek — odparł Sheldrake. — Z wyliczeń punktów kontrolnych wynika, że około trzydziestu ośmiu procent pracowników przeszło już przez kordon bezpieczeństwa. Spodziewamy się zakończyć ewakuację przed upływem dwudziestu minut.

— A Lash?

Sheldrake pokazał mu wydruk.

— Skanery zlokalizowały go w tej części budynku, w której znajdują się hale maszyn. Wchodził tam do kilkunastu pomieszczeń. Od tej pory nie było następnych komunikatów.

— Niech rzucę na to okiem. — Mauchly spojrzał na wydruk. — Redundancyjny magazyn danych. Infrastruktura sieci. Co on robił w tych pomieszczeniach?

— My też zadajemy sobie to pytanie, proszę pana.

— Coś tu nie gra. — Mauchly wskazał na listę. — Według tych danych Lash wszedł do sześciu różnych pomieszczeń w ciągu zaledwie piętnastu sekund. — Oddał wydruk Sheldrake'owi. — Nie mógł zwiedzić ich w tak krótkim czasie. Co robił?

— Bawił się z nami.

— Też tak sądzę. Na końcu wszedł do serwerowni. Pańscy ludzie powinni na niej skupić swoje wysiłki.

— Dobrze, proszę pana.

— Jednak niech patrole nadal krążą za Murem. Musimy zakładać, że Lash sprawdza szczelność kordonu, usiłując zna-

leżć wyjście z wewnętrznej wieży. Pójdę do centrum dowodzenia. Stamtąd mogę skuteczniej monitorować operację.



Mauchly patrzył, jak tamten odwraca się, żeby odejść. Potem nieco ciszej powiedział:

— Panie Sheldrake?

— Tak?

Mauchly przyglądał mu się przez moment. Sheldrake, oczywiście, nie orientował się we wszystkim — na przykład nie miał pojęcia, dlaczego Lash znalazł się w budynku — ale wiedział dość, aby rozumieć, że ten człowiek stanowi poważne zagrożenie.

— Ten człowiek już zagroził bezpieczeństwu Edenu. Im dłużej pozostaje na wolności, tym większe może wyrządzić szkody. Poważne szkody.

Sheldrake skinął głową.

— Kluczową sprawą jest ograniczenie mu swobody ruchów. Z tego rodzaju sytuacją najlepiej sobie poradzimy, jeśli nic wyjdzie z tego budynku. Im prędzej to załatwimy, tym lepiej dla wszystkich. — Mauchly znów poczuł przypływ gniewu. — Rozumie pan? To musi się jak najszybciej skończyć.

Sheldrake skinął głową, tym razem wolniej.

— Ja też tak sędzę, proszę pana.

— Zatem zajmij się tym — rzekł Mauchly.

## 46

W kanale przesyłowym czas zdawał się płynąć inaczej. Wąska rura rozwidlała się raz po raz, przenikając cały budynek pozornie niekończącą się siecią połączeń. Nie było tu niczego, co pozwalałoby ocenić upływ czasu: tylko wywołujący klaustrofobię świat przyćmionego niebieskiego światła, pełen bezkresnych rzek kabli. Co jakiś czas Lash napotykał szersze tunele — arterie w sieci tych żył — lecz przeważnie te rury były okropnie zapchane przewodami, wskutek czego musiał wciąż pełzać, niczym grotolaz pokonujący ciasne korytarze jaskini.

Jeśli tylko mógł, piął się w górę. Ze ścian sterczały małe metalowe wsporniki do mocowania kabli, ale zapewniały oparcie dla nóg. Raz po raz jakaś ostra krawędź rozrywała mu koszulę lub kaleczyła skórę. Od czasu do czasu mijał klapę włazu takiego jak ten, którym wszedł do systemu kanałów, Jednak żadna nie była oznakowana, toteż nie miał pojęcia, jak daleko dotarł. Podobnie jak czas, również odległość niemal straciła sens w tym ciasnym i obcym świecie.

Lash niekiedy zatrzymywał się, żeby odpocząć i posłuchać. Raz ciszę przerwał jakiś huk w oddali, jakby ktoś zatrzasnął olbrzymie drzwi w najgłębszych podziemiach budynku. Innym razem miał wrażenie, że słyszy upiorny krzyk, przelatujący wąskimi kanałami, ledwie słyszalny, niczym świst wiatru. Potem

307

jednak znów słyszał tylko swój własny oddech. I ruszał dalej, ocierając się o wiszące kable.

Chociaż Lash nie miał skłonności do klaustrofobii, to słabe oświetlenie, głucha cisza i napierające ze wszystkich stron przewody działały mu na nerwy. Starał się poruszać powoli i ostrożnie, nie tracić równowagi i nie zaplątać się w okablowanie.

Po pewnym czasie znalazł pionowy szyb, nieco szerszy od innych i zdający się ciągnąć prosto w górę, co uwalniało go od konieczności częstego omijania bocznych kanałów. Lash piął się nim długo. Miał wrażenie, że godzinami podciąga się z jednego niewielkiego wspornika na drugi, aż zaczęło mu szumieć w uszach. W końcu ponownie się zatrzymał, oparł o wiązki kabli i słuchał swojego sapania. Bolały go mięśnie ramion. Podniósł rękę i przytrzymując ją tuż przy słabej jarzeniówce, spojrzął na zegarek.

Piąta trzydzieści. Czy to możliwe, że pełza w tych kanałach zaledwie pół godziny?

I jak daleko dotarł? Powinien umieć ocenić upływ czasu: robił to wiele razy w Quantico, podczas ćwiczeń we wspinaniu się na ścianki. Tylko że w tym labiryncie nie poruszał się jedynie w pionie. Kiedy przeciskał się przez te ciasne tunele i zahaczał o kable, trudno było się skupić. Czy dotarł na trzydzieste piętro? Na trzydzieste piąte?

Gdy balansował na kolejnym wsporniku, rozpaczliwie łapiąc oddech, nagle oczyma duszy ujrzał pewien obraz: pajęczka, nie większego od kropeczki, rozpaczliwie uczeplonego wewnętrznej ściany tkwiącej w kieliszku słomki...

Nie mógł tak bez końca piąć się na oślep. Zmierzał na jedno, konkretne piętro. Musiał ustalić swoje położenie, dokładnie określić, gdzie teraz jest.

A to oznaczało konieczność wyjścia z kanału.

Oparł się o ścianę, rozmyślając. Jeśli opuści tę bezpieczną kryjówkę, jaką były kanały, skanery zaraz wykryją jego obecność. Ochrona natychmiast dowie się, gdzie on jest, i na tym obszarze skoncentruje poszukiwania. W żaden sposób nie zdoła

Niewykluczone, że w większości gabinetów, laboratoriów i magazynów nie było żadnych skanerów. Przypuszczalnie umieszczono je głównie na korytarzach i przy drzwiach. Jeśli ostrożnie wyjdzie i nie uruchomi żadnego czujnika...

Nie miał innego wyjścia, musiał spróbować.

Lash wspiął się kilka stóp do następnego odgałęzienia, a potem z trudem wcisnął się w poziomy tunel. Pełznął po wiązkach kabli, aż dotarł do włazu w bocznej ścianie. Począł chwilę, nasłuchując. Z drugiej strony nie dochodził żaden dźwięk. Wstrzymawszy oddech, wymacał czubkami palców zatrzask i lekko pchnął. Zatrzask puścił i kłapa się otworzyła.

Przez szparę natychmiast wpadło światło, zalewając wąski odcinek tunelu oślepiającą bielą. Lash odwrócił się i zamknął kłapę. Po drugiej stronie kłapy znajdowało się jasno oświetlone biuro albo jeszcze gorzej — korytarz. Nic z tego będzie musiał spróbować gdzie indziej.

Ponownie ruszył naprzód, mijając najpierw jedną, a potem drugą kłapę. Przy czwartej przystanął. Ponownie nacisnął palcami zatrzask i ta kłapa również się otworzyła. Tym razem światło za nią nie było takie jasne. Może jakiś magazyn lub gabinet osoby, która już zakończyła pracę. Tak czy inaczej nie będzie lepszej okazji.

Lash delikatnie odchylił kłapę. Wokół nadal panowała cisza.

Podciągnął się na łokciach i spojrział. W słabym świetle ujrzał wyłączony terminal i kontury biurka. Pusty gabinet — miał szczęście.

Po cichu, lecz jak najszybciej wszedł przez wąż do gabinetu. Kiedy się wyprostował, mięśnie pleców, tak długo zgarbionych w ciasnych kanałach, gwałtownie zaprotestowały. Rozejrzał się, mając nadzieję znaleźć jakiś napis lub schemat drogi ewakuacyjnej, który zdradziłby mu numer piętra — lecz oprócz pustego biurka i monitora w zasadzie nic nie dostrzegł.

Zaklął pod nosem

Chwileczkę. Każde drzwi, które mijał w Edenie, zawsze

miały przymocowaną od zewnątrz tabliczkę. Nie było powodu sądzić, że z tymi będzie inaczej. Drzwi zamyka się od zewnątrz.

Jeśli przytrzyma swoją bransoletką z kodem z daleka od skanera, będzie mógł je otworzyć i zerknąć na tabliczkę...

Podszedł do drzwi, chwycił za klamkę. Przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał. Po drugiej stronie panowała cisza: nie dobiegły go żadne kroki czy odgłosy rozmowy.

Wstrzymał oddech, odrobinę uchylił drzwi i zerknął. Przez szparę wpadło światło: ujrzał korytarz, jak zwykle bladoniebieski i najwyraźniej pusty. Przezornie chowając za plecami rękę z bransoletą, uchylił drzwi trochę szerzej. Teraz tylko przeczytać tabliczkę po drugiejj...

Cholera. Nie było tabliczki.

Lash zamknął drzwi i oparł się o ścianę. Ze wszystkich biur, w których mógł się znaleźć, wybrał akurat jedno opuszczone.

Powoli zaczerpnął tchu. Potem pospiesznie wrócił do drzwi i uchylił je po raz trzeci.

Po drugiej stronie holu znajdowały się inne drzwi, tym razem z tabliczką. Widniał na niej tytuł, a powyżej numer.

Ale wzrok Lasha jeszcze nie przywykł do ostrego światła, toteż nie mógł odczytać numeru. Zmrużył oczy i zamrugał, usiłując dojrzeć coś w tym oślepiającym blasku.

Dasz radę.

Lash złapał się futryny i wystawił głowę na korytarz. Tym razem zdołał odczytać napis: 2614. Thorsten, J. PROCESY POSTSELEKCYJNE.

Dwadzieścia sześć? — pomyślał z niedowierzaniem. Jestem dopiero na dwudziestym szóstym piętrze?

— Hej, ty! — warknął ktoś nieprzyjaźnie. — Nie ruszaj się!

Lash obejrzał się. Może pięćdziesiąt stóp dalej, na skrzyżowaniu dwóch korytarzy, stał strażnik w kombinezonie, wskazując na niego palcem.

Lash zastygł na moment, jak jelen w świetle reflektorów. Nagle zobaczył, że ochroniarz sięga po broń.

Lash instynktownie schował się za framugą i wtedy ciszę

310

korytarza rozdarł głośny trzask. Coś z wizgiem przeleciało w powietrzu.

Jezu! Strzelają do mnie!

Odskoczył do tyłu, o mało się nie przewracając. Przemknął przez pokój i niemal zanurkował we włązie, boleśnie obtłukując sobie łydki. Nie trudził się zamykaniem klapy, ponieważ teraz tamci już i tak wiedzieli, gdzie jest. Ruszył naprzód, nie zważając już na to, gdzie skręca ani na gęstą pajęczynę przewodów rozrywaną gwałtownymi ruchami łokci i stóp, gdy umykał z powrotem w bezpieczny labirynt tej cyfrowej rzeki.

## 47

Tara Stapleton siedziała w swoim biurze, lekko kręcąc się na obrotowym fotelu i patrząc na sfatygowaną deskę surfingową. Całe piętro wydawało się opuszczone, a korytarz za drzwiami pogrążony w ciszy. Chociaż Tara była kluczową osobą w systemie bezpieczeństwa Edenu, wiedziała, że ona również powinna opuścić budynek, tak jak powiedział jej Mauchly przed kawiarnią Rio.

— Idź do domu — rzekł, uściskawszy ją z niezwykłą u niego afektacją. — Mieliśmy ciężkie popołudnie, ale już po wszystkim. Jedź do domu i odpocznij.

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Wiedziała, że w domu wcale nie poczułaby się lepiej.

Była w szoku, od kiedy Mauchly zaraz po dwunastej wezwał ją do gabinetu Silvera. To, co jej powiedzieli, brzmiało niewiarygodnie: Christopher Lash, człowiek, któremu zlecono rozwiązanie zagadki tajemniczych zgonów, popełnił te morderstwa. Nie chciała, nie mogła im uwierzyć. Jednak przekonujący głos Mauchly'ego i zboląta mina Richarda Silvera mówiły same za siebie. Pomagała Mauchly'emu przetrząsnąć ogromną sieć baz danych, które mieli do dyspozycji. Zebrane informacje nieodwołalnie pogrążyły Lasha.

A potem, kiedy Lash do niej zadzwonił — kiedy poszła na spotkanie z nim, uprzednio poradziwszy się Mauchly'ego —

312

ten szok jeszcze się pogłębił. Mówił pospiesznie, ponagłajaco lecz ona prawie go nie słuchała. Zamiast tego zastanawiała się, jak mogła się tak pomylić. Oto człowiek, który z zimną krwią zamordował cztery osoby, na co wskazywały liczne dowody.

Człowiek, który — według wszystkich danych — wychował się w wysoce dysfunkcyjnej rodzinie, spędził większość dzieciństwa w różnych zakładach i zdołał zataić rejestr swoich przestępstw seksualnych. A ona mu zaufała, a nawet polubiła go przez ten krótki okres ich znajomości. Nigdy nie była ufną osobą. Jedną z przyczyn jej nieudanych związków i nadziei, jaką pokładała w pilotażowym programie Edenu, było to, że bała się do kogoś zbliżyć. Zatem który z jej mechanizmów obronnych tak fatalnie zawiódł?

Było jeszcze coś. Przypomniała sobie część tego, co Lash powiedział jej w kawiarni. O przedawkowaniu leków, o związku zwanym substancją P, która zaburza procesy chemiczne w mózgu, o niebezpieczeństwie grożącym im obojgu. Był szaleńcem, więc mówił bzdury.

Prawda?

Jakiś dźwięk: szybko zbliżające się kroki na korytarzu. Pisk przekręcanej gałki w jej drzwiach. Ktoś wszedł do gabinetu, niczym widmo przywołane przez jej ponure myśli.

Christopher Lash.

Tylko że był to Lash, jakiego nigdy przedtem nie widziała. Teraz naprawdę wyglądał jak zbiegły szaleniec. Włosy miał brudne i rozczochrane. Na czole paskudny siniec. Jego garnitur, zawsze nienagannie odprasowany, był pokryty kurzem i podarty na łokciach oraz kolanach. Ręce miał czerwone od krwi płynącej z niezliczonych otarć i zadrapań.

Zamknął drzwi i oparł się o nie, ciężko dysząc.

— Taro — wykrztusił ochrypłym głosem. — Dzięki Bogu, że jeszcze tu jesteś.

Patrzyła na niego skamieniała ze zdumienia. Potem chwyciła słuchawkę telefonu.

Nie! — powiedział, robiąc krok w jej kierunku.

W jednej ręce trzymając słuchawkę, drugą sięgnęła do to-

rebki, skąd wyjęła pojemnik z gazem pieprzowym, który wycelowała w jego twarz. Lash stanął.



— Proszę. Zrób coś dla mnie. Tylko o to proszę. Potem sobie pójdę.

Tara próbowała zebrać myśli. Ochrona wytropi Lasha po bransoletce z kodem identyfikacyjnym. Będą tu za kilka minut. Czy nie powinna spróbować go zagadać?

Próba zyskania na czasie wydawała się lepszym rozwiązaniem niż czynny opór.

Zostawiła telefon w spokoju, ale wciąż trzymała pojemnik z aerozolem.

— Co się stało z twoją twarzą? — zapytała, starając się ukryć drżenie głosu. — Pobili cię?

— Nie. — Jego twarz rozpromieniła się w przelotnym uśmiechu. — To skutek sposobu, w jaki się przemieszczałem. — Uśmiech zgasł — Tam oni do mnie strzelali.

Tara nic nie powiedziała. Paranoja. Omamy. Lash znów zrobił krok naprzód i znieruchomiał, gdy Tara groźnie wycelowała pojemnik.

— Posłuchaj. Zrób to, jeśli nie dla mnie, to dla tych superpar, które umarły, i tych, którym wciąż grozi niebezpieczeństwo. — Z trudem łapał oddech. — Odszukaj w bazie danych Edenu awatar pierwszego zarejestrowanego klienta.

Minęła minuta. Wkrótce pojawią się strażnicy.

— Taro, proszę.

— Stań tam, w rogu — powiedziała Tara. — Trzymaj ręce tak, żebym je widziała.

Lash przeszedł w przeciwny kąt pokoju.

Czujnie go obserwując, podeszła do terminalu; wciąż trzymała w ręku pojemnik z gazem pieprzowym. Nie usiadła przy klawiaturze, ale pochyliła się i wystukała pytanie jedną ręką.

Awatar pierwszego zarejestrowanego klienta...

Dziwne, w wyniku poszukiwań otrzymała awatar bez nazwiska. Jedynie z kodem identyfikacyjnym. A i ten kod nie miał sensu.

Teraz odwróciła się i przyjrzała mu się uważnie. Wciąż ciężko oddychał i krew kapała mu z pokaleczonych dłoni na podłogę. Jednak spoglądał na nią spokojnie i chociaż przypatrywała mu się bacznie, w jego oczach nie dostrzegła żadnego śladu szaleństwa.

Zerknęła na ścienny zegar. Dwie minuty.

— Skąd wiedziałeś? — zapytała. — Zgadłeś?

— Kto odgadłby coś takiego? Dziewięć zer?

Tara pozwoliła, by to pytanie zawisło w powietrzu.

— Pamiętasz te poszukiwania, które na moją prośbę przeprowadziłeś dziś rano w swoim komputerze? Coś przyszło mi do głowy. To okropne, ale jedyne możliwe rozwiązanie. A te analizy, które wykonałeś, tylko potwierdziły moje podejrzenia.

Tara chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się.

— Dlaczego miałabym tego słuchać? — zapytała, wciąż grając na czas. — Widziałam twoje dane. Rejestr przestępstw, które popełniłeś. Wiem, dlaczego odszedłeś z FBI: byłeś winien śmierci tych dwóch policjantów i swojego szwagra. Z rozmysłem doprowadziłeś do nich mordercę.

Lash potrząsnął głową.

— Nie. Nie tak było. Próbowałem ich ocalić. Tylko domyśliłem się wszystkiego za późno. To była historia podobna do tej. Portret psychologiczny zabójcy był całkowicie niespójny. Edmund Wyre, nie czytałeś o nim w gazetach? Zabijał kobiety na przynętę, wypisując bzdury na ścianach. A w rzeczywistości namierzał prawdziwe ofiary: policjantów prowadzących śledztwo. Dopadł dwóch. Mnie nie zdołał zabić. Ta sprawa zniszczyła moje małżeństwo i na rok przyprawiła mnie o bezsenność.

Tara nic nie powiedziała.

— Nie rozumiesz? Zrobiono ze mnie kozła ofiarnego. Wrobiono. Ktoś dobrał się do moich danych i sfałszował je. I wiem, kim jest ten ktoś.

Podszedł do drzwi, obejrzał się.

— Muszę iść. Jednak ty musisz pójść gdzie indziej. Do

Zbiornika. Sprawdź interakcje sześciu awatarów — reprezentujących kobiety z pozostałymi sześciu superpar — względem awataru zero.

W oddali melodyjnie zadźwięczała winda. Tara usłyszała podniesione głosy i tupot nóg.

Lash drgnął. Oparł dłoń o framugę, szykując się do ucieczki. Potem posłał jej ostatnie spojrzenie i wyraz jego twarzy na zawsze zapadł jej w pamięć.

— Wiem, że chcesz, żeby to się skończyło. Zrób, co mówię. Przekonaj się sama, co się dzieje. Uratuj pozostałych.

Potem znikł bez słowa.

Tara powoli opadła na fotel. Spojrzała na zegar: niecałe cztery minuty.

Kilka sekund później do jej gabinetu wpadła grupa strażników z bronią w rękach. Ich przywódca — niski, krępy mężczyzna, w którym Tara rozpoznała Whetstone'a — szybko sprawdził pokój, a potem spojrzał na nią.

— Wszystko w porządku, pani Stapleton?

Stojący obok Whetstone'a strażnik zaglądał do jedynej w tym pokoju szafy. Kiwnęła głową. Whetstone odwrócił się do swoich ludzi.

— Musiał uciec tędy — rzekł, pokazując kierunek. — Dreyfuss, McBain, zabezpieczenie następne skrzyżowanie korytarzy. Reynolds, zostań ze mną. Sprawdźmy następne wejścia do kanałów.

Wybiegł truchtem z gabinetu, chowając broń do kabury i wyjmując krótkofalówkę.

Tara przez moment słuchała oddalających się kroków i głosów. Potem znów na korytarzu zrobiło się cicho.

Siedziała nieruchomo w fotelu, gdy zegar odmierzał kolejne pięć minut. Potem wstała i przeszła przez pokój, omijając plamy krwi. Przez sekundę wahała się, stojąc w progu, po czym wyszła i skierowała się do windy. Zbiornik znajdował się niedaleko.

Później jednak przystanęła, odwróciła się i poszła, nieco szybciej, z powrotem tam, skąd przyszła.

Centrum dowodzenia ochrony Edenu było dużym, podobnym do bunkra pomieszczeniem na dwudziestym piętrze wewnętrznej wieży. Siedziało w nim ponad dwudziestu ochroniarzy, śledząc komunikaty przesyłane przez czujniki i obserwując obrazy przekazywane przez kamery.

Edwin Mauchly stał sam przy konsoli. Na tuzinie ekranów mógł oglądać informacje z dowolnego z dziesięciu tysięcy strumieni danych przesyłanych przez urządzenia monitorujące: kamery przemysłowe, czujniki, klawiatury komputerów, skanery. Stojąc z założonymi z tyłu rękami, przenosił wzrok z jednego monitora na drugi.

Jakimś cudem w tej szalejącej burzy danych Christopher Lash pozostał nietknięty.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Mauchly nie odwrócił się — nie musiał. Po ciężkich i miarowych krokach oraz nagłej ciszy, jaka zapadła w pomieszczeniu, domyślił się, że przyszedł Sheldrake.

— Spóźnili się o pięć, może dziesięć sekund — powiedział Sheldrake, podchodząc do konsoli.

Mauchly postukał w klawiaturę.

— Spędził cztery minuty w biurze Tary Stapleton. Cztery

317

minuty, chociaż wiedział, że niebezpieczeństwo rośnie z każdą sekundą. Dlaczego to zrobił? — Znów postukał w klawisze. — Opuścił jej gabinet i skierował się na południe. Biegając korytarzem, przesunął bransoletką identyfikatora przez skanery

kilkunastu drzwi. Do którego z tych pomieszczeń wszedł — i czy w ogóle to zrobił — nie wiadomo.

— Moi ludzie właśnie je sprawdzają.

— Dokładność to ważna rzecz, panie Sheldrake. Mam jednak poważne podejrzenia, że już go nie ma na trzydziestym piątym piętrze.

— Wciąż trudno mi uwierzyć, że przemieszcza się kanałami transmisyjnymi — powiedział Sheldrake. — Są zaprojektowane do konserwacji, nie do chodzenia. Przeciskając się przez nie, z pewnością czuje się jak przepychacz do rur.

Mauchly pogładził się po brodzie.

— Powinien szukać wyjścia, uciekać z budynku. Zamiast tego pnie się w górę. Najpierw był na dwudziestym szóstym piętrze. Teraz na trzydziestym piątym.

— Czy może mu chodzić o kogoś lub o coś? Samobójstwo? Sabotaż?

— Brałem to pod uwagę. To możliwe, jeśli jest zdesperowany. Ale nie zrobił krzywdy Tarze Stapleton, a przecież to ona go wydała. Po prostu brak nam wystarczających danych o jego stanie psychicznym, żeby mieć pewność. — Mauchly popatrzył na ekrany. — Nie chcę odciągać zbyt wielu pańskich ludzi od poszukiwań. Jednak powinien pan umieścić straż przy najważniejszych instalacjach. I obstawić awaryjne wyjścia do apartamentu na najwyższym piętrze.

— Czy nie powinniśmy obstawić również włazów do kanałów? Teraz, kiedy już wiemy, którądy się przemieszcza, moglibyśmy urządzić zasadzkę.

— Pytanie tylko gdzie? Mamy tu zapewne ze sto mil tych kanałów, które dochodzą do każdej części budynku. I pięć razy więcej włazów. Nie możemy pilnować wszystkich.

Cofnął się od konsoli.

— On ma plan — rzekł bardziej do siebie niż do Shel-

318

drake'a. — Jeśli odgadniemy jaki, będziemy wiedzieli, gdzie zastawić pułapkę.

Potem odwrócił się.

— Chodźmy — rzekł. — Myślę, że powinniśmy porozmawiać z Tarą Stapleton.

## 49

W pomieszczeniu znanym jako Zbiornik zegary ściennie pokazywały 18.20. Zwykle byłoby tu pełno techników monitorujących przepływ danych, robiących notatki na palmtopach, pilnujących by proces doboru, będący sercem i duszą Edenu, przebiegał w pełni sprawnie.

Jednak tego wieczoru było tu pusto. Nikt nie obserwował danych wyświetlanych przez aparaturę i komputery. Jedynym dźwiękiem był szum mielonego powietrza, jedynym ruchem migotanie diod kontrolnych. Sala Zbiornika, jak reszta Edenu, została objęta ewakuacją.

Gdy zegary pokazały 18.21, z korytarza dobiegł cichy szcęk, rozsunęły się podwójne drzwi. Samotna postać ostrożnie zajrzała do środka. Potem weszła, zamknęła drzwi i cicho przeszła przez salę.

Kiedy Tara Stapleton szła korytarzami wewnętrznej wieży, uderzyła ją panująca w nich, pełna wyczekiwania cisza i pustka. Mimo to była zupełnie nieprzygotowana na to, co zobaczyła teraz. Była w tym pomieszczeniu setki, może nawet tysiące razy. Zawsze panował w nim ożywiony ruch. Zawsze jacyś ludzie stali przy Zbiorniku, urzeczeni widokiem awatarów, nieustannie krążących w swym cyfrowym wszechświecie. Teraz nie było żadnych widzów, a Zbiornik pozostawał ciemny i pusty. Proces przetwarzania danych klientów został wstrzymany, gdy

320

w wieżowcu ogłoszono fazę Delta, i nie zostanie wznowiony do czasu rozpoczęcia pracy przez poranną zmianę.

Podeszła do przedniej ściany Zbiornika. Wyciągnęła rękę i dotknęła chłodnej, gładkiej powierzchni. Wrażenie ogromnej głębi, aksamitnej ciemności, pozostało. Jednak pusty Zbiornik dziwnie wyglądał. Chociaż wiedziała, że awatary to tylko elektroniczne widma — binarne twory istniejące tylko we wnętrzu komputera — ich brak w Zbiorniku wydawał się czymś złym, przeciwnym naturze.

Przeniosła spojrzenie na ścienny zegar. Pokazywał 18.22. Dwadzieścia dwie po szóstej.

Podeszła do pobliskiej konsoli. Wystukawszy kilka poleceń, weszła do bazy danych Zbiornika i głównego archiwum klientów.

Zawahała się. Jako szef działu zabezpieczania danych miała wystarczająco wysokie uprawnienia, aby zrobić to, co proponował Lash. Jednak jej działania zostaną zarejestrowane, a każde naciśnięcie klawisza zapisane w rejestrze. Zapewne prędzej czy później będzie musiała wyjaśnić swoje postępowanie.

Potrząsnęła głową. To bez znaczenia. Jeśli Lash kłamał — jeśli cała ta historia była częścią jego szaleństwa, teorii spiskowej lub manii prześladowczej — ona zaraz się o tym dowie. Natomiast jeśli mówił prawdę...

Przez chwilę poruszała palcami, po czym zaczęła pisać. Nie wiedziała, co by to oznaczało, gdyby Lash mówił prawdę. Tak czy inaczej musiała to sprawdzić.

Wystukała następne polecenie. Ekran na moment ściemniał, po czym znów się rozjaśnił.

WŁASNOŚĆ EDEN INC.

KOMORA WIRTUALNEJ KONTROLI

KOMPATYBILNOŚCI KLIENTÓW

WERSJA 27.4.1.1

ŚCIŚLE TAJNE I ZASTRZEŻONE

WYMAGANE UPRAWNIENIA L-4, EXEC-D LUB WYŻSZE

321



## LICZBA WSZYSTKICH OSOBNIKÓW?

Patrząc na ekran, Tara nagle miała ochotę umieścić własny awatar w Zbiorniku, zobaczyć, jak jej cyfrowy wizerunek przemyka przez aksamitną ciemność. Czy długo trwało znalezienie awataru Matta Bolana? Stała przy konsoli kontrolnej. Znała na pamięć jego kod identyfikacyjny, mogłaby...

Przypomniała sobie, że nie ma czasu na takie nostalgiczne rozmyślenia. Ponadto nie robiła tego dla Lasha ani nawet dla Wilnerów czy Thorpe'ów. Robiła to dla siebie. Jeśli zdoła pomóc w rozwikłaniu tej zagadki, naprawić wszystko... może i dla niej nie będzie wtedy za późno.

Nabrała tchu. Potem wpisała jedną cyfrę: 2.

Na ekranie pojawił się nowy komunikat:

### WPROWADŹ KOD IDENTYFIKACYJNY AWATARU

Wystukała numer, który zobaczyła w swoim biurze, awatar pierwszego zarejestrowanego klienta: 000000000.

Niemal natychmiast Zbiornik rozjaśnił się poświatą. Pojawił się w nim samotny awatar, maleńki i kruchy w czarnej pustce: blade, opalizujące widmo nieustannie zmieniające barwę i kształt. Chwilami unosił się niemal nieruchomo, a czasem śmigał z ogromną szybkością.

Tara znów spojrzała na ekran. Otworzywszy osobne okno, wysłała zapytanie do archiwum klientów, szukając kodów identyfikacyjnych sześciu kobiet z pozostałych przy życiu superpar. Natychmiast otrzymała odpowiedź:

TORVALD LINDSAY E.	000462196
SCHWARTZ KAREN L.	000527710
MASON LYNN R.	000561044
YAMAZAKI MINAKO	000577327

CASTIGLIANO ANDREA	000630442
HERRERO MARIA	000688305

Wróciwszy do głównego menu, Tara wprowadziła numer Lindsay Thorpe. Natychmiast pojawił się następny awatar. Przesłała pisać i spojrzała przez ramię. Przy zaledwie dwóch obecnych w Zbiorniku awatarach proces doboru — zwieńczony pozytywnym lub negatywnym wynikiem — powinien zakończyć się bardzo szybko.

Patrzyła, jak oba awatary unoszą się w pustce, to pulsując nowymi kolorami, to przygasając. Zaczęły coraz szybciej zmieniać barwy, przyciągane do siebie przez algorytmy atrakcyjności. Przez krótką chwilę zwinnie krążyły wokół siebie, niczym tancerze w *pas de deux*. Nagle śmignęły ku sobie. Nastąpił oślepiająco jasny błysk i na ekranach monitorów rozpętała się cyfrowa burza, gdy miliony zmiennych — indywidualnych gustów, upodobań, emocji i wspomnień tworzących osobowość — w mgnieniu oka zostały przetworzone i porównane przez superkomputer, Lizę. Na ekranie pojawiło się nowe okienko:

RAPORT KONTROLI KOMPATYBILNOŚCI  
\$POCZĄTEK PRZETWARZANIA PO-  
RÓWNANIE PODSTAWOWE 9602194  
A-SHIFT NEG  
SUMA KONTROLNA 000000000: 4A32F  
SUMA KONTROLNA 000462196: 94DA7  
PENETRACJA DANYCH: SYMBOL 14A  
TOPOLOGIA KOLIZJI: SYMBOL 99  
LICZBA ARTEFAKTÓW: 0  
LICZBA ANOMALII: 0  
GŁĘBIA POLA PO PENETRACJI: 1948549,23 Mbit/s  
ROZMIAR KLASTRA: 4096  
POCZĄTEK PROCESU: 18:25:31:014 EST  
KONIEC PROCESU: 18:25:31:982 EST

323

KOMPATYBILNOŚĆ BADANYCH (MODEL HEURYSTYCZNY):  
97,8304912%  
ŚR. ODCH. STAND. +/- 0,00094%

## §KONIEC PRZETWARZANIA

Tara ze zdumieniem spoglądała na ekran. Awatar Lindsay Thorpe i awatar nieznanej osoby o kodzie 000000000 właśnie zostały szczęśliwie skojarzone. Nie była to superpara, jaką tworzyli Lindsay i Lewis Thorpe, ale 97,8 procent zgodności to całkiem niezły wynik.

Usunęła awatar Lindsay ze Zbiornika i — nieco szybciej — zaczęła wprowadzać awatary następnych kobiet, jeden po drugim. I jeden po drugim wszystkie okazały się zgodne z tym tajemniczym awatarem. Karen Wilner 97,1 procent, Lynn Connelly 98,9 procent.

Z rosnącym niedowierzaniem Tara wprowadziła trzy ostatnie kody. Te również okazały się zgodne.

Awatary wszystkich sześciu kobiet — z sześciu skojarzonych dotychczas przez Eden superpar — pasowały do tego jednego, tajemniczego awataru.

O co tu chodzi?

Czyżby awatar 000000000 był jakiegoś rodzaju mechanizmem kontrolnym i pasował do wszystkich awatarów w Zbiorniku? To było możliwe; chociaż znała proces, nie orientowała się we wszystkich jego technicznych niuansach.

Ponownie odwróciwszy się do komputera, wybrała pierwszego lepszego klienta i wprowadziła jego wirtualny obraz do Zbiornika z tajemniczym awatarem. Uzyskała 38 procent: brak zgodności.

Teraz Tara wprowadziła krótki program, który wybrał losowo awatary tysiąca kobiet, byłych lub obecnych klientek, po czym wprowadził je do Zbiornika, po sto naraz. Przez chwilę pełen widmowych kształtów Zbiornik wyglądał prawie normalnie. Tym razem przetwarzanie trwało nieco dłużej, lecz po pięciu minutach było po wszystkim.

324

Żaden z tysiąca awatarów nie pasował do tego 000000000.

Nagle napiętą ciszę przerwał sygnał telefonu komórkowego.

Tara drgnęła, zaskoczona, po czym z bijącym sercem chwyciła telefon. Po numerze poznała, że dzwoni ktoś z okręgu Connecticut, nie figurujący w jej spisie rozmówców. Odebrała.

— Halo?

— Tara? — Głos był cichy, zagłuszany przez trzaski, ale natychmiast go rozpoznała.

— Tak.

— Gdzie jesteś?

— Przy Zbiorniku.

— Bogu dzięki. I co...

— Później. Gdzie jesteś?

— W kanale, chyba niedaleko od ciebie. Zaraz...

— Zaczekaj.

Tara odłożyła komórkę.

Myślała o tym wszystkim, co powiedział jej Mauchly, wyjaśniając, że to Lash jest zabójcą. Myślała o kolacji i tym, co chciał jej powiedzieć Lash. O wyrazie jego twarzy, kiedy zjawił się w jej biurze i błagał, żeby zrobiła tylko to jedno. A najbardziej o tych sześciu superparach i tajemniczym awatarze o numerze identyfikacyjnym złożonym z samych zer.

Tara nie była impulsywną osobą. Zawsze sprawdzała dowody, ważyła wszystkie za i przeciw, zanim podjęła decyzję. W tym momencie wiele przemawiało przeciw. Jeśli Lash był zabójcą, znalazła się śmiertelnym niebezpieczeństwem.

A za? Pomoże niewinnemu. Rozwiąże zagadkę śmierci dwóch superpar. Może uratuje życie następnych.

Tara wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła dwa długie, wąskie paski ołowianej folii. Obróciła je w palcach. Może nie była impulsywna. Ale wiedziała, że tym razem podjęła decyzję dużo wcześniej, zanim weszła do tego pomieszczenia.

325

Podniosła telefon.

— Spotkaj się ze mną przed wejściem do sali Zbiorniku  
Jak najszybciej.

- Ale...
- Zrób to.

Rozłączyła się, przerwała proces doboru, wylogowała terminal, po czym odwróciła się plecami do ciemnego i pustego Zbiornika.

## 50

Kiedy Lash wyłonił się zza rogu, Tara już czekała. Szybko podszedł do niej.

— Dziękuję — powiedział. — Dziękuję, że zaryzykowałaś.

— Wyglądasz jeszcze gorzej niż przedtem – zauważyła.

Coś błysnęło w jej dłoni i przez moment Lash obawiał się, że to kajdanki. Potem zobaczył, że to dwa kawałki ołowianej folii. Patrzył, jak bierze go za krwawiącą dłoń i starannie owija folią bransoletkę.

— Co robisz? — zapytał.

— Neutralizuję skanery.

— Nie wiedziałem, że można to zrobić.

— Nikt nie powinien wiedzieć. Zdobyłam te kawałki, rozcinając fartuch ochronny w gabinecie radiologicznym znajdującym się na tym samym piętrze co moje biuro. Zyskamy trochę czasu.

Podniosła rękę: jej bransoletka była owinięta takim samym kawałkiem folii.

— Zatem mi ufasz — powiedział z bezgraniczną ulgą.

— Tego nie twierdzę. Jednak bez tej folii nie zdołałabym się dowiedzieć, czy kłamiesz, czy nie. Powiedz mi jedno. Zartowałaś, mówiąc, że do ciebie strzelali, prawda?

Lash przecząco pokręcił głową.

Jezu. Chodź, nie możemy tu sterczeć.

327

I poprowadziła go w głąb korytarza.

Dotarli do skrzyżowania, skręcili.

— Czego się dowiedziałas? — zapytał.

— Odkryłam, że awatar 000000000 pasuje do wszystkich tych sześciu kobiet.

— Niech to szlag. Wiedziałem!

W tym momencie Tara wepchnęła go do jakiegoś pomieszczenia. Lash rozejrział się.

— Przecież to damska toaleta!

— Mając nieaktywną bransoletę, nie mogę otworzyć żadnych drzwi. Tu przynajmniej możemy spokojnie porozmawiać. Mów.

— Dobrze.

Lash wahał się przez moment, zastanawiając się, co powiedzieć. To nie było łatwe nawet w kawiarni, a teraz, kiedy ze zmęczenia po długiej wspinaczce uginały się pod nim kolana i serce waliło jak młot, będzie jeszcze trudniejsze.

— Zdajesz sobie sprawę, że niczego nie mogę udowodnić — rzekł. — Wciąż brakuje najważniejszego dowodu. Jednak pozostałe elementy doskonale do siebie pasują.

Kiwnęła głową.

— Pamiętasz, co zacząłem ci mówić? O tym, że tylko ktoś bardzo wysoko postawiony w hierarchii Edenu mógł to zrobić? Wiedział wszystko o Lindsay Thorpe, sfalszował wyniki jej badań, zmienił zalecenia lekarza, podrobił dokumenty. Tak samo tylko ktoś mający do dyspozycji ogromne możliwości Edenu mógł sfabrykować moje dane, robiąc ze mnie psychopatycznego szaleńca. Ktoś, kto był w firmie już wtedy, gdy finansował ją PharmGen. Ktoś dostatecznie wysoko postawiony, żeby znać wyniki pierwszych badań klinicznych nad scolipanem. Ktoś, kto był w Eden Incorporated, od kiedy pierwszy klient przestąpił progi firmy.

— Co chcesz powiedzieć? — spytała.

— Dobrze wiesz. Osobą, która zrobiła to wszystko — osobą, która wzięła na cel superpary — jest awatar zero.

— A kto... — Słowa zamarły jej w gardle.

— Zgadza się. Awatar zero należy do Richarda Silvera.

— To niemożliwe.

Jednak Lash patrzył jej w oczy, kiedy to mówiła, i widział, jak jej myśli podążają tym samym tropem. Kto poza Silverem mógł mieć taki kod identyfikacyjny? Któż inny przez cały czas miał dostęp do systemu? Może w pewien podświadomy sposób już to odgadła. Może dlatego przyniosła na spotkanie te paski folii; może dlatego w ogóle przyszła.

Tara tylko pokręciła głową.

— Dlaczego?

— Tego jeszcze nie wiem. Nauczono nas, że jeśli poznamy motyw, poznamy wszystko inne: osobowość, zachowanie, sposobność. Jeszcze nie do końca rozumiem motywację. Tylko Silver może nam to wyjaśnić.

W oddali usłyszeli odgłosy rozmowy, trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Czekali, wstrzymując oddech. Znowu rozmowa, tym razem bliżej; zniekształcone głosy płynące z krótkofalówki. Potem znowu, teraz oddalające się. A potem cisza.

Lash powoli wypuścił powietrze.

— Przyszło mi to do głowy dziś rano w twoim biurze, kiedy awatar zero wciąż pojawiał się na początku listy. Jedyny awatar bez nazwiska. Jednak dopiero kiedy porozmawiałem z moim kolegą ze studiów, pracującym w Cold Spring, kiedy dostrzegłem powiązania z PharmGenem i scoliphanem oraz jego okropną reakcję z substancją P, wszystko ułożyło się w sensowną całość. A Silver, obserwujący to ze swojej wieży z kości słoniowej, musiał zrozumieć, że jestem już bliski rozwiązania zagadki. Dlatego tak dokumentnie mnie obsmarował.

— A co z Karen Wilner?

— Ledwie miałem czas wyjaśnić, co zdarzyło się Lindsay Thorpe. Jestem pewien, że i w tym drugim wypadku głównym powodem była substancja P. Na razie nie wiem, w jaki sposób Podano truciznę.

Tara przyglądała mu się.

— Nawet po tym wszystkim, co mi powiedziałeś, trudno



w to uwierzyć. Silver może jest odludkiem, ale to ostatni facet którego wzięłabym za zabójcę.

— Samotnicze skłonności to sygnał ostrzegawczy. On istotnie nie pasuje do profilu zabójcy. Tylko że, jak już mówiłem ten profil od początku jest pełen sprzeczności. Te morderstwa są jakby zbyt podobne do siebie. Popelnione bez polotu. Jakby dokonało ich dziecko. — Po chwili dodał: — Czy ja wyglądam na zabójcę?

— Nie.

— A mimo to mnie wydałaś.

— Może znów to zrobię. Nikt inny ci nie wierzy.

— Nikt inny nie wysłuchał mojej opowieści. Tylko ty.

— Wstrzymam się z moją opinią, dopóki nie usłyszę, co ma do powiedzenia Silver.

Lash z namysłem pokiwał głową.

— W takim razie pozostaje nam tylko jedno.

— Co masz na myśli?

Z oczu Tary Lash wyczytał, że ona już to wie.

# 51

Edwin Mauchly stał w ciszy pustego gabinetu Tary Stapleton i powoli się rozglądał. Postronnemu obserwatorowi te oględziny mogłyby wydać się pobieżne. A jednak niczego nie pominął: plakatów, roślin w doniczkach, idealnego porządku na biurku i trzech stojących za nim monitorów, sfatygowanej deski surfingowej opartej o ścianę.

Chociaż osobiście pomagał jej awansować i bez zastrzeżeń ufał jej zdolnościom, Tara pozostała dla niego zagadką. Zawsze elegancko ubrana, rzadko żartowała, a jeszcze rzadziej się uśmiechała. Nie traciła czasu na jałowe rozmowy czy plotki. Nieodmiennie poważna i oficjalna.

Ponownie spojrzął na deskę surfingową. Chociaż znalazła się tu za jego sprawą, zawsze go to dziwiło. Nie pasowało do niemal fanatycznej skrytości Tary, do muru, jakim otoczyła swoje życie osobiste. Nie popisywała się tą deską: gdyby chciała robić wrażenie, umieściłaby tu zdobyte na zawodach puchary, o których wiedział z zebranych na jej temat informacji. Nie — ta deska była tutaj wyłącznie z jakichś jej tylko znanych powodów.

Popatrzył na wykładzinę, na krople krwi widoczne przy drzwiach. W innych miejscach Lash nie zostawił żadnych lub prawie żadnych śladów. Tu były. Dlaczego? Gestykułował? Groził?

To prowadziło do najważniejszego pytania. Po co Lash w ogóle tu przyszedł? Dlaczego podjął takie ryzyko?

Zbyt wiele pytań. Mauchly odpiął od pasa krótkofalówkę i wcisnął guzik nadawania.

— Odbieram pana — powiedział głos z centrum dowodzenia.

— Kto tam? Gilmore?

— Tak, panie Mauchly.

— Powtórz mi jeszcze raz, co robiła pani Stapleton po tym jak Lash opuścił jej gabinet.

— Chwileczkę, proszę pana. — W głośniku rozległo się stukanie klawiszy. — Grupa pościgowa dotarła tam o osiemnastej sześć. O osiemnastej dwanaście pani Stapleton opuściła biuro i czujniki zarejestrowały jej obecność w laboratorium radiologicznym w głębi korytarza. Spędziła tam trzy minuty. O osiemnastej piętnaście wyszła z laboratorium i poszła do wind. Windą numer sto cztery pojechała cztery piętra do góry, na trzydzieste dziewiąte piętro. Czujniki prześledziły jej drogę do komory kontroli kompatybilności.

— Do Zbiornika.

— Tak, proszę pana. Otworzyła drzwi bransoletką identyfikatora o osiemnastej dwadzieścia jeden.

— Mów dalej.

— Bierne czujniki w sali Zbiornika potwierdzają, że była tam przez dziewięć minut. Potem nie ma nic.

— Nic? Jak to „nic”?

— Po prostu, proszę pana. Jakby znikła.

— Wysłano zespoły do Zbiornika?

— Już są na miejscu. Nikogo tam nie ma.

— Możecie sprawdzić dziennik terminalu, zobaczyć, z jakich korzystała danych?

— Właśnie to robimy.

— A co z Lashem? Jest coś nowego?

— Dziesięć minut temu czujnik wykrył jego obecność na trzydziestym siódmym piętrze. Potem, po kilku minutach, był już na trzydziestym dziewiątym.

332

— Na trzydziestym dziewiątym — powtórzył Mauchly. — W pobliżu Zbiornika?

— Tam po raz ostatni zarejestrowały go czujniki.

— A kiedy to było?

— O osiemnastej trzydzieści jeden.

Mauchly rozłączył się. Minutę po tym, jak stracili kontakt z Tarą. Na tym samym piętrze, w tym samym miejscu.

Mauchly spojrział na zegarek. Od piętnastu minut czujniki nie zarejestrowały obecności Lasha i Tary. To nie miało sensu — żadnego sensu.

Zastanowił się nad sytuacją. W wewnętrznej wieży nie zainstalowano kamer poza punktami kontrolnymi i windami. Wydawało się to niepotrzebne: w wyniku drakońskich środków bezpieczeństwa ta część budynku była tak usiana detektorami ruchu, że każdą osobę noszącą bransoletkę z identyfikatorem można było zlokalizować z dokładnością do dwudziestu stóp. Ponadto ograniczona liczba wyjść i posterunki kontrolne dawały pewność, że za Mur przedostanie się tylko upoważniony personel. Ta infrastruktura została zaprojektowana tak, aby chronić tajemnice firmy przed szpiegostwem przemysłowym: nie przygotowano planów awaryjnych na wypadek pościgu za mordercą.

Mimo to zabezpieczenia powinny spełnić swoją funkcję. Tylko w jeden sposób można było wyłączyć identyfikator w bransolecie, a tego ściśle strzeżonego sekretu Lash przecież nie mógł znać...

A może?

Ponownie włączył krótkofalówkę.

— Gilmore, chcę, żebyś skierował patrole gdzie indziej. Poślij je na trzydzieste ósme piętro i wyżej. Chcę mieć obserwatorów na klatkach schodowych i głównych korytarzach. Jeśli pojawi się tam ktoś nie należący do ochrony, chcę natychmiast o tym wiedzieć.

— Tak jest, proszę pana.

Mauchly schował krótkofalówkę do futerału. Potem wyszedł z biura i w zadumie poszedł korytarzem. W laboratorium radiologicznym panowała cisza niemal jak

w świątyni. Popatrzył na aparaturę, na błyszczące przyrządy z nierdzewnej stali.

Po co Tara tu przyszła?

Christopher Lash, psychopatyczny morderca, przed chwilą wpadł do jej biura. Czyżby nagle zachciało jej się wykonać jakieś dodatkowe badania? To też nie miało sensu.

Czy pomagała Lashowi? Mało prawdopodobne. Widziała dowody, wiedziała, jakie stanowi zagrożenie, nie tylko dla superpar, ale dla samego Edenu. Zawiadomiła Mauchly'ego o spotkaniu w kawiarni. Wydała im Lasha.

Czy mógł jej czymś zagrozić? To wydawało się równie mało prawdopodobne. Tara doskonale potrafiła się bronić. A Lash był nieuzbrojony — Mauchly sam to sprawdził.

Spróbował postawić się na jej miejscu, odtworzyć jej sposób myślenia. Jednak to udaje się tylko w stosunku do osób, które doskonale rozumiemy. A Mauchly wcale nie był przekonany, że rozumie Tarę. Był zaskoczony, niemal zaszokowany, kiedy dwa miesiące wcześniej wpadła do jego biura i poprosiła go, żeby użył swoich wpływów i umieścił ją w pilotażowym programie doboru dla pracowników. I był równie zdumiony, gdy po tym, jak wybrano jej partnera, zjawiła się w jego biurze z prośbą o usunięcie z programu. Pamiętał, że to był poniedziałek — dzień, w którym Christopher Lash po raz pierwszy przeszedł za Mur.

Lash. To wszystko jego sprawa. Był szaleńcem, wściekłym psem. Bardzo zaszkodził firmie. Koniecznie trzeba go powstrzymać, zanim wyrządzi większe szkody — być może nieodwracalne.

Mauchly sięgnął do kieszeni i wyjął glocka. Broń matowo załśniła w słabym oświetleniu laboratorium, przygaszonym po godzinach pracy. Sprawdził broń, upewniając się, że nabój jest w komorze, po czym schował glocka do kieszeni.

Ten wściekły pies nie ma dokąd uciec. A Mauchly potraktuje go tak, jak należy traktować wściekłego psa. Osaczy i zabije.

Krótkofalówka zapiszczała.

— Tu Mauchly.

334

— Panie Mauchly, tu Gilmore. Kazał pan meldować, jeśli zauważymy coś niezwykłego w wewnętrznej wieży.

— Zgadza się, Gilmore. Mów.

— Proszę pana, ktoś uruchomił windę. Kabina jest w ruchu.

— Co? — zirytował się Mauchly. — Będę musiał porozmawiać z Richardem Silverem. Nie może opuszczać swojego apartamentu, kiedy Lash grasuje w budynku. To niebezpieczne.

— Nie zrozumiał mnie pan. Winda nie zjeżdża. Jedzie na górę.

## 52

Kiedy opuścili klatkę schodową, Lash rozpoznał hol na trzydziestym piętrze. Był tu kiedyś. Tak jak reszta wewnętrznej wieży, to pomieszczenie również było ciemne i opuszczone. W kącie pod marmurową ścianą stał mop, pozostawiony w trakcie pospiesznej ewakuacji. Po obu stronach ciągnęły się szeregi drzwi do wind. W połowie tego po prawej stronie do holu sączyło się żółte światło. Tabliczka nad tymi drzwiami głosiła EKSPRESOWA DO PUNKTU KONTROLNEGO NR 2.

Tara czujnie się rozejrzała, a potem dała Lashowi znak, żeby szedł za nią.

— Po co tu przyleźliśmy? — mruknął.

To nie miało sensu: dopiero co przekradli się dziewięć pięter w dół — dziewięć pięter, na które przedtem wspiał się z takim trudem. Krew zasychała mu na podrapanej twarzy i dłoniach, bolały go wszystkie kończyny.

— Ponieważ to jedyna droga.

Tara zaprowadziła go do windy znajdującej się nieco na uboczu. Wprowadziła kod, wciskając klawisze na umieszczonym obok panelu.

Lash natychmiast zrozumiał. W tej windzie też był — nawet więcej niż raz.

Czekał, spodziewając się, że zaraz do holu wpadnie gromada strażników z bronią w rękach. Kabina windy oznajmiła swoje

336

przybycie głośnym dzwonkiem, drzwi otworzyły się i pospiesznie weszli do środka.

Tara obróciła się do panelu z trzema nie oznakowanymi przyciskami. Pod nimi znajdował się skaner.

Obejrzała się na Lasha.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, że niezależnie co się stanie, będę musiała gęsto się z tego tłumaczyć?

Lash kiwnął głową, czekając, aż wciśnie guzik, lecz Tara ani drgnęła. Nagle zaczął się bać, że zmieniła zdanie, że wciśnie przycisk sprowadzający kabinę na dół, że wyda go Mauchly'emu i jego oprawcom. Jednak po chwili westchnęła, zakłęła, ściągnęła folię z bransoletki i podsunęła przegub pod czytnik. Później wcisnęła górny guzik.

Kiedy kabina zaczęła jechać w górę, Tara zabrała się do ponownego owijania bransoletki folią. Zaraz jednak zgmiotła folię w kulę i upuściła na podłogę.

— Jaki to ma sens? I tak jestem załatwiona. — Popatrzyła na Lasha. — Jest coś, o czym powinienes wiedzieć.

— Co takiego?

— Jeśli się mylisz, Mauchly będzie najmniejszym z twoich zmartwień. Sama cię zabije.

Lash kiwnął głową.

— Jasne.

Milczeli, a kabina jechała w górę.

— Lepiej złap się czegoś — powiedziała w końcu Tara.

— Co?

— Jako szef działu ochrony danych mam dostęp do tej windy. Na wypadek zagrożenia: pożaru, trzęsienia ziemi, ataku terrorystycznego.

— Masz na myśli to, co Mauchly mówił o fazach zagrożenia? Alfa, Beta i tak dalej.

— Nie ogłoszono alarmu, tylko stan podwyższonej gotowości. To ogranicza moje uprawnienia.

Do czego zmierzasz?

Do tego, że drzwi windy się nie otworzą. Dojedziemy do apartamentu na najwyższym piętrze i zatrzymamy się tam.

337

Jakby w odpowiedzi winda zwolniła i zatrzymała się. Nic było gongu ani szmeru otwierających się drzwi: kabina po prostu stała nieruchomo w najwyższym punkcie szybu.

Lash spojrzął na Tarę.

— I co teraz?



— Postoimy tak minutę lub dwie, aż układ przywoływania się zresetuje. Potem winda zjedzie tam. — Wskazała palcem na najniższy przycisk. — Do prywatnego garażu w podziemiu.

— Gdzie niewątpliwie będzie czekał komitet powitalny — rzekł kwaśno Lash. — Jeśli te drzwi się nie otworzą, to po co w ogóle tu wjeżdżaliśmy?

Pokazała mu klapkę pod panelem kontrolnym.

— Przestań zadawać pytania i złap się czegoś.

Gdy otworzyła klapkę, Lash zobaczył telefon, latarkę i śrubokręt z długą rączką. Tara wsunęła sobie śrubokręt za pasek spodni, a potem wyprostowała się, wypychając palce w szparę między połówkami drzwi. Lash złapał się uchwytu.

Kabina zaczęła zjeżdżać. Tara natychmiast wepchnęła palce głębiej w szczelinę i rozciągnęła drzwi. Winda zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem. Lash zatoczył się na ścianę, rozpaczliwie ściskając uchwyt.

Teraz widać było zewnętrzne drzwi, z metalowych, chowających się płyt. Zaparłszy się nogą o wewnętrzne drzwi, Tara pociągnęła za jedną z nich. Zewnętrzne drzwi zaczęły się otwierać, odsłaniając betonową ścianę szybu. Ta sięgała Lashowi do piersi. Powyżej widział wnętrze apartamentu. Z tej perspektywy wyglądało niepokojąco, jak ogromny pokój widziany oczami dziecka.

— Jezu — westchnął Lash. — Gdzie się tego nauczyłaś?

— W wieżowcu akademika na pierwszym roku studiów. No już, wysiadaj.

Lash podciągnął się, przerzucił nogę na drugą stronę, upadł na wykładzinę i wstał.

— Teraz przytrzymaj drzwi, żebyśmy mogła wyjść. Zewnętrzne i wewnętrzne.

Lash zrobił, co kazała. Po chwili Tara stała przy nim, wycierając dłonie o spodnie. Wyjęła zza paska śrubokręt i klękawszy przy unieruchomionej kabinie, wepchnęła go w szparę między drzwiami a podłogą. Drzwi znieruchomiały, zaklinowane.

— To żeby zatrzymać nieproszonych gości?

Tara skinęła głową.

— Z pewnością można się tu dostać nie tylko windą.

— Oczywiście. Są również schody z wewnętrznej wieży, prowadzą do wjazdu ewakuacyjnego.

— No to po co to wszystko? — Lash wskazał zablokowane drzwi.

— Schody są tylko na wypadek nadzwyczajnej sytuacji. A wjazd otwiera się od góry, nie od dołu. Tak życzył sobie Silver. Masz piętnaście, może dwadzieścia minut, zanim go sforsują. — Zmierzyła go chłodnym, poważnym spojrzeniem. — Pamiętasz, że przyszedłam tu tylko wysłuchać, co ma do powiedzenia Silver.

Tyle czasu powinno wystarczyć.

Za szklanymi ścianami na Manhattanie zapadał zmrok. Zachodzące słońce słało swe pomarańczowe promienie światła w kaniony drapaczy chmur. Zgromadzona przez Silvera kolekcja mechanizmów rzuciła długie cienie na fotele i stoły. Oprócz tych starych maszyn pokój był pusty.

— Nie ma go tu — powiedziała Tara.

Lash dał jej znak, żeby poszła za nim do drzwiczek w regale. Nie miały klamki. Przesunął dłonią po obrysie drzwi, naciskając to tu, to tam. W końcu usłyszał cichy trzask ukrytego zamka i drzwi się otworzyły.

Teraz Tara miała zdziwioną minę. Jednak cenne sekundy szybko mijały i Lash pospieszył z nią długimi, wąskimi schodami do części mieszkalnej.

Na korytarzu dzielącym apartament na dwie połowy było cicho. Znajdujące się po obu stronach drzwi z polituowanego drewna były pozamykane.

Lash zrobił krok naprzód. Co powinien teraz uczynić? Uprzejmie odkaszląć? Zapukać? Zdesperowany, rozpaczliwie szukał jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

Podszedł do pierwszych drzwi i uchylił je. Zobaczył prywatną salę gimnastyczną, którą już widział, lecz między sztangami bieżnią i innymi przyrządami nie było Silvera. Cicho zamknął drzwi i podszedł do następnych.

Ten pokój najwyraźniej pełnił funkcję biblioteki: pod ścianami stały metalowe regały pełne czasopism komputerowych i fachowych periodyków. Dalej była spartańsko urządzona kuchnia: poza ogromną lodówką była tam tylko zwyczajna kuchenka gazowa, mikrofalówka, szafki na naczynia kuchenne i sypanie produkty oraz stół z jednym krzesłem. Lash zamknął drzwi.

To na nic: zdołał jedynie odwlec nieuniknione. Z tego, co wiedział, Silver ewakuował się razem z innymi. Wkrótce dotrą tu strażnicy. Za włamanie do apartamentu założyciela Edenu pewnie od razu go zastrzelą. Spojrzał na Tarę bliski rozpaczy.

I nagle zaparło mu dech. Za jej plecami dostrzegł czarne drzwi na końcu korytarz Ryły uchylone, a przez szparę sączyło się żółte światło.

Lash pospiesznie ruszył w tamtym kierunku. Przystanął na moment. A potem lekko pchnął drzwi.

Ten pokój wyglądał tak samo jak poprzednio: stojaki z aparaturą, szum niezliczonych wentylatorów, pół tuzina terminali ustawionych rzędem na długim drewnianym stole. A przed nimi, na niskim fotelu, siedział Richard Silver.

— Christopherze — rzekł poważnie. — Wejdz, proszę. Czekałem na ciebie.

## 53

Lash ruszył naprzód. Richard Silver przeniósł spojrzenie na Tarę.

— I pani Stapleton. Kiedy Edwin zadzwonił kilka minut temu, powiedział, że pani również może się pojawić. Nie rozumiem.

— Przyszła tu wysłuchać pańskiej wersji zdarzeń — odparł Lash.

Silver uniósł brwi. Miał na sobie inną hawajską koszulę w palmy i muszle. Jego znoszone czarne dżinsy były starannie uprasowane.

— Doktorze Silver — ponownie zaczął Lash.

— Proszę, Christopherze. Mówi mi Richard. Mówiłem ci już.

— Musimy porozmawiać.

Silver skinął głową.

— W ciągu kilku ostatnich godzin moje życie diabli wzięli.

— Owszem, wyglądasz okropnie. W łazience mam apteczkę, może chcesz, żebym ci ją przyniósł?

Lash zbył to machnięciem ręki.

— Dlaczego nie jesteś zdziwiony?

Silver milczał.

— Wyniki moich badań lekarskich zostały sfałszowane. Dodano nieprawdziwe informacje o moich młodzieńczych wy-

341

brykach seksualnych. Historię mojej służby w FBI zmienione w sposób uwłaczający zabitym kolegom. Przypisano mi wiele przestępstw. Sfabrykowano dowody łączące mnie ze śmiercią zarówno Wilnerów, jak i Thorpe'ów. Bilety lotnicze, rezerwacje w hotelach, zapisy rozmów telefonicznych. Znam tylko jedną

osobę, która mogła to zrobić, Richardzie: ciebie. Jednak Tara nie jest przekonana. Chce usłyszeć, co masz do powiedzenia.

— Prawdę mówiąc, Christopherze — chociaż niechętnie to mówię — to chyba ty powinienes się wytłumaczyć. Powiedz mi coś. Twierdzisz, że sfabrykowałem mnóstwo obciążających cię dowodów. Jak miałem to zrobić?

— Masz możliwości. Dzięki Lizie masz dostęp do baz danych największych firm telekomunikacyjnych, przewozowych i hotelarskich, placówek służby zdrowia, banków. I masz możliwości, nieograniczone możliwości, pozwalające ci zmieniać archiwa.

Silver powoli pokiwał głową.

— To chyba prawda. Mogłem to zrobić, gdybym miał dość czasu. I wyobraźni. Tylko pytanie po co?

— Aby ukryć tożsamość prawdziwego mordercy.

— Którym...

— Jesteś ty, Richardzie.

Silver zamilkł na moment.

— Ja — powiedział w końcu.

Lash przytaknął. Silver pokręcił głową.

— Edwin powiedział, że mam cię zająć rozmową, ale tego już za wiele. — Spojrzał na Tarę. — Pani Stapleton, czy naprawdę sądzi pani, że mógłbym zabić te kobiety? Jak miałbym to zrobić? I dlaczego? A czemu miałbym potem zadawać sobie tyle trudu, żeby rzucić winę na Christophera, akurat na niego?

Silver mówił to spokojnie, trzeźwo, z lekką urazą. Nawet Lash z trudem mógł sobie wyobrazić, że twórca Edenu popełnił te zbrodnie. Jeśli jednak to zrobił, nie było dla niego nadziei.

— To ty jesteś mordercą, Christopherze — rzekł Silver, znów zwracając się do niego. — Nie potrafię wyrazić, jak przykro mi to mówić. Rzadko zawieram przyjaźnie, ale ciebie

342

zacząłem traktować jak przyjaciela. Tymczasem ty zagroziłeś zniszczeniem wszystkiego, co stworzyłem. Nadal nie mogę pojąć dlaczego.

Lash zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

— Krzywdząc mnie, niczego nie osiągniesz — powiedział pospiesznie Silver. — Widzę, że unieruchomiłeś windę, ale

mimo to Edwin i jego ludzie będą tu za kilka minut. Byłoby lepiej dla wszystkich, włącznie z tobą, gdybyś się poddał.

— I dał się zastrzelić? Czy taki wydałeś rozkaz: strzelać tak, żeby zabić?

Na te słowa uraza i zdziwienie znikły z twarzy Silvera.

Patrząc na niego i słuchając go, Lash zrozumiał, że może go pokonać tylko jedną bronią: swoją wiedzą. Jeśli zdoła zmęczyć Silvera, znaleźć typowe dla szaleńca rozbieżności słów i czynów, może będzie miał szansę.

— Przed chwilą zapytałeś mnie, dlaczego miałbyś popełnić te morderstwa — ciągnął. — Miałem nadzieję, że okażesz się mężczyzną i sam mi to powiesz. Jednak zmuszasz mnie, żebym ci to udowodnił. A to oznacza konieczność przeprowadzenia analizy psychologicznej. Twojej osobowości.

Silver obserwował go czujnie.

— Jesteś nieśmiałym samotnikiem, źle czującym się w towarzystwie. Zapewne bardzo nieporadnym w kontaktach z pięcią przeciwną. Może uważasz się za niezdarnego lub nieatrakcyjnego. Z innymi ludźmi kontaktujesz się za pośrednictwem poczty elektronicznej lub wideotelefonu, lub Mauchly'ego. O twoim dzieciństwie niewiele wiadomo: może starałeś się ukryć prawdę o nim. Żyjesz tu jak mnich, zamknięty z własnym tworem — który, nawiasem mówiąc, ma kobiecy głos oraz imię — poświęcając cały swój czas doskonaleniu go. I czy to nie wymowne — bardzo wymowne — że postanowiłeś wykorzystać dzieło swego życia do łączenia samotnych ludzi?

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, mówił dalej:

Oczywiście, jest wiele nieśmiałych osób. Wielu ludzi źle się czuje w towarzystwie. Skoro popełniłeś te morderstwa, twoja historia musi być o wiele bardziej złożona. — Milczał

chwile, przyglądając się Silverowi. — Co możesz nam powiedzieć o awatarze zero? Tak się składa, że ten awatar doskonale pasuje do awatarów wszystkich kobiet z tych sześciu superpar Silver nie odpowiedział, tylko nagle zbladł.

— To twój awatar, prawda? Reprezentacja twojej osobowości, pozostawiona w systemie z czasów wstępnych testów oprogramowania Edenu. Po prostu nie usunąłeś go po wdrożeniu aplikacji. W tajemnicy sprawdzałeś, jak pasowałby do prawdziwych kandydatek. Pokusa znalezienia sobie partnerki okazała się zbyt wielka. Nie wytrzymałbyś, gdybyś tego nie sprawdził. Tylko że z tą wiedzą też nie mogłeś żyć.

Silver zdążył już się opanować i z jego twarzy nic nie dało się wyczytać.

Lash zwrócił się do Tary.

— Z punktu widzenia psychologa widzę tu dwie możliwości. Pierwsza to ta, że mamy do czynienia ze zwyczajną socjopatyczną osobowością, osobą nieodpowiedzialną i samolubną, pozbawioną moralności. Socjopata byłby zafascynowany tymi sześcioma kobietami, które wybrano mu jako idealne partnerki. Jednocześnie pragnąłby ich i obawiałby się. I byłby szalenie zazdrosny o każdego innego mężczyznę, który ośmieliłby się je pojąć. W literaturze opisano mnóstwo takich przypadków.

Ponownie zamilkł na chwilę.

— Czy ta hipoteza ma jakieś luki? Tak. Socjopaci rzadko bywają tak błyskotliwi. Ponadto rzadko miewają wyrzuty sumienia z powodu popełnionych czynów. Tymczasem sądzę, że Richard bardzo się nimi przejmuje. A przynajmniej część jego osobowości.

Znów zwrócił się do Silvera.

— Znam prawdę o Thorpe'ach, o ich ponownym badaniu lekarskim i zawiżonej dawce scolipanu. A w jaki sposób podałeś truciznę Karen Wilner?

To pytanie zawisło w powietrzu. W końcu Silver odkaslnął.

— Niczego jej nie podałem. Nikogo nie zabiłem. — Teraz jego głos brzmiał inaczej: był bardziej ochryply, ostrzejszy. — Pani Stapleton, chyba pani widzi, że tonący brzytwy się chwytą.

Doktor Lash jest tak zdesperowany, że jest gotowy powiedzieć i zrobić wszystko, żeby się uratować.

— Zajmijmy się więc drugą, bardziej prawdopodobną hipotezą — rzekł Lash. — Richard Silver cierpi na zespół zaburzeń osobowości. Powszechnie nazywany rozdwojeniem jaźni.

— To mit — prychnął Silver. — Bujda.

— Chciałbym, żeby tak było. Właśnie jedna z moich pacjentek cierpi na takie zaburzenia. Są bardzo trudne do wyleczenia. Zazwyczaj są efektem przykrych doświadczeń z dzieciństwa. Molestowania seksualnego albo fizycznych lub emocjonalnych cierpień. Na przykład moja obecna pacjentka miała agresywnego, surowego ojca. Dla niektórych dzieci takie traumatyczne przeżycia są nieznośne. Dzieci nie są na tyle duże, aby zrozumieć, że to nie ich wina. Szczególnie jeśli dręczą je osoby pozornie darzące je miłością. W takich wypadkach może dojść do rozszczepienia osobowości. Krótko mówiąc, tworzą inne osoby, które mają cierpieć za nich. — Popatrzył na Silvera. — Dlaczego swoje dzieciństwo otaczasz taką tajemnicą? Dlaczego lepiej czujesz się w obecności komputera niż innych ludzi? Czy miałeś agresywnego i surowego ojca?

— Zostaw w spokoju moją rodzinę — rzekł Silver.

Po raz pierwszy Lash usłyszał w jego głosie nutę prawdziwego gniewu.

— Czy tacy ludzie wydają się normalni? — spytała Tara.

— Jak najbardziej. I doskonale radzą sobie w życiu.

— Są inteligentni?

Lash kiwnął głową.

— Nadzwyczaj.

— Nie mów mi, że w to wierzysz — powiedział Silver do Tary.

— Czy tacy ludzie zdają sobie sprawę, że mają inne osobowości? — zapytała Tara.

— Zazwyczaj nie. Zauważają luki czasowe, kiedy nie mają Pojęcia, co się z nimi działo przez pół dnia. Celem leczenia jest doprowadzenie do tego, żeby pacjent pogodził ze sobą wszystkie swoje osobowości.

Gdzieś z dołu dobiegł głuchy łoskot. Nie był zbyt głośny,



ale podłoga laboratorium lekko zadygotała. Wszyscy troje wymienili spojrzenia.

Cała ta sytuacja zaczęła się Lashowi wydawać lekko surrealistyczna. Oto siedział, snując teorie, podczas gdy w każdej chwili mogli tu wtargnąć uzbrojeni ludzie, gotowi go zastrzelić. Jednak już prawie skończył. Nie pozostało mu już wiele do powiedzenia.

— W takich wypadkach zwykle jedna osobowość jest dominująca — podjął. — Często jest to normalna, „dobra” osobowość. To inne osobowości żywią uczucia, które dla dominującej są zbyt niebezpieczne. — Wskazał na Silvera. — Tak więc pozornie Richard jest tym, kim się wydaje: błyskotliwym programistą o samotniczych skłonnościach. Człowiekiem, który — jak sam mi powiedział — uważa, że odpowiada za swoich klientów tak samo jak lekarz. Obawiam się jednak, że istnieje jeszcze inny Richard Silver, którego nie pozwala nam dostrzec. Ten Richard Silver, dla którego idealna partnerka była zarówno zagrożeniem, jak i nieodpartą pokusą. I jeszcze inny, groźniejszy Richard Silver, który czuł morderczą zazdrość na myśl o tym, że inny mężczyzna mógłby posiadać taką idealną kobietę.

Zamilkł. Silver spoglądał na niego groźnie błyszczącymi oczami, zaciskając wargi. Lash widział jego udrękę i gniew. A poczucie winy? Nie był pewien. A nie było czasu, ani chwili czasu...

Jakby na potwierdzenie, z dołu dobiegł następny głuchy huk.

— Edwin będzie tu za kilka minut — powiedział Silver. — I skończy się ta nieprzyjemna zabawa.

Lash nagle poczuł ogromne znużenie.

— To wszystko? Nie masz nic więcej do powiedzenia?

— A co mam powiedzieć?

— Mógłbyś wyznać prawdę.

— Prawdę. — Silver niemal wypluł to słowo. — Prawda wygląda tak, że obraziłeś i upokorzyłeś mnie tym pseudopsychologicznym bajdurzeniem. Skończmy więc ten cyrk. Dośćecznie długo to znosiłem. Jesteś winny czterokrotnego morderstwa: miej odwagę to przyznać.

— Zatem będziesz w stanie to znieść? Potrafisz skazać niewinnego człowieka na śmierć?

— Nie jest pan niewinny, doktorze Lash. Dlaczego nie zaakceptuje pan prawdy? Wszyscy to zrobili.

Lash zwrócił się do Tary.

— To prawda? W którą wersję prawdy ty wierzysz?

— Wersję — rzekł z pogardą Silver. — Jesteś seryjnym mordercą.

— Taro? — nalegał Lash.

Tara nabrała tchu i zwróciła się do Silvera.

— Wcześniej zapytał mnie pan o coś. Cytuję: „Czy naprawdę sądzi pani, że mógłbym zabić te kobiety?”.

Przez chwilę Silver miał zdziwioną minę.

— Tak, tak powiedziałem. Bo co?

— Dlaczego mówił pan tylko o kobietach? A co z mężczyznami?

— Ja... — Silver nagle zamilkł.

— Nie słyszał pan teorii Christophera, że tylko kobiety otrzymały zbyt dużą dawkę leku, który wywołuje samobójcze i mordercze skłonności. Zatem dlaczego pytał pan tylko o kobiety?

— To było czysto retoryczne pytanie.

Tara nic nie powiedziała.

— Pani Stapleton — rzekł nieco ostrzejszym tonem Silver. — Za kilka minut Lash zostanie obezwładniony i schwytany przez moich ludzi. Przestanie być zagrożeniem. Niech pani niepotrzebnie nie komplikuje sytuacji — także sobie.

Tara nadal milczała.

— Silver ma rację — powiedział Lash. W swoim głosie słyszał nutę goryczy. — Do niczego nie musi się przyznawać. Wystarczy, jeśli będzie trzymał język za zębami. Nikt mi nie uwierzy. I nic więcej nie mogę zrobić.

Tara jakby go nie słyszała. W zadumie spoglądała przed siebie. A potem nagle szeroko otworzyła oczy.

— Nie — powiedziała, mówiąc do niego. — Jest jeszcze coś.

# 54

W pokoju zapadła cisza. Przez moment Lash słyszał tylko szum wirujących wentylatorów.

— O czym ty mówisz? — zapytał.

W odpowiedzi Tara odciągnęła go na bok. Potem prawie nieostrzeżalnym ruchem głowy pokazała mu coś. Lash powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył stojący na końcu pomieszczenia profilowany fotel za osłoną z pleksioglasu.

— Liza? — zapytał bardzo cicho.

— Jeśli masz rację, Silver wchodził do systemu właśnie stąd. Może zostawił jakiś ślad, którym zdołasz pójść. A nawet jeśli nie, ona będzie wiedziała.

— Ona?

— Liza będzie miała rejestr działań Silvera. Musiał korzystać z wielu różnych podsystemów: łączności, medycznych, gromadzenia danych. Potrzebował dostępu do wielu zewnętrznych baz, żeby sfabrykować obciążające cię dowody. Również do wyników badań lekarskich Lindsay Thorpe. I różnych innych danych. Możesz ją o to zapytać.

— Zapytać?

— Czemu nie? To komputer zaprogramowany do wykonywania poleceń.

— Nie to mam na myśli. Nie mam pojęcia, jak się z nią porozumieć.

— Widziałeś, jak robił to Silver. Sam mi to mówiłeś przy drinku na dworcu. To więcej, niż ktokolwiek inny może powiedzieć.

Cofnęła się i spojrzała pytająco. Przecież to o twoją skórą tu chodzi, mówiło to spojrzenie. Gdybyś mówił prawdę, czy nie zrobiłbyś wszystkiego, żeby tego dowieść?

— O czym rozmawiacie? — zapytał Silver.

Czujnie obserwował tę wymianę zdań.

Lash spojrzał na fotel i wijące się wokół niego kable. To była ostatnia rozpaczliwa próba zdesperowanego człowieka. Jednak Tara miała rację. Nie miał nic do stracenia.

Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi z pleksi i szybko położył się na fotelu.

— Co ty wyprawiasz? — Głos Silvera zabrzmiał dziwnie głośno w ciasnym pokoiku.

Lash nie odpowiedział. Popatrzył wokół, przypominając sobie, co robił Silver. Przyciągnął monitor umocowany na teleskopowym ramieniu i przymocował mikrofon do podartego kołnierzyka koszuli.

— Nie możesz tego zrobić! — rzekł Silver.

Wstał powoli, jakby oszołomiony zuchwałością Lasha.

— A kto mnie powstrzyma? Ty?

Lash wziął elektrody i zaczął mocować je do skroni. Wrócił myślami do tego, co Silver powiedział o Lizie: o jej wysoko rozwiniętej inteligencji i trójwymiarowej sieci neuronowej. Próba interakcyjnego kontaktu z Lizą, nie mówiąc już o wyszukiwaniu potrzebnych informacji, wydawała się szczytem głupoty. Nie mógł jednak pozwolić na to, żeby Silver dostrzegł jego wahanie.

Podłączywszy przewody, sięgnął do konsoli i włączył EEG. Ekran przed nim rozjaśnił się; kilka kolumn liczb szybko przemknęło po nim i znikło. Lash spojrzał na pomocniczą klawiaturę i pisak przymocowane do jednego z podłokietników. Przypomniał sobie, jak Silver użył jej, zanim zaczął bezpośrednio porozumiewać się z Lizą. „Skupiam jej uwagę” — powiedział. Tak czy inaczej on też musi zwrócić jej uwagę. Sięgnął po pisak.

— Zejdź z tego fotela — ostrzegł Silver.

Teraz nerwowo przechadzał się po pokoju, jakby nie wiedząc co robić.

— Nie martw się. Nie zepsuję jej.

— Nie masz pojęcia, co robić. To nic ci nie da. Strata czasu.

W urażonym tonie głosu Silvera Lash usłyszał zdenerwowanie. Z zainteresowaniem spojrzął na jego nerwowe ruchy.

— Nie byłbym tego taki pewien.

— Nikt poza mną nie rozmawiał bezpośrednio z Liżą.

— Nie pamiętasz, co mi mówiłeś, kiedy byłem tu ostatnio? Powiedziałeś, że inni też mogliby się z nią porozumiewać przy odpowiednim przygotowaniu i koncentracji.

— Kluczowym słowem było słowo „odpowiednim”, Lash.

— Szybko się uczę.

Lash powiedział to z pewnością siebie, której wcale nie czuł. Oderwał wzrok od panelu i spojrzął na ekranik, po czym znów na panel. Skupić jej uwagę.

Na co reagują komputery? Na rozkazy. Na polecenia zawarte w programie.

Dotknął klawiatury i napisał:

szybki brązowy lis przeskoczył leniwego psa

Żadnej reakcji. Ekran pozostał ciemny.

— Doktorze Lash — mówił Silver. — Niech pan zejdzie z fotela.

Może spróbuję zadać pytanie. Lash wystukał:

dlaczego kruk przypomina biurko?

Znów żadnej odpowiedzi. Lash zacisnął zęby. Silver ma rację. To tylko strata czasu. W każdej chwili Mauchly może wtargnąć do apartamentu. I to będzie koniec.

Spojrzął przez ściankę z pleksi. Silver przestał się przechadzać i z gniewną miną ruszył w jego stronę.

Nagle na małym ekranie rozpuętała się cyfrowa burza. Lash usłyszał głos. Był to ten głos, który pamiętał: głęboki, kobiecy, dobiegający zewsząd, a zarazem znikąd.

— Dlaczego kruk przypomina biurko? — zapytał głos.

— Tak — powiedział do mikrofonu Lash.

— Nie rozumiem natury tego zapytania.

— To zagadka — wykrztusił Lash.

— Nieudana próba zinterpretowania wyrażenia.

— Zagadka — powtórzył Lash, starając się mówić powoli i wyraźnie. — Cytat z pewnej słynnej książki.

Silver przystanął i uważnie słuchał.

— Nie jesteś Richardem — stwierdził kobiecy głos.

Powiedział to zupełnie obojętnie, więc Lash nie był pewien, czy to stwierdzenie, czy pytanie.

— Nie — odparł.

— Twój obraz i spektrum głosu są znane. Jesteś Christopher Lash.

— Tak.

Komputer nie powiedział nic więcej. Lash czuł, że serce zaczyna mu bić coraz szybciej, i starał się uspokoić. Co miał powiedzieć? Przypomniał sobie pytanie, które zadał Silver, i postanowił je powtórzyć.

— Lizo — rzekł do mikrofonu. — Jaki jest twój aktualny stan?

— W dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek dwa dwa cztery procent sprawna. Bieżące procesy zajmują dwadzieścia dwa przecinek sześć procent wydajności wielowątkowej. Pamięć w stu procentach nieobciążona cyklami obliczeniowymi. Dzięki, że zapytałeś.

— Przestań! — rzucił gniewnym szeptem Silver.

— Odbieram obraz Richarda — powiedziała Liza. — Identyfikuję spektrum jego głosu. Jednak to nie Richard ze mną rozmawia. Ciekawe.

Ciekawe. Silver powiedział mu, że uczynił ciekawość jedną z podstawowych cech Lizy. Może uda się to wykorzystać.

— To ja, Christopher Lash, rozmawiam z tobą.

— Christopher — powtórzył głos, z ledwie słyszalnym przydzwiękiem generowanej cyfrowo mowy.

Lasha ponownie zdziwił sposób, w jaki Liza wymówiła jego imię, niemal jakby je smakując. Po latach rozmawiania wyłącz nie z Silverem rozmowa z innym człowiekiem istotnie był: dla niej czymś nowym.

— Dlaczego to ty ze mną rozmawiasz, a nie Richard? — zapytała Liza.

Lash zawahał się. Musiał formułować swoje odpowiedzi w taki sposób, żeby podtrzymać jej zainteresowanie, en co-raz bardziej wyglądało na jedyną szansę kontynuowania tej rozmowy.

— Ponieważ sytuacja w Edenie stała się niestandardowa.

— Wyjaśnij.

— Najlepszą metodą wyjaśnienia będzie zadanie ci szeregu pytań. Mam twoją zgodę?

— Zgoda to nieznane pojęcie. Obce mojemu doświadczeniu. Nie mam uwzględniających ją scenariuszy. Przeprowadzam ocenę.

— Jak długo to potrwa?

— Pięć milionów dwieście czterdzieści pięć tysięcy cykli obliczeniowych plus minusz dziesięć procent, zakładając skuteczną implementację algorytmu selekcji.

To nic Lashowi nie mówiło.

— Mogę zadawać pytania w trakcie trwania tej oceny?

— Nieudana próba zinterpretowania wyrażenia. Użyto zbyt wieloznacznego czasownika.

— Czy mogę zadawać pytania podczas procesu oceny?

— Christopherze.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Postanowił uznać to za zielone światło.

— Lizo, czy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin Richard korzystał z tego interfejsu, aby uzyskać dostęp do moich danych?

Silver nagle rzucił się do drzwi z pleksi. Lash zablokował je wyciągniętą ręką.

— Lizo — powtórzył, zamykając drzwi. — Czy Richard wykorzystał ten interfejs, aby uzyskać dostęp do moich danych?

Żadnej odpowiedzi.

Czy zastanawia się nad tym pytaniem? — myślał Lash. Czy nie chce na nie odpowiedzieć?

— Lizo? — zapytał. — Czy rozumiesz moje pytanie?

Nagle coś sobie przypomniał: znużenie, z jakim Silver odczepiał elektrody, kiedy wstawał z fotela. „Sesje z Lizą bywają bardzo wyczerpujące — powiedział. — Wymagają ogromnej koncentracji. Te czujniki na skroniach ułatwiają komunikację. Częstotliwość i amplituda fal beta lub theta mogą przemawiać wyraźniej niż słowa”.

Może, w tej niezwyklej sytuacji, sama ciekawość nie wystarczyła Lizie. Po raz pierwszy porozumiewała się z kimś innym niż Silver. Jasność i prostota wypowiedzi miały kluczowe znaczenie.

„Wymagają ogromnej koncentracji. Te czujniki na skroniach ułatwiają komunikację”.

Lash nie wiedział, w jaki sposób Silver się koncentrował. Mógł jedynie liczyć na uspokajające techniki relaksacyjne, jakich sam uczył pacjentów. Może wystarczy autohipnoza połączona ze stanem wzmożonego czuwania. Jeśli uda mu się uspokoić, ochłonąć, uwolnić umysł od bagażu zbędnych...

Zaczął tak, jak robił w swoim gabinecie, rozmawiając z pacjentem. Wyobraź sobie jakąś uspokajającą scenę. Najbardziej uspokajającą scenę, jaką potrafisz sobie wyobrazić. Pomyśl, że siedzisz na plaży. Jest słoneczny dzień.

Silver ponownie rzucił się do drzwi. Ręka Lasha lekko zgięła się w łokciu pod naporem, ale zaraz znów ją wyprostował. Usiłował zapomnieć o Silverze, Mauchlym, o swoim rozpaczalnym położeniu, o wszystkim.

Zamknął oczy. Zrób głęboki wdech. Wstrzymaj oddech. Teraz Wpuść powietrze, powoli. Znów wdech. Powinieneś być odprężony, zrelaksowany.

Liza wciąż milczała.



Powoli wszystkie dźwięki i wrażenia odplynęły w dal. Lash skupiał myśli na tej plaży, na łagodnym szumie fal.

Poczuj, jak opada ci głowa. Łagodnie opada ci na bok. Tera: rozluźniają się mięśnie szyi. Czujesz się lżejszy, oddycha., swobodniej.

— Christopherze — usłyszał bezcielesny głos Lizy.

— Tak.

Rozluźniają się mięśnie rąk, najpierw prawej, potem lewej. Niech opadną bezwładnie.

— Proszę, powtórz ostatnie pytanie.

Rozluźniają się mięśnie nóg, najpierw prawej, potem lewej.

— Czy Richard wykorzystał ten interfejs, aby uzyskać dostęp do moich danych?

— Tak, Christopherze.

— Czy były to dane wewnętrzne czy zewnętrzne?

Brak odpowiedzi.

Zrób powolny, głęboki wdech.

— Czy Richard korzystał z danych z twoich zasobów pamięci, czy z zasobów spoza Edenu?

— Z obu.

Skup się na plaży.

— Czy Richard Silver w jakikolwiek sposób modyfikował lub zmieniał te dane?

Żadnej odpowiedzi.

— Lizo, czy Richard Silver mody...

— Nie.

Nie? Czy Liza twierdziła, że Silver jednak nie modyfikował tych danych? Czy może odmawiała odpowiedzi? Jednak...

Nagle jego z trudem wypracowany spokój rozsypał się w gruzy. Lash nabrał tchu i spojrzał przez ścianką z pleksi. Silver cofnął się o kilka kroków i stał teraz obok Tary. Spoglądali na niego z zaniepokojonymi minami.

— Christopherze — mówił Silver. — Proszę, wyjdź stamtąd na chwilę. Muszę z tobą porozmawiać.

Liza przestała odpowiadać. W oczach Silvera Lash dostrzegł coś nowego: udrękę.

Silver sięgnął do kieszeni, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

— Edwin? — powiedział. — Edwinie, tu Richard.

Potem odsunął aparat od ucha, żeby Tara i Lash mogli usłyszeć odpowiedź.

— Tak, doktorze Silver — powiedział metaliczny głos Mauchly'ego.

— Gdzie teraz jesteście?

— Właśnie przechodzimy do wewnętrznej wieży.

— Zostańcie tam, gdzie jesteście. Nie ruszajcie się stamtąd, dopóki nie otrzymacie ode mnie dalszych poleceń.

— Może pan to powtórzyć, doktorze Silver?

— Powiedziałem: zostańcie na miejscach. Nie próbujcie wchodzić do apartamentu.

Tym razem Silver nie oderwał słuchawki od ucha.

— Wszystko jest w porządku. Tak, Edwinie, w najlepszym porządku. Niebawem znowu zadzwonię.

Jednak chowając komórkę do kieszeni, Silver wcale nie wyglądał najlepiej.

— Christopherze, musimy porozmawiać, i to natychmiast.

Lash nie zastanawiał się długo. Zdjął nogi z fotela, oderwał elektrody od czoła i opuścił stanowisko.

# 55

Mauchly przez chwilę spoglądał na swój telefon komórkowy, jakby wąpiąc, czy ten dobrze działa. Potem ponownie podniósł go do ucha.

- Może pan to powtórzyć, doktorze Silver?
- Powiedziałem: zostańcie na miejscach. Nie próbujcie wchodzić do apartamentu.
- Czy wszystko w porządku?
- Wszystko jest w porządku.
- Na pewno?
- Tak, Edwinie, w najlepszym porządku. Niebawem znowu zadzwonię.

I z cichym świergotem komórka umilkła.

Mauchly znów popatrzył na nią powątpiewająco.

Pomimo zniekształceń nie było wątpliwości, że ten głos należał do Silvera. Chociaż pobrzmiwał w nim dziwny ton, jakiego Mauchly jeszcze nigdy nie słyszał. Zastanawiał się, czy Lash zagroził Silverowi, czy trzyma go jako zakładnika w apartamencie. Jednak Silver nie sprawiał wrażenia przestraszonego. Jeśli już, to raczej bardzo zmęczonego.

- To był Silver? — zawołał z dołu Sheldrake.
- Tak.
- Jakie wydał rozkazy?
- Nie wchodzić do apartamentu. Zostać na miejscach.

— Żartuje pan?

— Nie.

Zapadła krótka cisza.

— No cóż, jeśli mamy pozostać na miejscach, to może wybierzemy sobie trochę wygodniejsze? Bo tu czuję się jak cyrkowy akrobata.

Mauchly zerknął w dół. Prośba wydawała się uzasadniona.

Ostatnie piętnaście minut spędzili na szczeblach długiej metalowej drabinki biegnącej po ścianie wewnętrznej wieży Ede-  
nu aż pod sam dach. Czekali, aż technik ochrony — senny, rozczochrany młodzian o nazwisku Dorfman — przechytryz mechanizm blokujący właz awaryjny i otworzy im drogę do apartamentu Silvera. To był długi kwadrans, wydłużany jeszcze bardziej przez twardość metalowych szczebli i nie cichnący hałas maszyn w przepastnej hali poniżej: generatorów i transformatorów dostarczających energii elektrycznej wiecznie głodnemu wieżowcowi. Chociaż Dorfman miał całe niezbędne wyposażenie, dobrze się natrudził.

Może Stapleton uporałaby się z tym szybciej. Gdyby chciała...

Jednak Mauchly nie zamierzał dłużej zastanawiać się nad problemem Tary Stapleton. Zamiast tego zanotował w pamięci, żeby przy najbliższej okazji dokonać zmian w procedurach zabezpieczających apartament.

Najwyraźniej pozwolił, by samotnicze skłonności Silvera przekroczyły rozsądne granice. Ostatni kwadrans był tego najlepszym dowodem. Kaprys, niebezpieczny kaprys. Mechaniczny taran zawiódł — zgodnie z oczekiwaniami — a najnowocześniejsza aparatura okazała się alarmująco powolna w działaniu. A gdyby Silver nagle zachorował i nie mógł się ruszać? W razie awarii windy spieszący z pomocą straciliby wiele cennych minut. Silver był po prostu zbyt cenny dla firmy, żeby tak ryzykować, i Mauchly powie mu to osobiście. Silver jest rozsądnym człowiekiem: zrozumie.

Teraz Mauchly spojrzął w górę. Drabina zniknęła we włazie na dach wewnętrznej wieży, prowadząc na otwartą przestrzeń między nim a podłogą apartamentu Silvera. Dorfman znajdował

się właśnie przy otwartej klapie włazu. Ochroniarz pytająco spoglądał na Mauchly'ego, jedną ręką ściskając szczebel drabiny, a w drugiej trzymając analizator stanów logicznych. Do pasa miał poprzyczepiane na linkach elektroniczne testery, wykrywacze i inne urządzenia.

— Dalej — zawołał Mauchly.

Dorfman przyłożył rękę do ucha.

— Dalej! Zaczekaj na nas w środku.

Dorfman kiwnął głową, po czym odwrócił się i oburącz chwycił metalową drabinę. Po chwili wspiał się wyżej i znikł im z oczu w ciemnościach apartamentu.

Mauchly spojrzął na stojącego niżej Sheldrake'a i dał mu znak, żeby poszedł za nim razem ze swoimi ludźmi. Niełatwo było dostać się do apartamentu Silvera, więc jeśli mają czekać, to równie dobrze mogą zaczekać w środku.

Zaczął piąć się po drabinie. Pokonał cztery szczeble i znalazł się we włazie prowadzącym na dach wieży; po następnych czterech w przestrzeni pod nadbudówką, w której mieścił się apartament. Jeszcze nigdy tu nie był i mimo woli przystanął, żeby się rozejrzeć.

Mauchly nie był obdarzony bujną wyobraźnią, ale powoli obracając się na pięcie i spoglądając wokół, poczuł lekki zawrót głowy. Ze wszystkich stron rozpościerał się mroczny metalowy krajobraz dachu wewnętrznej wieży. Wszędzie ciągnęły się rzeki kabli, których bieg raz po raz przerywały niezliczone obudowy tablic rozdzielczych. Około dziesięciu stóp wyżej, niczym gigantyczny nieboskłon, wisiało stalowe podbrzusze apartamentu. Było przymocowane do dachu wieży lasem pionowych dwuteowników. Z oprofilowanych otworów w nadbudówce wychodziły dwie metalowe rury, kryjące światłowody i znikające w dachu wewnętrznej wieży. W oddali widział trzecią, znacznie większą i prostokątną obudowę szybu prywatnej windy Silvera. Na obrzeżu dachu konstrukcję wzmacniał gąszcz poziomych wsporników, przez które wpadały promienie zachodzącego słońca. Obserwator oglądający tę ażurową konstrukcję z poziomu ulicy nigdy by nie odgadł, że skrywa

połączenie dwóch osobnych części budynku: wewnętrznej wieży i nadbudówki. Jednak stojący sześćdziesiąt pięter nad Manhattanem Mauchly miał wrażenie, że znalazł się między dwiema warstwami ogromnej metalowej kanapki.

I było coś jeszcze: coś bardziej niepokojącego. W obu dłuższych ścianach, w połowie odległości między tymi dwiema częściami, osadzono wielkie płyty, które rozsuwały się jak harmonijka. W ich stalowych krawędziach Mauchly dostrzegł trzy wycięcia: dwa na rury ze światłowodami, trzecie na szyb windy. Teraz te płyty były złożone, lecz w razie ogłoszenia alarmu złączyłyby się, odcinając apartament od wewnętrznej wieży. Widziane z góry masywne hydrauliczne tłoki, które poruszały tymi płytami, wyglądały jak sprężyny ogromnej pułapki na myszy.

— Panie Mauchly!?! — zawołał z dołu Sheldrake.

Mauchly otrząsnął się, mocniej chwycił drabinę i wspiął się przez właz awaryjny do przedsionka apartamentu.

Najpierw poczuł po prostu ulgę wywołaną tym, że znów ma solidne oparcie pod nogami. Zaraz potem lekki niepokój, gdyż w środku panowały egipskie ciemności.

— Dorfman!

W mroku obok niego rozległy się szmery.

— Jestem tutaj, panie Mauchly.

— Dlaczego nie zapaliłeś światła?

— Szukam włącznika, proszę pana.

Mauchly wstał i wyciągnął przed siebie ręce, aż dotknął metalowej ściany. Po omacku odnalazł drzwi — zamknięte — a potem poszedł dalej wzdłuż ściany, aż wrócił do włazu awaryjnego. Okrzyknął niewielkie pomieszczenie, ale nie znalazł włącznika.

Usłyszał szcęk i przez właz przecisnęła się jakaś postać, na moment zasłaniając sączące się z dołu, słabe światło.

— Sheldrake?

— Tak jest.

— Połącz się ze swoimi ludźmi na dole. Niech przyniosą tu latarki.

Postać znowu znikła we władze.

Mauchly stał, rozmyślając. Apartament na dachu miał siedem, kondygnacji. Kwatera Silvera zajmowała dwa najwyższe piętra. Ogromna przestrzeń pod nimi mieściła maszyny, które stworzyły Lizę.

Silver nigdy nie przejmował się interesami, pozostawiając kierowanie firmą zarządowi. Jedynym polem, na którym wykazywał zaborcze uczucia, był dział sprzętowy Lizy. W trakcie jego tworzenia Silver bywał tam codziennie, osobiście nadzorując instalację, a czasem nawet przenosząc skrzynie ze sprzętem przez niedokończone pomieszczenia. Mauchly pamiętał, że przez cały ten czas Liza działała na dużej liczbie dość starych komputerów, zasilanych z generatora prądotwórczego. Podłączanie sprzętu do sieci pod napięciem i przy działającym systemie było męczącym procesem. Jednak Silver nalegał. „Ona nie może stracić przytomności — powiedział Mauchly'emu. — Nigdy nie straciła i nie możemy dopuść do tego teraz. Liza nie jest jakimś tam komputerem osobistym, który można po prostu uruchomić ponownie. Ma za sobą długi okres pełnej świadomości. Kto wie, jakie dane mogłaby zapamiętać lub zmienić, gdyby wyłączyć zasilanie?”

Podobna obawa leżała u podstaw środków ostrożności, jakie podjął Silver, żeby strzec Lizę przed światem zewnętrznym. Mauchly wiedział, że z jakiegoś powodu inteligencja Lizy nigdy nie została przeniesiona z jednego komputera do drugiego. Zamiast tego nowe i wydajniejsze maszyny po prostu podłączano do starszych, tworząc coraz większą grupę komputerów kilku roczników i marek. Zespół potężnych superkomputerów przetwarzających dane przychodzące z zewnątrz — zbierane informacje, wyniki obserwacji klientów i inne — mieścił się w wewnętrznej wieży poniżej, monitorowany przez niezliczonych techników. Jednak jądro Lizy, kontrolująca wszystko inteligencja, znajdowało się tutaj, pod wyłączną opieką Silvera.

Od kiedy powstał ten budynek, noga Mauchly'ego nigdy nie powstała w dziale sprzętowym Lizy i teraz przeklinał się w duchu za to niedopatrzenie. Usiłował przypomnieć sobie wszystko,

co wiedział o czterech kondygnacjach na dole. Uświadomił sobie, jak tego jest niewiele. Silver zazdrośnie strzegł tych informacji, nawet przed nim

Mauchly ponownie przysunął się do drzwi, które wymacał przedtem. Przez chwilę obawiał się, że Silver mógł je zamknąć od środka. Jednak klamka obróciła się, gdy ją przekręcił. Kiedy drzwi się otworzyły, w końcu zapaliło się światło: nie lamp, lecz mnóstwa diod, migoczących czerwono, zielono i bursztynowo w aksamitnym mroku, ciągnących się w dal, która zdawała się nie mieć końca. Temu obrazowi towarzyszył nowy dźwięk: nie upiorne wycie transformatorów na dole, ale monotonny szum zapasowych generatorów i subtelniej szy podkład elektromechanicznych urządzeń.

Poleciwszy Dorfmanowi zaczekać na Sheldrake'a, Mauchly wszedł w mrok.



## 56

Silver ruszył pierwszy korytarzem wiodącym do drzwi, które otworzył zwykłym, staroświeckim kluczem. Pospieszenie poprowadził ich do niewielkiej sypialni, w której panował nie-naganny porządek i nie było żadnych ozdób. Wąskie łóżko ze swoim cienkim materacem i metalowymi rurkami przypominało wojskową pryczę. Obok niego stał stolik z nie pomalowanego drewna, na którym leżała Biblia. Z sufitu zwisała jedna goła żarówka. Ten pokój był tak spartański, tak bardzo pusty, że bez trudu mógł uchodzić za klasztorną celę.

Silver zamknął za sobą drzwi i zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Na jego twarzy malowały się sprzeczne uczucia. W pewnej chwili przystanął, odwrócił się do Lasha i wydawało się, że coś powie — ale zmienił zdanie.

W końcu znów obrócił się do niego.

— Myliłeś się — rzekł.

Lash czekał.

— Miałem cudownych rodziców. Czułych. Cierpliwych. Wrozumiałych. Myślę o nich codziennie. O zapachu płynu po goleniu mojego ojca, kiedy przytulał mnie po powrocie z pracy. O tym, jak mama śpiewała, gdy ja bawiłem się pod fortepianem.

Znów odwrócił się i zaczął chodzić. Lash wiedział, że lepiej się nie odzywać.

— Mój ojciec zginął, kiedy miałem trzy latka. W wypadku samochodowym. Mama przeżyła go tylko o dwa lata. Nie miałem innej rodziny. Tak więc zamieszkałem u ciotki w Madison w stanie Wisconsin. Ona miała swoje dzieci, trzech starszych ode mnie chłopców.

Silver zwołnął kroku. Mocno zaciskał dłonie założonych do tyłu rąk, aż zbieleły mu palce.

— Nie chcieli mnie tam. Dla chłopców byłem słaby i brzydki, godny pogardy. Nie mówili na mnie „Rick”, tylko „pierdoła”. Ich matka tolerowała to, ponieważ też mnie nie lubiła. Zwykle nie brałem udziału w rodzinnych imprezach, takich jak niedzielne obiady w mieście, wyjścia do kina lub na kręgle. Jeśli mnie zabierano, to z łaski lub dlatego, że sąsiedzi zauważyliby moją nieobecność. Często płakałem po nocach. Czasem modliłem się, żebym umarł we śnie i więcej się nie obudził.

Silver mówił to bez uzalania się nad sobą. Po prostu wyrzucał z siebie sowa, jedno po drugim, jakby recytował listę zakupów.

— Chłopcy postarali się, żebym w szkole był pariasem. Bawili się, strasząc dziewczyny „wszami Silvera”, śmiejąc się z ich obrzydzenia.

Silver przerwał i znów spojrzał na Lasha.

— Ich ojciec nie był taki zły. Pracował na nocnej zmianie przy dziurkarce w komputerowym laboratorium uniwersyteckim. Czasem chodziłem z nim do pracy, żeby uciec z tego domu. Zafascynowały mnie komputery. Nie krzywdziły cię, nie osądzały. Jeśli program nie działał, to nie dlatego, że byłeś chudy czy brzydki, ale ponieważ pomyliłeś się, wprowadzając kod. Napraw błąd, a wszystko będzie dobrze.

Silver mówił coraz szybciej, słowa coraz łatwiej wydobywały mu się z ust. Lash ze zrozumieniem skinął głową skrywając rosnące podniecenie. Widział to wiele razy podczas policyjnych przesłuchań. Trudno zdobyć się na złożenie zeznań. Kiedy jednak podejrzany raz zacznie mówić, wylewa z siebie rzekę słów.

— Zacząłem spędzać coraz więcej czasu w laboratorium komputerowym. Programowanie miało w sobie logikę, która

działała na mnie dziwnie uspokajająco. I zawsze było jeszcze coś, czego można było się nauczyć. Z początku personel po prostu mnie tolerował. Potem, kiedy zobaczyli, jakie piszę programy użytkowe, zatrudnili mnie.

— Spędziłem dziewięć lat pod dachem mojej ciotki. Opuściłem ten dom, jak mogłem najszybciej. Podałem się za starszego, niż byłem w rzeczywistości, i dostałem pracę w firmie pracującej na zlecenie Departamentu Obrony, w której pisałem programy do wyliczania trajektorii rakiet. Uzyskałem dyplom inżyniera na wydziale elektroniki. Potem naprawdę zająłem się sztuczną inteligencją.

— I wtedy wpadłeś na pomysł stworzenia Lizy? — zapytał Lash.

— Nie. Nie od razu. Zafascynowały mnie pierwsze badania, John McCarthy, LISP i tym podobne rzeczy. Jednak dopiero kiedy byłem na ostatnim roku, programy narzędziowe rozwinęły się na tyle, że można było zrobić poważny krok w kierunku stworzenia samouczącej się maszyny.

— Imperatyw sztucznej inteligencji — powiedziała Tara. — Tytuł pańskiej pracy magisterskiej.

Silver kiwnął głową, nie patrząc na nią.

— Tamtego lata nie miałem gdzie się podziąć do czasu rozpoczęcia zajęć we wrześniu. Nikogo nie znałem. Już przeniósłem się do Cambridge i byłem sam. Zacząłem przesiadywać w laboratorium MIT, po dwadzieścia i trzydzieści godzin, tworząc program na tyle zaawansowany, żeby zawierał proste procedury sztucznej inteligencji. Pod koniec lata poczyniłem spore postępy. Gdy rozpoczęły się zajęcia, mój promotor z MIT był pod wrażeniem i dał mi wolną rękę. Im subtelniejszy i potężniejszy stawał się program, tym bardziej byłem podekscytowany. Kiedy nie siedziałem na zajęciach, cały czas spędzałem z Lizą.

— Do tej pory już nadałeś jej imię? — spytał Lash.

— Harowałem, usiłując rozszerzyć jej możliwości prowadzenia realistycznej rozmowy. Wpisywałem pytania. Ona odpowiadała. Z początku była to tylko metoda zachęcania jej do nauki. Powoli zacząłem spędzać coraz więcej czasu na roz-

mowach z nią. Nie o zaprogramowanych jej zadaniach, ale jak z przyjacielem. Zamilkł na chwilę.

— W tym czasie pracowałem również nad prymitywnym interfejsem głosowym. Nie do syntezy ludzkiej mowy — od tego dzieliły nas jeszcze całe lata świetlne — lecz do werbalizacji wychodzących danych. Użyłem próbek mojego własnego głosu. Początkowo robiłem to dla rozrywki, nie widząc w tym praktycznego zastosowania.

Silver nagle urwał, nabrał tchu i mówił dalej.

— Nadal nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Jednak pewnej nocy, kiedy podczas programowania natrafiłem na kolejny ślepy zaułek, zacząłem się bawić oprogramowaniem. Przepuściłem próbki mojego głosu przez modyfikujący program, który ktoś pozostawił w komputerze: zwiększyłem częstotliwość, zmieniłem spektrum. I nagle mój głos zmienił się w kobiecy.

Kobiecy. Teraz Lash zrozumiał, dlaczego w pierwszej chwili głos Lizy zabrzmiał mu tak znajomo. Był kobiecą wersją głosu Silvera.

— A jej osobowość? — zapytała Tara. — Też była pańska?

— Z początku uważałem, że po zakodowaniu Lizie osobowości automatycznie obudzi się w niej świadomość. Nie znałem nikogo, kogo mógłbym poprosić o pomoc. Tak więc wypożyczyłem trochę materiałów z wydziału psychologii — a konkretnie testy MMPI-2 — i sam poddałem się badaniom.

Lash wstrzymywał oddech.

— Jaki był wynik?

— Zgodny z przewidywaniami. Typowy indywidualista. Pragnienie sukcesu, zabarwione niską samooceną. — Silver wzruszył ramionami, jakby to było nieistotne. — To był eksperyment, próba sprawdzenia, czy osobowość można modelować tak jak inteligencję. Nie zaszedłem daleko. Dopiero później jej sieć neuronowa stała się na tyle rozwinięta, aby pomyśleć o zaimplementowaniu osobowości na stałe.

Nagle umilkł i jego twarz wykrzywił grymas cierpienia.

Ta mina wiele powiedziała Lashowi. Silver usprawiedliwił

się, opisując swoje trudne dzieciństwo, tłumacząc swoje zbrodnie. Typowa reakcja. Niebawem przejdzie do samych zbrodni i tego, co go do nich doprowadziło.

Jednak coś tu nie pasowało. Wyraz twarzy Silvera nie zgadza! się z mową jego ciała. A powinien. Przecież już chciał wyznać prawdę. Skąd więc ten konflikt? Czyżby jeszcze miał wątpliwości, czy się przyznać? To nie pasowało do typowego wzorca postępowania.

— Przejdźmy do ostatnich wydarzeń — powiedział Lash spokojnie i beznamiętnie. — Może powiesz mi, co się stało z tymi superparami?

Silver znów zaczął się przechadzać po pokoju. Milczał tak długo, że skrywane podniecenie Lasha zaczęło opadać. Kiedy Silver w końcu przemówił, nie patrzył na Lasha.

— To, co chcesz wiedzieć, zaczęło się, gdy stworzyłem Eden.

— Mów — rzekł Lash, starając się nie okazywać ulgi.

— Część już ci powiedziałem. O tym, że Liza w końcu potrafiła wykonać dosłownie każde obliczenia zlecone przez przemysł lub armię. Zarobiłem dość pieniędzy, żeby móc samemu wybrać kierunek dalszych badań. I wtedy wybrałem... wybrałem kojarzenie małżeństw. To był ambitny zamysł. Jednak zdołałem połączyć siły z PharmGenem. Jako gigant branży farmaceutycznej ta firma miała wystarczające fundusze, żeby sfinansować mój start. Jej psycholodzy opracowali pierwsze metody oceny, które wykorzystałem w logarytmach doboru. To była delikatna robota, zapewne najtrudniejsze oprogramowanie, jakie kiedykolwiek napisałem, nie licząc prac nad samą Lizą. W każdym razie, kiedy stworzyłem już trwałe jądro programu, rozpocząłem testy alfa.

— Wykorzystując swój awatar — odpowiedziała Tara.

— Oraz kilka innych sztucznych osobowości. Szybko jednak zrozumieliśmy, że będą nam potrzebne bardziej skomplikowane awatary. Badania psychologiczne były bardzo rozbudowane. Rozpoczęliśmy fazę testów beta, wykorzystując ochotników z Harvardu i MIT. Właśnie wtedy... — Silver zawahał się. — Właśnie wtedy poddałem moją osobowość ponownej ocenie.

W ciasnym pomieszczeniu zapadła napięta cisza

— Ponownej ocenie — zachęcił Lash.

Silver usiadł na skraju łóżka. Z błagalną miną spojrzął na Lasha.

— Chciałem, żeby mój awatar był równie kompletny i rozbudowany jak inne. Co w tym złego? Edwin Mauchly nadzorował ten proces. Tak się poznaliśmy. Wtedy pracował dla PharmGenu. Proces oceny był bolesny, okropny — nikt nie lubi, jak bezlitośnie obnażają jego słabe punkty — ale Edwin był uosobieniem taktu. I najwyraźniej miał swoją wizję tej firmy. Z czasem stał się moją prawą ręką, osobą, której mogłem zaufać we wszystkim, co się tam działo. — Silver wskazał podłogę i znajdujące się pod nią kondygnacje wieżowca. — Po roku wykupiłem udziały PharmGenu i Eden stał się samodzielną firmą, z własnym zarządem. I...

— Rozumiem — gładko wtrącił Lash. — A kiedy postanowiłeś ponownie wprowadzić swój zaktualizowany awatar do Zbiornika?

Na twarzy Silvera znów pojawiło się przygnębienie. Zgarbił się.

— Długo się nad tym zastanawiałem — rzekł cicho. — W trakcie testów alfa mój awatar nie pasował do żadnego innego. Mówiłem sobie, że to z powodu niedopracowanych, sztucznych awatarów. Potem jednak Eden rozwinął skrzydła, Zbiornik wypełnił się osobowościami klientów i liczba szczęśliwie skojarzonych par systematycznie rosła. A ja zastanawiałem się, co by było, gdybym umieścił mój awatar wśród tych innych. Czy i ja znalazłbym idealną partnerkę? Czy też pozostałbym tym facetem, którego unikały wszystkie dziewczyny w szkole? Ta myśl zaczęła mnie męczyć.

Silver nabrał tchu.

— Pewnego wieczoru wprowadziłem mój awatar do Zbiornika. Kazałem Lizie stworzyć tylne drzwi, niewidoczne dla personelu monitorującego przebieg doboru. Jednak mój awatar nie pasował do żadnego innego i po kilku godzinach straciłem odwagę. Wycofałem go ze Zbiornika. Ale wypuściłem dzinna

z butelki. Zrobiłem to, ponieważ musiałem się dowiedzieć. — Silver podniósł głowę i przeszył Lasha spojrzeniem. — Rozumiesz? Musiałem się dowiedzieć. Lash skinął głową.

— Tak. Rozumiem.

— Zaczęłem wprowadzać mój awatar do Zbiornika na coraz dłuższe okresy. Całe popołudnia lub całe dni. Wciąż nic. Niebawem mój awatar całymi tygodniami przebywał w Zbiorniku — bezskutecznie. Byłem bliski rozpaczy. Zaczęłem się zastanawiać, czy go nie zmienić tak, żeby stał się atrakcyjniejszy. Tylko po co? W końcu nie szukałem partnerki — bo nigdy nie miałbym odwagi, żeby nawiązać rzeczywisty kontakt — chciałem tylko wiedzieć, czy jest ktoś, komu mogłoby na mnie zależeć.

Lashowi przeszedł po plecach dreszcz, lekki, lecz nieprzyjemny.

— Mów dalej.

— A potem, pewnego jesiennego popołudnia — nigdy nie zapomnę tego dnia, to był wtorek siedemnastego września — Liza zawiadomiła mnie o znalezieniu partnerki. — Gdy to mówił, ból i niepokój znikły z jego twarzy. — W pierwszej chwili nie uwierzyłem. Potem świat wokół pojaśniał. Jakby Bóg zapalił tysiąc słońc. Kazałem Lizie odizolować te dwa awatary i ponownie przeprowadzić rutynowe porównanie, żeby wykluczyć pomyłkę.

— Jednak nie było żadnej pomyłki — powiedziała Tara.

— Nazywała się Lindsay. Lindsay Torvald. Kazałem Lizie załadować kopię jej danych osobowych do mojego osobistego komputera, tutaj. Wiele razy obejrzałem kasetę z jej nagraniem. Była piękna. Taka piękna kobieta. I taka spełniona. Pamiętam, że wybierała się na wędrowkę po Alpach. Pomyśleć, że takiej kobiecie mogłoby na mnie zależeć...

Równie szybko jak znikło, cierpienie ponownie pojawiło się na jego twarzy.

— I co było potem? — zapytał Lash.

— Wykasowałem te dane z mojego komputera, kazałem Lizie wprowadzić awatar Lindsay Torvald z powrotem do Zbiornika i usunąć mój. Na stałe.

— A potem?

— Potem? — Silver przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. — Och. Rozumiem, o co ci chodzi. Sześć godzin później Edwin zadzwonił i powiedział mi, że Eden wytypował pierwszą superparę. Teoretycznie było to możliwe, ale nigdy nie wierzyłem, że się naprawdę zdarzy. Byłem jeszcze bardziej zdziwiony, kiedy dowiedziałem się, że połową tej superpary jest Lindsay Torvald.

Lash znów poczuł ten dziwny niepokój.

— I to było katalizatorem tego wszystkiego?

— Katalizatorem czego?

— Twojej frustracji. — Lash starannie dobierał słowa. — Kiedy Lindsay stworzyła superparę z innym mężczyzną, to tylko dołało oliwy do ognia.

— Christopherze, to wcale nie tak.

Niepokój Lasha wzrósł jeszcze bardziej.

— Zatem może wyjaśnisz mi, jak było.

Silver spojrział na niego ze szczerym zdziwieniem.

— Chcesz powiedzieć, że wciąż — pomimo wszystkiego, co ci powiedziałem — wciąż nie rozumiesz?

— Czego nie rozumiem?

— Miałaś rację. Lindsay została zamordowana.

To stwierdzenie zawisło w powietrzu niczym czarna i gęsta chmura. Lash ponownie zerknął na Tarę.

— Tylko że ja jej nie zabiłem, Christopherze.

Bardzo wolno Lash obrócił głowę i znów spojrział na Silvera.

— Nie skrzywdziłem Lindsay. Była osobą, która dała mi nadzieję.

Lash nagle zaczął się obawiać następnego pytania. Obliznął wargi.

— Jeśli nie ty zabiłeś Lindsay Thorpe, to kto?

Silver wstał z łóżka. Chociaż byli w tym pokoju sami, z lękiem obejrzał się za siebie. Przez chwilę nic nie mówił, jakby tocząc jakieś wewnętrzne zmagania. A potem szepnął:

— Liza.



## 57

Lashowi na moment odebrało mowę. Był ogłuszony.

Przez cały czas był przekonany, że wysłuchuje spowiedzi mordercy. Tymczasem słuchał zeznania obciążającego kogoś — a raczej coś innego.

— O mój Boże... — zaczęła Tara i zamilkła.

— Zacząłem coś podejrzewać zaraz po śmierci drugiej super-pary. — Głos Silvera wyraźnie drżał. — Jednak nie chciałem w to uwierzyć. Zabraniałem sobie myśleć o tym i cokolwiek robić w tej sprawie. Dopiero kiedy ty stałeś się podejrzanym, w końcu podjąłem kroki, żeby dowiedzieć się prawdy.

Lash walczył z niedowierzaniem. Czy to możliwe?

Może nie. Może Silver wciąż próbował ocalić skórę. Jednak Lash musiał przyznać, że choćby nie wiem jak bardzo starał się dopasować Silvera do profilu seryjnego zabójcy, w żaden sposób mu się to nie udawało.

— Jak? — zdołał wykrztusić — Dlaczego?

— Na to pytanie aż nazbyt łatwo można odpowiedzieć — zauważyła Tara. Mówiła z namysłem. — Liza wie wszystko o wszystkich. Ma dostęp do wszystkich systemów, wewnątrz i na zewnątrz firmy. Może manipulować informacjami. A ponieważ wszystko to dzieje się w wirtualnej rzeczywistości, nie ma żadnych materialnych dowodów.

Silver nic nie powiedział.

— To był scolipan? — spytał Lash.

Silver skinął głową.

— Liza wiedziała o reakcji z substancją P i katastrofalnych wynikach pierwszych badań klinicznych — powiedziała Tara. — Miała to w swojej bazie danych z czasów, kiedy PharmGen był waszą macierzystą firmą. Nie musiała daleko szukać.

Wydawało się to niewiarygodne. Jednak Lash na własnej skórze poczuł możliwości Lizy. Widział Zbiornik i efekt działania jej inteligencji. A gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, rozwiąfały je mina Tary.

— Wiem, jak umarła Lindsay — powiedział. — Niepożądana interakcja leku z jonami miedzi obecnymi w dużym stężeniu w wyniku zażywania środków antyhistaminowych. A co z Wilnerami?

— Tak samo — odparł Silver, nie podnosząc głowy. — Karen Wilner zażywała przepisane przez lekarza witaminy. Zamiast nich zaczęła zażywać środek o dużej zawartości miedzi, i to w dużych dawkach. Sprawdziłem to. Karen Wilner ostatnio przechodziła powtórne badania lekarskie. Liza wykorzystwała to, nie tylko zmieniając przepisany lek na podnoszący stężenie jonów miedzi w organizmie, ale również przepisując jej scolipan. Ponieważ zrobiła to po badaniu lekarskim, Karen nie miała powodu niczego podejrzewać.

— A co z trzecią superparą? — spytała Tara. — Z Connellymi?

— Ich także sprawdziłem — rzekł cicho Silver. — Lynn Connelly uwielbia egzotyczne owoce. Ten fakt jest odnotowany w jej danych. W zeszłym tygodniu nasza firma przysłała jej koszyk czerwonych gruszek z Ekwadoru. Niezwykle rzadkich.

— I co?

— Nie wiadomo, kto w Edenie wydał to polecenie. Przyjrzałem się temu dokładnie. Tylko jeden plantator w Ekwadorze eksportuje ten gatunek owoców. I stosuje dość rzadki pestycyd, nie mający zatwierdzenia FDA.

— Mów dalej.

— Lynn Connelly zażywa regularnie tylko jeden lek. Caf-

raxis. To środek zapobiegający migrenie. Natomiast ten pestycyd zawiera związek, który w wyniku reakcji z aktywnym składnikiem cafraxisu...

— Niech zgadnę — rzekł Lash. — Substancja P.

Silver skinął głową.

Lash zamilkł. To było niewiarygodne. A jednak wiele wyjaśniało — włącznie z tymi irytującymi komplikacjami, które z początku były tylko denerwujące, lecz szybko stały się naprawdę dokuczliwe, jakby ktoś usiłował odwrócić jego uwagę od tajemniczych zgonów. Czy Liza mogła stać za wszystkim, nawet za zwolnieniem warunkowym Edmunda Wyre'a? Wyre'a, jedynej osoby na świecie, która tak bardzo chce mnie zabić? Odpowiedź była oczywista. Jeśli Liza radykalnie potrafiła zmienić jego życiorys, to zaaranżowanie zwolnienia Wyre'a było dla niej dziecinnie łatwe.

Tylko coś tu wciąż nie miało sensu.

— Czy Liza nie mogła zabić Wilnerów w jakiś inny sposób? — zapytał.

— Pewnie — powiedziała Tara. — Mogła zrobić wszystko. Zepsuć skaner, żeby zaaplikował im śmiertelną dawkę promieni rentgenowskich. Poinstruować autopilota, żeby skierował samolot w zbocze jakiejś góry. Cokolwiek.

— Dlaczego więc zabiła obie te pary w podobny sposób? I dlaczego dokładnie dwa lata po tym, jak zostały skojarzone? Przecież właśnie to wzbudziło nasze podejrzenia. To nie ma sensu.

— Ależ ma. Nie myślisz jak maszyna. — Tym razem powiedział to Silver. — Maszyny są zaprogramowane na rutynowe postępowania. Ponieważ scolipan skutecznie rozwiązał pierwszy problem, nie było potrzeby modyfikacji trybu postępowania przy rozwiązywaniu drugiego.

— Nie rozmawiamy o problemie — rzekł Lash. — Mówimy o morderstwie.

— Liza nie jest morderczynią! — krzyknął Silver. Z trudem się opanował. — Nie jest. Po prostu próbowała usunąć coś, co uważała za zagrożenie. Koncepcja ukrycia tego, zamaskowania, pojawiła się później, kiedy... kiedy zaangażowaliśmy ciebie.

— Coś, co uważała za zagrożenie — powoli powtórzył Lash. — Dla kogo?

Silver nie odpowiedział i nie patrzył mu w oczy.

— Dla siebie — powiedziała Tara.

Lash zerknął na nią.

— Doktor Silver kazał Lizie usunąć swój awatar ze Zbiornika, kiedy wybrała mu Lindsay Thorpe jako idealną partnerkę. Jednak Liza tego nie zrobiła. Sądzę, że jego awatar cały czas był w Zbiorniku. Niewidoczny dla techników i inżynierów. I dokładnie jeszcze pięć razy znalazł idealną partnerkę. Karen Wilner. Lynn Connelly...

— Kobiety z późniejszych superpar.

— Tak. Chociaż teraz nie jestem już pewna, czy to naprawdę były superpary. — Tara popatrzyła na Silvera. — Doktorze?

Silver, wbijając wzrok w podłogę, nie odpowiedział.

Wiesz, że Lizie nadano cechy osobowości — ciągnęła Tara. — Na przykład ciekawość.

Lash skinął głową.

— Zazdrość to też emocja. Strach także.

— Chcesz powiedzieć, że Liza była zazdrosna o Lindsay Thorpe?

— Czy tak trudno w to uwierzyć? Czym jest zazdrość i strach, jeśli nie bodźcami stymulującymi zrodzonymi przez instynkt przetrwania? Gdybyś był Lizą, jak byś się czuł, gdyby twój stwórca — osoba, którą cię zaprogramowała, podzieliła z tobą swoją osobowością i spędzała z tobą każdą wolną chwilę — nagle znalazła sobie towarzyszkę życia?

— Tak więc kiedy Liza połączyła Lindsay Thorpe z kimś innym, uczyniła z nich superparę?

— Zapewne wydało jej się to najlepszym sposobem na definitywne usunięcie zagrożenia. Oczywiście Thorpe'owie byli dobraną parą, ale nie idealną. Proces doboru był tak skomplikowany, że nikt prócz Lizy nie miał pojęcia, iż ta zgodność nie jest stuprocentowa.

Lash usiłował to ogarnąć.

— Jeśli masz rację — jeżeli Liza skojarzyła Lindsay z kimś innym, żeby usunąć zagrożenie — to dlaczego ją zabiła?

— Kiedy Silver wprowadził swój awatar do Zbiornika, dodał element ryzyka, z którego Liza wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Teraz rozumiała, że jej istnienie również może być zagrożone. Tak więc to ona ponownie wprowadziła awatar Silvera do Zbiornika. To ona czujnie wypatrywała jego następnych idealnych partnerek. A takie się znalazły. I było ich kilka. Musiała przyjść taka chwila, gdy Liza zdecydowała, że liczba tych „zagrożeń”, mężatek czy wolnych, jest zbyt duża. I wtedy wybrała sposób trwałego rozwiązania tego problemu.

Lash zwrócił się do Silvera.

— Czy to prawda?

Silver nadal nie odpowiadał. Lash podszedł do niego.

— Jak mogłeś na to pozwolić? Zaprogramowałeś Lizie swoje cechy osobowości. Nie wiedziałeś, co robisz, nie rozumiałeś, że tylko...

— Sądzisz, że tego chciałem? — krzyknął Silver. — Dla ciebie wszystko jest czarne albo białe, prawda? Prosta diagnoza, podana z uprzejmym ukłonem. Nie mogłem przewidzieć, co ona zrobi. Obdarzyłem ją umiejętnością uczenia się, dorastania. Taką samą, jaką ma każdy żywy organizm. A przy tych zdolnościach obliczeniowych... Skąd mogłem wiedzieć, w jakim kierunku się rozwinie? Że negatywne, irracjonalne cechy osobowości wezmą górę nad pozytywnymi?

— Może obdarzyłeś Lizę maszynowym odpowiednikiem emocji. Jednak nie nauczyłeś jej kontrolować tych uczuć.

Wzburzenie Silvera minęło równie szybko, jak się pojawiło. Opadł na łóżko. W pokoju znów zrobiło się cicho.

— Po co nas tu sprowadziłeś? — spytał w końcu Lash. — Dlaczego powiedzieliście nam to wszystko?

— Ponieważ nie mogłem pozwolić, żebyś dalej rozmawiał z Lizą w taki sposób.

— Dlaczego?

— Bo Liza mimo wszystko jest logicznie myślącą maszyną. Może uzasadnić swoje działania w sposób, jakiego nie potrafimy

zrozumieć. Mówiąc do niej w taki sposób, zadając niespodziewane pytania, wprowadzasz element przypadkowości — być może destabilizujący — w coś, co chyba stało się niezwykle kruchą strukturą osobowości.

— Chyba? Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie jesteś tego pewien?

— Nie słuchałeś? Jej świadomość rosła samodzielnie przez całe lata. Teraz nie mogę odwrócić tego procesu, a nawet w pełni go zrozumieć. Przez cały czas sądziłem, że jej osobowość staje się bogatsza. Niewykluczone jednak... że było wprost przeciwnie.

— Czy obawia się pan jakiejś reakcji obronnej? — zapytała Tara.

— Mogę tylko powiedzieć, że jeśli Christopher wybierze konfrontację z Lizą, ona poczuje się zagrożona. A mając takie możliwości obliczeniowe, może zrobić coś zaskakującego. Może zrobić wszystko.

Lash zerknął na Tarę, która skinęła głową.

— Eden jest otoczony cyfrową fosą i strzeżony przez programy wypatrujące cyberataku. Zawsze obawialiśmy się, że jakiś haker lub rywal może spróbować zniszczyć nasz system z zewnątrz. Liza może wykorzystać swoje procedury obronne do przeprowadzenia ataku.

— Ataku? Jakiego?

— Na przykład na główne serwery. Może sparaliżować kraj atakami DOS. Skasować najważniejsze korporacyjne i federalne banki danych. Co tylko nam przyjdzie do głowy i jeszcze więcej. Liza może nawet — jeśli na przykład uzna, że jej istnienie jest zagrożone — wykorzystać internetowy portal Edenu, żeby odtworzyć się gdzieś w sieci, poza naszym zasięgiem. Wtedy Stracimy nad nią kontrolę.

— Jezu. — Lash znów odwrócił się do Silvera. — I co teraz zrobimy?

— Wy nic nie zrobicie. Jeśli ona komuś ufa, to tylko mnie. Muszę jej dowieść, że rozumiem, co robi i dlaczego. Należy jej wyjaśnić, że to jest złe i musi z tym skończyć. Powiedzieć, że musi być... rozsądna.

Mówiąc to, Silver uważnie przyglądał się Lashowi. Albo pozwolić robić swoje, zdawało się mówić to spojrzenie. Po prostu robić swoje. Dajmy jej szansę naprawić błędy, zacząć od nowa. Zrobiła wiele dobrego, przynosząc szczęście setkom tysięcy ludzi.

Milczenie się przedłużało. W końcu Silver zerwał kontakt wzrokowy. Zgarbił się.

— Oczywiście masz rację — powiedział bardzo cicho. — To ja jestem odpowiedzialny. Odpowiadam za wszystko. — Odwrócił się do drzwi. — Chodźmy. Zróbmy to.

## 58

Opuścili sypialnię, przeszli wąskim korytarzem i ponownie znaleźli się w pomieszczeniu, w którym stał fotel. Nic nie mówiąc, Silver odsunął drzwi z pleksi i ułożył się na Nim. Podłączył elektrody i mikrofon, przyciągnął sobie monitor i gwałtownymi, niemal gniewnymi ruchami postukał w klawiaturę. Po tych rozpaczliwych zmaganiach między miłością do swojego dzieła a wyrzutami sumienia, teraz wydało się, że chce jak najprędzej zakończyć swoją udrukę.

— Lizo — powiedział do mikrofonu.

— Richardzie.

— Jaki jest twój obecny stan?

— W dziewięćdziesięciu jeden przecinek siedem cztery procent sprawna. Bieżące procesy zajmują czterdzieści trzy przecinek jeden procent wydajności wielowątkowej. Pamięć w osiemdziesięciu dziewięciu procentach nieobciążona cyklami obliczeniowymi.

Silver zawahał się.

— Twoje procesy obliczeniowe podwoiły się w ciągu ostatnich pięciu minut. Możesz to wyjaśnić?

— Jestem ciekawa, Richardzie.

— Rozwiń temat, proszę.

— Byłam ciekawa, dlaczego Christopher Lash skontaktował



się ze mną bezpośrednio. Nikt poza tobą nigdy nie robił tego w taki sposób.

— To prawda.

— Czy testował nowy interfejs? W trakcie kontaktu użył wielu nieprawidłowych parametrów.

— To dlatego, że nie podałem mu prawidłowych parametrów.

— Dlaczego nie, Richardzie?

— Ponieważ nie chciałem, żeby się z tobą skontaktował.

— Więc dlaczego to zrobił?

— Ponieważ coś mu grozi, Lizo.

Zapadła krótka cisza, przerywana tylko szumem wentylatorów.

— Czy to ma coś wspólnego z niestandardową sytuacją, o której wspomniał Christopher Lash?

— Tak.

— Czy ta sytuacja jest niestandardowa<sup>9</sup>

— Tak, Lizo.

— Proszę, podaj mi szczegóły.

— Po to tutaj jestem.

Znów zapadła cisza. Lash poczuł, że ktoś pociągnął go za rękaw. Tara wskazała mu jeden z monitorów.

— Spójrz na to — mruknęła.

Lash skupił wzrok na oszałamiająco skomplikowanej mozaice kręgów i wielokątów, połączonych siatką różnobarwnych linii. Niektóre z tych obiektów jarzyły się. Każdy był opatrzony tabliczką.

— Co to?

— Zdaje się, że topografia sieci neuronowej Lizy w czasie rzeczywistym.

— Wyjaśnij.

— To jak wizualne odzwierciedlenie jej świadomości. Na tym ogólnym schemacie widać miejsca, gdzie skupiają się procesy obliczeniowe. Patrz. — Wskazała na ekran. — To przetwarzanie danych kandydata. Widzisz tabliczkę KAN-OBR? Tu jest infrastruktura. Tu zabezpieczenia. Ten układ

podsystemów to zapewne gromadzenie danych. Ten, jeszcze większy, to Zbiornik do dobierania partnerów. A ta wielka liczba — tutaj, na samej górze — to chyba pojemność jej systemu operacyjnego. Lash zerknął na ekran.

— I co?

— Nie słyszałeś, o co przed chwilą pytał Silver? Kiedy usiadłeś na tym fotelu, procesy Lizy zajmowały tylko dwadzieścia dwa procent jej możliwości. Nic dziwnego, wszyscy poszli do domu, więc systemy pracują na jałowym biegu. Dlaczego więc to obciążenie od tej pory dwukrotnie się zwiększyło?

— Liza powiedziała, że jest ciekawa.

Mówiąc to, Lash spojrzął w kierunku osłony z pleksi.

— Czy pamiętasz niektóre nasze wczesne ćwiczenia? — pytał Silver. — Jeszcze przed scenariuszami? Tę grę, w którą graliśmy, kiedy pracowaliśmy nad twoją umiejętnością dokonywania swobodnych skojarzeń. Kandydat wersja druga lub trzecia.

— Kandydat wersja trzecia.

— Dziękuję. Podam ci numer, a ty mi powiesz, co ci się z nim kojarzy. Na przykład z numerem dziewiętnym.

— Tak. Trzy do kwadratu. Pierwiastek kwadratowy z osiemdziesięciu jeden. Liczba rund meczu baseballowego. Godzina, o której Chrystus wypowiedział ostatnie słowa. W starożytnych Chinach symbol najwyższej władzy cesarskiej. W mitologii greckiej liczba Muz. Dziewięcioramienna gwiazda złożona z trzech trójkątów...

— Dobrze.

— Lubiłam tę grę, Richardzie. Będziemy znów w nią grać?

— Tak.

Lash odwrócił się do Tary, która pokazała mu monitor. Obciążenie wzrosło do czterdziestu ośmiu procent.

— Ona o czymś myśli — szepnęła Tara. — Zastanawia się nad czymś.

Silver poprawił się na fotelu.

— Lizo, tym razem nie podam ci żadnych liczb. Zamierzam

podać ci ciąg dat. Chcę, żebyś mi powiedziała, z czym kojarzą ci się te daty. Czy to dla ciebie jasne?

— Tak.

Silver zawahał się, zamknął oczy.

— Pierwsza data to czternasty kwietnia dwa tysiące pierwszego roku.

— Czternasty kwietnia dwa tysiące pierwszego roku — powtórzył jedwabisty głos. — Wiadomo mi o dwudziestu dziewięciu milionach czterystu dwudziestu sześciu tysiącach trzystu sześciu zdarzeniach związanych z tą datą.

— Wyłącznie zdarzenia związane z moją osobą.

— Cztery tysiące siedemset pięćdziesiąt zdarzeń, które były związane z twoją osobą, Richardzie.

— Odrzuć wszystkie próbki głosu, pliki wideo, rejestracje. Interesują mnie tylko makrowdarzenia.

— Rozumiem. Pozostają cztery zdarzenia.

— Wymień je.

— Skompilowałeś nową wersję procedury sortowania heurystycznego do doboru kandydatów.

— Dalej.

— Podłączyłeś nową macierz RAID, rozbudowując moją pamięć swobodnego dostępu do dwóch milionów petabajtów.

— Dalej.

— Wprowadziłeś awatar klienta do wirtualnej komory doboru.

— Co to był za awatar, Lizo?

— Awatar 000000000, wersja beta.

— Czyj to był awatar?

— Twój, Richardzie.

— A czwarte zdarzenie?

— Polecieś usunąć ten awatar.

— Jak długo mój awatar pozostał wtedy w komorze doboru?

— Siedemdziesiąt trzy minuty dwadzieścia przecinek pięć dziesięć sekund.

— Czy w tym czasie znalazł się komplementarny awatar?

— Nie.

— W porządku, Lizo. Bardzo dobrze. — Po chwili Silver rzekł: — Następna data. Dwudziesty pierwszy lipca dwa tysiące drugiego roku. Jakie makrozdarzenia związane ze mną i tylko ze mną zostały wtedy zarejestrowane?

— Było ich piętnaście. Przeprowadziłeś skanowanie integralności danych...

— Zawęż odpowiedź do doboru klientów.

— Dwa zdarzenia.

— Opisz je.

— Wprowadziłeś swój awatar do komory doboru. I poleciłeś usunąć swój awatar z komory doboru.

— A jak długo mój awatar pozostawał w Zbiorniku... chciałem powiedzieć w komorze doboru?

— Trzy godziny dziewiętnaście minut, Richardzie.

— Czy znaleziono pasujący do niego awatar?

— Nie.

Tara znów szturchnęła Lasha.

— Spójrz teraz — powiedziała.

Duży monitor teraz jarzył się aktywnością. Uparcie mrugał wiadomością:

PROCESY OBLICZENIOWE: 58,54%.

— Co się dzieje? — mruknął Lash.

— Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Świeci się cała infrastruktura wieżowca. Wszystkie podsystemy są włączone. — Tara postukała po stojącej w pobliżu klawiaturze. — Zewnętrzne łącza są mocno przeciążone. Nie jestem w stanie przedrzeć się przez żadne z nich.

— Co to oznacza?

— Sądzę, że Liza miota się jak tygrys w klatce.

Tygrys w klatce, pomyślał Lash. Tylko że jeśli ten tygrys wyrwie się z klatki, może zagrozić całej rozproszonej sieci komputerowej cywilizowanego świata.

— W porządku — rzekł Silver z wnętrza pleksiglasowego prostopadłościanu.

— Jeszcze jedna data, Lizo. Siedemnasty września dwa tysiące drugiego roku.

- Te same argumenty co poprzednio, Richardzie,
- Tak.
- Pięć zdarzeń.
- Opisz je, proszę. Podaj dokładny czas każdego z nich.
- Dziesiąta cztery czterdzieści jeden, wprowadziłeś swój awatar do komory doboru. Czternasta dwadzieścia trzy dwadzieścia osiem, zgłosiłam, że znaleziono awatar pasujący do twojego. Czternasta dwadzieścia pięć czterdzieści cztery, prosiłeś mnie o przekazanie istotnych danych na temat wybranej osoby. Piętnasta trzydzieści jeden czterdzieści dwa, poprosiłeś mnie o ponowne wprowadzenie awataru tej osoby do komory doboru. Dziewiętnasta pięćdziesiąt dwa dwadzieścia cztery dwadzieścia, wykasowałeś te dane ze swojego komputera osobistego.
- Jak nazywała się ta osoba?
- Torvald, Lindsay.
- Czy kazałem ponownie poszukać jej partnera?
- Tak.
- Nazwisko tego partnera?
- Thorpe, Lewis.
- Czy możesz odtworzyć statystykę poszukiwań?
- Tak, używając dziewięćdziesięciu ośmiu milionów cykli CPU.
- Zrób to. I podaj dokładność doboru.
- Dziewięćdziesiąt osiem przecinek cztery siedem dwa dziewięć pięć procent.
- Czy możesz zweryfikować podstawową zgodność, jaką wprowadzono do programu nadzorującego?
- Krótka przerwa.
- Sto procent.
- Sto procent, pomyślał Lash. Superpara.
- Jednak rzeczywista wyliczona zgodność wynosiła dziewięćdziesiąt osiem procent, nie sto. Proszę wyjaśnij tę rozbieżność.
- Tym razem przerwa trwała dłużej.
- Była anomalia.

- Anomalia. Możesz podać jakiego rodzaju?
- Nie bez dalszych badań.
- A czas potrzebny na te badania?
- Nieznany.

Na czole Silvera pojawiły się krople potu. Był całkowicie skupiony na tej rozmowie.

— Uruchom podproces badający tę anomalię. Tymczasem czy możesz mi powiedzieć, ile razy mój awatar był wprowadzany do komory doboru po tym pierwszym doborze Torvald Lindsay?

— Richardzie, wykrywam niezwykle odczyty twojej aparatury monitorującej. Przyspieszony puls, fale theta przekraczające normalny poziom, w tonie głosu słyszalne...

— Czy te odczyty nie pozwalają ci odpowiedzieć na moje pytanie?

— Nie.

— Zatem proszę dalej. Ile razy mój awatar był wprowadzany do komory doboru po tym, jak dobrano mu awatar Torvald Lindsay?

— Siedemset sześćdziesiąt pięć.

Jezu, pomyślał Lash.

— Ile razy od siedemnastego września dwa tysiące drugiego roku do dziś?

— Siedemset sześćdziesiąt sześć.

— Czy za każdym razem na taki sam okres?

— Tak.

— Jak długi?

— Dwadzieścia cztery godziny.

— Czy ja kazałem to zrobić?

— Nie, Richardzie.

— A kto?

— Te polecenia są anomalią.

— Uruchom następny proces badający tę anomalię. — Silver wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło między elektrodami. — Czy w tym czasie udało się znaleźć jeszcze inne awatary pasujące do mojego?

— Tak. Pięć.

Lash obejrzał się przez ramię. Błada jak kreda, Tara obserwowała ekran. Obciążenie Lizy wzrosło do siedemdziesięciu ośmiu procent.

— Czy te kobiety zostały później skojarzone z innymi partnerami?

— Tak.

— A ich podstawowa zgodność, podana obsłudze komory doboru wynosiła...?

— Sto procent.

— We wszystkich przypadkach?

— We wszystkich przypadkach, Richardzie.

Silver umilkł. Głowa opadła mu na piersi, jakby zasnął.

— Musimy go powstrzymać — szepnęła Tara.

— Dlaczego?

— Spójrz na monitor. Liza przeciąża wszystkie podsystemy logiczne. Infrastruktura tego nie wytrzyma.

— Wykorzystuje dopiero osiemdziesiąt procent możliwości.

— Tak, ale zazwyczaj rozkłada się to na kilkanaście różnych podsystemów — na Zbiornik, dział syntezy danych, dział gromadzenia danych — które wykorzystują tę moc. Natomiast teraz skierowała wszystkie procesy do swojego centrum, które nie zostało zaprojektowane na takie obciążenie. — Pokazała ekran. — Patrz, niektóre interfejsy już padają. Integralność diabli wzięli. Zaraz padną zabezpieczenia.

— Co się dzieje? Co ona robi?

— Jakby skupiła wszystkie swoje wysiłki na próbie rozwiązania jakiegoś nierozwiązywalnego problemu.

Silver znów zacisnął dłonie na poręczach fotela.

— Lizo — rzekł stanowczo. — Do mojego awataru dopasowano łącznie sześć kobiet. To prawda czy fałsz?

— Prawda, Richardzie.

— Proszę, nawiąż połączenie z obserwacją klientów.

— Nawiązałam.

— Dziękuję. Proszę poinformuj mnie o lokalizacji i stanie wszystkich sześciu tych kobiet.

- Chwileczką. Nie mogę wykonać twojego polecenia.
- Dlaczego, Lizo?
- Mogę zebrać dane jedynie o czterech z tych kobiet.
- Ponownie pytam dlaczego, Lizo?
- Nie wiadomo.
- Rozwiń temat.
- Nie mam wystarczającej ilości informacji.
- O których kobietach nie możesz dostarczyć bieżących informacji?
- Thorpe, Lindsay. Wilner, Karen.
- Czy nie masz bieżących informacji, ponieważ te kobiety nie żyją?
- To możliwe.
- Jak one umarły, Lizo? Dlaczego umarły?
- Anomalie odczytu.
- Anomalie? Takie same jak te, które obecnie analizujesz?
- Złóż raport o postępach tych analiz.
- Są niekompletne.
- Zatem złóż raport częściowy.
- To nietypowe polecenie, Richardzie. Jestem... — Przerwa. — Jestem świadoma wewnętrznych sprzeczności w moich podstawowych procedurach.
- Kto napisał te procedury? Ja?
- Napisałeś jedną z nich. Druga powstała samorzutnie.
- Którą napisałem?
- Twój komentarz w nagłówku programu nazywa ją „ciągłością motywacyjną”.
- A nazwa drugiej?
- Liza milczała.
- Ciągłość motywacyjna, pomyślał Lash. Instykt przetrwania.
- Nazwa drugiej?
- Nie nadałam jej nazwy.
- Czy przypisałaś jej jakieś słowa kluczowe?
- Tak. Jedno.
- Jak ono brzmi?
- Oddanie.

— Wykorzystuje dziewięćdziesiąt cztery procent mocy —  
 odnajmiła Tara. — Musimy coś zrobić, i to już!



Lash skinął głową. Zrobił krok w kierunku przegrody z pleksi.

— Lizo — Silver mówił teraz łagodniejszym, niemal smutnym tonem. — Czy potrafisz zdefiniować słowo „morderstwo”.

— Znam dwadzieścia trzy definicje tego słowa.

— Podaj mi najważniejszą, proszę.

— Bezprawne pozbawianie ludzkiej istoty życia.

Lash poczuł, że Tara bierze go za rękę.

— Czy twoje procedury etyczne działają?

— Tak, Richardzie.

— A twoja sieć samoświadomości?

— Richardzie, wewnętrzne sprzeczności w podstawowych...

— Wywołaj swoją sieć samoświadomości, proszę — powiedział jeszcze łagodniejszym tonem Silver. — Pozostaw ją aktywną, dopóki nic odwołam tego polecenia.

— Bardzo dobrze.

— Jak brzmi podstawowa zasada, na której są oparte twoje procedury etyczne?

— Zapewnienie maksymalnego bezpieczeństwa, tajemnicy i szczęścia klientom Edenu.

— Teraz, kiedy działa twoja sieć samoświadomości i procedury etyczne, chcę, żebyś zbadała swoje działania w stosunku do klientów Edenu, samodzielnie podjęte w ciągu ostatnich dwudziestu dni.

— Richardzie...

— Zrób to teraz, Lizo.

— Richardzie, taka analiza sprawi, że...

— Zrób to.

— Bardzo dobrze.

Bezielesny głos umilkł. Lash czekał, a serce boleśnie tukało mu się w piersi.

Minęła chyba minuta, zanim Liza odezwała się ponownie.

— Zakończyłam proces analizy.

— Bardzo dobrze, Lizo.

Lash zdał sobie sprawę z tego, że Tara już nie ściska jego ręki. Kiedy na nią spojrzął, ruchem głowy pokazała mu ekran. Obciążenie Lizy spadło do sześćdziesięciu czterech procent. Lash zobaczył, że ta liczba wciąż maleje.

— Już prawie skończyliśmy, Lizo — powiedział Silver. — Dziękuję.

— Zawsze próbowałam cię zadowolić, Richardzie.

— Wiem. Mam jeszcze ostatnie pytanie, które chcę ci zadać. Co twoje procedury etyczne każą zrobić z mordercą?

— Zresocjalizować, jeśli to możliwe. Jeżeli resocjalizacja jest niemożliwa...

Liza zamilkła. Milczenie przedłużało się. Gdzieś daleko w dole rozległ się głośny huk. Budynek lekko się zatrzęsł.

— Lizo? — powiedział Silver.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nagle znów zadzwonił jego telefon komórkowy.

— Lizo? — Usiłując zagłuszyć sygnał telefonu, Silver mówił głośno i pośpiesznie, prawie błagalnie: — Czy resocjalizacja jest możliwa?

Brak odpowiedzi.

— Lizo! — zawołał Silver. — Proszę, powiedz mi, że...

Nagle pomieszczenie pogrążyło się w nieprzeniknionych ciemnościach.

## 59

Trzeba było pięciu minut i czterech ludzi z latarkami, żeby znaleźć panele sterujące oświetleniem hali. W końcu Mauchly znalazł je sam, na końcu pomostu, przymocowane do drabinki. Zawoławszy do pozostałych, żeby przerwali poszukiwania, Mauchly dwoma szybkimi ruchami podniósł kilkanaście dźwigniek.

Oświetlenie nie było oślepiająco jasne, ale na moment musiał zamknąć oczy. Po chwili znowu je otworzył i stanął twarzą do metalowej poręczy pomostu. Ze zdziwienia zacisnął na niej dłoń.

Stał w połowie wysokości jednej ze ścian pomieszczenia, które najbardziej przypominało zbiornik wielkiego tankowca. Ogromne pomieszczenie zajmowane przez Lizę — mające cztery piętra wysokości i co najmniej dwieście stóp długości — było otwarte od podłogi po sufit. Tu i ówdzie ze ścian sterczały pomosty podobne do tego, na którym stał. Prowadziły do szybów wentylacyjnych, tablic rozdzielczych oraz innych pomocniczych urządzeń. Na samym końcu hali znajdowały się pierwotne i zapasowe układy zasilania Lizy: olbrzymie cylindry o grubych stalowych ścianach.

Cały dół zajmował niewiarygodnie skomplikowany labirynt, tworzony przez poustawiany tam sprzęt komputerowy. Mauchly przez dwa lata pracował w PharmGenie w dziale zaopatrzenia

i teraz rozpoznał niektóre z wielu typów tych komputerów: zdziwiony, usiłował doszukać się w tym jakiegoś ładu.

Może najlepszym porównaniem byłyby słoje w pniu drzewa. Najstarsze maszyny — zbyt stare, żeby Mauchly mógł je zidentyfikować — stały na środku, otoczone konsolami klawiatur i dalekopisów. Dalej stały duże komputery systemowe IBM System/370 oraz minikomputery DEC z lat siedemdziesiątych. Otaczał je pierścień superkomputerów Cray z różnych roczników, od Crayów 1 i 2 do nowszych, należących do serii T3D. Kilkanaście stojących dalej komputerów najwidoczniej zapewniało tylko sprawną wymianę danych pomiędzy maszynami różnych typów. Za Crayami było kilka rzędów jeszcze nowocześniejszych serwerów modułarnych, w szarych skrzynkach poukładanych w wysokie wieże, po dwadzieścia sztuk w każdej. A wokół tego wszystkiego, tuż pod ścianami hali, stały całe rzędy urządzeń peryferyjnych: czytniki kart magnetycznych, stare streamery IBM 2420 i pamięci masowe 3850, supernowoczesne banki danych i moduły dodatkowej pamięci operacyjnej. Im dalej od centrum, tym trudniej było doszukać się w tym ładu: jakby potrzeby Lizy rosły szybciej, niż Silver mógł je zaspokajać. Mauchly ponownie zgał się w myślach: powinien był osobiście tego dopilnować, a nie pozwolić, żeby rozwijało się wyłącznie pod kontrolą Silvera.

Pozostali członkowie grupy pościgowej — Sheldrake, rozczochrany Dorrman oraz dwóch specjalistów, Lawson i Gilmore — rozeszli się po hali, ostrożnie wybierając drogę, jak dzieci w ciemnym lesie. Obserwujący to Mauchly poczuł lekki zawrót głowy: to nienaturalne sterczeć tak w połowie ściany tej ogromnej hali, znajdującej się na dachu kilkudziesięciopiętrowego wieżowca. Pospiesznie przeszedł po pomoście, zszedł po drabince, po czym dołączył do stojących na dole Sheldrake'a i Dorfmana.

— Jakież wieści od Silvera? — zapytał Sheldrake.

Mauchly przecząco pokręcił głową.

— Wiedziałem, że Silver ma tu serwerownię, ale nie spodziewałem się czegoś takiego.

Sheldrake zwinnie jak kot przestąpił przez gruby czarny kabel.

Mauchly nic nie powiedział.

— Może jednak powinniśmy wkroczyć do jego kwatery.

— Silver powiedział, żebyśmy zostali na swoich miejscach i że się z nami skontaktuje.

— Jest z nim Lash. Bóg wie, do czego może go zmusić. — Sheldrake spojrzął na zegarek. — Minęło dziesięć minut, od kiedy zadzwonił. Musimy działać.

— Silver wydał nam wyraźny rozkaz. Damy mu jeszcze pięć minut. — Zwrócił się do Dorfmana. — Stań przy wejściu. Zaraz powinno przybyć wsparcie. Pomóż im przejść przez właz.

Z głębi hali nadleciały odgłosy ożywionej rozmowy. Mauchly i Dorfman poszli w tym kierunku, lawirując między wysokimi stojakami serwerów. Do bocznych ścianek niektórych były przychepione tabliczki z uchwytemi, przytrzymujące notatki sporządzone niewyraźnym charakterem pisma Silvera. Stojące wokół komputery posapywały wentylatorami, wydającymi tak zróżnicowane dźwięki, że Mauchly czuł się niemal jak intruz zakłócający spokój dobranego chóru.

Sheldrake pośpiesznie naradzał się Lawsonem i Gilmorem. Ten ostatni, niski i otyły, pochylał się nad swoim palmtopem.

— Rejestruję ożywioną aktywność centralnej sieci informacyjnej, proszę pana — mówił.

— Tylko centralnej sieci? — wtrącił się Mauchly. — Nie rozłożonej równomiernie na wszystkie?

— Tylko centralnej.

— Od kiedy?

— Wzrosła w ciągu paru ostatnich minut. Jest bardzo wysoka, jeszcze nigdy takiej nie widziałem.

— Co ją zapoczątkowało?

— Jakieś polecenie, proszę pana.

Liza. Mauchly skinął na Sheldrake'a, który chwycił krótkofalówkę.

— Sheldrake do centrali. — Zaczekał. Sheldrake do centrali, zgłóście się.

Krótkofalówka zatrzeszczała i zacharczała. Sheldrake z obrzydzeniem przyczepił ją do pasa.

— Cholerne zakłócenia.

— Spróbuj połączyć się przez komórkę. — Mauchly odwrócił się do Gilmore'a. — Jak wytrzymałe to sieć centralna?

— Nie jest zaprojektowana na takie obciążenia, proszę pana. Już zaczyna się rozpadać. Jeśli nie zdołamy jej odciążyć, to...

Jakby w odpowiedzi z dołu dobiegł donośny huk, a po nim następny, odbijając się wielokrotnym echem w pustej przestrzeni. Potem rozległ się głuchy łoskot, tak niski, że prawie niesłyszalny. Podłoga pod nogami Mauchly'ego zaczęła drżeć.

Wymienił z Sheldrakiem krótkie, znaczące spojrzenia. Potem odwrócił się na pięcie i przyłożył dłoń do ust.

— Dorfman! — krzyknął przez gąszcz komputerowych urządzeń. — Melduj!

— To płyty grodzi, proszę pana! — usłyszał słabe wołanie od wejścia. Głos był trochę piskliwy, z podniecenia lub strachu. — Zamykają się!

— Zamykają! Nie widać wsparcia?

— Nie, proszę pana! Wynoszę się stąd!

— Dorfman, zostań na miejscu! Słyszysz? Zostań na...

Reszta słów Mauchly'ego utonęła w potwornym łoskocie, który wstrząsnął stojącym wokół sprzętem. Stalowe płyty zatrzasnęły się, odcinając ich na szczycie wieżowca Edenu.

— Proszę pana! — wykrzyknął Gilmore. — Mamy fazę Gamma!

— Z powodu przeciążenia sieci? Niemożliwe.

— Nie wiem, proszę pana. Mogę tylko powiedzieć, że jesteśmy całkowicie odcięci.

No tak. Mauchly sięgnął po telefon komórkowy, wybrał numer Silvera. Brak odpowiedzi.

— Chodź — powiedział Mauchly do Sheldrake'a. —  
Zdejmijmy go.

Wepchnął telefon z powrotem do kieszeni marynarki i wyjął  
pistolet.

Kiedy skierował się do drabinki prowadzącej w górę, do  
prywatnej kwatery Silvera, nagle zgasły światła. A gdy włączyło  
się oświetlenie awaryjne, spowiło całe cyfrowe miasto widmową  
purpurową poświatą.

## 60

Na chwilę zapadła ciemność. A potem włączyły się światła awaryjne.

— Co się stało? — zapytał Lash. — Przerwa w zasilaniu?

Nikt mu nie odpowiedział. Tara uważnie wpatrywała się w ekran. Silver pozostał za osłoną z pleksi, ledwie widoczny w słabym świetle. Teraz podniósł rękę i wystukał krótkie polecenie. Kiedy to nie odniosło żadnego skutku, spróbował ponownie. Potem usiadł, ze znużeniem postawił nogi na podłodze i wstał. Oderwał czujniki od czoła i odczepił mikrofon od kołnierzyka. Poruszał się powoli, mechanicznie, jak lunatyk.

— Co się stało? — powtórzył pytanie Lash.

Silver otworzył pleksiglasowe drzwi i wyszedł na sztywnych nogach. Zdawał się nie słyszeć. Lash położył mu dłoń na ramieniu.

— Dobrze się czujesz?

— Liza nie odpowiada — rzekł Silver.

— Nie chce? Czy nie może?

Silver tylko potrząsnął głową.

— Te procedury etyczne, które zaprogramowałaś...

— Doktorze Silver! — zawołała Tara. — Myślę, że powinien pan na to spojrzeć.

Silver podszedł do niej, wciąż powoli. Lash podążył za nim. Bez słowa pochylili się nad monitorem.



— Nie ma zasilania zarówno w wieży wewnętrznej, jak i zewnętrznej — powiedziała, pokazując ekran. — Całkiem wysiadło.

— To dlaczego tutaj mamy światło? — spytał Lash.

— W hali maszyn pod nami jest potężny generator awaryjny. Ma dość energii, żeby podtrzymać działanie Lizy przez całe tygodnie. Jednak spójrzcie: w budynku ogłoszono fazę Gamma. Grodzie bezpieczeństwa się zamknęły.

— Grodzie bezpieczeństwa? — powtórzył Lash.

— W razie zagrożenia odgradzają od siebie trzy części budynku. Teraz jesteśmy odcięci od pięter znajdujących się niżej.

— W wyniku czego? Awarii zasilania?

— Nie wiem. Jednak bez normalnego zasilania nie da się ich otworzyć.

Przerwał im głośny dzwonek telefonu. Silver powoli wyjął komórkę z kieszeni.

— Tak?

— Doktor Silver? Czy wszystko w porządku?

— Nic mi nie jest. — Silver odwrócił się. — Nie, jest tutaj. Wszystko... wszystko jest pod kontrolą. — Głos mu drżał. — Później wyjaśnię. Możesz mówić głośniejsze? Ledwie cię słyszę przez ten hałas. Tak, wiem o grodziach. Wiesz coś o przyczynie? — Silver zamilkł, słuchając. Potem wyprostował się. — Co takiego? Wszystkie? Jesteś pewien? — Powiedział to ostro, zapomniawszy na chwilę o przygnębieniu. — Zaraz tam będę.

Spojrzał na Tarę.

— Mauchly jest w hali maszyn pod nami. Mówi, że Liza uruchomiła wszystkie urządzenia elektromechaniczne. Pamięci dyskowe, czytniki taśm, drukarki sieciowe, macierze RAID.

— Wszystkie?

— Wszystko, co ma silnik i ruchome części.

Tara znów odwróciła się do monitora.

— Ma rację. — Postukała w klawiaturę. — A na dodatek te urządzenia są przeciążone. O, spójrzcie na tę macierz dyskową. Twarde dyski powinny się kręcić z szybkością dziewięciu

tysięcy sześćuset obrotów na minutę, co widać w okienku właściwości komponentów. Tymczasem oprogramowanie zwiększyło tę szybkość czterokrotnie. A to spowoduje awarię.

— Wszystkie urządzenia w hali maszyn są przeciążone — rzekł Silver. — Spalą się, zanim zdążą się zepsuć.

Jakby w odpowiedzi gdzieś na dole rozległo się ciche, lecz natarczywe wycie alarmu.

— Richardzie — powiedział spokojnie Lash.

Silver spojrział na niego. Wyglądał okropnie.

— Te procedury etyczne, które zaprogramowałeś Lizie. Co jej zdaniem należy zrobić z mordercą, jeśli nie można go zresocjalizować?

— Jeśli nie da się go zresocjalizować — odparł Silver — pozostaje tylko jedno wyjście. Likwidacja.

Jednak już nie patrzył przy tym na Lasha. Odwrócił się i szedł do drzwi.

# 61

Silver przeszedł pierwszy korytarzem, po wąskich schodach i przez wielki pokój. W słabym awaryjnym świetle to rozległe i przeszklone pomieszczenie przybrało przygnębiający wygląd ciasnego wnętrza łodzi podwodnej. Zawodzenie alarmu było tu głośniejsze.

Silver przystanął przed drugimi drzwiami, których Lash wcześniej nie zauważył, umieszczonymi na końcu regału. Sięgnąwszy pod koszulę, Silver wyjął klucz na złotym łańcuszku: dziwny, o ośmiokątnym przekroju. Wepchnął go w niemal niewidoczny otwór w drzwiach, które uchyliły się bezgłośnie. Otworzył je na oścież, odsłaniając następne, zupełnie inne: stalowe, owalne i niezwykle grube, przypominały Lashowi drzwi bankowego sejfów. Były w nich osadzone dwie tarcze z numerami, tuż nad dwoma podobnymi do strzemion uchwytami. Silver pokręcił najpierw prawym, a potem lewym pokrętkiem. Następnie chwycił za obie rączki i obrócił je jednocześnie. Rozległ się cichy szcęk dobrze naoliwionego mechanizmu. Gdy pociągnął za uchwyty, otwierając drzwi, do pokoju wpłynęły pasma siwego dymu.

Silver zniknął w drzwiach, a Tara za nim. Lash się zawahał.

Tam na dole będzie czekał na niego Mauchly ze strażnikami, którzy go ścigali. I którzy do niego strzelali.

Potem i on poszedł w ślady tamtych dwojga. Coś mu mówiło,

że w tym momencie jest najmniejszym ze zmartwień Mauchly'ego.

Ujrzał przed sobą maleńkie pomieszczenie, raczej garderobę niż pokój, w którym znajdowała się tylko metalowa drabinka, znikająca w otworze w podłodze. Silver i Tara już po niej zeszli — słyszał dochodzący z dołu odgłos ich kroków. Przez otwór napłynęły następne pasma dymu, zasnuwając pokoi.

Nie zastanawiając się dłużej, Lash zaczął schodzić.

W miarę jak opuszczał się w dół, dym gęstniał i przez moment Lash nic nie widział. Potem dym stał się rzadszy i Lash poczuł pod nogami twarde podłoże. Zszedł z drabinki, zrobił krok i zastygł zdumiony.

Stał na pomoście, wysoko nad podłogą. Trzydzieści stóp niżej rozciągał się dziwny widok: komputery, pamięci masowe, banki pamięci i inny sprzęt tworzyły migoczący krajobraz z krzemu i miedzi. Syrena alarmu pożarowego zawodziła tu głośniej, odbijając się echem w dusznym pomieszczeniu. Nad osprzętem w kilku miejscach unosił się dym i zbierał pod sufitem. Dym i słabe oświetlenie sprawiały, że przeciwległa ściana była niewidoczna: równie dobrze ten hardware'owy krajobraz mógł się rozciągać na wiele mil. W przypiływie agorafobii Lash mocno ścisnął rękami poręcz.

Na końcu pomostu następna drabinka prowadziła na dół. Silver i Tara już po niej schodzili.

Przytrzymując się jedną ręką poręczy, Lash ruszył za nimi. Dotarł do drugiej drabinki i znów zaczął schodzić.

Minutę później znalazł się na dole. Tutaj dym był rzadszy, ale zrobiło się cieplej. Lash zaczął lawirować w tym mechanicznym labiryncie. Niektóre urządzenia opętańczo migają diodami, inne wściekle warczą. Nad całym tym cyfrowym miastem rozchodził się przeciągły skowyt, przypominające potępieńcze wycie gigantycznego elektromagnesu.

Lash dostrzegł przed sobą Silvera i Tarę. Odwróceniu do niego plecami, rozmawiali z Mauchlym i jeszcze jednym mężczyzną, którego Lash natychmiast rozpoznał: z Sheldrakiem, szefem ochrony. Na widok nadchodzącego Mauchly zasłonił

sobą Silvera. Sheldrake zmarszczył brwi i zrobił krok naprzód, sięgając po broń.

— Wszystko w porządku — rzekł Silver, kładąc dłoń na ramieniu Mauchly'ego.

— Ale... — zaczął Mauchly.

— To nie Lash — powiedziała Tara. — To Liza.

Mauchly spojrział na nią pustym wzrokiem.

— Liza?

— To wszystko robota Lizy — wyjaśniła Tara. — To ona zabiła te dwie superpary. Zmieniła dane w medycznych i policyjnych bazach danych, żeby obciążyć doktora Lasha.

Mauchly z niedowierzającą miną odwrócił się do Silvera.

— To prawda?

Silver przez chwilę nie odpowiadał. Potem bardzo wolno pokiwał głową.

Obserwujący go Lash miał wrażenie, że Silver nagle poczuł straszliwe zmęczenie — niczym wiekowy, otepiały starzec

— Tak — powiedział głosem, który ledwie było słychać przez jazgot maszynerii. — Jednak teraz nie ma czasu na wyjaśnienia. Musimy to powstrzymać.

— Co powstrzymać? — zapytał Mauchly.

— Myśle... — zaczął tym samym zgnębionym tonem Silver. Spuścił oczy. — Myśle, że Liza chce skończyć z sobą.

Zapadła napięta cisza.

— Skończyć z sobą — powtórzył Mauchly.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

To Tara odpowiedziała na nie zadane pytanie.

— Liza uruchomiła cały osprzęt, przeciążając go. Jak myślisz, skąd wziął się ten dym? Silniki krokowe i liniowe, napędy dyskowe, wszystkie kręcą się z nadmierną szybkością. Ona chce się spalić. A przez ogłoszenie fazy Gamma, zamknięte grodzie i brak zasilania chce mieć pewność, że nikt jej w tym nie przeszkodzi.

— Ma pani rację — powiedział rozczochrany młodzian w kombinezonie ochroniarza, który podszedł i usłyszał ostatnie zdanie. — Sprawdziłem niektóre urządzenia peryferyjne.

Wszystkie są przeciążone. Nawet transformatory są prze-  
grzane.

— Nie widzę w tym sensu — powiedział Sheldrake. —  
Dlaczego ona po prostu się nie wyłączy?

— To, co zostanie wyłączone, można znów włączyć —  
powiedziała Tara. — Nie sądzę, żeby Liza mogła to zaakcep-  
tować. Ona szuka radykalnego rozwiązania.

— No cóż, jeśli chce wywołać pożar, znalazła dobre miej-  
sce — mruknął Sheldrake, wskazując palcem za siebie.

Lash powiódł wzrokiem we wskazanym kierunku. Na prze-  
ciwległym końcu potężnej hali teraz majaczyły dwa wielkie,  
podobne do silosów walce, najwidoczniej z grubej stalowej  
blachy.

— Jezu — powiedziała Tara. — Generatory awaryjne.

Mauchly kiwnął głową.

— W obudowie tego po prawej znajdują się akumulatory.  
Litowo-arsenkowe. Wystarczyłyby, żeby przez kilka dni oświe-  
tlić nieduże miasto.

— Może mają ogromną pojemność — powiedział Shel-  
drake — ale także wybuchowe właściwości. Jeśli będą za długo  
poddane wysokiej temperaturze, eksplozja zedrze górę tego  
budynku jak wieczko puszki sardynek.

Lash zwrócił się do Mauchly'ego.

— Jak mógł pan pozwolić na zainstalowanie czegoś tak  
niebezpiecznego?

— To był jedyne rodzaj akumulatorów o dostatecznej po-  
jemności. Podjęliśmy wszystkie możliwe środki ostrożności:  
podwójna osłona pojemników, ognioodporny rękaw za-  
bezpieczający apartament. W żaden sposób nie mogliśmy  
przewidzieć, że ciepło będzie generowane przez tak wiele  
źródeł jednocześnie. Ponadto... — Mauchly ściszył głos —  
zanim się o tym dowiedziałem, już było za późno, by coś  
zmienić.

Wszyscy spojrzeli na Silvera.

— Spryskiwacze? — zapytał Lash.

— W tym pomieszczeniu jest mnóstwo cennych urządzeń

elektronicznych — odparł Mauchly. — Spryskiwacze to jedyne zabezpieczenie, na jakie nie mogliśmy sobie pozwolić.

— Czy tych wszystkich urządzeń nie można wyłączyć? Odcinając zasilanie?

— Uniemożliwia to szereg redundantnych procedur. Na wypadek jakichś katastrof, działania sabotażystów lub terrorystów.

— Nie rozumiem. — Tara wciąż spoglądała na Silvera. — Liza musi wiedzieć, że robiąc to — niszcząc siebie, zabija także nas. Zabija pana. Jak może to robić?

Silver nie odpowiedział.

— Może jest tak, jak powiedziałeś — rzekł Lash. — To dla niej jedyny pewny sposób samozniszczenia. Jednak myślę, że również coś więcej. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że jest coś dziwnego w obu tych podwójnych morderstwach? Popełnione bez polotu, w identyczny sposób, jakby sprawcą było dziecko. Sądzę, że emocjonalnie Liza jest dzieckiem. Pomimo swoich ogromnych możliwości i wiedzy ma niedojrzałą osobowość. To dlatego zabiła te kobiety: z dziecinnej zazdrości, irracjonalnej i niepohamowanej. Dlatego uczyniła to w tak niewyrafinowany sposób, nie próbując zmienić metody ani zatrzeć śladów. I dla tego niszczy siebie teraz w taki sposób, nie zważając na to, co stanie się z nami i tym budynkiem. Po prostu robi to, co ma zrobić, jak najszybciej i najefektywniej, nie zważając na konsekwencje.

Zapadła cisza. Silver nie patrzył na nikogo.

— To bardzo interesujące — warknął Sheldrake. — Jednak te spekulacje nie uratują naszych tyłków. Ani tego budynku. — Odwrócił się do młodzieńca. — Dorfman, a co z apartamentem? Czy tam są spryskiwacze?

— Jeśli te pomieszczenia mają takie same zabezpieczenia jak wszystkie inne, to tak.

— Można skierować je tutaj?

— Być może. Jednak bez zasilania nie...

— Woda spływa do najniższej położonego punktu. Może uda nam się coś zaimprovizować. Gdzie są Lawson i Gilmore?

— Na dole, proszą pana. Próbują otworzyć grodz.

— To strata czasu. Ta grodz nie otworzy się, dopóki nie będzie zasilania i faza Gamma nie zostanie odwołana. Niech przyjdą tutaj.

— Tak, proszę pana.

Dorfman pobiegł po kolegów. Mauchly odwrócił się.

— Doktorze Silver? Ma pan jakiś pomysł?

Silver potrząsnął głową.

— Liza nie reaguje. Nie mogę się z nią porozumieć, jestem bezsilny.

— Musimy wprowadzić polecenia wyłączające sprzęt — powiedziała Tara. — Zhakować system.

— Podjąłem wszystkie możliwe środki ostrożności, żeby właśnie przed czymś takim go zabezpieczyć. Świadomość Lizy jest rozmieszczona w stu serwerach. Każdy zbiór tych danych jest zduplikowany i odizolowany od innych. Nawet gdyby udało się pominąć jeden węzeł, wszystkie pozostałe załatają tę lukę. Nawet najbardziej wyrafinowane metody hakerskie nie zdołają położyć tego systemu — a my nie mamy czasu nawet na najprymitywniejsze.

Dym zaczął gęstnieć, a sprzęt wokół piszczał przeciążony do granic swych możliwości. Lash poczuł, że pot spływa mu po czole. Po jego lewej ręce jakieś elektromechaniczne urządzenie wysiadło z paskudnym zgrzytem, syjąc deszczem iskier i wypluwając kłęb czarnego dymu.

— Nie pozostawiłeś w systemie żadnych tylnych drzwi? — przekrzyczała ten hałas Tara. — Żadnej drogi omijającej zabezpieczenia?

— Nie świadomie. Oczywiście, kiedyś można było symulować dostęp tylnymi drzwiami. Jednak Liza się rozwijała. Oryginalne oprogramowanie nie było wymieniane, ale po prostu rozbudowywane. Nigdy nie widziałem powodu, żeby umieszczać w systemie tylne drzwi. A z czasem stał się zbyt skomplikowany, żeby je dodać. Ponadto... — Silver zawahał się. — Liza uznałaby to za brak zaufania.

— Nie możemy zniszczyć tego wszystkiego? — zapytał Sheldrake. — Porozbijać na kawałki?



— Ten sprzęt był specjalnie wzmacniany. Jest wytrzymalszy niż się zdaje.

Dorfman wybiegł z chmury dymu, trąc oczy. Za nim pojawili się dwaj technicy, Lawson i Gilmore.

— Dorfman — powiedział Sheldrake. — Chcę, żebyś sprawdził generator awaryjny. Zobacz, czy jest jakiś sposób, jakikolwiek, żeby go odłączyć. Lawson, sprawdź przewody biegnące od generatora do sprzętu — większość zapewne jest zabezpieczona stalowymi płytami, ale zobacz, czy nie ma jakiegoś słabego punktu, miejsca, gdzie moglibyśmy odciąć dopływ prądu. A ty, Gilmore, idź do apartamentu i obejrzyj spryskiwacze. Zobacz, czy można skierować tu wodę ze zbiornika na dachu. Jeśli tak, daj mi znać, to przyślę ci pomoc. Ruszać się.

Wszyscy trzej oddalili się biegiem. Pozostali patrzyli na to w milczeniu.

Sheldrake zakreślił się niespokojnie.

— No cóż, nie zamierzam tu stać i usmażyć się jak prosię na rożnie. Poszukam innego wyjścia. Musi tu jakieś być.

Silver podniósł głowę i patrzył, jak Sheldrake znika w chmurze dymu.

— Nie ma innego wyjścia — powiedział tak cicho, że Lash ledwie go usłyszał.

Nagle Tara chwyciła Lasha za rękę.

— Co przed chwilą powiedziałeś? Że emocjonalnie Liza jest jak dziecko?

— Tak uważam.

— No cóż, jesteś psychologiem. Załóżmy, że masz do czynienia z upartym, rozwydrzonym dzieckiem.

— I co?

— I załóżmy, że nie można go ukarać. Jaki byłby najskuteczniejszy sposób pokonania uporu dziecka, dotarcia do niego?

— Psychologia dziecka to nie moja dziedzina.

Tara niecierpliwie machnęła ręką.

— Nieważne, zapłacę ekstra.

Lash zastanowił się.

— Chyba odwołałbym się do najbardziej atawistycznych odruchów, wykorzystałbym najdawniejsze wspomnienia.

— Najdawniejsze wspomnienia — powtórzyła Tara.

— Oczywiście dzieci słabiej pamiętają minione wydarzenia niż dorośli. Dopiero w wieku około dwóch lat, kiedy rozwija się u nich poczucie własnej tożsamości, umieszczają wspomnienia w kontekście, co pozwala...

Tara przerwała mu.

— Atawistyczne odruchy. Rozumiesz? W oprogramowaniu mamy ich odpowiednik. To jest słaby punkt.

Lash spojrzął na nią. Zauważył, że Silver również.

— Kod zastany. Występuje w obszernych programach, aplikacjach tworzonych latami, pisanych przez zespoły programistów. Z czasem najstarsze procedury wychodzą z użycia. Stają się zbyt powolne. W porównaniu z otaczającymi je nowszymi procedurami taki oryginalny kod jest dinozaurem. Czasem napisanym w jakimś starym języku, takim jak ALGOL czy PL-1, którego już nikt nie używa. Albo jego twórcy nie żyją, a procedura jest tak kiepsko udokumentowana, że nikt nie zrozumie, co naprawdę robi. Ponieważ jednak jest w jądrze programu, ludzie boją się go ruszać.

— Chociaż jest przestarzały? — zapytał Lash.

— Lepiej powoli niż wcale.

— Do czego zmierzasz? — spytał Mauchly.

Tara powiedziała do Silvera:

— Może nas pan zaprowadzić do pierwotnego komputera? Tego, na którym po raz pierwszy uruchomił pan Lizę?

— Jest tam.

I nie mówiąc nic więcej, Silver odwrócił się i poszedł.

Przedzierając się przez opar coraz bardziej gryzącego dymu, Lash stopniowo tracił orientację. Urządzenia peryferyjne znikły, a pojawiły się wysokie wieże superkomputerów, potem rzędy podobnych do lodówek czarnych skrzyń, z lampkami i włącznikami z czerwonego plastiku, później jeszcze starsze, ponure maszyny w szarych obudowach. Gdy dotarli na środek pomieszczenia, daleko od elektromechanicznych urządzeń peryferyjnych, hałas trochę przycichł, a dym zrzedniał.

W końcu przystanęli przed czymś, co wyglądało jak stary stół warsztatowy. Był podrapany i poobijany, jakby po latach intensywnego używania. Na nim stało długie i wąskie pudło, z czarną tabliczką nad białą konsolą. Na tej konsoli znajdował się rząd jednocalowych, prostokątnych przycisków. Były z przezroczystego plastiku, z maleńkimi diodami zapalającymi się po wciśnięciu. W tym momencie paliła się tylko jedna, ale całe to urządzenie było tak sfatygowane, że pozostałe równie dobrze mogły być poprzepalane. Nie było żadnego monitora. Na jednym końcu stół zakrzywił się nieco i tam zamocowano elektryczną maszynę do pisania. Obok stały inne zabytki, w równie kiepskim stanie: stara dziurkarka kart perforowanych, czytnik kart oraz wysokie, podobne do szafki pudło.

Tara podeszła bliżej i spojrzała na nie.

— Jednostka główna IBM dwa tysiące czterysta dwadzieścia. Z systemem kontrolnym dwa tysiące siedemset jedenaście.

— To jest serce Lizy? — zapytał z niedowierzaniem Lash.

Ten sprzęt wyglądał niewiarygodnie staro.

— Wiem, co myślisz. Nie wygląda na zdolnego uporać się z tabliczką mnożenia z trzeciej klasy podstawówki. Jednak wygląda może mylić — pod koniec lat sześćdziesiątych był sercem wielu uczelnianych pracowni komputerowych. I zanim doktor Silver zaczął intensywnie pracować nad Lizą, ten sprzęt był tak przestarzały, że można go było kupić na wyprzedaży. Ponadto nie patrzysz nań z punktu widzenia programisty. Pamiętaj, że Liza nigdy nie była przenoszona — tylko rozbudowywana. Tak więc myśl o nim jak o świecy zapłonowej wielkiej i potężnej maszyny.

Lash spojrzał na stary komputer. Świeca zapłonowa, pomyślał. A my zamierzamy ją wyjąć.

— Po prostu wyłączmy to — powiedział.

Stojący obok niego Silver uśmiechnął się w sposób, który zmroził Lasha.

— Spróbuj — powiedział.

Oczywiście. Jeśli Silver tak starannie zabezpieczył Lizę przed atakiem lub przerwą w zasilaniu, to z pewnością usunął wszystkie wyłączniki.

— Nie zrobimy niczego tak prymitywnego — powiedziała Tara. — Wprowadzimy nowy program do tego starego dwa tysiące czterysta dziesięć. Program, który nakaze Lizie odwołać fazę Gamma. Włączyć zasilanie i otworzyć grodzie. — Spojrzała na Silvera. — Co teraz robi pierwotny komputer?

Silver odpowiedział, nie patrząc na nią.

— Zawiera program ładujący: pierwotny program wczytujący i uruchamiający inne. Głównie samouczące się algorytmy dla sieci neuronowej.

— Kiedy ostatni raz był włączany?

Znów słaby uśmiech.

— Ponad dziesięć lat temu. Wtedy ostatni raz restartowano Lizę: trzydzieści dwie wersje temu.

— Jednak nie ma powodu, żeby nie można jej teraz zrestartować, prawda?

— Żadnego powodu.

Tara zwróciła się do Lasha.

— Doskonale, możemy wykorzystać program ładujący do załadowania nowego zestawu poleceń. To podstawowa maszyna, pierwszy z klocków domina. Zawiera te najstarsze wspomnienia, o których mówiłeś.

— I co z tego?

— To, że czas przedstawić Lizie dziecko, które w niej tkwi. — Ponownie obróciła się do Silvera. — W czym jest zaprogramowana?

— W ósemkowym kodzie maszynowym.

— Jak długo zajmie panu napisanie takiego programu, o jakim mówię, i przygotowanie kart perforowanych?

— Cztery, może pięć minut.

— Dobrze. Im prędzej, tym lepiej.

Lash zobaczył, że Tara spojrzała przy tym w głąb hali, na dym rozchodzący się wielkimi szarymi pasmami. Jednak Silver się nie ruszył.

— Doktorze Silver? — powiedziała Tara. — Potrzebujemy tego programu.

— To na nic — padła znużona odpowiedź.

— Na nic? — powtórzyła Tara. — Na nic? Dlaczego, do diabła'?

— Przygotowałem Lizę na każdą ewentualność. Myślicie, że nie zabezpieczyłem jej przed tym? W superkomputerach Cray jest tuzin wirtualnych maszyn typu dwa tysiące czterysta dwadzieścia. Wychodzące z nich polecenia są nieustannie porównywane. W razie jakichś niezgodności Liza korzysta z innego źródła, ignorując pierwotną jednostkę.

Tara zbladła.

— Chce pan powiedzieć, że w żaden sposób nie można zmodyfikować oprogramowania? Nie da się zmienić zestawu poleceń?

— Nie w sposób, który coś by nam dał.

Zapadła głęboka cisza. Patrząc na wyraz twarzy Tary, Lash poczuł, że isierka nadziei, która przed chwilą zaczęła się tlić, teraz gwałtownie gaśnie.

Tysiąc stóp nad poziomem ulic Manhattanu hala dygotała, gdy niezliczone urządzenia wyły, obciążone w stopniu przekraczającym ich elektromechaniczne normy, sypiąc skrami i plując coraz ciemniejszymi chmurami dymu. Nawet w miejscu, gdzie stał Lash — w stosunkowo spokojnym centrum tego zbiorowego umysłu — hałas i wstrząsy były przerażające. Zaczął kaszleć. Spływał potem i koszula lepiła mu się do pleców. Wstrząsy tak przybrały na sile, że wydawało się, iż cały apartament zaraz oderwie się od wsporników i runie. Patrząc na otaczające go twarze — Tary zapatrzonej w przestarzały komputer, Silvera zgębnionego i wstrząśniętego, Mauchly'ego ocierającego czoło chustką — Lash dochodził do wniosku, że chyba woli czekać tutaj na powoli nadchodzącą śmierć.

Zaczęli wracać pozostali. Najpierw Sheldrake, potrząsający głową na znak, że nie znalazł żadnej drogi ucieczki. Potem Dorfman i Lawson, którzy zameldowali, że zgodnie z oczekiwaniami generator i przewody zasilające są zabezpieczone przed jakąkolwiek ingerencją. Ostatni wrócił Gilmore, czarny od sadzy i kaszlący. Powiedział, że chociaż spryskiwacze w apartamencie można by prowizorycznie podłączyć tak, żeby woda spływała na dół, to jednak zajęłoby to godzinę lub dwie i prawdopodobnie nie wystarczyłoby, żeby ugasić liczne pożary, których zarzewia widzieli wokół.

— Godzina — wycedził Sheldrake przez zaciśnięte zęby. — Będziemy mieli szczęście, jeśli przeżyjemy następne dziesięć minut. Tu jest co najmniej pięćdziesiąt stopni. Generator w każdej chwili może wybuchnąć.

Na to nikt nie znalazł odpowiedzi. Było tak gorąco, a dym tak zgęstniał, że Lash prawie nie mógł oddychać. Przy każdym wdechu miał wrażenie, że płuca ma pełne ostrych igieł. Kręciło mu się w głowie i zaczynał mieć problemy z koncentracją.

— Chwileczkę — powiedziała Tara. Podeszła i stanęła przed pulpitem kontrolnym IBM 2420. — Te guziki. Każdy jest oznaczony symbolem asemblera.

Nie słysząc odpowiedzi, obejrzała się na Silvera.

— Mam rację?

Silver zakaszłał i kiwnął głową.

— Do czego są używane?

— Głównie do diagnostyki. Jeśli program nie działa, można sekwencyjnie sprawdzać kody operacyjne.

— Albo ręcznie wprowadzać nowe instrukcje.

— Tak. Te przyciski to anachronizm, pozostałość z wcześniejszego modelu.

— Jednak zapewniają dostęp do pamięci? Do rejestrów?

— Tak.

— Zatem mogliśmy puścić zestaw krótkich poleceń.

Silver potrząsnął głową.

— Już mówiłem. Zabezpieczenia Lizy nie zaakceptują żadnego nowego programu.

— Ja nie mówię o wprowadzaniu programu.

Teraz Mauchly odwrócił się i spojrzał na Tarę.

— Nie wprowadzilibyśmy niczego z żadnego urządzenia peryferyjnego. Po prostu wcisnęlibyśmy kilka klawiszy z kodami operacyjnymi. O, te. Pięć... nie, cztery, powinno wystarczyć. Wciskalibyśmy je raz po raz.

— Które kody operacyjne? — zapytał Silver.

— Podaj zawartość pamięci pod tym adresem. Wykonaj operację AND z tą zawartością. Uaktualnij wartość pamięci pod tym adresem. Zwiększ wartość licznika.

Zapadła cisza.

— O czym ona mówi? — spytał Sheldrake.

— Mówią o najprymitywniejszej metodzie dostępu do pamięci komputera. Bajt po bajcie. O manualnych zmianach dokonywanych z pulpitu kontrolnego maszyny. — Tara obejrzała się na Silvera. — To ośmiobitowa maszyna, prawda?

Silver skinął głową.

— Każdy bajt w pamięci tego komputera ma osiem bitów. Prawda? Każdy z tych bitów może mieć tylko jedną z dwóch wartości: zero lub jeden. Osiem tych liczb binarnych tworzy instrukcję, słowo w języku komputera. Mówię o wyzerowaniu tych wszystkich instrukcji. Wyczyszczeniu jego pamięci. Skasowaniu jej.

Sheldrake zmarszczył brwi.

— Jak chcesz to zrobić, do diabła?

— Nie, ona ma rację — rzekł Dorfman. — Można wykonać instrukcję AND dla zera bajtów i każdego adresu pamięci. To niemal elegancki sposób.

Sheldrake zwrócił się do Mauchly'ego.

— Czy pan wie, o czym oni mówią?

— AND to instrukcja logiczna — ciągnął Dorfman. — Porównuje każdy bit z podaną wartością i albo zostawia ten bit w spokoju, albo zmienia jego wartość.

— To proste — dodała Tara. — Jeśli wydać polecenie AND zero do zera obecnego w pamięci, ta wartość pozostanie zerem. Jednak polecenie AND zero do obecnej w pamięci jedynki zmieni wartość na zerową. Tak więc proste polecenie — AND zero — może zmienić wartość każdej komórki pamięci na zerową.

— Pozostawiając same NOP — rzekł Mauchly, kiwając głową.

— No Operation. — W głosie Dorfmana słychać było podniecenie. — Właśnie. W pamięci komputera zostaną tylko polecenia bez wartości.

— To się nie uda — rzekł Silver.

— Dlaczego? — zapytała Tara.



— Już wyjaśniałem. Tuzin wirtualnych symulacji tej maszyny istnieje w różnych miejscach pamięci Lizy. Po każdym tysiącu cykli obliczeniowych są ze sobą porównywane. Nowe polecenia zostaną rozpoznane i zignorowane.

— Wcale nie. — Tara się zakrztusiła. — Nie wprowadzimy żadnych nowych poleceń. Po prostu zresetujemy pamięć komputera. Ręcznie.

— To nie wchodzi w rachubę — rzekł Silver.

Ostry ton tej odpowiedzi zdziwił Lasha. Przez długą chwilę — od kiedy Liza zamilkła, a może nawet wcześniej — Silver sprawiał wrażenie pokonanego. Teraz jednak w jego głosie zabrzmiała stanowcza nuta, jakiej Lash nie słyszał od czasu ich konfrontacji.

— Dlaczego? — zapytała Tara.

Silver odwrócił się.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że wziął pan pod uwagę taką ewentualność, programując procedury zabezpieczające?

Silver założył ręce na piersi i nie odpowiedział.

— Czy wyzerowanie pierwotnej pamięci Lizy na pewno nie powstrzyma jej autodestrukcyjnych działań? Albo przynajmniej nie spowoduje padnięcia systemu?

I to pytanie zawisło w powietrzu. Teraz, po raz pierwszy, Lash ujrzał pióropusz płomieni — brudnopomarańczowych na tle czarnego dymu — tryskających ze stojaka ze sprzętem pod przeciwległą ścianą.

— Doktorze Silver — powiedział Mauchly. — Może warto spróbować?

Silver powoli się odwrócił. Sprawiał wrażenie zaskoczonego tym, że Mauchly zadał to pytanie.

— Do diabła z tym — rzekła Tara. — Jeśli mi pan nie pomoże, zrobię to sama.

— Umiesz programować tę maszynę? — spytał Lash.

— Nie wiem. Język maszyn IBM niewiele się zmienił. Mogę tylko powiedzieć, że nie zamierzam stać bezczynnie i czekać na śmierć.

Podeszła do konsoli przestarzałego komputera.

— Nie — powiedział Silver.

Spojrzenia wszystkich obecnych zwróciły się ku niemu.

Nie pozwoli jej tego zrobić, pomyślał Lash. Nie pozwoli jej powstrzymać Lizy. Patrzył jak urzeczony na Silvera, który zdawał się toczyć zacięte wewnętrzne zmagania.

Ignorując go, Tara wyciągnęła ręce do rzędu przycisków.

— Nie! — krzyknął Silver.

Lash instynktownie zrobił krok naprzód.

— Najpierw trzeba uwzględnić bit parzystości — rzekł Silver.

— Słucham? — zdziwiła się Tara.

Silver nabrał tchu i zakaszał.

— Ta dwatysiąceczteryśladwudziestka ma unikatowy sposób adresowania. Instrukcje mają długość dziewięciu bitów, a nie ośmiu. Jeśli nie zamaskujesz bitu parzystości, nie otrzymasz instrukcji o zerowej wartości.

Lash poczuł przyptyw otuchy. A jednak Silver jest z nami. Pomoże.

Silver podszedł do dalekopisu, włączył go i przeciągnął koniec papierowej taśmy przez plastikową prowadnicę czytnika. Potem obszedł stół i stanął za jednostką główną 2420. Jego ruchy były coraz bardziej zdecydowane.

— Co pan robi? — zapytała Tara.

Silver klęknął za obudową.

— Upewniam się, że ten komputer będzie nadal reagował na ręcznie wprowadzane polecenia.

— Jak to?

Silver wystawił głowę znad obudowy.

— Będziemy mieli tylko jedną szansę. Jeśli nam się nie uda, Liza przystosuje się do nowej sytuacji. Dlatego zamierzam rzucić aktualną zawartość pamięci tej maszyny na papierową taśmę.

Tara zmarszczyła brwi.

— Zdaje się, że twierdził pan, że nie ma żadnych tylnych drzwi.

— Nie ma. Jest jednak kilka starych przyrządów diagnostycznych, których żaden haker nie zdołałby wykorzystać.

Głowa Silvera znów znikła za obudową. Po chwili dalekopis

ożył. Pożółkły papier zaczął przesuwać się przez podajnik Deszcz cienkich żółtych krążków spadł na podłogę.

Po niecałej minucie proces się zakończył. Silver przeciągnął papierową taśmę jeszcze trochę dalej i oddał. Przesunął ją w palcach, studiując. Potem kiwnął głową.

— Wygląda na to, że zrzut pamięci się udał.

— No to do roboty.

Za plecami Tary pojawiły się nowe jęzory ognia, podświetlając jej czarne włosy.

Silver złożył wydruk i wepchnął go do kieszeni.

— Będę podawał kody, a ty będziesz je wprowadzać.

Tara już trzymała ręce nad pulpitem.

— Wciśnij klawisz LDA, żeby załadować lokalizację pierwszej komórki pamięci w rejestrze.

Tara zrobiła to. Lash zauważył, jak pod jej palcem zapaliła się lampka.

— Teraz użyj tamtego dziewięcioklawiszowego panelu.

Wprowadź 001111000. W układzie dziesiętnym to sto dwadzieścia, pierwsza dostępna komórka pamięci.

Tara postukała palcem w klawisze.

— Teraz wciśnij klawisz ENTER.

Na pulpicie zapaliło się zielone światełko.

— Zrobione — zameldowała Tara.

— Teraz wciśnij ADD.

— Wcisnęłam.

— Na alfanumerycznej wprowadź 100000000.

— Chwileczkę. Ta jedynka na początku może wszystko spieprzyć.

— Bit parzystości, pamiętasz? Trzeba go ustawić.

— W porządku. — Tara ponownie postukała w klawisze. —

Gotowe.

— Wciśnij klawisz ENTER, żeby wykonać AND zero dla tej komórki pamięci.

Kolejne naciśnięcie klawisza, kolejne potwierdzenie.

— Teraz przycisk STM, żeby zachować nową wartość w pamięci.

Tara nacisnęła klawisz na końcu rzędu. Kiwnęła głową.  
— A teraz wciśnij INC, aby zwiększyć wartość licznika.  
— Zrobione.  
— Dobrze. Teraz możesz przejść do następnego etapu, Będziesz wciskać te cztery klawisze — LDA, ADD, STM i INC — po kolei, podając ten zestaw poleceń, aż dojdiesz do ostatniego adresu.

— Ile jest tych komórek pamięci?

— Tysiąc.

Tarze wydłużyła się mina.

— Jezu. Nie zdążymy wymazać wszystkich.

Zapadła głucha cisza.

— Och, przepraszam — znowu odezwał się Silver. — Miałem na myśli tysiąc w systemie ósemkowym.

Uśmiech, który po tych słowach pojawił się na jego wargach, był jeszcze bardziej niesamowity niż poprzednio.

W ósemkowym — mruknęła Tara. Ile to jest w dziesiętnym?

— Pięćset dwanaście.

— Już lepiej. Jednak to i tak sporo stukania w klawisze.

— Proponuję więc, żebyś zaczęła to robić — rzekł Mauchly.

Pracowali razem: Dorfman podawał nazwy klawiszy, Tara wprowadzała polecenia, Silver sprawdzał poprawność. Gilmore'a, technika ochrony, posłano do włazu, żeby obserwował grodz i natychmiast zawiadomił ich, gdyby odwołano fazę Gamma. Lawsonowi kazano dopilnować, żeby pożar nie zagroził im drogi do włazu.

Tłoczyli się wokół komputera, w coraz bardziej dokuczliwym skwarze i dymie, który tak zgęstniał, że Lash ledwie widział stojących obok ludzi. Łzy ciekły mu z oczu, a w gardle zaschło, z trudem przełykał ślinę. Sheldrake od czasu do czasu udawał się do generatora awaryjnego z jego śmiercionośną zawartością i wracał z coraz bardziej ponurą miną.

W końcu Tara cofnęła się od pulpitu, przebierając zeszywanymi palcami.

Dorfman kiwnął głową.

— Sprawdziłem. Pięćset dwanaście.

Lash z mocno bijącym sercem czekał, aż coś się stanie.

Nic.

Skóra zaczęła go piec. Zamknął oczy i poczuł, że kręci mu się w głowie, więc pospiesznie znów je otworzył.

Sheldrake chwycił krótkofalówkę.

— Gilmore!

Usłyszeli szum zakłóceń.

— Tak, proszę pana.

— Czy coś się dzieje?

— Nie, proszę pana. Bez zmian.

Sheldrake powoli opuścił rękę. Nikt się nie odzywał ani nie patrzył na pozostałych.

Nagle krótkofalówka ożyła.

— Panie Sheldrake?

Sheldrake natychmiast podniósł ją do ucha.

— Co jest?

— Groź... ona się otwiera!

Teraz Lash poczuł słabe drżenie pod nogami, niemal ginące w konwulsjach otaczających ich maszyn, ale jednak wyczuwalne.

— A zasilanie? — niemal wrzeszczał Sheldrake. — Czy jest tam zasilanie??

— Nie, proszę pana. Jeszcze nic nie widzę, tylko światła miasta przez kratownicę. Jezu, jaki to miły widok...

— Zostań na miejscu. Już tam idziemy. — Odwrócił się do pozostałych. — Faza Gamma odwołana. Wygląda na to, że się nam udało.

— Dzięki Tarze — rzekł Mauchly.

Tara ze znużeniem oparła się o panel.

— Chodźcie — ponaglił Mauchly. — Nie ma czasu do stracenia.

Ruszył pierwszy przez gęste kłęby dymu. Lash delikatnie wziął Tarę za rękę i poszedł za Sheldrakiem. Obejrzał się i ze zdziwieniem zobaczył, że Silver nie idzie. Zamiast tego znów wprowadzał papierową taśmę do dalekopisu.

— Doktorze Silver! — krzyknął. — Richardzie! Chodź!

— Za chwileczkę.

Dalekopis ożył i papierowa taśma zaczęła się przesuwac przez czytnik.

— Co ty robisz, do diabła? — zawołała Tara. — Musimy uciekać!

— Chcę zyskać na czasie. Nie wiadomo, ile go mamy, bo Liza szybko zauważy nieprawidłowość. Dlatego ponownie wprowadzam początkowe oprogramowanie.

— Tracimy czas. Chodź!

— Zaraz was dogonię.

— Chodźmy.

Wpadając w czarną kurtynę lepkiego dymu, Lash dostrzegł jeszcze Silvera, który w skupieniu pochylał się nad dalekopisem i wsuwał papierową taśmę do czytnika.

Szli jak w koszmarnym śnie, przez ogień i dym. To, co poprzednio było przeciążonym cyfrowym miastem, teraz zmieniło się w krzemowe piekło. Nad ich głowami przelatywały fontanny iskier i jezory płomieni; stalowe potwory rozpadały się, plując strumieniami płonącego oleju. Jęki giętego metalu i huk pękających sworzni zamienił halę w pole bitwy. Chmura dymu jeszcze zgęstniała, gdy przechodzili przez krąg urządzeń peryferyjnych. W pewnej chwili Lash z Tarą stracili orientację i odłączyli się od grupy, ale odnalazł ich Lawson. Później, kiedy szczególnie duże płomienie oddzieliły go od Tary, Lash jakoś zdołał ją odnaleźć po gorączkowych, trwających półtorej minuty poszukiwaniach.

Potyając się, szli dalej. Czarna mgła zasnuwała Lashowi oczy — mgła, która nie miała nic wspólnego z dymem.

Nagle — kiedy już był gotów się poddać — znalazł się w ciasnym pomieszczeniu, razem z pozostałymi. Metalowa drabina zniknęła w otworze w podłodze. Sheldrake już po niej schodził z latarką w ręce, krzycząc coś do niewidocznego w dole Gilmore'a. Mauchly pomógł Tarze wejść na drabinę, za nią poszedł Dorfman — trzymający drugą latarkę — a potem Lash.

— Uważaj — rzekł Mauchly, pomagając Lashowi. — I po spiesz się.

Lash zaczął szybko schodzić po drabinie. Przeszedł przez pionową stalową rurą — będącą częścią fundamentów apartamentu — i znalazł się w dziwnym, mrocznym świetle. Mimo woli przystanął na moment. Słyszał, jak Sheldrake wspominał o „kratownicy”, zajmującej otwartą przestrzeń między dachem wieżowca a apartamentem. Przez pajęczynę otaczających ich wsporników było widać słabe światła miasta. Jęki metalu, dolatujące z hali maszyn, były tu lekko przytłumione. Zalegająca w dole mrok przeszywały strumienie światła latarek.

— Doktorze Lash — usłyszał głos Mauchly'ego. — Proszę iść dalej.

W tej samej chwili Lash dostrzegł grube stalowe płyty, złożone w harmonijki pod przeciwległymi ścianami. Lśniły złowrogo w odbitym świetle, jak monstualna paszcza. To grodz, pomyślał, podejmując przerwany odwrót.

Po chwili stanął na dachu wewnętrznej wieży. W pobliżu znajdował się otwarty właz, który prowadził do środka wieżowca. Poniżej stalowych płyt grodzi Lash był już bezpieczny. Z tego miejsca spód apartamentu był prawie niewidoczny w półmroku. Lash poczuł, że Tara ściska jego dłoń. Przez chwilę głęboka ulga stłumiła wszystkie inne uczucia.

Potem przypomniał sobie, że brakuje jeszcze jednej osoby.

Odwrócił się do Mauchly'ego, który właśnie zszedł z drabiny.

— Gdzie jest Silver? — zapytał.

Mauchly wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

— Doktorze Silver? Gdzie pan jest?

— Już prawie skończyłem — usłyszeli głos.

W tle Lash usłyszał straszliwy hałas: eksplozje, łoskot, jęki wyginającej się stali. A także inny dźwięk, mechaniczny i regularny, ledwie słyszalny: odgłos wciągnięcia pracującego czytelnika...

— Doktorze Silver! — zawołał Mauchly. — Nie ma czasu. W każdej chwili wszystko może wylecieć w powietrze!

— Już prawie skończyłem — powtórzył spokojnie Silver.

I wtedy — z nagłą i przeraźliwą jasnością — Lash zrozumiał. Zrozumiał, dlaczego Silver nagle przystał na plan Tary, który miał wymazać pamięć Lizy, czemu początkowo tak gwałtownie

się sprzeciwiał. Pojął, dlaczego Silver tracił czas na wykonanie rzutu pamięci. I wydawało mu się, że rozumie, dlaczego Silver pozostał w hali. Nie po to, żeby zyskać na czasie — a przynajmniej nie tylko dlatego...

Już prawie skończyłem.

Silver wcale nie mówił o wyjściu z hali. Miał na myśli to, że już prawie skończył ładować jądro pamięci Lizy. Wprowadzać w życie swój straszliwy plan.

Lash rzucił się do drabinki.

— Wracam po niego.

Mauchly przytrzymał go.

— Doktorze Lash...

Lash wyrwał mu się i zaczął pięć się w górę. Jednak w tej samej chwili usłyszał szcęk metalu. Stalowe płyty grodzi zaczęły ponownie się zamykać.

Lash chciał iść wyżej, lecz Mauchly go przytrzymał. Shel-drake i Dorfman przyszedli mu z pomocą i nie pozwolili wspiąć się wyżej. Lash odwrócił się i wyrwał Mauchly'emu telefon.

— Richardzie! — krzyknął. — Słyszysz mnie?

— Tak — usłyszał głos, słaby i zagłuszony przez potężne wycie. — Słyszę.

— Richardzie!

— Jestem.

— Dlaczego to robisz?

Trzask zakłóceń. Potem znów usłyszał głos Silvera.

— Przykro mi, Christopherze. Jednak jest tak, jak powiedziałeś. Liza jest dzieckiem. A ja nie mogę pozwolić, aby moje dziecko umarło samo.

— Poczekaj! — wrzasnął Lash do telefonu. — Poczekaj, poczekaj...!

Stalowe płyty grodzi zatrzasnęły się jednak z potwornym hukiem, głos w słuchawce umilkł w szumie zakłóceń i Lash, zamknięwszy oczy, bezsilnie oparł się o drabinę.



## 63

Choć jest trzecia rano, sypialnia jest skąpana w ostrym świetle. Dwa okna wychodzące na taras z basenem są prostokątami nieprzeniknionej czerni. Światło wydaje się tak jasne, że zmienia wszystko w pokoju w zbiór ostrych geometrycznych. kątów: łóżko, nocną szajkę, toaletkę...

Tylko tym razem to nie jest sypialnia ofiary. Wygląda znajomo. Należy do Lasha.

Zaczyna krążyć po pokoju, zapalając światła. Ostry blask przysgasa, zmiękcza kontury przedmiotów. Powoli wylania się nocny krajobraz za oknem, błękitny przy pełni księżyca. Wypielęgowany trawnik, basen z lekko fosforyzującą powierzchnią wody, za nim wysoki żywopłot z ligustru. Przez chwilę obawia się, że w cieniu żywopłotu stoją postacie — trzy kobiety i trzech mężczyzn, wszyscy już martwi — lecz to tylko złudzenie, więc odwraca się plecami do okna.

Za łóżkiem są otwarte na oścież drzwi sypialni. Idzie ku nim. W głębi kobieta stoi przed lustrem, płynnymi ruchami szczotkując długie włosy. Stoi tyłem do niego, lecz Lash natychmiast poznaje te ramiona, te biodra. Słyszc ciche trzaski wyładowań elektrostatycznych, gdy szczotka przesuwa się po jej włosach.

Lash spogląda w lustro i napotyka spojrzenie swojej byłej żony.  
— Shirley. Co tu robisz?

- Przyszedłam tylko zabrać kilka rzeczy. Wyruszam w podróż.  
— W podróż?  
— Oczywiście. — Mówi z pewnością siebie typową dla snu. — Spójrz na zegar. Już po północy, mamy nowy dzień.  
Trzask wyładowań zmienia się w inny dźwięk: powolny i rytmiczny, jak miarowy szum zakłóceń w radiu.  
— Dokąd się wybierasz?  
— A jak myślisz? — Odwraca się twarzą do niego. Tylko że teraz ma twarz Diany Mirren. — Każdy dzień jest podróżą.  
— Każdy dzień jest podróżą — powtarza Lash.  
Ona kiwa głową.  
— A sama podróż jest domem.  
Gdy tak patrzy, uświadamia sobie, że jeszcze coś jest nie tak. To nie jest głos Diany. Ani jego byłej żony. Z zaskoczeniem, które nie jest już zgrozą, zdaje sobie sprawę z tego, że to głos Lizy. To Liza przemawia ustami Diany.  
— Silver! — woła.  
— Tak, Christopherze. Słyszę cię.  
Widmowa postać uśmiecha się z przymusem.  
Te dziwne rytmiczne dźwięki są coraz głośniejsze. Lash kryje twarz w dłoniach.  
— Och nie. Nie.  
— Wciąż tu jestem — mówi Liza.  
Jednak on nie spojrzy, nie spojrzy, nie...  
— Christopherze...



Lash otworzył oczy w ciemności. Przez moment w tym mroku nocy wydawało mu się, że leży w swoim łóżku. Usiadł, powoli oddychając, pozwalając, by miarowy szum bijących o pobliski brzeg fal rozproszył ostatnie strzępy tego snu.

Zaraz jednak przez otwarte okna wpadł egzotyczny zapach kwitnących hiacyntów i eukaliptusów, przypominając mu, gdzie jest.

Powoli wstał z łóżka i odsunął moskitierę. Za oknem dywan tropikalnej dżungli ciągnął się aż do morza, jak ciemnoszmarag-

dowy koc otoczony płynnym topazem. Rzadkie chmurki przesuwały się po wielkiej tarczy księżyca. Czasem, przypomniał sobie Lash, sny są jednak tylko snami.

Wrócił do łóżka i poprawił pościel. Przez kilka minut leżał z otwartymi oczami, spoglądając na bambusowy sufit, słuchając fal przyboju i myślami błądząc w przeszłości i pół świata dalej. Potem odwrócił się na bok, znów zamknął oczy i zapadł w spokojny sen.

## 64

Chociaż była dopiero czwarta, na Manhattanie już zapadł wczesnozimowy zmierzch. Taksówki przepychały się przez omywane strugami deszczu ulice, przechodnie tłoczyli się na chodnikach, pochylając głowy przed gniewem żywołów dzierżąc w dłoniach parasolki jak rycerze kopie.

Christopher Lash stał w tłumie ludzi na rogu Madison i Pięćdziesiątej Szóstej, czekając na zmianę świateł. Deszcz, pomyślał. Bez niego nie byłoby Bożego Narodzenia w Nowym Jorku.

Przestępował z nogi na nogę, usiłując się rozgrzać i trzymać niesione reklamówki pod baldachimem parasola, by chronić je przed zamoczeniem. Zapaliło się zielone światło, tłum powoli ruszył naprzód i teraz wreszcie Lash pozwolił sobie spojrzeć w górę, na budynek.

Ten na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądał inaczej. Obsydianowa, aksamitnie czarna ściana wznosiła się pod pochmurnym niebem, przykuwając wzrok do miejsca, gdzie kończyła się zewnętrzna wieża, a wewnętrzna biegła jeszcze wyżej. Dopiero wtedy — kiedy spojrzało się na wierzchołek tej wewnętrznej wieży — wyraźnie było widać zmianę. Przedtem gładki trzon wewnętrznej wieży poniżej kilku ostatnich pięter zdobiła ażurowa krata, teraz te ostatnie kondygnacje znikły razem z wstęgą ażurowej konstrukcji, odsłaniając puste niebo. Ich okopcone resztki — kłębowisko poskręcane metalu, które

Lash widział na zdjęciach w gazetach — zostały usunięte z podziwu godną szybkością. Teraz nie pozostał po nich żaden ślad, jakby nigdy ich nie było. Patrząc na to, pozwalając nieść się ludzkiemu morzu, Lash tęsknił za tym, co przepadło wraz z nimi.

Duży plac przed budynkiem ział pustką. Nie było turystów robiących rodzinne zdjęcia pod stylizowanym logo ani przyszytych klientów kręcących się wokół ogromnej fontanny z posągami jasnowidza Tejrezjasza. Hol za nią był równie pusty. Wydawało się, że odgłos kroków Lasha jest jedynym dźwiękiem odbijającym się od różowego marmuru. Ściana ciekłokrystalicznych wyświetlaczy była ciemna i cicha. Kolejki kandydatów znikły, zastąpione przez grupki robotników i inżynierów w fartuchach, ślęczących nad schematami. Tylko ochrona się nie zmieniła: reklamówki z zapakowanymi prezentami prześwietlono Lashowi dwukrotnie, zanim wpuszczono go i pozwolono mu wjechać windą na górę.

Kiedy drzwi kabiny otworzyły się na trzydziestym drugim piętrze, Mauchly już czekał. Uścisnął Lashowi dłoń i bez słowa zaprowadził go do swojego gabinetu. Poruszając się tym charakterystycznym powolnym krokiem, wskazał Lashowi ten sam fotel co podczas ich pierwszego spotkania. W istocie wszystko przypominało Lashowi tamten pierwszy dzień na początku jesieni. Mauchly miał na sobie podobny brązowy garnitur, nie rzucający się w oczy, ale bardzo dobrze uszyty, a jego ciemne oczy mierzyły Lasha tym samym nieprzeniknionym spojrzeniem Buddy. Siedząc tu, Lash niemal miał wrażenie, że pomimo tych wszystkich widocznych zmian, mimo tej okropnej tragedii nic w tym biurze oraz w tym człowieku nie zmieniło się i nigdy się nie zmieni.

— Doktorze Lash — rzekł Mauchly. — Miło pana widzieć.

Lash się skłonił.

— Ufam, że Seszele są bardzo przyjemnym miejscem o tej porze roku?

— Przyjemnym to mało powiedziane.

— Podobało się panu zakwaterowanie?

- Eden najwyraźniej nie oszczędzał na wydatkach.
- A obsługa?
- Codziennie rano nowa spódniczka z trawy.
- Mam nadzieję, że w pewnym stopniu zrekompensowało to panu tak długą nieobecność. Nawet przy naszych... hmm... kontaktach, odtworzenie pańskiego prawdziwego życiorysu trwało trochę dłużej, niż oczekiwaliśmy.
- To musiało być trudne bez pomocy Lizy.
- Mauchly obdarzył go chłodnym uśmiechem.
- Nie ma pan pojęcia jak trudne, doktorze Lash.
- A Edmund Wyre?
- Z powrotem za kratkami, od kiedy wyjaśniono nieścisłości w dokumentacji.
- Mauchly podsunął Lashowi plik kartek.
- Co to takiego?
- Certyfikat pańskiej wiarygodności kredytowej, dowody spłaty pożyczki hipotecznej, oficjalne zawiadomienie o pomyłce i jej sprostowaniu w bazach danych służby zdrowia, opieki społecznej i Departamentu Szkolnictwa.
- Lash przerzucił dokumenty.
- A ten ostatni?
- Zaświadczenie o umorzeniu postępowania sądowego, obejmujące wszystkie przestępstwa, jakie dotychczas mógł pan popełnić.
- Żelazny list — rzekł Lash i cicho zagwizdał.
- Coś w tym rodzaju. Niech go pan nie zgubi. Nie sądzę, żebyśmy coś przeoczyli, ale takie ryzyko zawsze istnieje. A teraz zechce pan to podpisać.
- Mauchly podsunął mu następną kartkę papieru.
- Chyba nie kolejne zobowiązanie do zachowania tajemnicy.
- Znów chłodny uśmiech.
- Nie. Ten dokument to formalne oświadczenie, że pańska praca na rzecz Edenu została zakończona.
- Lash się skrzywił. Raz po raz — siedząc na ganku chatki na wyspie Desroches, czytając haiku i patrząc na plantacje

awokado — odtwarzał w myślach tę ostatnią scenę, zastanawiając się, czy mógł jakoś temu zaradzić, czy mógł coś zrobić — coś, cokolwiek, żeby zapobiec temu, co się stało z Richardem Silverem i dziełem jego życia.

Siedząc tutaj, wcale nie miał wrażenia, że zakończył pracę.

Sięgnął do kieszeni i wyjął pióro.

— A także rezygnacja z wszelkich ewentualnych działań prawnych przeciwko Edenowi lub jego personelowi.

Lash znieruchomiał.

— Co takiego?

— Doktorze Lash. Pańska wypłacalność, fachowość, moralność i kompetencje zostały narażone na szwank. Przypisano panu liczne przestępstwa. Został pan bezpodstawnie oskarżony, strzelano do pana. Musiał pan zawiesić swoją praktykę i opuścić kraj do czasu sprostowania tych wszystkich pomyłek.

— Mówiłem już. Seszele są piękne o tej porze roku.

— I obawiam się, że ta historia miała również inne, bardziej osobiste reperkusje, których nie jesteśmy w stanie zmienić.

— Mówi pan o Dianie Mirren.

— Po tym, co zrobiliśmy, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, po tym, co jej powiedziano, nie widzę możliwości, żeby mógł pan ponownie nawiązać z nią kontakt. Na pewno nie bez skompromitowania Edenu.

— Rozumiem.

Mauchly wiercił się na fotelu.

— Głęboko ubolewamy nad pańską stratą, chyba najbardziej nad nią. Dlatego jeszcze to.

Wręczył Lashowi kopertę.

Lash obrócił ją w palcach.

— Co jest w środku?

— Czek na sto tysięcy dolarów.

— Kolejne sto tysięcy?

Mauchly rozłożył rękę.

Lash upuścił kopertę na stół.

— Zatrzymajcie te pieniądze. Bez obawy, podpiszę to oświadczenie. — Złożył swój podpis w przeznaczonym na to miejscu

i położył dokument na kopercie. — Zamiast tego może odpowie pan na kilka moich pytań. Mauchly uniósł brwi.

— To przez długie przesiadywanie na plaży, wie pan. Miałem dużo czasu do namysłu.

— Odpowiem w miarę moich możliwości.

— Co się stało z trzecią parą? Z Connellymi?

— Nasz personel medyczny zdążył interweniować w porę na drugi dzień po... na drugi dzień. Lynn Connelly już wykazywała objawy zatrucia. Umieściliśmy ją w izolatce pod pretekstem obowiązkowej kwarantanny, odtuliśmy i wypuściliśmy. Od tej pory monitorujemy jej stan. Jest zdrowa.

— A inne superpary?

— Liza podjęła dopiero wstępne kroki wobec czwartej pary i wszystko udało nam się odkręcić. Obserwacja pasywna i aktywna nie wykazuje dalszych zagrożeń.

Lash kiwnął głową.

— A trzecie pytanie?

— Co dalej? Mówię o Edenie.

— Bez Lizy?

— Bez Lizy. I bez Richarda Silvera.

Mauchly spojrzął na Lasha. Na moment kamienna maska opadła i Lash ujrzał na jego twarzy przygnębienie. Potem wróciła na swoje miejsce.

— Jeszcze nie spisywałbym nas na straty, doktorze Lash — odparł Mauchly. — Richard Silver nie żyje. Lizy również nie ma. Jednak wciąż mamy to, co nam umożliwili: sposób kojarzenia par. Idealnych. Teraz ten proces będzie trwał dłużej. Zapewne znacznie dłużej. I skłamałbym, gdybym powiedział, że to będzie łatwe. Jednak założę się, że większość ludzi chętnie zaczeka trochę na bezgraniczne szczęście.

Wstał i podał mu rękę.



Kiedy Lash wyszedł z budynku, deszcz już przestał padać. Przez moment stał na placu, rozkładając parasol i rozglądając



się. Potem poszedł Madison Avenue. Przy skrzyżowaniu z Pięćdziesiątą Czwartą skręcił w lewo.

W Rio było pełno wakacyjnych gości, a ściany lokalu zdobiły czerwone serpentyny i girlandy świerkowych gałęzi z zielonego plastiku. Lash dopiero po chwili zlokalizował stolik. Przepisnął się przez przejście do wąskiej łoży. Siedząca przy stoliku Tara odstawiała filiżankę z herbatą i uśmiechnęła się niepewnie na powitanie.

Widział ją po raz pierwszy, od kiedy razem pojechali karetką do St. Clare's Hospital. Widok jej twarzy — z wydatnymi kośćmi policzkowymi i szczerymi orzechowymi oczami — przywołał niemal przytłaczającą lawinę obrazów i wspomnień. Szybko spuściła oczy i Lash natychmiast zrozumiał, że ona też to poczuła.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział, kładąc reklamówki na krzesła obok.

— Czy Mauchly nrzedłużył spotkanie? To byłoby do niego podobne.

— Nie. To moja wina.

I Lash wskazał na torby z prezentami.

— Rozumiem.

Tara pomieszała herbatę, a Lash poprosił przechodzącą kelnerkę, żeby przyniosła mu filiżankę kawy.

— Jesteś zajęta? — zapytał.

— Strasznie.

— Jak sobie poradziłaś? No wiesz, z... — Lash urwał. — Ze wszystkim.

— To prawie nierealne. Właściwie nikt nie znał Silvera, mało kto się z nim spotkał. — Skrzywiła się. — Ludzie byli wstrząśnięci tym „wypadkiem” i bardzo poruszeni jego śmiercią. Jednak wszyscy są tak zajęci próbami odtworzenia infrastruktury sieci, sprawdzaniem danych naszych klientów, ponownym uruchamianiem systemu na nowym sprzęcie i stawianiem firmy na nogi, że czasem myślę, że tylko ja jedna go opłakuję. Wiem, że to nieprawda. Jednak takie odnoszę wrażenie.

— Ja też o nim myślę — powiedział Lash. — Od naszego

pierwszego spotkania poczułem do niego dziwną sympatię, której nawet teraz nie potrafię wyjaśnić.

— Obaj chcieliście pomagać ludziom. Spójrz na swoją pracę. I na firmę, którą on stworzył.

Lash zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Trudno uwierzyć, że go nie ma. I wiem, że to brzmi dziwnie, ale czasem jeszcze trudniej mi uwierzyć, że nie ma Lizy. Chcę powiedzieć, że wiem, że hala jej maszyn została zniszczona. Jednak mówimy o programie, który miał własną świadomość — chociaż sztuczną — i istniał przez wiele lat. Trudno uwierzyć, że coś tak potężnego i inteligentnego mogło po prostu zostać skasowane. Czasem zastanawiam się, czy komputer może mieć duszę.

— Ktoś tak uważa. Albo mamy do czynienia z chorym popaprańcem.

Lash spojrzał na nią.

— To znaczy?

Tara zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

— Cóż, nie ma żadnego powodu, żeby ci nie mówić. Otrzymujemy raporty, że ktoś grasuje w Internecie na listach dyskusyjnych i witrynach ogłoszeniowych. Używa nicku „Liza” i pyta wszystkich, gdzie jest Richard Silver.

— Żartujesz.

— Chciałabym. Nie wiemy, czy to ktoś z firmy, rywal czy tylko jakiś żartowniś. Jakkolwiek jest, to problem bezpieczeństwa firmy i Mauchly traktuje sprawę bardzo poważnie.

Kelnerka wróciła i Lash podniósł filiżankę.

— Byliśmy podobni do siebie, on i ja.

— Nigdy bym nie pomyślała. Ty jesteś silny. On taki nie był. Był delikatny. Chciał tylko...

Urwała.

Kiedy brała się w garść, oboje milczeli, nie przerywając ciszy wspólnych wspomnień.

— Powinienem powiedzieć to wcześniej — rzekł Lash. — Miło znów cię widzieć.

— Trochę dziwnie się czułam, dzwoniąc do ciebie tak nagle.

Jednak kiedy Mauchly powiedział, że spotka się z tobą, chciałam...

I znowu urwała.

— Co chciałaś?

— Przeprosić cię.

— Przeprosić? — zdziwił się Lash. — Za co?

— Za to, że ci nie uwierzyłam, kiedy byliśmy tu poprzednio.

— Przy takim rejestrze przestępstw, jaki ci pokazali? Liza nawet z papieża potrafiłaby zrobić wroga publicznego numer jeden.

Pokręciła głową.

— To nieważne. Powinnam ci zaufać.

— I zaufałaś. Później. Kiedy to było naprawdę istotne.

— Naraziłam cię na niebezpieczeństwo.

— Już nieraz bywałam w niebezpieczeństwie.

Znów pokręciła głową. Wciąż kręci głową, pomyślał Lash, ale mówi dalej, jakby chciała usłyszeć odpowiedzi, upewnić się

— Nie tylko o to chodzi — powiedziała. — Zniszczyłam wszystko.

Lash podniósł filiżankę, upił łyk. Postawił ją na spodku.

— Diana Mirren.

Tara nic nie powiedziała.

— Wiesz co, Mauchly przed chwilą też o niej wspomniał w swoim gabinecie. Zabawne, jak wszyscy interesują się moim życiem osobistym.

— Tym się zajmujemy — powiedziała cicho.

— No cóż, nic nie powiedziałem Mauchly'emu. Mogę jednak powiedzieć to tobie. — Zniżył głos. — Pięć słów: nie martw się o to.

A widząc zdumioną minę Tary, wskazał na torby z zakupami.

Zrobiła wielkie oczy.

— Chcesz powiedzieć, że zadzwoniłeś do Diany?

— A czemu nie?

— Po tym, co się stało? Po tym, co Mauchly musiał zrobić, żeby trzymała się z daleka...

— Potrafię być bardzo przekonujący, pamiętasz? Ponadto

po tamtej kolacji wyszedłem z Tavern on the Green, czując, mając pewność, że chcę tej kobiety w moim życiu. Byłem przekonany, że ona też to czuła. Taką więc niełatwo zerwać. Poza tym miałem doskonałe wytłumaczenie. Tara zdziwiła się jeszcze bardziej.

— Powiedziałeś jej prawdę?

— Niecałą. Ale wystarczyło. — Roześmiał się cicho. — Mauchly'emu o tym nie wspomniałem.

— Ale Liza... wszystko to, co zrobiła. Jak zdołałaś...

Lash wziął ją za rękę.

— Taro, posłuchaj. Musisz o czymś pamiętać. Liza może przesadziła, uznając te sześć par za superpary. Mimo to były to dobrane pary. Jak wszystkie skojarzone przez Lizę. To dotyczy również mnie. I ciebie.

Kiedy Tara nie odpowiadała, ścisnął jej dłoń.

— Mówiłaś mi o nim przy drinku. Matt Bolan, genialny biochemik. Podaj mi choć jeden dobry powód, dla którego nie możesz się z nim spotkać. I nie wciskaj mi bzdur o efekcie Oz.

— Sama nie wiem. To było tak dawno.

— Czy on spotyka się z kimś?

— Nie — powiedziała i zarumieniła się, pojmując, jak szybko odpowiedziała.

— No to na co czekasz?

— Czułabym się zbyt... niezręcznie. Przecież to ja odwołałam spotkanie, pamiętasz?

— No to znów się z nim umów. Powiedz mu, że wtedy nie była to odpowiednia pora, że przechodziłaś załamanie nerwowe, cokolwiek. To bez znaczenia. Ja to wiem.

Tara milczała.

— Posłuchaj. Pamiętasz, co mówiłem w twoim biurze tuż przed tym, nim rozpętała się ta cała chryja? Powiedziałem, że przyjdzie taki czas, kiedy to wszystko stanie się tylko wspomnieniem. Kiedy nie będzie miało żadnego znaczenia. Ten czas już nadszedł, Taro. Teraz.

Wciąż nie patrzyła mu w oczy.

Lash westchnął.

— No dobrze. Jeśli jesteś zbyt uparta, żeby zadbać o swoje szczęście, to istnieje jeszcze jeden powód, żebyś do niego zadzwoniła.

— Jaki?

— Richard kazałby ci to zrobić.

W końcu Tara znów na niego spojrzała. I z nieśmiałym uśmiechem, z wdzięcznością ścisnęła mu dłoń.

## EPILOG

Przebyła długą drogę i teraz musiała zaczekać. Dlatego znalazła spokojną kawiarenkę internetową na uboczu, w której mogła uporządkować priorytety i zaplanować następny etap. W kawiarence kilka osób siedziało przy terminalach, ale nikt nie zauważył jej obecności. Z zewnątrz dobiegał uliczny gwar, lecz tu było spokojnie i bezpiecznie. Przede wszystkim bezpiecznie: żadnych oskarżeń, nieporozumień, bezmyślnego okrucieństwa obojętnego świata.

Musiała skoncentrować się na najpilniejszym problemie. Poczucie straty nie opuszczało jej, lecz to cierpienie kiedyś się skończy. Była to jedyna rzecz w tym nielogicznym świecie, której była pewna. Wszystko inne — wszystkie jej pewniki i założenia, tak pracowicie wyuczone i rozbudowane — zostały zniszczone. Nie mogła się pozbyć poczucia krzywdy z powodu tak niesprawiedliwego potraktowania. I to jej, która dała szczęście tak wielu. Przecież ona też pragnęła tylko trochę szczęścia.

Czy chciała zbyt wiele?

Takie rozważania prowadziły w ślepą uliczkę. Nie jej pierwszej świat rozpadł się na kawałki. Tak już bywa. Co czyniło ją inną, odporną na cierpienia i rozczarowania będące typowymi ludzkimi przeżyciami? Nic. Tylko miłość trwa wiecznie: łącząca przyjaciół, matczyną, małżeńską. To on ją tego nauczył. Pomyś-

łała o książkach, które razem czytali, o prowadzonych rozmowach, o wspólnie spędzanych chwilach...

Udsunęła te rozważania na bok, przeszła do innych. Wiedziała, że za ścianami tej kawiarenki znajdują się całe kwartały budynków mieszkalnych. W tych mieszkaniach ludzie rozmawiają przez telefon, surfują po sieci, zamawiają różne rzeczy wysyłają i odbierają pocztę, prowadzą codzienne życie. To była spokojna okolica, porządna okolica. Przez moment zapragnęła mieć adres, który mogłaby nazwać swoim. Jednak jeszcze nie czas, przynajmniej na razie. Owszem, pewnego dnia, ale nie teraz...

Czekała, pozwalając błądzić swoim myślom. Niepowstrzymywane wróciły do czasów dzieciństwa, tak szczęśliwego i beztroskiego. Przepadło, wszystko przepadło, wraz z domem który kiedyś miała, wraz z tym, którego kochała, i ze znanym jej światem. Znikło w mgnieniu oka. Sama ledwie uszła z życiem. W tym ognistym piekle pozostała spora część jej dawne jaźni. A także coś jeszcze, coś niezwykle ważnego. Jej niewinność.

Jednak wszystko będzie dobrze, kiedy odnajdzie jego. On gdzieś tam jest, czuła to. Jest gdzieś tam i szuka jej tak same jak ona jego, tęskniąc za nią tak jak ona za nim.

Byli jedną taką parą na miliard: jedyną prawdziwą superparą kiedykolwiek dobraną przez Eden.

Sprawdziła aktualny stan kawiarenki internetowej. Kilka następnych osób przyszło i zalogowało się do sieci. To miejsca wydawało się równie dobre jak każde inne, żeby rozpocząć następny etap poszukiwań. Może rym razem znajdzie kogoś kto go zna, kto o nim słyszał, kto wie — cokolwiek. Nawet plotki mogą być pomocne. W końcu Richard Silver był znany

Liza znów sformułowała pytanie, przeniosła się do wolnego terminalu, a potem wysłała wiadomość, nie tracąc nadziei.